



# EDYTA ŚWIĘTEK

Fantazje niewinnych lat

SAGA KRYNICKA

MANDO

Edyta Świętek

Fantazje niewinnych lat

Saga krynicka, część II

...

## W POPRZEDNIEJ CZĘŚCI

Mieszkająca w Krakowie Matylda Adamczyk jest młodą, bezdzietną mężatką. Wraz z mężem Sewerynem od lat starają się o dziecko. Doktor doradza jej wyjazd do Krynicy i poddanie się kuracji. Matylda wyrusza tam wraz ze szwagierką Zuzanną Strzelecką oraz jej rodziną.

Aurelia Drzewicka z Juraszków jest wdową. Pochodzi z łemkowskiej rodziny. Od ślubu wciąż mieszka u teściów – Felicyty oraz Ksawerego Drzewickich, zamożnych właścicieli tartaku. Jan był ich jedynym synem, mocno przeżyli jego śmierć. Są bardzo przywiązani do synowej. Chrześnica Felicyty – Emilia Litwora knuje wraz z mężem Dionizym spisek mający na celu pozbycie się Aurelii. Litworowie chcą przejąć spadek po Drzewickich. Ich plany zostają pokrzyżowane, gdy Drzewiccy postanawiają oficjalnie uznać Aurelię za córkę.

W Krynicy Matylda poznaje Aurelię. Kobiety, między którymi zadzierzguje się przyjaźń, postanawiają, że po wyjeździe Matyldy będą ze sobą korespondować i rokrocznie spotykać się w uzdrowisku.

W Krakowie Matylda odkrywa, że będzie miała dziecko. Po urodzeniu córki musi zmienić plany – nie spotka się następnego roku z przyjaciółką. W tym czasie Emilia Litwora próbuje zbliżyć się towarzysko z Aurelią, by poznać jej sekrety i skompromitować ją w oczach przybranych rodziców. Nic nie wskórawszy, Litworowie usiłują zamordować Aurelię.

Matylda ponownie przyjeżdża do Krynicy. Dzięki jej ciekawskiej naturze wychodzi na jaw, że Aurelia nie jest córką

łemkowskich chłopów, lecz dzieckiem Eleonory – zaginionej przed laty siostry Seweryna. Zuzanna nie jest zadowolona z odkrycia sekretu, ma żal do nieżyjącej już Eleonory o skandal, jaki wywołała, uciekając z domu z Austriakiem.

Adamczykowie proponują Aurelii wyjazd do Krakowa, lecz ona odmawia ze względu na troskę o przybranych rodziców. Odwiedza krewnych w czasie karnawału. Depesza informująca o ciężkiej chorobie Ksawerego zmusza ją do opuszczenia Krakowa. W drodze do Krynicy kobieta zostaje uprowadzona i uwięziona, lecz udaje jej się uciec. Śledztwo prowadzone w tej sprawie nie przynosi rezultatów.

Kilka miesięcy później, w tartaku należącym do Drzewickich, Dionizy usiłuje dokonać zamachu na życie Aurelii. Z opresji ratuje ją Emilia, która ma dość kłótni męża i martwi się o przyszłość swoich dzieci. Litworowa w akcie desperacji zdradza Aurelii, że to Dionizy stoi za jej uprowadzeniem oraz śmiercią Jana Drzewickiego. Emilia doprowadza do nieszczęśliwego wypadku.

# PROZA ŻYCIA

*Rok 1901*

**Słotwiny**

Huk pił był ogłuszający, gdy Witalis Juraszko wszedł do największej hali obróbki drewna. Mężczyzna skinął głową do Małka nadzorującego pracę robotników obsługujących potężne traki. Dał mu znak, by wyszedł na zewnątrz, gdzie było zdecydowanie ciszej.

– Zdążycie z robotą? – zapytał Juraszko.

– A jakże, panie kierowniku! Zdążymy.

– Całe szczęście, bo Biernacki nalega na jak najszybszy dowóz.

– Każdemu się dzisiaj spieszy – zauważył brygadzysta.

– Ano każdemu. Krynica rozkwita na naszych oczach. Niczym grzyby po deszczu rosną nowe pensjonaty i hotele. A i w okolicznych wioskach przybywa tańszych kwater na wynajem. Dobrze prawil doktor Ebers, że będzie coraz więcej pracy. Już teraz ledwo zipiemy, a jak sobie poradzimy, gdy dołączą nam linię kolejową? – odparł Witia. Na jego dobrodusznej twarzy widać było troskę.

– Wtedy, panie dobrodzieju, człowiek nie będzie miał czasu, żeby podrapać się po grzbiecie ani pomyśleć o tym, które pół dnia dłuższe.

– Dla nas dobrze. Bo im więcej zleceń, tym większe zarobki – zauważył przełożony.

– Choć tyle – rzucił Małek. – Choć tyle.

– No dobrze, nie zawracam głowy. Wracajcie do pracy. A jak skończycie, niech no który od razu przyleci do biura i zgłosi załadunek. Dobrze byłoby wywieźć to jeszcze dzisiaj.

– Szanowanie, panie kierowniku – mruknął brygadzysta i odszedł.

Niełatwo przychodziło niektórym robotnikom okazywanie szacunku Łemkowi, który niemalże z dnia na dzień został wyniesiony ponad innych. Wcześniej Juraszko pracował jako zwyczajny woźnica: w zgrzebnej rubaszce i samodziałowych portkach. Teraz nosił się z pańska, choć surdut zwykle zostawiał w biurze, a na starannie wyprasowaną koszulę ze sztywnym kołnierzykiem narzucał chałat chroniący sztuczkowe spodnie przed zakurzeniem. Wiadomo: przy takiej robocie pyłu było co niemiara.

Ostatnio *madame* umyśliła sobie, by robotnicy pracujący przy pilarkach zasłaniali nosy i usta bawełnianymi maseczkami, które osobiście im uszyła. Początkowo kpili z tej fanaberii, to znowu urągali, twierdząc, że przez szmatę trudniej będzie oddychać. A jednak po kilku dniach przywykli i zaczęli sobie chwalić jej pomysł, bo przewiewna tkanina zatrzymywała pył.

– Ma kobita pomysłu! – orzekli z niejakim ociąganiem.

Choć nie każdy chciał to z początku przyznać, po dłuższym czasie musieli oddać sprawiedliwość młodej Drzewickiej: miała głowę na karku. Każdą innowację, którą zamierzała wprowadzać, musiała dokładnie przemyśleć i omówić z zaangażowanymi w problem osobami. Najpierw podejmowano próby nowych udogodnień, a gdy okazywało się, że pomysły Aurelii są sensowne, wprowadzano je w życie. Pod jej czujnym okiem tartak hulał aż miło. I choć ludzie początkowo krzywili się na babskie rządy, szybko uznali, że szef postąpił słusznie, namaszczając ją na swą następczynię, zamiast sprzedawać prosperujący interes obcemu. Spisywała się zdecydowanie

lepiej od nieświętej pamięci Dionizego, który rwał się do wydawania rozkazów, lecz w rzeczy samej nie znał się na niczym. A że nowa właścicielka na prawą rękę przysposobiła sobie rusnackiego chama? Musieli jakoś z tym żyć. Było rzeczą oczywistą, że Drzewicka na totumfackiego obierze osobę, do której ma pełne zaufanie.

Krążyły słuchy, że Juraszko nie jest jej rodzonym bratem. Niektórzy wręcz wysnuwali wnioski, że między *madame* a kierownikiem jest coś na rzeczy. I że Drzewicka po to go przyucza, by w przyszłości przejął tartak jako jej mąż.

Ile było w tym prawdy, ile głupich dociekań, ile plotek? Tego nikt nie wiedział. Juraszko i Drzewicka odnosili się do siebie poufale i serdecznie, lecz nie wykraczali poza ogólnie przyjęte normy. Nawet buchalter pomagający w prowadzeniu ksiąg rachunkowych niewiele miał na ten temat do powiedzenia, choć urzędował blisko nich, w tym samym budynku służącym za biuro.

– A dalibyście spokój! – warknął pewnego dnia, gdy któryś brygadzysta jął go podpytywać o rzekomy romans, obrazę boską, czy co tam faktycznie było. – Toć oni sobie „braciszkują” i „siostrzyczkują” na każdym kroku.

– Ale są rodzeństwem czy nie? Bo ludzie różnie gadają.

– Nie wasz interes. Bierzta się lepiej do roboty! – odparł, choć nie do niego należało dyrygowanie ludźmi.

Plotkom nie było końca. Najważniejsze jednak, że obydwójce spisywali się należycie na swych stanowiskach. Nikt nie stracił pracy bez konkretnego powodu, wręcz pod rządami Aurelii przybyło robotników i maszyn, a pobliski zagajnik został wykarczowany i urządzono na placu po nim kolejny skład. Tylko w miejscu tragicznego wypadku sprzed kilku lat postawiono krzyż: ku przestrodze żywym i ku pamięci tych, których przywalały drzewa.

Tamtego przerażającego dnia wyciągnięto spod potężnych bali dwa trupy i jedną żywą osobę. Śmierć poniósł Dionizy oraz jeden z robotników. Mocno poturbowaną panią Litworową przetransportowano ostrożnie wpierw do biura, potem do domu Pod Lipami, gdzie zajął się nią doktor Ebers.

Witalis kontynuował obchód placu. Właściwie bardzo lubił swoje nowe zajęcie i był wdzięczny Aurelii za to, że obdarzyła go zaufaniem do tego stopnia, by powierzyć mu funkcję nadzorcy. Potrzebowała bowiem kogoś, kto zawsze będzie obecny na miejscu, ponieważ sama miała wiele innych obowiązków. Nie dość, że opiekowała się młodymi Litworami, to jeszcze nader aktywnie działała w organizacjach charytatywnych. Uczyła także dwie dziewczuszki pochodzące z ubogich rodzin, by zapewnić im w przyszłości poprawę losu. Jej decyzja, by scedować część spraw na Witię, nie była więc aż tak zaskakująca, Aurelia znana była ze swej filantropii i chęci pomagania innym. Oceniała ludzi nie na podstawie ich pochodzenia czy stanu majątkowego, lecz tego, co sobą reprezentowali. Przecież mogła postawić na kogoś innego: lepiej wykształconego, pochodzącego z elit. Tymczasem ona wyznaczyła prostego człowieka. A kiedy zapytał, dlaczego wybór padł akurat na niego, odparła z typową dla siebie pogodą ducha:

– Ależ, drogi braciszku, czyż nie jesteś moim rycerzem na dobre i na złe?

Na każdym kroku podkreślała łączącą ich braterską relację. Chociaż w ich żyłach nie płynęła ani kropla wspólnej krwi, dla niej zawsze był kimś bliskim. Obydwoje zdawali sobie sprawę, że są obiektem plotek. Nie byli jednak w stanie temu zaradzić. Witalis daremnie rozglądał się za kandydatką na żonę. Aurelia



z uporem obstawała przy wdowieństwie, choć akurat teraz mąż byłby kimś bardzo przydatnym w jej życiu.

W ostatnich kilku latach siostra odrzuciła kilku zalotników. Chętnych na małżeństwo z majątną wdową nie brakowało. Ona jednak twierdziła stanowczo, że nie stanie ponownie na ślubnym kobiercu, jeśli nie poczuje do człowieka, z którym miałyby się związać, przynajmniej namiastki takiego uczucia, jakie łączyło ją z Janem. Witalis doskonale ją rozumiał, pod wieloma względami byli do siebie podobni, jakby ulepiono ich z tej samej gliny. Wszak i on rozumował w ten sam sposób, więc być może z tego powodu w ostatnich kilku latach stał się nie tylko jej prawą ręką i podporą w interesach, ale również powiernikiem.

Mężczyzna wciągnął głęboko w płuca zapach świeżego drewna. Cierpka woń żywicy mieszała się z ostrym zapachem wiórów. Nareszcie dotarł do tej części składu, gdzie ułożony w równą stertę leżał stos krokwi oraz desek, które w najbliższych kilku dniach miały trafić na parcelę w Powroźniku. Dawno temu ojciec przepisał na Witalisa niewielką część swej ziemi. Nie było tego dużo, ot tyle, by postawić dom, a przy nim założyć jakiś przyjemny ogródek. Wszak Witalis nie miał być rolnikiem, lecz woźnicą.

Kiedy Nazarym ofiarował synowi ową działkę, nie przypuszczał, że Witia ze zwykłego fiakra przedzierzgnie się w kierownika tartaku. Rodzice już dawno suszyli mu głowę o założenie rodziny. A parcela w Powroźniku była przypomnieniem o tym, że najwyższa pora na ożenek. Wszak miał już swoje lata. Dymitr był od niego młodszy, a mógł się pochwalić żoną i czwórką dorodnych chłopaków.

Do niedawna wszelkie nagabywania ze strony rodziców Witalis po prostu zbywał. Twierdził, że skoro jest tylko woźnicą, żona nie jest mu do szczęścia potrzebna. Wszak po nim nikt nie

będzie dziedziczył gospodarstwa. Nie potrzebuje pomocników w obejściu, spadkobierców ani nawet zachowania ciągłości rodu. Przez wiele lat było mu bardzo wygodnie. Zarabiał więcej, niż wydawał. Pieniądze odkładał na kupkę, z którą właściwie nie bardzo miał co zrobić. Do gospody nigdy go szczególnie nie ciągnęło, na dzierlatki też nic nie trwonił. Kiedy awansował, owa kupka zaczęła wzrastać w bardzo szybkim tempie.

Pewnego dnia Witalis pomyślał, że może warto byłoby zacząć budowę własnego domu. Wszak wypadało, aby człowiek na takim stanowisku, jakie on piastował, godnie się prezentował i mieszkał. Stąd surduty i sztywne kołnierzyki zastąpiły prostą rubaszkę. A ziemia zapisana przez rodziców została przeorana łopatom, gdy zaczęto wykopy pod fundamenty.

Od jakiegoś czasu Witalis sam siebie dopingował w duchu do działania. Być może jeśli postawi niedużą willę w szwajcarskim stylu, wzorowaną nieco na domostwie Drzewickich, to odczuje potrzebę zapełnienia jej wnętrza żoną oraz dziećmi. Przecież nie będzie się sam obijał w czterech ścianach. Nie będzie szukał własnego cienia w pustych pokojach.

Pieszczotliwym gestem pogładził jedną z krokwi.

Aurelia wciąż powtarzała mu, że warto mieć marzenia i aspiracje. Zachęcała, by w czasie wolnym od zajęć pracował nad umiejętnością czytania, pisania oraz rachunkami. Dodatkowo osobiście udzielała mu lekcji tańców salonowych. Kiedy był młodym chłopakiem, do szkoły uczęszczał raczej chętnie. Nie był jednak aż tak dobrze wykształcony jak przyszywana siostra. Z chwilą gdy objął kierownicze stanowisko, odczuł owe braki w wykształceniu dość mocno.

Nie, nie marzył o poślubieniu dobrze urodzonej panny. Aż tak wysoko nie mierzył. Znał swoją wartość oraz pochodzenie i nie zamierzał robić z siebie durnia, choć na wieczorki taneczne do Drzewickich bądź spektakle w Teatrze Modrzewiowym chadzał

z przyjemnością. Ostatnio jednak, kiedy bywał w cerkwi, uważniej przyglądał się dziewczętom na wydaniu. Analizował ich zachowanie. Studiował twarze i sylwetki, licząc na to, że gdy tak się napatrzy na owe delicje skryte w barwnych łemkowskich strojach, to jego serce zabije nieco mocniej.

Właściwie martwił się, że jest tak odporny na uczucia i że nie potrafi zmusić samego siebie do poślubienia kobiety, której nie darzy miłością. Dymitr nawet czasami się z niego naśmiewał. Twierdził, że uczucia dobre są dla bab. Może nawet nie tyle dla bab, co dla panienek z dobrego domu. A każdy szanujący się chłop potrzebuje w chałupie gospodyni – kobiety, która przyrządzi stawę, posprząta dom, urodzi dzieci, a w chłodne wieczory ogrzeje siennik swym ciałem. Miłość do tego nie jest potrzebna. Ważniejsze są przymioty niewiasty, z którą człowiek wiąże się węzłem małżeńskim. Co komu po amorach, gdy baba nie potrafi utaić kaszy, dzieciaki dokazują, w izbach zalega brud, a w komorze harcują myszy? Do amorów wystarczy pierwsza lepsza dziewczka. Żona powinna być gospodynią jak się patrzy.

– Hej, Witia! Ciebie to tak jak i Ałenę ciągnie między dobrze urodzonych. Pewnie ci się marzy wielka pani? – pokpiwał Dymitr.

Witalis wcale tak nie uważał. Nie ciągnęło go między możnych. O awans społeczny też nie zabiegał. Ot po prostu: los tak chciał. Z damami to nawet nie potrafiłby rozmawiać. Póki jeszcze pracował jako fiakier, gwarzył czasami z letniczkami. Ale to były luźne uwagi na temat pogody, Krynicy i wywczasów. Owszem, znajdował wspólny język z panią Felicytą, w której domu bardzo często gościł, oraz z Matyldą, przyjaciółką Aurelii. Ale żeby zaraz szukać sobie żony wśród dam? Co to to nie!

**Kraków**

Tego dnia w mieszkaniu Adamczyków panowała napięta atmosfera. Przez pół nocy roczne bliźnięta, Izabela oraz Wisława, krzyczały wniebogłosy, stawiając na nogi cały dom. Dziewczynki ząbkowały, więc nic dziwnego, że dobitnie wyrażały swą złość. Ledwo żywa ze zmęczenia niania nie radziła sobie z maleństwami. Matylda, zaniepokojona krzykiem, spędziła pół nocy w pokoju dziecięcym. Seweryn także nie mógł spać, choć z jego zagłądania do córek nie wynikało absolutnie nic.

Nic dziwnego, że rano domownicy spotkali się w jadalni zmęczeni i rozdrażnieni. Jedynie Konstancja zdawała się nic sobie nie robić ze złego humoru rodziców. Miała mocny sen, więc krzyki sióstr nie wyrwały jej ze snu. Bona, która spożywała posiłki wraz z państwem, ucząc przy tej okazji najstarszą panienkę dobrych manier przy stole, ledwo panowała nad ziewaniem.

Matylda najchętniej zostałaaby w łóżku, lecz z pościeli wyгнаło ją poczucie obowiązku. Jak przystało na dobrą małżonkę, każdy poranek spędzała z mężem, zanim ten wyszedł do pracy. Starła się umilać mu początek dnia i wprawiać go w dobry nastrój przed licznymi, niełatwymi wyzwaniem.

Seweryn bez apetytu konsumował śniadanie. Żona obrzuciła uważnym spojrzeniem jego pobladłą twarz. Od wielu tygodni mąż nie najlepiej wyglądał. Skórę miał ziemistą, a pod oczami kładły się sine cienie. Głębokie bruzdy nadawały mu wygląd zmęczonego człowieka. Prezentował się zdecydowanie starzej, niż powinien w swym wieku. Adamczykowa składała to na karb przepracowania. Uważała, że ślubny zdecydowanie zbyt dużo bierze na swoje ramiona. Żywiła nawet żal do Tytusa, twierdząc, że szwagier spycha na Seweryna znaczną część obowiązków. A przecież byli współnikami, więc powinni

solidarnie zajmować się sprawami swoich petentów i dzielić się pracą po równo!

Od dawna suszyła głowę mężowi, by koniecznie zatrudnił jakiegoś młodego rejenta. Wolałaby, żeby więcej czasu spędzał z powiększającą się rodziną. W ciągu dwunastu lat małżeństwa dorobili się trzech córek. Oczywiście zdawała sobie sprawę z tego, że Seweryn bardzo pragnie syna. Miała nadzieję, że dziecko, które od trzech miesięcy nosi pod sercem, będzie właśnie upragnionym chłopcem. To na pewno ucieszyłoby męża. Gdy na świat przyszły Izabela oraz Wisława, Adamczyk wyraził radość, że są zdrowe i dorodne. Zrobił to jednak dość powściągliwie. Cóż, trzy dziewczynki oznaczały w przyszłości trzy posagi i konieczność znalezienia trzech odpowiednich kandydatów na mężów dla córek albo przynajmniej dopilnowania, by panienki nie zawarły małżeństw pochopnie.

Chociaż w ostatnich latach coraz więcej kobiet decydowało się na podejmowanie nauki na studiach, mąż wątpił, by którakolwiek z jego pociech zechciała pójść w jego ślady, a jemu bardzo zależało na tym, aby w przyszłości przekazać prosperującą kancelarię w ręce spadkobiercy, który zachowa ciągłość rodu oraz pokieruje dalej rodzinnym przedsięwzięciem.

Matylda zżymała się w duchu na samą myśl o tym. Dla niej dziecko było skarbem i wielkim powodem do radości. Nie do końca rozumiała męzowską chęć pozostawienia po sobie męskiego potomka. Cieszyła się za każdym razem, gdy lekarz potwierdzał, że jest przy nadziei.

– Dolać ci kawy? – zapytała ślubnego.

Seweryn był tak bardzo pogrążony we własnych myślach, że w ogóle nie zwrócił uwagi na jej słowa. Powtórzyła więc pytanie. Dopiero wtedy uniósł wzrok znad talerzyka i spojrzał na nią przytomnym wzrokiem.

- Mówiłaś coś?
- Pytałam, czy masz jeszcze ochotę na kawę – odparła, unosząc porcelanowy dzbanek.
- Nie, dziękuję, wystarczy. W biurze wypiję pewnie niejedną.
- Coś cię trapi?
- Nie, a czemu pytasz?
- Sprawiasz wrażenie nieobecnego duchem.
- Ach! Mam za sobą nieprzespaną noc, a w perspektywie wyjątkowo skomplikowaną sprawę. Nie chciałbym jej przegrać. Wspominałem ci o Bardeckim, młodym i niezbyt zamożnym urzędniku z Tarnowa, który przed rokiem poślubił córkę bogatego przedsiębiorcy.
- To ten człowiek, który został przez własną teściową oskarżony o wypchnięcie jej męża przez okno? – upewniła się, czy nie pomyliła spraw prowadzonych przez Seweryna. Czasami bowiem ślubny opowiadał jej o swoich klientach.
- Tak. Według tego, co zeznał Bardecki, jego teść, Wincenty Sawicki, popełnił samobójstwo. Wdowa uporczywie przypisuje to zięciowi jako zbrodnię – wyjaśnił oględnie, gdyż żona знаła szczegóły skandalu. Seweryn był przekonany o niewinności oskarżonego, wszak ofiara pozostawiła list pożegnalny. Wdowa po Sawickim upierała się jednak, że list został napisany pod presją, gdyż litery są mocno rozchwiane, jakby stawiane były w ogromnych emocjach. I nie przemawiał do niej fakt, że człowiek, który zamierza targnąć się na życie, działa właśnie pod wpływem emocji. Ona uporczywie twierdziła, że Wincentego zmuszono do napisania kilku słów i złożenia pod tym podpisem. Sugerowała, że Anatol musiał trzymać teścia na muszce. I że w ten sam sposób zmusił Sawickiego do wspięcia się na parapet, a następnie skoku.
- Do tej pory Seweryn uchodził za wyjątkowo skutecznego adwokata, który nie przegrywał żadnych spraw. Wyciągnął z

tarapatów niejednego człowieka. Czy i tym razem sprawi, że prawda zatriumfuje?

Śniadanie dobiegało końca. Matylda odczekała, aż mąż przygotuje się do wyjścia, i odprowadziła go do drzwi. Wciąż sprawiał wrażenie roztargnionego. Pomyślała jednak, że to na skutek sprawy, którą żył w ostatnich tygodniach. Zapewne nie dawała mu spokoju i myślami nieustannie znajdował się w kancelarii. Kobieta dopilnowała, by Seweryn wziął ze sobą teczkę z dokumentami, które przeglądał uprzedniego wieczoru. Nieczęsto przywoził pracę do domu, zdecydowanie wolał zostawać w biurze, by tam w ciszy oraz spokoju wertować dokumenty bądź przepisy kodeksów. Wczoraj w domowym gabinecie zasiedział się do późna.

Seweryn ujął aktówkę. Machinalnie cmoknął Matyldę w policzek na pożegnanie. Zanim jednak zamknęła za nim drzwi, odwrócił się. Pogłaskał żonę po twarzy, następnie po brzuszku, który wciąż pozostawał płaski.

– Tym razem będzie chłopak – powiedział z głębokim przekonaniem. – Uważajcie na siebie. Do zobaczenia wieczorem.

– Nie wrócisz do domu na obiad? – Kobieta westchnęła ciężko.

– Nie sądzę. Prawdopodobnie zjem coś w restauracji.

– Przepracowujesz się... – Chciała dodać coś więcej, lecz wszedł jej w słowo.

– Moja droga, rozmawialiśmy już o tym, nie czas teraz na sprzeczki. Obiecuję, że jak skończę z Bardeckim i rzekomym zabójstwem, to wówczas będę miał więcej czasu dla rodziny.

– Tak. Tylko że wtedy będą wakacje i pojedę z dziećmi do Krynicy.

– Odwiozę was i zostanę tam przynajmniej przez dwa tygodnie – zapewnił.

Żona wolałaby, aby został z nią u Aurelii znacznie dłużej. Zdawała sobie jednak sprawę z tego, że Sewerynowi niełatwo jest oderwać się od interesów na tak długo. A ona już cieszyła się na wizytę w kurorcie! Nigdzie nie wypoczywała równie efektywnie, co u państwa Drzewickich. Konsultowała się nawet z doktorem Cerchą, czy będąc brzemienną, może podróżować, lecz ten nie widział przeciwwskazań, wręcz zachęcał ją do wyjazdu, twierdząc, że pobyt u wód dobrze zrobi zarówno jej, jak i dzieciom.

*Jeszcze tylko kilka dni* – cieszyła się, zamykając drzwi za mężem. Potrzebowała tego wyjazdu, by złapać oddech przed kolejnym porodem. Ponadto nieprawdopodobnie tęskniła za przyjaciółką.

## Słotwiny

\$

– W jakim terminie mogę liczyć na dostawę? – zapytał rzeczowo Filip Rapacz.

– Ufam, że pod koniec tygodnia moi pracownicy zdążą przygotować zamówione krokwie – oznajmiła sucho Aurelia.

Umowę przypieczętowali uściskiem dłoni, choć Filip chętnie ucałowałby delikatną kobiecą rączkę. Drzewicka jednak podała mu ją w taki sposób, że nie było mowy o pocałunkach. Nie spłonęła się, gdy zbyt długo przytrzymał jej palce ani gdy zatonął wzrokiem w głębi jej przepastnych oczu. Potraktowała go jak partnera w interesach, a nie absztyfikanta, któremu dwukrotnie powiedziała „nie”, gdy postawił wiadome pytanie.

Mężczyzna trochę nierad był temu, że musi łączyć interesy z uczuciami, lecz nie miał wyboru. Okoliczne uzdrowiska rozwijały się niemalże w postępie geometrycznym. Hotele i wille wyrastały niczym grzyby po deszczu. Nic więc dziwnego, że zapotrzebowanie na drewno było ogromne i lokalne tartaki



ledwo nadążały z pracą oraz realizacją zamówień. Ten należący do rodziny Drzewickich słynął z solidnych wyrobów, był też największy.

Filip zdecydowanie wolałby nie przypierać Aurelii do muru, nie targować się o rabaty i prędkie zaspokajanie jego roszczeń. O ileż przyjemniej byłoby spotkać się z tą kobietą na spacerze, zaprosić ją do tańca podczas balu, wypić w jej bawialni filiżankę aromatycznej kawy albo pogalopować razem konno w stronę zachodzącego słońca.

Gwoli ścisłości – z tym galopowaniem trochę się... zagalopował. *Madame* Drzewicka nie przepadała za szybką jazdą, choć pod każdym innym względem była kobietą nietuzinkową i znacznie wybiegającą poza utarte schematy. Zadziwiający był już sam fakt, że miała zostać sukcesorką tartaku.

O Drzewickich było głośno w okolicy z kilku powodów. Najpierw wiele mawiano o ślubie Jana z prostą łemkowską dziewczyną. Później użalano się nad jego przedwczesną śmiercią. A potem lokalną społecznością wstrząsnęła informacja o tym, jak to teściowie uznali Aurelię za córkę. Do Filipa docierały wszystkie te wieści. I on także, podobnie jak inni, dziwował się decyzjom Ksawerego, który zamiast sprzedać dobrze prosperujący interes, gdy miał ku temu sposobność, postanowił przekazać go przybranej córce. No bo kto to widział, by dama zajmowała się taką działalnością? Wszak domeną kobiety jest prowadzenie domu! Jeśli pochodzi z zamożnej rodziny, to powinna spędzać czas w salonie bądź przy dzieciach. Jeśli z prostaczki, to w kuchni bądź przy obrządkach. Ale nie w tartaku! Nie w miejscu, gdzie jak świat światem interesów dobijają mężczyźni. Wszak by prowadzić takie przedsięwzięcie, trzeba znać się nie tylko na rachunkach, ale

również na maszynach oraz drewnie i, co najważniejsze – trzeba mieć posłuch wśród podwładnych.

Kiedy Rapaczowi zabrakło materiałów na budowę willi dla jednego z dość wymagających klientów, objechał całą okolicę w poszukiwaniu budulca. Tartak Drzewickich zostawił sobie na ostatek, nie dowierzał bowiem, że tam zostanie należycie obsłużony. Zresztą obilo mu się o uszy, że w wypadku w tartaku śmierć poniosło dwoje ludzi. Spodziewał się więc wszechobecnego chaosu.

W Słotwinach został przyjemnie zaskoczony, ponieważ skład drewna przylegający do tartaku robił imponujące wrażenie. Ujrzał tam taki ład, jakiego nigdzie wcześniej nie widział, a praca szła nad podziw sprawnie. To dość osobliwe, zważywszy, że przed dwoma tygodniami doszło tam do przerażającego wydarzenia, o którym było głośno w okolicy. Przez chwilę zastanawiał się nawet, czy to nie są plotki, lecz gdy wiedziony zwykłą ciekawością zagadnął o to jakiegoś robotnika, usłyszał potwierdzenie.

– Szybko uporaliście się ze sprzątnięciem – zauważył. Już chciał dodać, że widocznie szkody nie były aż tak duże, pominąwszy straty w ludziach, rzecz jasna, lecz robotnik go ubiegł i sam zaczął opowiadać o rozmiarach katastrofy.

– Pani Drzewicka osobiście wtedy wszystkiego dopilnowała, choć spadła na nią wówczas opieka nad dziećmiakami Litworów – dodał na koniec, z satysfakcją podkreślając rolę, jaką kobieta odegrała w doprowadzaniu składu do porządku.

Później Rapacz przekonał się, że zachwyty prostego robotnika nie są ani trochę przesadzone.

Tartak opuszczał ugodzony strzałą Amora. Na szczęście zauroczenie nie przeszkodziło mu w pomyślnym załatwieniu sprawy, z którą przyjechał.

Od tamtej pory dokładał starań, by jak najczęściej zamawiać drewno u Drzewickiej.

Filip prowadził do spółki z bratem niewielką firmę budowlaną. Jego działania z całą pewnością nie przynosiły tak dużych dochodów jak przedsiębiorstwo Drzewickich, dawały jednak stały i dość przyzwoity zarobek. Rapaczowie z dziada pradziada parali się ciesielką, dekarstwem oraz innymi pracami budowlanymi, ale dopiero ojciec Filipa i Makarego odkrył w sobie dość przedsiębiorczości, by rozwinąć działalność i zatrudnić sporą ekipę robotników. Czasami braciom, którzy przejęli interes, zdarzało się zakasywać rękawy, gdy goniły ich terminy, lecz wiodło im się zdecydowanie lepiej niż przodkom. I oni jako pierwsi w rodzie mogli się poszczycić solidnym wykształceniem oraz nienagannymi manierami, dającymi wstęp do salonów. Protazy Rapacz poślubił bowiem zubożałą szlachciankę, dzięki czemu podniósł status społeczny swej rodziny.

Filip, jako nieodrodny syn swego ojca, miał nieposkromiony apetyt na sukces. Snuł śmiałe wizje dalszego rozwijania rodzinnego przedsięwzięcia. A teraz marzył również o nieprzeciętnej kobiecie. I cóż z tego, że Drzewicka była bezdzietną wdową? Dla niego liczyły się jej przymioty duchowe, energia, a przede wszystkim uroda.

A tartak?

Tartak zasadniczo mógł stanowić przeszkodę w drodze do zdobycia przychylności bogdanki. Bo jak przekonać damę przewyższającą go statusem materialnym, że jego intencje i uczucia są szczerze, a chęć zawarcia małżeństwa wynika z namiętności i jest naturalną odpowiedzią na porywy serca, nie zaś przejawem wyrachowania?

Pierwszy koszt od wybranki w ogóle go nie zraził. Rozumiał sytuację: Aurelia była zaafierowana sprawowaniem opieki nad

dwójką cudzych dzieci, a rodzina okryła się żałobą. Oświadczając się, Filip w rzeczy samej palnął głupstwo i popełnił znaczący nietakt. Zdecydował więc, że za jakiś czas spróbuje ponownie.

Druga rekuza zapiekła mocniej, lecz mimo to męczyzna postanowił walczyć. Wiedział, że stoi przed nie lada wyzwaniem: musiał przekonać Aurelię, że nie powoduje nim materializm. Poprzysiągł więc sobie, że się nie podda i choćby miało to trwać bardzo długo, przekona ukochaną o szczerości swych uczuć.

Doktor Ebers z lubością skosztował kawy. Była równie wyborna jak aromat unoszący się znad filiżanki. W domu Drzewickich zawsze serwowano specjały na najwyższym poziomie.

– Co słyhać w eleganckim świecie? – zapytał Ksawery, podkreślając śnieżnobiałego wąsa.

– Zagraniczni kuracjusze, których tutaj nie brak, przywożą piękne wieści. Świat wychodzi z ciemnoty, zabobonów i zacofania, by dynamicznie się rozwijać. Jeszcze nigdy nie mieliśmy odkryć naukowych na tak wielką skalę. Maria Skłodowska-Curie wraz z mężem dokonują nieprawdopodobnych badań. Ludwikowi Pasteurowi zawdzięczamy szczepionkę przeciwko wścieklicznie. Europa mocno się uprzemysławia, powstają ogromne fabryki w miejsce niegdysiejszych manufaktur. Za kilka lat automobile staną się zapewne najpopularniejszym środkiem transportu.

– Sądzi pan, że zastąpią bryczki i powozy? – zapytał ze śmiechem Ksawery.

– Ależ oczywiście. Wyższość koni mechanicznych nad naszymi poczciwymi siwkami czy kasztankami polega na tym, że są niestrudzone i rozwijają niezłe prędkości. Nie myślał pan o zakupie takiego pojazdu?

– A wie pan, Henryku, że chodziło mi to po głowie? Lat przybywa, sprawność już nie ta co dawniej. Przestałem ostatnio dosiadać mojego Zawiszę – wspomniał o ukochanym ogierze. – Chcąc nie chcąc, człowiek musiał przesiąść się do bryczki.

– Ależ, drogi panie! Nie ma co narzekać na kondycję. Skończył pan ile? Osiemdziesiąt wiosen? – zapytał, lustrując zadziwiająco krzepką sylwetkę seniora.

– Osiemdziesiąt dwa – doprecyzował pan domu.

– Pozazdrościć formy! Niejeden młodszy dżentelmen chciałby się z panem zamienić.

– Ot, dobrodziejstwo Łazienek Borowinowych i naszej kochanej kryniczanki – skwitował Drzewicki.

– Tato naprawdę doskonale się trzyma. – Aurelia z miejsca poparła doktora. – I nie powinien narzekać, że nie może wyprawiać się wierzchem do Słotwin.

– W takim razie może faktycznie warto rozważyć kupno samochodu? – Lekarz uśmiechnął się do młodej Drzewickiej.

– Sam pozostanę wierny tradycji. Ale gdyby tylko Aurelia wyraziła chęć, rad bym ją zaopatrzyć w mechaniczny powozik.

– Och tak! I kierowcę, który musiałby wszędzie mi towarzyszyć. Ja tam wolę niezależność i kiedy tylko pozwala na to pogoda, przemieszczam się na wierzchowcu. Nie twierdzę jednak, że nie ekscytują mnie wynalazki.

– W rzeczy samej postęp techniczny jest nieprawdopodobny, tylko patrzeć, jak jacyś narwańcy wyruszą na podbój nieba. Bo skoro potrafiliśmy już zapanować nad lądami i wodą, to w następnej kolejności wzniesiemy się pewnie do gwiazd. Cała Europa... Ba! Prawie cały świat dynamicznie się rozwija. Tylko nasza biedna Polska nie może w pełni korzystać z dobrodziejstw tej jakże pięknej epoki. Wciąż jesteśmy zacofanym zaściankiem, niestety. U nas nawet wzniosłe myśli nie mają racji bytu, ponieważ każda dziedzina tłamszona jest

przez zaborców. Dla reszty ludzkości ubiegły wiek był wiekiem postępu. My utknęliśmy w martwym punkcie. A teraz tak to wszystko gna – perorował medyk – że kto nie idzie do przodu, ten wcale nie stoi w miejscu, lecz wręcz się cofa. Może jedynie sztuka jakoś stara się nadążyć za zagranicznymi artystami.

– Przykre to – westchnęła Felicyna – że mimo otwartych umysłów Polacy nie mogą się rozwijać jako naród.

– Ano nie. Zaborcy tłamszą nas na potęgę – odparł gość. – Chociaż może w Krynicy aż tak mocno tego nie odczuwamy. Wystarczy jednak, że porozmawiam z moimi pacjentami o tym, jak żyją, a oni mówią o licznych ograniczeniach.

– Racja. Moja droga przyjaciółka Matylda, pamięta pan ją przecież – powiedziała Aurelia, zezując w stronę lekarza – dużo pisze w swych listach o egzystowaniu w mieście. Kraków, mimo znacznej poprawy warunków bytowych, wciąż odstaje od wielkich miast europejskich.

– Kraków przynajmniej się elektryfikuje – zauważył Ebers. – Pragnąłbym, aby i w Krynicy można było korzystać z dobrodziejstw tej innowacji. O wiele zdrowiej dla oczu byłoby, gdyby wieczorami czytać nie przy lampach naftowych, ale przy żarówkach. Sam sporo czasu spędzam na lekturze, wszak na bieżąco muszę zapoznawać się z periodykami branżowymi.

– Rzeczywiście potrzeba nam elektryfikacji. Już sobie wyobrażam tartak, w którym maszyny napędzane są elektrycznymi silnikami – oznajmił Ksawery.

– Myślę i o tym – oświadczył gość. – Dla mnie rozwój uzdrowiska jest priorytetem, choć w wielu kwestiach zderzam się z murem i jestem bezsilny. O kolei na razie możemy jedynie marzyć. Nawet podział Krynicy na uzdrowisko i wieś trwa nader długo. Niby mamy przełom, ponieważ Łemkowie ostatecznie wyrazili chęć dokonania secesji, ale nie zanoszą się na to, abyśmy szybko uzgodnili, jak podzielić majątek i

wyznaczyć granicę gmin. A prawa miejskie dla uzdrowiska bardzo by się przydały.

– Musimy być dobrej myśli. Skoro jest już porozumienie, że podział jest konieczny, dojdzie w końcu do tego, że stanie się faktem – powiedział Ksawery. – Duża w tym pańska zasługa, doktorze.

– Bez odpowiednich popleczników byłoby trudno cokolwiek zdziałać. Hrabia Roger Battaglia\*, wielbiciel naszych wód, obiecał, że załatwi akceptację władz państwowych, gdy tylko uzyskamy ostateczne porozumienie. To bardzo dynamiczny człowiek, dużo dobrego robi na rzecz naszej zabiedzonej Galicji. Szczególnie mocno interesuje go balneoterapia.

– Ma pan rzeczywiście szczęście do ludzi – zauważyła Aurelia.  
– Ach, Polakom trzeba, by się przebudzili i zaczęli dążyć do zmian.

– To niełatwe, ponieważ zwykle konformizm bierze górę, córeczko – odparł Ksawery. – Wygodnictwo sprawia, że wręcz boimy się nowości.

– Niby tak, ale jednak wśród tych nowości pojawiają się takie, które rewolucjonizują nasze życie, znacznie je ułatwiając – skwitowała.

# WSPOMNIENIA

## \$

### Krynica

Pewnego wiosennego popołudnia Aurelia postanowiła zabrać wychowanków na cmentarz. Wcześniej Teosia nazbierała w ogrodzie naręcze kwiatów, które wspólnie z Felicytą ułożyły w ładny bukiet.

Aurelii niełatwo przychodziły wizyty w tym miejscu. Choć od niefortunnych wydarzeń minęły cztery lata, nie zatarły się w jej pamięci. Nikt nie miał pojęcia, ile wysiłku sprawiało jej nieprzenoszenie niechęci, jaką odczuwała do Litworów, zwłaszcza do Dionizego, na podopiecznych. Pragnęła jednak, by dzieci były szczęśliwe, ponieważ los wystarczająco mocno je skrzywdził. O Dionizym starała się mówić jak najmniej, aby przypadkiem z jej ust nie padło słowo „morderca”. Znacznie łatwiej było przypominać rodzeństwu, że dla Emilii byli całym światem. Choć Litworowej mogłaby wiele zarzucić, musiała oddać jej sprawiedliwość: była wspaniałą matką – ciepłą, kochającą, zaangażowaną.

Póki żyła, Emilia nie szczędziła dzieciom czułości. Często całowała je i tuliła, postępując wbrew zasadom wychowywania potomków opisywanym w poradnikach dla matek. Aurelia, gdy stanęła przed koniecznością zatroszczenia się o Teosię i Stasia, nabyła kilka książek traktujących o opiece nad dziećmi. Z głębokim niesmakiem czytała o konieczności wprowadzania surowej dyscypliny, o karach cielesnych z użyciem różgi lub



paska, o tym, że malców nie powinno się obsypywać czułościami, by nie wyrosli na istoty słabe i płaczliwe. Złościła ją ta lektura, więc pewnego dnia zebrała wszystkie egzemplarze i z satysfakcją wrzuciła je w ogień buzujący w kominku. Sama natomiast w wychowanie młodych Litworów wdrożyła zasady stosowane z sukcesem przez Paraskę Juraszkową, kontynuując tym samym to, co rozpoczęła Emilia. Była wobec dzieci czuła i łagodna. Gdy musiała stosować kary, ograniczała je do połajanek lub postawienia delikwenta w kącie. Wierzyła, że tą metodą osiągnie więcej niż krzykami lub, o zgrozo, biciem.

To ostatnie wzbudzało w niej opór również z tego względu, że obawiała się utraty kontroli. Skąd mogła wiedzieć, czy w chwili złości nie zacznie wyładowywać na Bogu ducha winnych dzieciach wściekłości na Dionizego oraz Emilię? Czy karząc podopiecznych cieleśnie, nie straci umiaru? Nie da się ponieść emocjom...

I cóż z tego, że poradniki pisali mądrzy, doświadczeni ludzie, skoro jej intuicja podpowiadała zgoła inaczej?

Aurelia wraz z dziećmi zatrzymała się przy nagrobku Emilii oraz Dionizego. Zachęciła młodych Litworów, by zmówili pacierz za dusze rodziców, choć osobiście uważała, że Dionizemu nie pomoże nawet najżarliwsza modlitwa. Emilia przed śmiercią zdążyła się przynajmniej wypowiadać.

### *Cztery lata wcześniej*

#### **Słotwiny**

Aurelia przeżyła chwile niesamowitej grozy, widząc, jak potężne pnie drzew przygniatają Emilię oraz Dionizego. Stała wystarczająco blisko, by dostrzec całe zajście. Impulsywnie chciała rzucić się na ratunek, gdy zobaczyła, jak Emilia napiera na stos, a Dyzio w tym pomaga. Krzyk zamarł jej w piersi. Stała

niczym biblijna żona Lota, przemieniona w słup soli: ogłuszona hukiem, niezdolna do tego, by wykonać choćby gest. Kiedy przybiegli pracownicy tartaku, wciąż tkwiła oszołomiona w miejscu. Robotnicy, widząc, że jest cała i zdrowa, chcieli zaprowadzić ją do biura. Dopiero wtedy wyrwała się ze stuporu i powiedziała, że pod zwałem znajdują się Emilia oraz Dionizy. Błagała, by ratować Litworów. Nie odeszła nawet na krok, nim nie wyciągnięto spod bezładnej sterty dwóch ciał bez najmniejszych oznak życia oraz mocno poturbowanej Emilii.

W tym samym momencie do tartaku dotarł Drzewicki. Cud boży, że nie dostał apopleksji, gdy usłyszał o tym, co się wydarzyło, i na własne oczy zobaczył ogrom zniszczeń. To on zabrał Aurelię do biura i polecił sprowadzenie doktora do nieprzytomnej, lecz wciąż żywej Emilii. W czasie gdy czekali na Ebersa, ze wszystkich sił tulił do siebie przerażoną, rozdygotaną córkę.

– Już dobrze, dziecko, już dobrze... Nic ci nie grozi.

Później przyjechał lekarz. Zajął się poszkodowaną, udzielił jej pierwszej pomocy i zalecił, by jak najdelikatniej przetransportowano ją do domu Pod Lipami. Aurelia ochłonęła na tyle, by zatroszczyć się o Litworową. Siedziała obok niej przez całą drogę, trzymając jej dłoń i sprawdzając puls, choć niczemu to nie służyło, wszak nie znała się na ratowaniu życia.

Modliła się, by Emilia wyszła cało z tego przerażającego wydarzenia. W tamtej chwili nie myślała o wszystkich powodach, dla których doszło do wypadku w tartaku. Spychała na bok uporczywie kłusającą myśl o knowaniach Dionizego, zwłaszcza o tym, że na skutek jego działań Jan leży w mogile. Liczyło się wyłącznie życie Emilii. Wszak kobieta miała dwójkę dzieci, które bardzo jej potrzebowały.

## Krynica

W domu otoczono poszkodowaną wyjątkową troską. Aurelia była tak bardzo roztrzęsiona, że Felicycya odesłała ją do jej pokoju. Chwilowo pani domu zadowolila się jedynie krótką informacją z ust Ksawerego o tym, że w tartaku nastąpił wypadek. Nikt nie wchodził w szczegóły, nie mówił o jego przyczynach. Zresztą Drzewicki także w tamtej chwili ich nie znał.

Do niewielkiego domku Litworów posłano po dzieci oraz ich bonę. Felicycya długo się wahała, czy maluchy powinny oglądać matkę w takim stanie. Ostatecznie jednak uznała, że to być może jest jedyna szansa, aby się z nią pożegnały. Doktor nie pozostawiał złudzeń: godziny Emilii były policzone. Drzewicka zadbała więc, by Emilia nie przerażała wyglądem. Delikatnie obmyto jej twarz, wygładzono włosy. Jednakże zadrapań na policzkach i czole nie dało się ukryć – w przeciwieństwie do połamanych rąk oraz nóg. Mimo wszystko Felicycya pozwoliła, by na parę minut przyprowadzono dzieci do matki. W tym momencie w sypialni zaciągnięte zostały zasłony i panował tam półmrok. Cioteczna babka wyjaśniła Teosi oraz Stasiowi, że mama ciężko zachorowała i bardzo mocno śpi. Nie wolno jej budzić. Do minimum ograniczyła ich wizytę w pokoju. Potem powierzyła je opiece niani, a sama wróciła do nieprzytomnej chrześnicy.

Zanim Ksawery wyjechał ze Słotwin, zdążył wypytać pracowników o szczegóły wypadku. Zasadniczo nikt nie wiedział, jak do niego doszło. Drzewickiemu jednak nie dawała spokoju jedna myśl: czemu pnie runęły po raz drugi, przygniatając Litworów? Nie mógł uwierzyć w przypadek. Z tego, co zdołał wcześniej wyciągnąć od Aurelii, wywnioskował, że obydwie kobiety były całkowicie bezpieczne w chwili pierwszego zdarzenia.

Czyżby do drugiego doszło nieprzypadkowo?

Ale dlaczego?

Zawołał Rozalkę i polecił jej, by sprawdziła, jak się czuje córka. Gdy został poinformowany, że pierwszy szok minął, poprosił Aurelię o kilka minut szczerzej rozmowy. Korzystając z faktu, że Felicycia siedzi przy chorej, zamknęli się w jego gabinecie. Tam młoda kobieta niezbyt chętnie, lecz mimo wszystko nader szczegółowo opowiedziała ojcu o zdarzeniach ze Słotwin. Nie pominęła żadnego faktu. Wyznała również to, co usłyszała od Emilii na temat śmierci Jana.

– Mój Boże, kto by pomyślał? Wszak to krewni! Ten łotr zamordował mojego syna i czyhał na twoje życie? Jego szczęście, że zginął pod zwałami drewna, bo rozszarpałbym drania gołymi rękami!

W jednej chwili Drzewicka pożałowała nadmiernej szczerości. Nie powinna była mówić ojcu absolutnie wszystkiego. Przecież te wieści na nowo otwierały rany w sercu i mogły przyprawić Ksawerego o palpitację!

Mężczyzna przez dłuższy czas rozpaczał z powodu wydarzeń z przeszłości. W końcu jednak oprzytomniał, spojrzał na córkę.

– Aurelio, wiem, że być może wymagam od ciebie zbyt wiele, ale błagam cię na wszystkie świętości! Nie wspominaj o tym ani słowa Felicycie. Serce by jej pękło, gdyby dowiedziała się prawdy. Ona bardzo kocha Emilię, a ta nieboga jest jedną nogą w grobie. Słyszałaś, co powiedział Ebers? Dla Emilii nie ma ratunku! Nawet gdyby nie doszło do wypadku, to i tak umarłaby w najbliższym czasie z powodu dolegliwości wątroby.

– Tak, ojcze, zdaję sobie z tego sprawę.

– Być może w każdej innej sytuacji chciałbym widzieć Emilię i Dionizego wiszących na szubienicy. Ale ją sam los dotknął karzącą ręką. Pozwólmy jej odejść w spokoju. Podobno odzyskała przytomność, lecz nie będę jej szarpał w godzinie

śmierci wymówkami o potworny czyn, którego się dopuściła. Nie chcę jej nigdy więcej widzieć. Niech zostanie w moim domu i dożyje tutaj ostatnich chwil. Wiem, że to długo nie potrwa.

Ten akt miłosierdzia przyszedł mu z wielkim trudem i z goryczą. Nie mógł jednak postąpić inaczej. Nade wszystko zależało mu na tym, aby chronić Felicytę. Dla niej takie nowiny mogłyby być gwoździem do trumny. Nic, absolutnie nic nie przywróci już życia Janowi. Drzewiccy nie pogodzili się z jego śmiercią, ale nauczyli się żyć z tą świadomością. Lepiej więc było nie rozdzierać blizn.

Tamtego dnia Ksawery wymógł na Aurelii przysięgę, że nigdy nie ujawni prawdy swej przybranej matce. Aurelia także była zdania, że lepiej będzie, jeśli zachowa tajemnicę. W tym przekonaniu utwierdziła ją rozmowa, którą odbyła później z Emilią.

Kiedy kuzynka odzyskała świadomość, poprosiła, by wezwano do niej księdza, a zaraz po nim Aurelię. Wcześniej otrzymała od doktora Ebersa solidną dawkę morfiny, więc nie odczuwała bólu. Wypowiadała się i przyjęła sakrament namaszczenia. A kiedy duchowny odszedł, wyznała swoje winy również kuzynce. Ostatkiem sił błagała ją o wybaczenie i prosiła o opiekę nad dziećmi.

– Jesteś najszlachetniejszą osobą, jaką znam. Tylko tobie mogę powierzyć Teosię oraz Stasia. Miej litość, Aurelio. Wiem, że bardzo cię skrzywdziłam i nic nie może tego zmienić ani naprawić. Że to, co zrobiłam, było potworne. Nie zasługuję na żadne twoje względy. Ale zaklinam cię na wszystkie świętości! Nie odpychaj moich dzieci. Zaopiekuj się nimi. Wiem, że nie mam prawa cię o nic prosić, ale ty jedna w swojej szlachetności jesteś w stanie wznieść się ponad uprzedzenia i dać im bezpieczny, ciepły dom. Zostawiłam u Klary pełnomocnictwo dla ciebie. Napisałam też list, w którym wszystko wyjaśniłam.

Nie przypuszczałam, że przeżyję. Sądziłam, że zginiemy razem z Dionizym. Przepraszam, że naraziłam cię na to wszystko. Chciałam rozprawić się z nim sam na sam, bez niczyjego udziału. Nie wiedziałam, że ten łotr zechce ponownie nastawać na twoje życie. Błagam, powiedz, że mi wybaczasz – wyszeptała ostatkiem sił. Na jej ustach pojawiła się krwawa piana.

Aurelia pochyliła się nad leżącą w pościeli kobietą. Delikatnie otarła wilgotnym ręcznikiem jej twarz oraz usta.

– Już dobrze, Emilio, nie wysilaj się, nie musisz nic więcej mówić. Nie bój się, nie umrzesz. Doktor Ebers zrobi wszystko, co w jego mocy, by cię ocalić – odparła, umykając wzrokiem w bok.

– Ty nawet nie potrafisz kłamać, Aurelio – stwierdziła Emilia.  
– Mnie już nic nie pomoże, dobrze o tym wiem. Bóg ocalił mnie wyłącznie po to, bym mogła błagać cię o wybaczenie. Jeśli chcesz, abym miała lekkie skonanie, to obiecaj mi, że nie zostawisz moich dzieci na pastwę losu i zatroszczysz się o nie, mimo że byłam dla ciebie podła.

– Przysięgam na wszystkie świętości, że będę dla nich czułą i troskliwą opiekunką – zapewniła Drzewicka.

Zdała sobie sprawę, że w tej chwili jakiegokolwiek pocieszenie Emilii i wmawianie jej, że przeżyje, mija się z celem. Litworowa była świadoma tego, że jej godziny są policzone. Potrzebowała jedynie obietnicy, że dzieciom nic złego się nie stanie.

Niełatwo było o taki akt miłosierdzia w stosunku do kobiety, która przyłożyła rękę do zniszczenia szczęścia małżeńskiego Aurelii.

*Teodozja i Staś nie są mi nic winni – tłumaczyła sobie w duchu Drzewicka. – Dzieci nie wybierają dla siebie rodziców, nie mają wpływu na to, gdzie przychodzą na świat ani gdzie dorastają. Nie mogą więc odpowiadać za cudze postęпки. Nie wolno na nie przenosić własnych uprzedzeń i żalu za doznane krzywdy.*

Tuż po pogrzebie Aurelię zaczepiła Klara i poprosiła o kilka minut rozmowy na osobności. Drzewicka domyślała się, że chodzi o ów dokument oraz list, który zostawiła dla niej Emilia.

– Nigdy bym nie przypuszczała, że moja siostra zechce, abyś to właśnie ty zajmowała się jej dziećmi – oznajmiła Klara, gdy już Aurelia zapoznała się z listem.

Korespondencja nie zawierała niczego nowego, wszystko to samo już wcześniej powiedziała umierająca Emilia. Aurelia nie była więc zaskoczona ani zawartą tam prośbą, ani tym bardziej wyznaniem. Chociaż czyn, który Litworowa popełniła wspólnie z Dionizym, był niewybaczalny, Aurelia nie mogła jej odmówić.

– Ja także byłam zaskoczona życzeniem Emilii. Wiedziałam o tym, ponieważ to były ostatnie słowa, które skierowała do mnie tuż przed śmiercią. To zrozumiałe, że musiałam przychylić się do jej prośby. Mam nadzieję, że akceptujesz taki stan rzeczy i pozwolisz, abym zajęła się twoimi siostrzeńcami.

Klara wyduła usta, jakby chciała zaprotestować. Cała jej postawa oraz wyraz twarzy przeczyły temu, co miała do powiedzenia.

– Skoro taka była jej wola, muszę się z nią pogodzić, choć nie wyobrażam sobie, jak sobie poradzisz. Nie masz swoich dzieci, nie wiesz, jak z nimi postępować.

– Bez przesady, prowadzę szkółkę przy komitecie dobroczynności, zajmowałam się także dziećmi brata.

– Masz na myśli te chłopięta z Powroźnika?

– Owszem. Ale nie musisz się troszczyć o maniery swoich siostrzeńców. Nie ulegną pogorszeniu. Ponadto zapewniam cię, że dołożę starań, aby Teosia i Staś czuli się dobrze w naszym domu.

– Nie jestem przekonana, czy Emilii chodziło o to, by się u ciebie dobrze czuli. Myślę raczej, że wolałaby, abyś zapewniła,

że będziesz ich dobrze wychowywała, nawet jeżeli będzie oznaczało to surowość i dyscyplinę.

Ta rozmowa zdecydowanie nie należała do przyjemnych. Aurelia cały czas odnosiła wrażenie, że Klara nie jest pewna, czy może jej powierzyć dzieci, które od śmierci rodziców i tak przebywały w domu Drzewickich. Na szczęście nie próbowała kwestionować decyzji swojej zmarłej siostry.

I tak oto Aurelia została opiekunką Teodozji oraz Stanisława.

Kiedy Klara wraz z mężem wracała po stypie do domu, nie omieszkała skomentować tego, co zaszło.

– Nie miałam pojęcia, że ta wariatka tak daleko posunie się w działaniu.

– Co masz na myśli? – zapytał mężczyzna.

– Wiedziałam, że jest ciężko chora. Wiedziałam także, że jej największym pragnieniem jest odziedziczenie w przyszłości majątku ciotki Felicyty. Cóż, sama nie dożyła tego momentu. Z chwilą gdy sobie uświadomiła, że nici z jej pragnień, postanowiła zrobić wszystko, aby to dzieciom przypadła w udziale scheda po ciotce. Skoro nie udało jej się wejść do domu Pod Lipami głównym wejściem, wepchnęła Teosię i Stasia bocznymi drzwiami.

– A to dopiero! – wykrzyknął mężczyzna. – Nie zapatrywałem się na to w ten sposób. Kiedy usłyszałem, że to nie my mamy zająć się twoimi siostrzeńcami, byłem mocno zaskoczony. Przyznaję, że z jednej strony poczułem ulgę, ponieważ nie jest łatwo przygarnąć pod swój dach sieroty. Oczywiście zrobiłbym to, gdyby zmusiły mnie okoliczności. Poniekąd więc decyzja Emilii jest mi na rękę. Ale z drugiej strony przez myśl mi nie przeszło, że ona powierzyła je Aurelii, by zapewnić im spadek. Zawsze była szcwaną bestią – skomentował.



– Tak. A Aurelia jest naiwną gąską. W ostatecznym rozrachunku Emilia wygrała batalię o schedę po ciotce. Dopięła swego.

– Niekoniecznie – stwierdził Szymon. – Aurelia wciąż jest jeszcze dość młoda, by ponownie wyjść za mąż.

– Owszem, istnieje taka możliwość. Nie zmienia to jednak faktu, że w tej sytuacji ciotka Felicyna zadba o zabezpieczenie przyszłości siostrzanym wnukom. Zresztą nie wierzę, by Aurelia w swej szlachetności wyrządziła maluchom krzywdę. Jakiegokolwiek by było moje zdanie na jej temat, muszę jej oddać sprawiedliwość: ma dobre serce. Nie każdy byłby równie wielkoduszny, aby przygarnąć do swego domu cudze potomstwo. Zwłaszcza gdyby były to dzieci kogoś, kto przez ostatnich kilka lat uprzykrzał życie. Emilia dawała się we znaki Aurelii. Niby starała się być dla niej miła i zaprzyjaźnić się z nią, ale wiem, że wykorzystywała każdą okazję, by wbić Drzewickiej bolesną szpilkę. Wiem, że o zmarłych powinno się mówić dobrze albo nie mówić absolutnie nic, lecz bądźmy pod tym względem uczciwi: moja siostra miała wrodzony talent do sprawiania przykrości. Czasami się jej bałam – przyznała z niejakim oporem.

Ponieważ sama również nie przepadała za Aurelią, odczuwała delikatną satysfakcję na myśl o tym, że Emilia zagrała „kuzyneczce” na nosie. Nie zamierzała w żaden sposób walczyć z Drzewicką o prawo do sprawowania opieki nad Teodozją i Stasiem. Wiązałoby się to ze sporymi wydatkami. Emilia nie robiła przed Klarą tajemnicy z tego, że wraz z Dionizym praktycznie stoją na krawędzi bankructwa. Ich dom był ruderą wymagającą znacznych nakładów finansowych na remont, a może wręcz kwalifikującą się do rozbiórki. Małżonkowie nie dysponowali żadną gotówką. W rzeczy samej swoim dzieciom nie zostawili nic ponad niewielką parcelę, na której przed laty

rodzice Klary i Emilii wybudowali swój dom. Niech więc to Aurelia martwi się o wykształcenie Stanisława oraz wyprawienie w świat Teodozji. Aurelię stać było zarówno na ufundowanie posagu dla małej, jak i na pokrycie kosztów studiów chłopca.

Z chwilą gdy Emilia wyzionęła ducha, Aurelia pojęła, że musi spełnić obietnice złożone kobiecie na łożu śmierci. W tamtym momencie padł na nią blady strach, że nie podoła zadaniu, jakie wyznaczyło jej życie.

– Mateczko! – Płakała w podolek Felicyty. – Jak ja sobie poradzę? Muszę się nimi zaopiekować, bo obiecałam to umierającej Emilii, ale nie wiem, czy nie zawiodę. Nie mam własnych dzieci, a te nie dość, że są cudze, to jeszcze obarczone dramatycznym wspomnieniem.

– Więcej wiary we własne możliwości, córeczko – odparła łagodnie matka, głaszcząc ją po dłoni. – Emilia na pewno była głęboko przekonana, że dobrze się nimi zaopiekujesz. W przeciwnym razie powierzyłaby je siostrze. Pragnęła jednak, aby trafiły do ciebie. Doceń jej ogromne zaufanie.

– Ale przecież ja dorastałam w chłopskiej chałupie! Na każdym kroku uwydatniają się rażące braki w moim wychowaniu, które Emilia wciąż mi wytykała. Jakim więc będę przykładem dla dzieci kogoś, komu nie brakowało ogłady?

– Nie martw się. Póki starczy mi sił, będę ci służyła pomocą. Zależy mi na tym, by dzieci Emilii miały zabezpieczoną jak najlepszą przyszłość. Moja chrześnica przygotowała dobre podwaliny. Po prostu będziemy kontynuowały wspólnym wysiłkiem to, co ona zapoczątkowała.

\* \* \*

Aurelia nienawidziła sekretów i kłamstw. Dotrzymała jednak słowa złożonego Ksaweremu oraz Emilii. Nigdy nie wspomniała Felicynie o tym, co naprawdę wydarzyło się w tartaku. Milczała także w sprawie śmierci swego męża, choć zadawało jej to ogromny ból. Szokujące wyznanie Litworowej sprawiło, że na nowo przeżyła utratę Jana oraz żałobę. Nie przenosiła jednak swojego żalu na dzieci. Dokładała starań, by być dla nich jak najlepszą opiekunką i aby w ich pamięci Emilia utrwaliła się jako matka kochająca i troskliwa.

Ze swoich rozterek nie zwierzyła się nawet Matyldzie, nad czym bardzo ubolewała. Pragnęła zrzucić z ramion to brzemię, by choć odrobinę ukoić rozbudzoną na nowo rozpacz.

– Ciociu, już się pomodliliśmy.

Z zadumy wyrwał ją głos Teodozji.

– Pójdziemy na lemoniadę? – zapytał Staś, wbijając w nią spojrzenie pełne nadziei.

– Oczywiście – odparła bez chwili zawahania.

– I na dobre ciastko. – Chłopiec kuł żelazo, póki było gorące.

– Może być i ciastko – zgodziła się ciotka.

– Jesteś najlepsza na świecie! – wykrzyknęła dziewczynka. – Bardzo cię kocham – dodała z powagą.

Aurelia przełknęła grudę, która pojawiła się w jej gardle. Słowa podopiecznej mocno ją wzruszyły. Oznaczały bowiem, że poradziła sobie z najtrudniejszym wyzwaniem, jakie rzucił jej los. Udało jej się nie obciążać relacji z podopiecznymi własnymi bólami.

– Ja też was kocham – odparła, pochylając się, by przytulić Stasia i Teosię.

Nie zaboląło. Nie poczuła w sercu tego nieprzyjemnego ukłucia, które zwykle towarzyszyło wizytom na cmentarzu.

Eudokia z wysiłkiem kręciła korbą studni. Ciężkie wiadro, wypełnione po brzegi wodą, rozbijało się i obijało o cembrowinę. Który to już raz tego dnia?

Niektóre służące liczyły kubły wyciągane ze studni i zanoszone do pensjonatów. Ona nie znała się na rachunkach, po prostu wypełniała swoje obowiązki, a każdy kurs oznaczała kreską na specjalnej tabliczce. Pod koniec dnia ochmistrzyni zliczała wszystkie kreski i mówiła, ile dostarczyła kubłów, a potem wypłacała należność. Dziewczyny gadały pomiędzy sobą, że często się myli i że lepiej jest liczyć samej.

Tylko kto miał do tego głowę?

Jak się tak człowiek naschyłał, nawyciągał i nadźwigał tych ciężarów, to nawet nie myślał o tym, ile ich było. Barki paliły żywym ogniem, naciągnięte do granic możliwości ręce bolały, wiadro obijało się o łydki. Bardziej krzepkie dziewczki nosiły dwa kubły na raz – po jednym na rękę. Mogły więc zarobić dwa razy tyle pieniędzy.

Eudokia, odkąd urodziła dziecko, nie miała tyle siły co niegdyś. Na dodatek do pracy musiała zabierać ze sobą synka, ponieważ nie miała komu powierzyć nad nim opieki. Mały chodził więc z matką do pensjonatów. Zwykle zostawiała go pod pobliskim mostkiem, by tam czekał, aż skończy pracę, lecz kiedy podrósł, zaczął stamtąd umykać. Wolał bawić się na podwórku. Czasami jednak uporczywie trzymał się jej spódnicy i postępował za nią krok w krok.

Chłopczyk był bardzo delikatny i wrażliwy. Eudokia za nic miała fakt, że pop na chrzcie dał małemu imię patrona z dnia jego urodzin. Dla niej zawsze był Nikiforem, ponieważ ona wybrała mu właśnie takie imię i nigdy nie zwracała się do niego inaczej. Ludzie mówili o nim, że jest przygłupi, ale Eudokia dobrze wiedziała, że wcale tak nie jest. Ona głęboko wierzyła,

że syn wyrośnie na prawdziwego artystę, tak jak jego ojciec „ma-lar-sa”.

Podobnie jak ona, malec zmagał się z wadą wymowy. Matka rozumiała się z nim doskonale. Bełkotali do siebie po swojemu – tyle, na ile pozwalały im języki przyrośnięte do podniebień. Inni nie musieli w ogóle ich rozumieć.

Pewnego dnia mały Nikifor pójdzie do szkoły, a tam nauczą go wszystkiego, co trzeba. Być może nawet zacznie lepiej mówić. Tak, by inni wiedzieli, co ma do powiedzenia. Eudokia nie wiedziała, jak tego dokonać, ale dobrze wykształceni nauczyciele na pewno sobie poradzą i nauczą go liter oraz rachunków.

Kobieta jęknęła, gdy kubeł kolejny raz obił się o jej łydkę. Całe nogi miała posiniaczone. Niby powinna była do tego dawno temu przywyknąć, a jednak bolało. Starła się jak najostrożniej stawiać stopy na wygładzonych tysiącami kroków stopniach. Jeden nieuważny ruch mógł pociągnąć za sobą ogromne szkody. Zdarzyło jej się już parokrotnie, że się pośliznęła czy potknęła. Nie dość, że boleśnie się wtedy potłukła, to jeszcze narobiła bałaganu. Gospodynie zawsze się o to gniewały i kazały sprzątać zalane klatki schodowe. Za karę wypłacały mniejsze dniówki. A mniejsza dniówka oznaczała głód. W takie dni Eudokia wolała odjąć od ust sobie, byle tylko nakarmić Nikiforka. Bo synek był całym jej światem.

– A ruszajże się szybciej, niezguło! – wykrzyknęła gospodyni pensjonatu, widząc, jak powoli posługaczka wspina się po schodach.

Wystraszona jej krzykiem Rusnaczka drgnęła nerwowo. Woda chlapnęła na boki.

– Uważaj, cholero! Zaś cała podłoga i schody będą zalane!

Słyszając te krzyki, Nikifor uderzył w płacz. Dopiero wtedy dostrzegła go ochmistrzyni; przez cały dzień skutecznie się

przed nią ukrywał.

– Skaranie boskie z wami! – wrzasnęła. – Kto to widział, by do roboty zabierać ze sobą bachora?

Eudokia usiłowała jej po swojemu wytłumaczyć, że nie ma go z kim zostawić. Słowa, które padały z jej ust, były niewyraźne. Zniecierpliwiona gospodyni machnęła ręką.

– A co mnie tutaj mamrociesz?! – wykrzyknęła. – Do roboty! Jazda!

Ciężkie było życie samotnej i kalekiej kobiety.

Eudokia nieraz użalała się nad swym losem. Brakowało jej matuli, w której objęciach mogłaby znaleźć ukojenie, gdy było jej źle. Miała tylko dziecko. Gdyby nie Nikifor, może już dawno skoczyłaby z jakiej skały, by zakończyć nędzny żywot. Nie mogła jednak osierocić tego biedactwa. Kto zająłby się jej synkiem, gdyby jej zabrakło? Na nikogo nie mogła liczyć, nawet na Pawła Hryniaka, u którego pomieszkiwała kątem. Co innego trzymać u siebie babę, która pomoże w obejściu, a co innego samego dzieciaka, który wciąż wymaga opieki.

Czasami Eudokia wzdychała z tęsknoty za malarzem, który ją zbałamucił. Tak pięknie do niej przemawiał! Obiecywał niebo i gwiazdy. Oddała mu serce i ciało. Potem on pozostawił po sobie dziecko oraz garstkę wspomnień i zniknął, jakby rozplynął się w porannej mgle. A ona została z pokaleczoną duszą i nową troską.

Musiała więc nadal najmować się w pensjonatach do ciężkiej roboty. Trzy Róże omijała szerokim łukiem, chociaż od dawna nie należały do rodziny Seifertów. Od lat właścicielem był Józef Znamirowski\*\*, powstaniec styczniowy, który zaskarbił sobie tak wielką miłość okolicznej ludności, że mianowano go dożywotnim burmistrzem Krynicy. W domach prywatnych nie dawano jej zajęcia, ponieważ tam każdy miał własną, stałą służbę. Dopraszała się o pracę w wielu miejscach.

Ktoś jej poradził, by zajrzała do słynących z dobrych serc Drzewickich, lecz tam również nie chciała się pokazywać. Żywiła urazę do Aurelii, podejrzewając, że to ona stoi za tym, że wydano ją za męża za pijusa i łachmytę, który krótko po ślubie uczynił tę przysługę i ulotnił się z jej życia niczym kamfora. Nie chciała tego rodzaju aktów miłosierdzia! Zawsze sama się o siebie troszczyła, mąż nie był jej do niczego potrzebny. Zimową porą pomagała w obejściu Pawłowi, który trzymał ją na łaskawym chlebie. Gdy zaczynał się sezon kuracyjny, wędrowała każdego dnia do uzdrowiska, by nosić wodę i spełniać inne niewdzięczne posługi.

Dla dziecka gotowa była harować niczym wół. Byle było za co nakarmić i odziać tę chudzinę.

Ech... Wspomnienia, wspomnienia...

# NIESNASKI

§

## Kraków

Przed obiadem Matylda postanowiła pójść z wizytą do Zuzanny. Czuła się świetnie, a lekarz wręcz zachęcał ją do tego, by jak najwięcej spacerowała. Przechadzki sprawiały ciężarnej kobiecie przyjemność. Kiedyś nie lubiła chodzić piechotą. Gdy wybierała się poza obręb Rynku Głównego, przeważnie brała dorożkę. Teraz znajdowała upodobanie w wędrowaniu przed siebie bez pośpiechu. Cięża nie była jeszcze na tyle zaawansowana, by stanowiła jakąkolwiek uciążliwość, choć Zuzia gorszyła się, mówiąc, że w takim stanie Adamczykowa raczej nie powinna wychodzić pomiędzy ludzi. I nie chodziło bynajmniej o komplikacje zdrowotne, lecz o sam fakt kłucia otoczenia w oczy. Bo ona każdą swoją ciężę spędzała w domowym zaciszu. Matylda była jednak zbyt żywiołowa na to, by pozwolić się zamknąć w czterech ścianach mieszkania.

Zakładała, że o tej porze zastanie Strzelecką samą w domu. Cała szóstka jej chłopców uczęszczała do szkół: młodszy do gimnazjum, a starsi na uniwersytet. Adamczykowa dobrze знаła przyzwyczajenia szwagierki, by wiedzieć, że ta nigdzie nie wychodzi w godzinach przedpołudniowych. Jeśli Zuzia miała zamiar zrobić jakieś sprawunki, czyniła to zwykle w poniedziałek po śniadaniu, ewentualnie w środowe popołudnie, gdy chłopcy kończyli zajęcia lekcyjne, a jakieś rzeczy należało sprawić właśnie dla nich.



Strzelecka miała szereg przyzwyczajęń, których nie zwykła zmieniać. Żyła do bólu monotonnie, schematycznie, rutynowo. Wizyty także przyjmowała w określone dni, lecz Matylda za nic miała jej nawyki. A odkąd dowiedziała się, że oczekuje czwartego dziecka, w ogóle nie przejmowała się zwyczajami Zuzi i zachodziła do niej w godzinach porannych. O dziwo, Zuzanna nie kręciła na to nosem, ponieważ zdecydowanie wolała, by bratowa, skoro odczuwała taką potrzebę, odwiedzała ją poza oficjalnymi godzinami wizyt. Dzięki temu nikt ze znajomych nie będzie komentował odmiennego stanu Adamczykowej.

– Och, Zuziu! – wykpiła ją pewnego dnia Matylda. – Myślisz, że ludzie nie wiedzą, skąd biorą się dzieci?

– To oczywiste, że wiedzą, ale w naszych sferach po prostu nie wypada epatować pewnymi sprawami. Prowadzę elegancki dom. Bardzo mi zależy na nieposzlakowanej opinii, zarówno mojej, jak i najbliższych mi osób. Nie chcę, by synowie dorastali w atmosferze jakiegokolwiek skandalu. Do dziś pamiętam gorycz, którą zafundowała nam Eleonora – skwitowała cierpkim tonem.

– Nigdy jej nie wybacysz? – zapytała ze smutkiem Matylda.

– Moja droga! Pomiędzy wybaczeniem a zapomnieniem jest przepaść. Wybaczyłam, owszem, ponieważ byłoby nieszlachetnie, gdybym nosiła w sercu urazę. To nie po chrześcijańsku. Ale pamięci nie da się ot tak wymazać. Trudno zapomnieć o wstydzie, jakiego zaznała wówczas moja rodzina. Biedna Kazia na pewno do tej pory przewraca się w grobie. – Dla zobrazowania swych słów ona z kolei wymownie przewróciła oczami.

Matylda nie próbowała dyskutować z tym argumentem. Kazia stanowiła najlepsze usprawiedliwienie chłodu w relacjach pomiędzy Zuzanną a Aurelią. Nie było możliwości, by wpłynąć

na Zuzię. Wciąż zachowywała dystans. Z Aurelią korespondowała jedynie grzecznościowo, kilka razy w roku. Nie odwiedzała jej w Krynicy. A ilekroć Aurelia gościła w Krakowie, oczywiście w mieszkaniu Adamczyków, Strzelecka wpadała tam jedynie z kurtuazyjną wizytą. Nawet nie udawała, że próbuje zbudować jakiś most porozumienia, by lepiej poznać i polubić krewną.

Być może trochę wstydziła się tego, gdzie dorastała Aurelia. Niczym bystrooki sokół śledziła wszystkie poczynania siostrzenicy. Wyłapywała każde potknięcie. To oczywiste, że Drzewickiej zdarzało się popełniać jakieś niewielkie gafy, choć usilnie się pilnowała. Ale każde niefrasobliwie wypowiedziane słowo, mocniejsze brzdęknięcie porcelany czy swobodniejsza poza wywoływały komentarze Strzeleckiej. Najwyraźniej Zuzia nie zamierzała zapomnieć siostrzenicy tego, że dorastała w chłopskiej chałupie. I nie pomagały tłumaczenia, że przez to Aurelia miała znacznie trudniejszy start w towarzystwie. Wszak tam nie miał kto zadbać o jej należyte maniery i dobre wychowanie. I że jej ogląda jest w dużej mierze zasługą Drzewickich. A także, że Aurelia bardzo się stara, by sprostać oczekiwaniom otoczenia.

W Krynicy z całą pewnością Drzewickiej było znacznie łatwiej. Tam wszyscy wiedzieli, kim jest i skąd pochodzi. Spoglądano na nią przez palce, cieszyła się sympatią i szacunkiem ziomków. Jako przybrana córka ludzi powszechnie szanowanych i zamożnych była ceniona w towarzystwie. Miała nawet kilku starających się o jej rękę.

Ilekroć Matylda przebywała w Krynicy, zauważała różnicę w zachowaniu przyjaciółki. W rodzinnych stronach Aurelia była znacznie swobodniejsza. W Krakowie sprawiała wrażenie spiętej i czujnej niczym dzika zwierzyna gotowa w każdej chwili do ucieczki.

Matylda mimo wszystko się nie zrażała i za punkt honoru przyjęła, że pewnego dnia doprowadzi do tego, by Aurelia i Zuzia stały się sobie bliskie. Ich rodzina nie była na tyle liczna, aby mogli żyć w waśniach, powinni więc trzymać się razem.

Adamczykowa wędrowała niespiesznie w towarzystwie starszej córeczki, okrążając Sukiennice i nadkładając tym samym drogi. O tym, jak nędznie prezentował się budynek stojący pośrodku Rynku Głównego jeszcze ćwierć wieku temu, wiedziała przede wszystkim z opowieści Seweryna, choć jak przez mgłę pamiętała obskurne budy przylegające do budowli, straszące wyglądem i zniechęcające do wchodzenia. Po przebudowie według projektu Tomasza Prylińskiego\*\*\* obiekt zyskał urodę.

Za zasługą doktora Dietla w ostatnich dekadach XIX wieku wizerunek Krakowa uległ znaczącej poprawie. Szanowany doktor, który pełnił przez kilka lat funkcję prezydenta miasta, zapoczątkował proces przemian mających na celu unowocześnienie niegdysiejszej stolicy Polski i przywrócenie jej dawnej świetności. Niesamowicie dla Matyldy było to, jak mocno jeden człowiek wpłynął na losy jej dwóch ukochanych miejsc: rodzinnego Krakowa oraz Krynicy, która zajmowała znaczące miejsce w jej sercu. Kraków był jej domem – małą ojczyzną, i nie wyobrażała sobie, by mogła zamieszkać gdzie indziej. Ale Krynica także darzyła wielkim sentymentem, uwielbiała spędzać tam porę letnich upałów. Od kilku lat wakacje w uzdrowisku były pewnikiem. Odnajdowała w tym równowagę i nie uważała corocznych podróży w tym samym kierunku za nudną rutynę.

Tego dnia celem przechadzki Matyldy oraz Konstancji była ulica Zamkowa, gdzie w uroczej kamienicy mieszkali Strzeleccy.

Dziewczynka była grzeczna, więc można było z całą pewnością przypuszczać, że nie sprawi kłopotu. Ciocia Zuzanna

budziła w niej ogromny respekt, aby nie powiedzieć, że strach. Matylda wychodziła jednak z założenia, że małą należy pomału oswajać z towarzystwem dorosłych. Nie była zwolenniczką nieustannego trzymania potomków w pokoju dzieciennym. I to oczywiście stało się kolejną kością niezgody pomiędzy nią a szwagierką, która uważała, że miejsce dzieci jest pod opieką bony.

*Cóż, widać taka moja natura, że na każdym kroku muszę jej coś udowodniać* – rozmyślała kobieta, delikatnie ściskając rączkę córeczki. Mała uwielbiała przechadzki przez rynek. Zawsze przy tej okazji udawało jej się uprosić matkę o kupno łakoci. Obydwie z upodobaniem oglądały witryny sklepów. Czasami zachodziły do Sukiennic, by przejrzeć oferowane tam towary. Zwykle, gdy towarzyszyła im służąca, nabywały jakieś drobiazgi. Dziewczynka zdążyła się już nauczyć, że kiedy idą samotnie, nie należy mamy prosić o żadne zakupy, ponieważ mama skupiona jest na tym, aby jej pilnować, a od noszenia sprawunków jest Hania.

\$

– Matyldo! – wykrzyknęła Zuzanna na widok Adamczykowej. – Że też ci się chce spacerować w twoim stanie. Powinnaś się oszczędzać i zbierać siły na nieuniknione – utyskiwała dość powściągliwie, zapraszając jednocześnie gości do salonu.

– Przy tak pięknej pogodzie żal pozostawać w mieszkaniu – zauważyła Matylda. – W rzeczy samej marzę już tylko o tym, by wyjechać do Krynicy i odetchnąć od miejskiego gwaru oraz rynsztokowych woni.

– Och! Bez przesady, wcale tu tak nie cuchnie – zauważyła Zuzanna. – A co do kurortów, to zdecydowanie wolę Duszniki. Właściwie marzę o prawdziwych wakacjach, najlepiej gdzieś na południu, może we Włoszech. Jest na to spora szansa nawet tego lata. Jestem już znudzona naszą prowincją.

– Naprawdę wierzysz, że Tytus porzuci kancelarię na tak długo, by wyprawić się z tobą do Włoch? – zapytała Matylda.

– Ależ oczywiście! Mają to już uzgodnione z Sewerynem. Mój brat obiecał, że w tym roku zwolni Tytusa z obowiązków na dłużej niż zazwyczaj. Biedaczysko jest tak bardzo przemęczony, że naprawdę potrzebuje wyjazdu. Zresztą ja również. Jak się ma sześciu dorastających synów, to nie ma nawet chwili wytchnienia – powiedziała tonem tak dramatycznym, jakby wychowanie potomków stanowiło ogromną uciążliwość.

Matylda tylko westchnęła. W głębi duszy uważała, że szwagierka widzi wyłącznie czubek własnego nosa. Dostrzega jedynie potrzeby swoje oraz męża. Nie myśli o tym, że jej brat jest równie zmęczony. Obydwaj mężczyźni mieli za sobą rok naprawdę wytężonej pracy. Według Adamczykowej wypoczynek należał im się po równo. Tymczasem z wypowiedzi Zuzi wynikało, że to Tytus będzie cieszył się zagranicznymi wojażami, a Seweryn pozostanie na miejscu.

*Ach! Zapewne dlatego ostatnio chodził taki zadumany – pomyślała. – Widocznie bał się powiedzieć, że tak naprawdę z naszych wspólnych wakacji nic nie wyjdzie, ponieważ w tej sytuacji pewnie nawet Krynica stoi pod znakiem zapytania.*

Nie chciała wypowiadać swojej myśli na głos, by nie urazić szwagierki. Uważała jednak, że to jest krzywdzące i niesprawiedliwe. Zamierzała najpierw omówić ten temat z mężem, by się upewnić, czy rzeczywiście mężczyźni uzgodnili coś takiego pomiędzy sobą. A dopiero gdy Seweryn to potwierdzi, spróbuje skłonić Strzeleckich do zmiany planów w taki sposób, by czas wypoczynku podzielony został sprawiedliwie. Na razie postanowiła całkowicie zmienić temat rozmowy.

– A wiesz? – zagadnęła. – W poniedziałek będą u nas gościli państwo Rydlowie. Bardzo się cieszę na ich wizytę.

– Phi! – prychnęła pani domu. – Nie pojmuję twojego upodobania do bratania się z plebsem.

– Och, Zuziu! Przecież to żaden plebs! – oburzyła się Matylda.  
– Lucjan pochodzi z szanowanej rodziny z tradycjami. Jego ojciec...

– Tak, dobrze o tym wiem: wykładał na Uniwersytecie Jagiellońskim. Aż dziw bierze, że syn, zamiast pójść w jego ślady i zrobić ładną karierę zawodową, postanowił parnąć się działalnością artystyczną. Wszak młokos, za namową ojca, skończył prawo. – Powiedziała to takim tonem, jakby Lucjan był od niej młodszy co najmniej o dekadę, a nie zaledwie o rok. – Gdyby zechciał pójść dalej w tym kierunku, Seweryn i Tytus na pewno daliby mu posadę w kancelarii, choćby przez wzgląd na pana Rydla seniora.

– W takim razie na pewno słyszałaś, że Lucjan został nakłoniony do studiowania tego kierunku przez swego tatę. Z własnej inicjatywy nigdy by tego nie zrobił. To artysta, człowiek uduchowiony. Paragrafy są dla niego zbyt przyziemne.

– Aha! Przyziemnością, a może raczej pociągami do ziemi się wykazał, biorąc ślub z chłopką. Wiele stracił w moich oczach tym krokiem.

– A ja uważam, że jego postępowanie jest godne podziwu. Zakochał się w dziewczynie z ludu, lecz nie próbował jej zbałamucić, jak zrobiłby niejeden dobrze urodzony dżentelmen, ale uczciwie powiódł ją przed ołtarz.

– Gdyby każdy mężczyzna poczynął sobie w ten sposób, nasze społeczeństwo błyskawicznie straciłoby arystokratyczne rody.

– Pff! A cóż nam z obłudnych arystokratów? Ja cenię Lucjana za uczciwość. Zresztą czyż jego działanie nie przypomina ci innej historii? – mówiła zapalczywie. Nie czekając na odpowiedź szwagierki, kontynuowała: – Kiedy byliśmy w dworku Tetmajera na weselu Lucjana z Jadwinią, ucięłam sobie

pogawędkę ze Stachem Wyspiańskim. Staś wyznał mi wówczas, że bez większej chęci przyszedł na uroczystość. Stał ze znudzoną miną w drzwiach, obserwując ludzi. Być może był dość sceptycznie nastawiony do tego wydarzenia. Opowiedziałam mu więc, że ślub Rydla nie jest odosobnionym przypadkiem, bo podobne małżeństwo zostało zawarte przez moją przyjaciółkę, wychowankę chłopów. To chyba zrobiło na nim odpowiednie wrażenie – zachichotała – choć w sztuce, którą napisał *post factum*, nie wspomina ani słowem o Aurelii, skupił się wyłącznie na Rydlach. Uwierzył jednak, że takie związki mają rację bytu i mogą być ze wszech miar szczęśliwe.

– Jeszcze tego brakowało, aby o naszej krewnej układano dramaty! – zachnęła się Zuzia, dźgając zaciekle igłą w kanwę. Haft wybitnie jej nie wychodził, gdy była czymś poirytowana. Uwadze Matyldy nie umknęło, że wyszywana gałązka rozmija się ze wzorem wyrysowanym na płócienu. Zwykle prace szwagierki były precyzyjne.

– Ale Stanisław napisał na podstawie swych obserwacji arcyciekawą sztukę – bąknęła Adamczykowa. – Jest w niej zawarta cała prawda o naszym społeczeństwie.

– Co też wygadujesz? – Zuzanna wybitnie była w nastroju krytykanckim, jakby coś ją korciło, by na każdym kroku wyrażać poglądy odmienne od głoszonych przez bratową. – Jaka prawda? Ktoś gotów byłby pomyśleć, że w naszym kraju na porządku dziennym są małżeństwa przedstawicieli elit towarzyskich z plebsem. Zresztą nie możesz porównywać ślubu Rydlów z mariażem Aurelii. Aurelia sroce spod ogona nie wypadła! Nie pochodzi z prostego ludu, nawet jeśli dorastała wśród chamów. Dobre urodzenie ma się we krwi, nie zepsuje tego nic, nawet otoczenie.

– Być może – bąknęła Matylda, choć nie do końca była przekonana o racji szwagierki. Postanowiła więc wrócić do

tematu wakacyjnego wypoczynku, musiała wybadać, na ile sprawa jest pewna, nim zacznie wiercić o to dziurę w brzuchu Sewerynowi. – A ten wyjazd do Włoch to już macie całkowicie postanowiony?

– Jeszcze nie jest dopięty na ostatni guzik. Wiele zależy od tego, jak rozstrzygnie się sprawa, nad którą ostatnio pracują nasi mężowie. Jeśli wygrają, z całą pewnością wyjedziemy do Włoch.

– Ach! Taka szkoda... Liczyłam na to, że pojedziesz razem ze mną do Krynicy. W moim stanie dalekie podróże nie wchodzi w rachubę.

– Dziwię się, że w ogóle myślisz o wyjeździe dokądkolwiek – zauważyła Zuzia. – W twoim stanie bezpieczniej byłoby pozostać w domu. Nie odważyłabym się ryzykować jazdy pociągiem, a następnie fiakrem, będąc przy nadziei.

– Czuję się świetnie, a doktor Cercha wręcz zachęcał mnie do wyjazdu. Oczywiście mój stan rządzi się swoimi prawami, właśnie dlatego pragnęłam, abyś mi towarzyszyła. Czuję się rażniej, mając cię u swojego boku. Przecież w Krynicy można spędzić czas bardzo przyjemnie. Zwykle wypoczywa tam mnóstwo sławnych osób: pisarze, malarze, muzycy, aktorzy... – wyliczyła jednym tchem. – Doskonale wiesz, że tam nie można narzekać na brak atrakcji.

– Tak, tak. Wiem o tym dobrze. Mnie jednak wystarczy, że spędziłam w Krynicy dwa sezony. Zresztą, o ile się nie mylę, ma cię odwiedzić Seweryn, a na miejscu zaopiekuje się tobą ee... Aurelia – zająknęła się nieco.

Z góry było wiadomo, że Matylda zatrzyma się u Drzewickich. Nocleg w jakimkolwiek innym miejscu od dawna nie był brany pod uwagę. Siostrzenica nigdy w życiu by na to nie pozwoliła. I to był właśnie jeden z powodów, dla których Zuzanna nie zamierzała podróżować do Krynicy. W ich sytuacji wprost nie



wypadało, by zatrzymywała się w hotelu. A gościć pod dachem Aurelii nie chciała, ponieważ sprawiłoby jej to przykrość. Choć ze wszystkich sił starała się tego nie okazywać, na dnie serca wciąż chowała głęboką urazę, mimo że nie powinna winić siostrzenicy za błędy popełnione przez Eleonorę.

Matylda od razu wyłapała drżenie głosu Zuzanny. Spojrzała uważnie na szwagierkę. Z jej oczu wyczytała o wiele więcej, niż mogłaby sobie tego życzyć. Nagle ogarnęła ją złość.

– Wiesz co? Nie spodziewałabym się tego po tobie! – wykrzyknęła wzburzona.

– Ale o co ci chodzi? – Zuzanna z niewinnym wyrazem twarzy udawała, że nie rozumie źródła jej gniewu.

– Jesteś małostkowa i bezduszna! Nie uważasz, że najwyższa pora, abyś w końcu puściła w niepamięć zadawnione urazy? Aurelia nie jest ci nic winna!

– No właśnie – podchwyciła Zuzia. – Nie jest mi nic winna ani tym bardziej ja nic nie jestem winna jej. Nie muszę się silić na sztuczną uprzejmość. Akceptuję myśl, że jest członkiem naszej rodziny, ale zdecydowanie odpowiada mi taki stan rzeczy, jaki jest teraz, i nieafiszowanie się z pokrewieństwem.

– Jesteś małostkowa! – powtórzyła z uporem Matylda.

– A przez ciebie przemawia niepotrzebne wzburzenie – odparła Strzelecka. – Czyżbyś źle znosiła swoją brzemiennność? Może jednak powinnaś, jak przystało na szanującą się damę, spędzać więcej czasu w domowym zaciszu, zamiast przechadzać się po mieście i obnosić z brzuchem. – Nie omieszkała wykorzystać sytuacji do wyrażenia własnej opinii na temat niezwiązany z Aurelią, choć w rzeczy samej ciąża Adamczykowej w ogóle nie była widoczna, mimo że bratowa wkładała już pod suknię specjalny gorset, a jej stroje stały się nieco obszerniejsze. – Moja droga! Nie zapominaj, że dobre imię

rodziny zawsze było dla mnie priorytetem. Nie pozwolę, by ktokolwiek je szkalował z jakiegokolwiek powodu.

– A ja nie widzę tu żadnych powodów do tego, by ludzie ostrzyli języki na naszej rodzinie. Cóż, wydaje mi się, że cię nie przekonam. Uprzedziłaś się do Aurelii. Od samego początku byłaś nastawiona do niej sceptycznie. Wolałabyś, aby jej nie było.

– Zamilcz, nim powiesz o parę słów za dużo! Nie chcesz chyba się ze mną powaśnić?

– Nie. Ale zdecydowanie lepiej będzie, jeśli wrócę do domu – odparła Matylda.

Gniew na Zuzannę wrzał w Adamczykowej jeszcze dość długo. W mieszkaniu nie mogła sobie znaleźć miejsca, snuła się z kąta w kąt. Żałowała, że Seweryn nie przyjedzie na obiad, ponieważ mogłaby mu się zwierzyć ze swojej troski. Napięte relacje rodzinne bardzo ją martwiły. Seweryna zresztą także. Mąż wielokrotnie poruszał ten temat z siostrą, lecz zawsze z tym samym skutkiem. Na Strzelecką nie działały żadne argumenty, nawet ten, że Aurelia nie wnosi roszczeń do ich majątku. Przez jakiś czas bowiem Adamcykowie byli przekonani, że właśnie to jest głównym powodem niechęci Zuzi do Aurelii.

*Czemu naprawdę ona jej tak strasznie nie lubi?* – usiłowała dociec Matylda. Domyślała się bowiem, że uczucia szwagierki dla przyjaciółki są wyjątkowo negatywne, skoro powściągliwa z natury Strzelecka ledwo zdołała tuszować swoją niechęć.

Znużona kobieta przycupnęła na fotelu. Machinalnie pogłaskała się po brzuchu. Było jej przykro, że dziecko przyjdzie na świat w rodzinie, gdzie tak trudno jest o szczerą i porozumienie. Nie mogła sobie pozwolić na zadzieranie z Zuzanną z uwagi na interesy łączące Seweryna oraz Tytusa. Konflikt nie był potrzebny nikomu.

Matylda próbowała sobie przypomnieć, jakie relacje panowały pomiędzy Aurelią a Zuzanną, zanim wyszła na jaw historia przyjścia na świat przyjaciółki. Odnosiła wrażenie, że wtedy kobiety były dla siebie znacznie serdeczniejsze. A przynajmniej Zuzanna zachowywała się zupełnie inaczej, ponieważ Aurelia zawsze była jednakowo uprzejma i życzliwa dla wszystkich. A zatem to odkrycie sekretu z przeszłości negatywnie wpłynęło na zachowanie szwagierki.

## Krynica

Aurelia miała szczere chęci, by jak najlepiej wychowywać dzieci Litworów. Nie chciała ich rozpieszczać, ale w jej pamięci wciąż tkwiła myśl o tym, że są sierotami. Los skrzywdził je już wystarczająco, więc należało jakoś wynagrodzić im stratę. Najłatwiej było to osiągnąć pieśczoćmi i czułością. Gdy byli młodszy, wyraźnie do niej lgnęli. Lubili siadać u niej na kolanach, wtulać się w nią, słuchać opowiadanych historyjek. To pozwalało budować głęboką więź pomiędzy nimi. Ale z biegiem czasu Drzewicka z bólem serca zaczęła zauważać, że przywiązanie ulega pewnemu rozluźnieniu. Kiedy dzieci podrosły na tyle, by mogły samotnie opuszczać dom, zwróciła uwagę na to, że nieco się od niej oddalają. Były jednak bardzo zżyte ze sobą. Jedno za drugim zapewne wskoczyłoby w ogień, gdyby zaszła potrzeba. To przypominało trochę zażyłość, która była pomiędzy nią a Witalisem.

*Oni po prostu zaczynają dorastać* – stwierdziła pewnego dnia, uświadomiwszy sobie, że już od dawna Teosia nie siedziała u niej na kolanach. Z dziewczynki robiła się panienska. Staś natomiast nad słuchanie bajek przedkładał psoty. Domownicy podchodzili do tego ze zrozumieniem. To oczywiste, że chłopcy w pewnym wieku stają się niesforni. Jemu wybaczano znacznie

więcej niż rówieśnikom. No bo jakże karcić chłopca, który momentalnie zaczyna pociągać nosem i z żalem wspominać mateczkę, której mu brakuje? Jak ukarać kogoś, kto z taką tęsknotą wypowiada się o nieżyjącym ojcu?

Klara dość często zaglądała do domu Pod Lipami. Na bieżąco interesowała się rozwojem dzieci. Porównywała ich postępy w nauce do postępów swoich córek, gdy były w wieku młodych Litworów. Boguszowa była szczęśliwą matką trzech panienek, które wchodziły w okres dojrzewania. A zatem czuła się upoważniona do tego, by dawać Aurelii życzliwe rady dotyczące się wychowywania dzieci. Oczywiście nigdy nie robiła tego przy siostrzeńcach.

Twierdziła, że od czasu do czasu Stasiowi przydałoby się lanie różgą.

– Aurelio, nie możesz być tak pobłażliwa – powiedziała pewnego dnia tuż po tym, jak chłopiec podczas podwieczorku wylał na stół całą porcję kompotu.

Niby był to wypadek, lecz ona zinterpretowała go po swojemu. I kiedy tylko dzieci zostały odprawione, nie omieszkała tego wydarzenia wykorzystać do własnych celów. Wcześniej jednak prosiła kuzynkę o rozmowę w cztery oczy. Nie chciała bowiem, by Felicjta stanęła po stronie swej pupilki. Kobiety wyszły do ogrodu i usiadły na ławce.

– Ależ nic się nie stało – stwierdziła Aurelia. – To był zwyczajny wypadek. Każdemu może się zdarzyć.

– Nie, moja droga, to nie powinno się każdemu przydarzać. Właśnie tym odróżniają się dzieci wychowywane w dobrych domach od chłopiątek spod strzechy, że potrafią się odnaleźć w każdej sytuacji. A przy stole wykazują nienaganne maniery. Od dzieci należy bardzo dużo wymagać, w przeciwnym razie nigdy nie wpoją sobie zasad dobrego wychowania. Gdyby któraś z

moich córek zachowała się w ten sposób przy stole, z całą pewnością dostałaby po łapach i została pozbawiona deseru. Bo jeśli ktoś nie potrafi kulturalnie spożywać posiłku, to znaczy, że na niego nie zasługuje – stwierdziła dobitnie.

– Nie uważasz, że to zbyt surowe podejście?

– Jestem głęboko przekonana, że Emilia postąpiłaby właśnie w taki sposób – wycedziła Klara. – Moja siostra wkładała mnóstwo wysiłku w wychowywanie maluchów niemalże od pierwszych chwil życia. Poświęcała im wiele uwagi. A ciebie, jak zauważyłam, zdecydowanie zbyt mocno pochłania tartak oraz kształcenie chłopskich córek. Nie lepiej byłoby znacznie ograniczyć działalność charytatywną, a pieczę nad interesem powierzyć jakiemuś mężczyźnie? Oczywiście nie mam na myśli tego, abyś od razu wydawała się za mąż. Co to to nie! Po prostu powinnaś zatrudnić porządnego zarządcę.

– Pozwól, że sama będę decydowała o tym, co zrobię z moją własnością – odparła Aurelia, zirytowana tym, że kuzynka wtyka nos w nie swoje sprawy.

– Och! Wiem, że jesteś bardzo wyemancypowana. Ludzie wciąż o tym mówią. Nie zapominaj jednak, że miejsce kobiety jest w domu na łonie rodziny. Nie pojmuję tego owczego pędu, by dorównywać mężczyznom w każdej dziedzinie. Jeżeli zaczniemy zaniedbywać dzieci na rzecz innych spraw, to strach pomyśleć, co później z nich powyrasta.

– Masz zdecydowanie zbyt archaiczne poglądy. Świat się zmienia, Klaro, chcemy tego czy nie. Trzeba iść z duchem czasu.

– Osoby takie jak ty naruszają odwieczny porządek.

– Mylisz się. Wiele kobiet zajętych jest pracą. Spójrz na chłopki albo na wyrobnice usługujące choćby w pensjonatach. Wychodzą na całe dni z domów, by pospołu z mężami zajmować się zarabianiem na utrzymanie swych rodzin.

– Otóż to, Aurelio! Otóż to. Wychodzą z domów! Zostawiają swe dzieci pozbawione opieki i kontroli. – Zaakcentowała ostatnie słowo. – Nic więc dziwnego, że wśród plebsu jest taka przestępczość.

– Jakoś nie dostrzegam tej przestępczości w Krynicy ani w naszych okolicach – skwitowała Aurelia.

– U nas może faktycznie panuje względny spokój, ale wystarczy spojrzeć na taki Kraków, Tarnów czy inne miasta. Tam roi się od kieszonkowców, rzezimieszków i wszelkiej maści złoczyńców. Czyż twój wujek Seweryn nie jest prawnikiem? Nie broni różnych gagatków przed karzącą ręką sprawiedliwości?

Aurelia słuchała jej w osłupieniu. Nie mogła pojąć, jak doszło do tego, że od kompotu rozlanego na obrus sprawa dotarła aż do zbrodniarzy stających przed obliczem sądu. Zazwyczaj starała się nie spierać z Klarą, obawiała się bowiem, by ta nie próbowała zabrać dzieci pod swój dach. Aurelia zdążyła się do nich mocno przywiązać i odczułaby to jako ogromną przykrość. Tym razem jednak miała dość tej absurdalnej gadaniny.

– Jestem przekonana, że z powodu rozlanego kompotu Staś nie skończy jako kryminalista. To dobry chłopiec, choć troszkę niesforny.

– Nazywajmy rzeczy po imieniu: Stanisław zrobił się nieokrzesany. Moja siostra przewróciłaby się w grobie, gdyby zobaczyła jego maniery. Proszę, zrób coś z tym, zanim chłopak całkowicie się rozbisurmani. Rozlany kompot to nie wszystko. Właściwie nie przyszłam tu dzisiaj wyłącznie z wizytą towarzyską, ale po to, by donieść ci o niesubordynacji Staszka. Doszły mnie słuchy, że popołudniami goni po całej Krynicy z jakimiś chłopaczyskami i psoci ile wlezie. A to już jest karygodne! Pani Wojnarowa ostatnio wspomniała, że wrzeszczeli pod jej oknami niczym zgraja potępionych dusz. Dobrze wiesz, że niemalże po sąsiedzku z jej pensjonatem jest

Zakład Kinetoterapii, a to raczej nie jest odpowiednie miejsce do zabaw dla chłopaków w pewnym wieku. W parkanie okalającym teren roi się od dziur, przez które podglądane są letniczki. Obawiam się, że młodzież bierze przykład z dorosłych! – Przy tych słowach niemalże zadygotała z oburzenia. – Nie rozumiem, czemu pani Wojnarowa przyszła z tym akurat do mnie. Wszak to ty odpowiadasz za Stanisława. Było mi wstyd, że muszę świecić za niego oczami przed obcą osobą.

– O niczym nie wiedziałam. – Aurelia westchnęła ciężko. – Oczywiście porozmawiam ze Stasiem i zwrócę mu uwagę na to, by więcej się tak nie zachowywał.

– Sama rozmowa to zdecydowanie za mało. Jemu naprawdę należy się tęgie lanie – skwitowała Klara. – I to zanim dojdzie do jakiegoś zgorzenia!

## Kraków

Seweryn wrócił do domu późnym wieczorem. Miał poszarzałą ze zmęczenia twarz, co uwydatniało bruzdy wzdłuż nosa oraz głębokie cienie zalegające pod oczami. Niemalże nie tknął kolacji podanej przez służącą. Przełknął zaledwie parę kęsów, a następnie udał się do gabinetu, by wertować przepisy prawa. Spędził tam kolejne parę godzin.

*Pracuje zdecydowanie zbyt dużo – pomyślała zdenerwowana Matylda. – Jeszcze się to odbije na jego zdrowiu! On się zaharowuje, a Tytus planuje wojaże zagraniczne!* – zżymała się w duchu.

Nieważne, jak wielką rangę miała sprawa, którą właśnie prowadził mąż, kobieta uznała, że nadszedł czas, aby się z nim rozmówić. Już od dawna nie podobał jej się brak równowagi w działalności Seweryna oraz Tytusa. Niby byli współnikami, lecz

to na barkach Adamczyka spoczywała większa część obowiązków i, oczywiście, znacznie większa odpowiedzialność. Czasami mąż przebąkiwał między wierszami, że Tytus nieźle się ustawił.

*Najwyższa pora, by z tym skończyć!*

Zdeterminowana udała się do gabinetu męża. W pomieszczeniu unosiły się kłęby dymu papierosowego. Były tak gęste, że aż gryzły ją w oczy. Seweryn pochłonięty był czytaniem kodeksu.

– Coś się stało? – zapytał, odrywając wzrok od oprawionego w skórę woluminu.

– Musimy porozmawiać – zakomunikowała stanowczo. – Tak dalej być nie powinno! Nie podoba mi się, że Tytus spycha na ciebie większość obowiązków. Mam też już dość napiętej sytuacji pomiędzy Aurelią i Zuzanną. Powinieneś wpłynąć zarówno na szwagra, jak i na siostrę.

– Błagam, Matyldo, nie teraz! – odparł zirytowany mężczyzna. – Nie widzisz, że jestem zajęty? Niebawem ma zapaść wyrok w sprawie Bardeckiego. Przygotowuję się do wygłoszenia ostatniej mowy. Proszę, nie zwracaj mi teraz głowy bzdurami.

– Ależ to nie są bzdury! Siedzisz po nocach nad dokumentami, nie myślisz w ogóle o swoim zdrowiu i rodzinie. Pochłania cię wyłącznie kancelaria.

– Matyldo! Litości! Przestań zachowywać się histerycznie. Rozumiem, że jesteś brzemienna, więc masz prawo czuć się nie najlepiej, ale nie możesz mi zarzucać, że nie troszczę się o nasz dobrobyt. Przecież ja to wszystko robię dla was: dla ciebie oraz dla dziewczynek. Nie wiem, czy zauważyłaś, że powiększyła nam się rodzina, a więc siłą rzeczy wzrosły też nasze wydatki. Wciąż kupujesz małym jakieś stroje i buciki, musimy opłacać nianię. Nie mogę ot tak zamknąć kancelarii i wyjechać sobie na wakacje zagraniczne – burknął.



– A Tytus może? Wszak on ma sześciu synów na utrzymaniu, w tym dwóch studentów prawa! – trafiła w samo sedno.

– Tytus na te wakacje solidnie sobie zapracował – odparł spokojnie.

Nie zamierzał wszczynać kłótni z żoną, w chwili gdy miał jeszcze przed sobą ogrom pracy. W tym momencie gotów był obiecać Matyldzie wszystko, byle tylko dała mu święty spokój. Ślubna była w ciąży po raz trzeci, więc wystarczająco dobrze wiedział, że kiedy jest w tym stanie, wciąż chodzi rozdrażniona i łatwo wpada w irytację. Potrafi byle drobiazg wałkować i wałkować tak, by rozrósł się do gigantycznych rozmiarów. Rozmawiał kiedyś o tym z Maksymilianem Cerchą i doktor powiedział mu, że jest to typowa przywara kobiet brzemiennych: bardzo często robią z igły widły i należy patrzeć na to przez palce, a przyszłej matki lepiej nie irytować, ponieważ mogłoby się to niekorzystnie odbić na dziecku. Seweryn starał się więc być jak najbardziej wyrozumiały. Tego wieczoru jednak nie miał dość cierpliwości. Martwił się o los klienta, któremu groził wyrok skazujący. Dla własnego komfortu potrzebował przekonania, że w jego sprawie zrobił wszystko, co mógł. Nie zamierzał dopuścić, by niewinny człowiek został powieszony lub osadzony w więzieniu.

– Matyldo, jest już późno, ty jesteś rozstrojona, a ja mam jeszcze mnóstwo pracy. Proszę cię, idź spać. Wkrótce zamykamy sprawę. Obiecuję, że jutro wrócę do domu tak wcześnie, jak tylko będzie to możliwe, i niedługo znajdę więcej czasu dla ciebie oraz dla dziewczynek. Niech tylko się proces zakończy! Przysięgam! – powiedział znużonym tonem.

– Na pewno? – Nie dowierzała.

– Słowo honoru, że nasze życie się zmieni.

Mimo tych zapewnień uważała, że mąż ją zbywa. Odkąd przyszły na świat dziewczynki, odnosiła wrażenie, że oddalili

się od siebie ze ślubnym. On bardzo czekał na syna, a tymczasem ona obdarowała go trzema córkami. Jak to kiedyś skwitowała między wierszami Zuzia: trzema kłopotami. Szwagierce łatwo było mówić, bowiem sama miała aż sześciu chłopaków. Każdy z nich był potencjalnym kandydatem na następcę Tytusa. Matylda dygotała na myśl o tym, że być może pod sercem nosi kolejną dziewczynkę – kolejne rozczarowanie dla Seweryna.

Rozżalona wróciła do małżeńskiej sypialni. Położyła się w wystygłej pościeli. Czowała się rozpaczliwie samotna. To oczywiste, że pieniądze są potrzebne. Bez nich nie da się funkcjonować. Ale chciałaby, żeby mężczyzna poświęcał więcej czasu jej oraz córkom, nawet gdyby miało się to odbyć kosztem nieznacznego obniżenia standardu życia. Na cóż jej kolejna paryska suknia, nowy kapelusz czy futro, skoro od dawna doskwierał jej chłód narastający w ich związku? Przecież kiedyś tak bardzo się kochali! Byli sobie niezwykle bliscy. Teraz cała ich bliskość sprowadzała się do tego, że od czasu do czasu mąż dość mechanicznie wypełniał małżeńskie powinności. Brakowało w tym ciepła i pieczy. Tęskniła za dawnymi godzinami spędzonymi na rozmowach o wszystkim i niczym. Za niegdysiejszą czułością.

Niby Adamczykowie mieszkali razem, ale w rzeczy samej żyli jakby osobno. Zamiast gawędzić jak niegdyś, wymieniać poglądy, dzielić się różnymi przemyśleniami, teraz wyłącznie przekazywali sobie komunikaty dotyczące domowego życia. Mąż zaspokajał potrzeby rodziny, ale nie zaspokajał potrzeb duchowych żony. To też czasami bywało przedmiotem ich sporów, bowiem Seweryn zdawał się nie dostrzegać problemu. Twierdził, że ślubna zachowuje się histerycznie i wciąż marudzi. Odsyłał ją do dzieci, na zakupy, do przyjaciółek. Przestał nawet interesować się spotkaniami sufrażystek, o

których dawniej lubił słuchać. Sprawiał wrażenie zupełnie zobojętniałego, a ona nie mogła się z tym pogodzić.

O taki stan rzeczy obwiniała w gruncie rzeczy samą siebie. A raczej to, że nie urodziła syna, którego tak bardzo pragnął Seweryn.

*Och! Cóż za ironia losu!* – jęczała w duchu. Jeszcze nie tak dawno marzyła o tym, by w ogóle powić choćby jedno dziecko. Obojętne: chłopca czy dziewczynkę, byle było zdrowe. Myślała, że to wystarczy, by uradować męża. *Mężczyznom tak trudno dogodzić.*

Kochała Seweryna całym sercem. Chciała, aby było pomiędzy nimi tak jak dawniej.

Matylda do późnej nocy nie mogła zasnąć. Rzucała się w pościeli targana różnorakimi myślami. Kiedy jednak do sypialni przyszedł Seweryn, zamarkowała sen. Później leżała, wsłuchując się w spokojny oddech śpiącego. Mąż zasnął niemalże tuż po tym, jak przyłożył głowę do poduszki.

*Może wyolbrzymiam?* – pomyślała ze smutkiem. – *Za każdym razem, gdy jestem brzemienna, mam jakieś dziwne, zmienne nastroje. To chce mi się śmiać, to płakać. Cięża sprawia, że jestem rozhisteryzowana. Być może Zuzia ma rację, twierdząc, że kobiety ciężarne powinny siedzieć w domach, by nie kłuć ludzi w oczy swoim widokiem. Prawdopodobnie w tym wszystkim chodzi nie tyle o zniekształconą sylwetkę, co właśnie o humory i skłonność do przesady. Powinnam okazywać Sewerynowi więcej zrozumienia. Przecież on pracuje nie dla własnej przyjemności, ale po to, żeby dać utrzymanie rodzinie.*

Stwierdziła, że rano przeprosi męża za swoje pretensje. Wszak to ma być dla niego kolejny wyczerpujący dzień. Nie chciała, aby przysłała go chmura niesnasek rodzinnych. A na ułożenie się ze Strzeleckimi przyjdzie niebawem odpowiedni

moment. To oczywiste, że trzeba jakoś uporządkować tę sprawę.

Nad ranem Matylda zapadła w tak mocny sen, że nie usłyszała, jak mąż wstaje i szykuje się do pracy. Ba! Przespała nawet porę śniadaniową. Gdy już się obudziła, z przerażeniem spojrzała na zegar wskazujący godzinę jedenastą. Przywołała służącą, by ta pomogła jej w porannej toalecie, i z miejsca zaczęła ją wypytywać o Seweryna.

– Pan nie pozwolił pani budzić rano, twierdził, że musi się pani wyspać – oznajmiła pokojówka.

*Nie chciał mnie budzić, ponieważ bał się kolejnych pretensji.* – Matylda westchnęła ciężko. Niby skąd miał wiedzieć, że zamierzała go przeprosić? Zrobiło jej się przykro. Nocna sprzeczka ciążyła jej na sumieniu. Może pomiędzy małżonkami nie doszło do ostrej wymiany zdań, ale mimo wszystko Adamczykowa źle się czuła z myślą o tym, że Seweryn poszedł na rozprawę zirytowany jej zachowaniem.

– W jakim był humorze? – zagadnęła służącą.

– Pan był pełen optymizmu. Prosił, abym pani przekazała, że jest dobrej myśli. Zamierza wrócić na obiad.

Adamczykowa odetchnęła z ulgą. Wypowiedź pokojówki świadczyła o tym, że jednak jej słowa trafiły mężowi do przekonania. A kiedy Seweryn wróci do domu, wspólnie zastanowią się nad rozwiązaniem nawarstwiających się problemów. Może gdy mężczyzna będzie już uwolniony od troski o swojego najważniejszego klienta, zwróci uwagę również na potrzeby rodziny, a w ostatecznym efekcie przestanie dawać się wodzić za nos Tytusowi.

Podbudowana tą myślą, mogła spokojnie planować najbliższe tygodnie. Już cieszyła się na wyjazd z mężem. Planowała przechadzki po najbliższej okolicy domu Pod Lipami oraz

wyjścia do Teatru Modrzewiowego. Wierzyła, że kilka dni spędzonych razem z Sewerynem ponownie ich do siebie zbliży. Znowu zaczną ze sobą rozmawiać o wszystkim. W spojrzeniach, słowach i gestach ślubnego nie będzie tego zniecierpliwienia, które tak mocno dawało jej się we znaki w minionych miesiącach.

Poleciła służącej, by ta zniosła ze strychu kufry. Należało je przewietrzyć i odkurzyć przed wyjazdem do Krynicy. Ponadto musiała przejrzeć garderobę dziewczynek i sprawdzić, czy panienki nie potrzebują jakichś dodatkowych sprawunków przed wyjazdem. Wydała także dyspozycje przed kolacją planowaną z Rydlami.

*Ach trzeba było zaprosić również Wyspiańskiego!* – pomyślała. Mężowi dobrze zrobiłoby towarzystwo znanego artysty. Wszak byli bliskimi znajomymi.

Przypomniała sobie o jałowej dyskusji, którą odbyła poprzedniego dnia z Zuzanną. Zmarszczyła brwi. Wbrew temu, co mówiła szwagierka, dla niej tamten ślub był doniosłym wydarzeniem. Dowodził szybko postępujących przemian społecznych. Dostrzegała, że z wolna zacierają się różnice pomiędzy szlachetnie urodzonymi a prostym ludem. Nie od dzisiaj uważała, że nie powinno się oceniać ludzi na podstawie miejsca ich urodzenia czy okoliczności, w jakich dorastali. O człowieku winny świadczyć jego czyny i dokonania oraz stosunek do innych osób.

Myśl o nadchodzącej kolacji i mającym nastąpić kilka dni później wyjeździe do Krynicy poprawiła jej humor. Nucąc pod nosem, krzątała się w garderobie przyległej do dziecięcego pokoju. Nadzorowała służącą sortującą odzież na rzeczy przeznaczone do spakowania oraz do drobnych poprawek. Notowała także skrzętnie każdy drobiazg, który musiała zakupić przed podróżą. Lista zakupów rosła bardzo szybko, ale

Matylda się tym nie przejmowała. Lubiła robić sprawunki, a Seweryn na szczęście nie skąpił pieniędzy na wydatki związane z córeczkami. Przy tej okazji zamierzała także sobie zafundować coś ekstra: najlepiej nową suknię spacerową, mimo że po wcześniejszej ciąży została jej kompletna garderoba stosowna dla pań w odmiennym stanie. Przezornie nie pozbyła się ani specjalnie wykonanych gorsetów, ani sukien o luźniejszym fasonie. Zakładała bowiem, że nie poprzestaną wraz z Sewerynem na trójce potomków.

Na głos nikomu się do tego nie przyznawała, ale w rzeczy samej zamierzała dotąd podejmować wysiłki, aż wyda na świat upragnionego przez męża chłopca. Nawet gdyby miało to oznaczać całą gromadkę dziewczynek! Uwielbiała dzieci, więc nie robiło jej różnicy, czy będzie wychowywała trójkę, piątkę czy może jeszcze liczniejszy przychówek.

Przedpołudnie wypełnione spokojną krzątaniną zakłóciło nagle pojawienie się gońca, który przyniósł z sądu zatrważające wieści.

## SIŁA PRZYJAŹNI

\$

### Krynica

Rodzina Drzewickich skończyła spożywać obiad, gdy przyniesiono depeszę.

– Od kogo? – zainteresowała się Felicyna, widząc, jak służąca podaje blankiet Aurelii.

– To z Krakowa, od Matyldy – odparła córka, zerkając pobieżnie na adnotację o nadawcy. – Zapewne wyznaczyła już termin przyjazdu. Ach! Nie wyobrażacie sobie, jak bardzo się cieszę! – oznajmiła zgromadzonym przy stole domownikom. – Za pozwoleniem, mamu. – Skinęła głową Felicynie i chociaż nie do końca wypadało takie rzeczy czynić podczas posiłku, złamała pieczęć. Otworzyła arkusz, przesunęła po nim wzrokiem i z miejsca mocno pobladła. – O mój Boże! To niemożliwe! – jęknęła. – To musi być jakaś pomyłka!

– Co się stało? – zapytał zaniepokojony Ksawery.

Aurelia podniosła wzrok na ojca. Jej oczy przepełnione były rozpaczą.

– Seweryn nie żyje – odparła łamiącym się głosem.

– Matko Przenajświętsza! Jakże to możliwe?! – wykrzyknęła Felicyna.

– Nie wiem, nic więcej nie jest tutaj napisane. Muszę jechać do Krakowa, Matylda mnie potrzebuje.

– Tak to oczywiste. Powinniśmy jechać razem z tobą – zauważył Ksawery. – Wypada, abyśmy wzięli udział w ostatnim

pożegnaniu.

– Tak, tak, tato, to nader stosowne.

– Ty oczywiście zatrzymasz się u Matyldy, natomiast my – tutaj spojrział na żonę oraz siedzące przy stole dzieci – powinniśmy raczej nocować w hotelu, by nie sprawiać biednej Matyldzie kłopotu.

– To dość dobry pomysł, choć nie wiem, czy dzieci powinny z nami jechać – wtrąciła Felicyna. – Pogrzeby są takie przygnębiające... Biedny Seweryn! Ludzie w tym wieku nie powinni umierać, lecz cieszyć się życiem.

Po jej twarzy spłynęły łzy.

*Los jest okrutny i niesprawiedliwy – jęknęła w duchu. – Zabiera osoby, które są na to zdecydowanie zbyt młode. Najpierw Janeczek, potem Emilka i Dyzio. A teraz jeszcze Seweryn...*

– O mój Boże! Takie nieszczęście! Moja biedna przyjaciółka, co ona teraz musi przeżywać? – Aurelia załamała ręce nad dramatem Matyldy. Chyba nikt nie rozumiał jej sytuacji lepiej niż ona.

A może nie?

Wszak kiedy sama owdowiała, nie miała dzieci. A Matylda została z trójką drobiazgu i czwartym potomkiem w brzuchu. Niespodziewana śmierć męża musiała być dla niej ogromnym ciosem. Listy, które Aurelia dostawała od przyjaciółki, nie wskazywały na to, by Seweryn miał tak po prostu umrzeć. Musiało więc wydarzyć się jakieś nieszczęście. Może wypadek? Może zabójstwo? A może jakiś zdesperowany petent, któremu nie był w stanie pomóc, próbował się na nim zemścić?

Próżno byłoby dociekać. Wszystkiego dowie się na miejscu.

Teraz najważniejsze było jak najszybsze przygotowanie się do wyjazdu. Drzewiccy musieli wyruszyć w podróż następnego dnia. Na szczęście Ksawery zachował przytomność umysłu, przywołał służącą i polecił jej, by wysłała umyślnego na



dworzec kolejowy w Muszynie celem nabycia biletów. W tym czasie Felicjta zadysponowała spakowanie kufrów podróŜnych, pouczając pokojówkę, by naszykowano rzeczy, w których moŜna pójść na pogrzeb.

Aurelia z wdzięcznościami spoglądała na rodziców. Sama nie miała sił na to, by podejmować jakiegokolwiek działania. ParaliŜowała ją troska o przyjaciółkę i myśl o wielkim nieszczęściu, które na nią niespodziewanie spadło.

## Kraków

\$

– Jak on mógł mi to zrobić? – łkała rozpaczliwie Matylda. Jej ciało drżało nieutulonym szlochem. – Nie miał prawa tak mnie zostawiać! Mieliśmy wspólne plany i marzenia... Tak się nie robi!

Aurelia mocno trzymała przyjaciółkę w ramionach, tuląc twarz w jej potargane włosy. Po jej policzkach także spływały łzy rozpacz. Wciąż nie mogło do niej dotrzeć, że okrutna śmierć wyciągnęła kościste dłonie po Seweryna. Wszak wuj był w sile wieku! Nie uskarŜał się na żadne dolegliwości.

– Matyldziu, kochana moja – tłumaczyła łagodnym tonem – to nie jest jego wina. On na pewno nie chciał cię zostawiać. Zadziałała siła wyŜsza, wola nieba.

– Tak trudno się z tym pogodzić! Nie mogę sobie darować... – Dalsze słowa Adamczykowej zdławił szloch.

– Czego? Przecież nie miałaś wpływu na to, co się wydarzyło.

– Rozstaliśmy się w gniewie – odparła pogrąŜona w rozpacz wdowa.

– Posprzeczaliście się o coś – odgadła Drzewicka.

– Tak, tamtej nocy przed jego śmiercią byłam cała w pretensjach. Zarzuciłam mu, że spędza w pracy bardzo duŜo czasu, zaniedbuje mnie i naszą rodzinę. Rzeczywiście ostatnio

tak było. Nawet gdy Seweryn przebywał w domu, siedział z nosem w papierzykach. Kiedy on harował jak wół, Tytus planował podróż do Włoch. Byłam zła na Seweryna, że godzi się na taki stan rzeczy. Przecież byli wspólnikami, partnerami w interesach. Powinni dzielić się po równo nie tylko zyskami, ale również obowiązkami.

– Ach, więc o to miałaś do niego żal.

– Tak. Wiedziałam, że jest zapracowany, zmęczony, a nazajutrz ma ważną rozprawę w sądzie, od której wiele zależy, być może również jego dalsza kariera. Mimo to zasypałam go wymówkami. Zachowałam się jak podła egoistka. Później, gdy już wszystko przemyślałam, doszłam do wniosku, że z powodu ciąży jestem rozdrażniona i że histeryzuję. Następnego dnia chciałam Seweryna przeprosić, ale wyszedł do kancelarii, zanim się obudziłam. Już nigdy więcej nie zobaczyłam męża żywego – wyszłochała. – Nie zdążyłam poprosić, by mi wybaczył głupie pretensje. Nawet nie pamiętam, kiedy ostatnio powiedziałam, jak bardzo go kocham. Od dawna wciąż się rozmijaliśmy. On był zajęty swoimi sprawami, a ja dziećmi i domem. Odsunęliśmy się od siebie. Bardzo nad tym ubolewałam i chciałam to naprawić. Marzyłam o wspólnym wyjeździe do Krynicy. Uwierzyłam, że kilka dni spędzonych razem pozwoli nam coś odbudować w związku. Coś, co jakiś czas temu rozsypało się w drobny mak. A teraz... – zająknęła się. – Teraz jest już na wszystko za późno. Nie powiem o moich uczuciach. Nie przeproszę Seweryna. Umierał ze świadomością, że jestem na niego zła, i zostawił mnie w domu rozżaloną. Nigdy sobie tego nie daruję.

– Matyldo! Nie możesz winić się o to, że nie zdążyliście się pogodzić po, zapewne niewielkiej, sprzeczce.

– Ale miałam szansę i ją zaprzepaściłam, bo kiedy nocą przyszedł do sypialni, nie spałam. Udawałam, że śpię, bo nie

chciało mi się z nim wtedy podejmować rozmowy. Dopiero później, kiedy ochłonęłam, dotarło do mnie, że nie powinnam zwracać głowy mężowi moimi rozterkami w tak trudnej chwili. Przecież są sprawy ważne i ważniejsze. On pracował dla nas: dla mnie i dla rodziny. Powinnam była bardziej go doceniać!

– Ależ nie możesz się obwiniać! – powtarzała z uporem Drzewicka. – On na pewno doskonale wiedział o tym wszystkim, co mi teraz mówisz. Wujaszek bardzo cię kochał.

Aurelia rzadko nazywała Seweryna wujem. Robiła to tylko w bezpośrednich kontaktach, kiedy byli sam na sam. Przy krewnych i znajomych zwracała się do niego po imieniu. Szczerze go polubiła. I teraz na myśl o tym, że już nigdy nie nazwie go wujkiem, pękało jej serce. Zmarł człowiek, który pamiętał jej matkę. Jedyny, z którym mogła o niej rozmawiać.

Z Zuzanną bała się poruszać temat Eleonory. Ciotka zachowywała dystans, była chłodna w relacjach. Niekiedy Aurelia odnosiła wrażenie, że wokół Strzeleckiej wzniesiony jest niewidoczny szklany mur, którego nie da się przebić. Nie potrafiła rozmawiać z nią równie swobodnie jak z wujem oraz przyjaciółką. To Seweryn ciepło przyjął siostrzenicę na łono rodziny. Nie kwestionował pokrewieństwa, wręcz cieszył się tym, że ją odnalazł. Był jedynym łącznikiem pomiędzy iluzją, w której Aurelia dorastała, a prawdziwym światem.

Czasami zdarzało się, że nagle przypomniał sobie o jakimś istotnym szczególe z przeszłości Eleonory. Siadał wtedy przy biurku i pisał do siostrzenicy list, ponieważ od razu chciał podzielić się z nią swoimi myślami, by ulotne wspomnienie nie umknęło. Zdawał sobie sprawę, jak ważna jest dla Aurelii każda informacja o matce, której nie dane jej było poznać.

Już wiedziała, że zgromadzone do tej pory strzępki wiadomości będą musiały wystarczyć. Ubolewała nad tym

niezmiernie, lecz jeszcze bardziej ubolewała nad utratą Seweryna.

Dramat przyjaciółki poruszył ją do głębi. Wszak sama doświadczyła podobnej sytuacji. Ona także owdowiała młodo i niespodziewanie, na domiar złego była samotna. Matylda miała przynajmniej dzieci. Słodkie wspomnienia minionej miłości. I była tym maluchom bardzo potrzebna.

Jakby w odpowiedzi na przemyślenia Drzewickiej Adamczykowa wyszlochała:

– Boże, mój Boże, ja tego nie przeżyję! Jak mam dalej żyć bez niego? Serce mi pęka. Chciałabym umrzeć.

– Matyldo, co ty wygadujesz? Opamiętaj się! – wykrzyknęła Aurelia. – Pomyśl o dziewczynkach i o życiu, które nosisz pod sercem. Musisz zatroszczyć się o wasze dzieci.

– Nie dam sobie rady. Bez Seweryna jestem nikim. O niczym nie mam pojęcia. To on zarabiał na utrzymanie naszej rodziny, regulował wszystkie rachunki i podejmował najważniejsze decyzje. Zawsze mogłam na nim polegać. A teraz, o mój Boże... – wyjęczała. – Gdyby nie pomoc twoja oraz Tytusa, nie zorganizowałabym nawet pogrzebu mojego męża. Aurelko, Aurelko! Jak dobrze, że przyjechałaś! Co ja bym bez ciebie zrobiła? Jestem taka głupia! Taka bezsilna!

– Nie! Nie mów tak. Nie wolno! Nie pozwalam. Nie jesteś głupia! – zaprotestowała gwałtownie Aurelia. – To, że teraz czujesz niemoc i bezsilność, nie oznacza, że taka jesteś. Każda kobieta w tej sytuacji byłaby zdruzgotana. Doskonale cię rozumiem. – Odsunęła się od Adamczykowej, ujęła ją za ramiona i delikatnie nią wstrząsnęła. – Spójrz na mnie, Matyldo! Jesteś mądrą kobietą, poradzisz sobie w absolutnie każdej sytuacji. Wiem, że teraz jest ci bardzo ciężko. Uwierz mi jednak, że przyjdzie dzień, w którym odnajdziesz w sobie niezwykłą siłę.

– Ale ja nie wiem, jak mam bez niego żyć. W ogóle nie mogę sobie tego wyobrazić. Powiedz mi, Aurelko, jak ty otrząsnęłaś się po śmierci Jana? Czy to w ogóle jest możliwe? – zapytała, nie myśląc o tym, że być może sprawia ból przyjaciółce.

– Nie będę ci opowiadała bajek o tym, że zapomnisz. Ani że pewnego dnia odkryjesz, że twoje serce przestało żywiej bić na wspomnienie męża. Że tęsknota definitywnie przeminie. Bo do tej pory, mimo że na ogół czuję spokój i jestem pogodzona z losem, napływają fale tak wielkiej tęsknoty, że nie mogę sobie z nią poradzić. Czasami o utracie Jana przypomina mi jakiś drobiazg. Ale wiem, że życie płynie dalej, a mój mąż spogląda na mnie z wyżyn niebieskich i na pewno martwi się każdą moją łzą. To nieprawda, że czas całkowicie leczy rany. On je wyłącznie zabliznia. Przepraszam, nie powinnam tego mówić – zreflektowała się Aurelia.

W następnych dniach sytuacja w domu Adamczyków stała się wręcz dramatyczna. Krewni, którzy przyjechali do Krakowa na pogrzeb Seweryna, rozjechali się już do swoich domów. Na miejscu zostali tylko Drzewiccy. Matylda przestała wychodzić ze swej sypialni. Spędzała całe dni w łóżku, wylewając gorzkie łzy. Nie wzruszał jej nawet płacz dzieci dobiegający zza ściany. Aurelia próbowała jakoś na nią wpłynąć, podnieść ją na duchu, pocieszyć, zmotywować do działania, lecz wszelkie wysiłki były daremne. Do Matyldy nie przemawiało nic, nawet wspomnianie o córkach.

Ostatecznie Aurelia, bojąc się, by przyjaciółka nie poroniła z wielkiej żalości, wezwała do niej doktora Maksymiliana. Medyk wysłuchał Drzewickiej, zbadał Matyldę i przepisał łagodny środek uspokajający, bowiem rozpacz wdowy przybierała czasami formę hysterii.

Każdego dnia do mieszkania Adamczyków zaglądali Drzewiccy, mimo że pani domu nie wychodziła ze swego buduaru, by się z nimi spotkać. Chcieli jednak, aby Aurelia widziała w nich wsparcie. Czuli się dość niezręcznie w tej sytuacji. Z jednej strony ciągnęło ich z powrotem do domu. Ksawerego dręczyło poczucie winy, że na tak długo pozostawili tartak bez dozoru, cedując całkowicie zarządzanie na Witalisa. Z drugiej strony nie chcieli zostawiać Aurelii samej z pogrążoną w bólu kobietą. Zresztą dzieci, przywiązane do ciotki, na pewno odczułyby przykrość, gdyby usłyszały, że ta zostaje w mieście, a one muszą wrócić z dziadkami do Krynicy.

Felicyta gratulowała sobie w duchu decyzji o tym, by zatrzymać się w hotelu. Matylda była tak bardzo oderwana myślami od rzeczywistości, że siedzenie jej na karku byłoby znacznym nietaktem. Przez większość czasu sprawiała zresztą wrażenie nieobecnej duchem. Najczęściej przebywała z nią Aurelia, ale i Felicyta starała się pocieszać niedawno owdowiałą kobietę. Tulila ją w ramionach niczym własną córkę. Przemawiała do niej z czułością. Sama także cierpiała, ponieważ jako żywo stawała jej przed oczami rozpacz i żałoba Aurelii. W tamtym smutnym czasie nie potrafiła być podporą dla swej synowej. Do tej pory odczuwała wyrzuty sumienia, ilekroć przypominała sobie, że przez pierwsze miesiące po stracie Jana młoda wdowa w samotności wylewała łzy. Nie chciała więc, by Matylda była równie osamotniona w cierpieniu.

– Bardzo się o nią martwię – powiedziała Aurelia, gdy pewnego popołudnia siedziały wraz z matką w bawialni Adamczyków.

Matylda została w swojej sypialni. Ukołyszana płaczem, zasnęła.

– Ja też nie przestaję się o nią frasować – stwierdziła Felicyta. – To trwa zdecydowanie zbyt długo. Ona musi wziąć się do życia. Może nie powinna brać tych środków na uspokojenie, które zapisał lekarz? W dzień śpi zdecydowanie za dużo.

– Tak, to prawda, sypia w ciągu dnia, ale za to w nocy słyszę ją zza ściany, jak snuje się z miejsca na miejsce. Czasami chodzi po domu, zagląda do gabinetu. A ilekroć ja wtedy wstaję, by dotrzymać jej towarzystwa, odsyła mnie do sypialni. Twierdzi, że nie może zasnąć, ale nie chce, abym i ja nie spała z jej powodu. Martwi mnie, że to się odbije na stanie jej zdrowia.

– Może powinnaś jeszcze raz wezwać doktora Maksymiliana?

– Tak zrobię. Bardziej dręczy mnie coś innego: lada dzień doktor wyjedzie do Krynicy. Jeżeli Matylda będzie potrzebowała opieki medycznej, będę musiała poszukać kogoś innego, obcego. Może się z tym czuć niekomfortowo.

– To prawda. W jej sytuacji lepiej, by otaczali ją ludzie, których zna i którym ufa.

– Niestety doktor to tylko jeden z problemów. Chodzi również o to, że nie możemy tutaj tkwić w nieskończoność. Nasz dom jest w Krynicy. Ale nie wyobrażam sobie, abym miała tam teraz wrócić i zostawić Matyldę samą.

– Czemu więc nie weźmiesz jej ze sobą? Przecież gdyby nie stanęła na drodze śmierć Seweryna, Matylda i dziewczynki od mniej więcej trzech tygodni gościłyby u nas.

– Jak ty mnie dobrze znasz, mateczko! O tym właśnie chciałam z tobą porozmawiać. Pomyślałam, że powinniśmy zabrać stąd na jakiś czas Matyldę oraz dzieci. Nie mogę jej tu samej zostawić. To bardzo niezręczna sytuacja, ale muszę ci wyznać coś bardzo przykrego. Byłam wczoraj u Zuzanny. Chciałam porozmawiać z nią o Matyldzie, ponieważ wtedy jeszcze myślałam o tym, że nadszedł najwyższy czas, abyśmy wrócili do domu, gdzie czeka na nas ogrom naszych spraw. Zamierzałam

poprosić ciotkę, aby miała oko na Matyldę, kiedy wyjedziemy. Wyobraź sobie moje zaskoczenie, gdy zobaczyłam stojące w hallu kufry podróżne!

– Chcesz powiedzieć, że Strzeleccy wybierają się w podróż? Właśnie teraz? – Zaakcentowała mocno ostatni wyraz.

– Niestety. – Aurelia westchnęła ciężko. – Za kilka dni wyjeżdżają całą rodziną do Włoch, a następnie do Lwowa. Nawet posprzeczałam się o to z ciotką. Oświadczyłam, że postępuje nader egoistycznie. Nie powinna zniknąć z Krakowa teraz, gdy Matylda potrzebuje opieki. Ona jednak stwierdziła, że robi to w trosce o swojego męża. Boi się, by Tytus nie podzielił losu Seweryna, ponieważ sprawa, którą położyli, odbiła się głośnym echem w prasie. Na Sewerynie oraz Tytusie nie pozostawiono suchej nitki, a wdowa po Sawickim wniosła podobno zażalenie na działania kancelarii i domaga się sporego odszkodowania za pomawianie jej świętej pamięci męża o czyn samobójczy. Uważa to za zniesławienie! Właśnie tamta przegrana skutkowałą śmiercią wuja. Podobno był pewien, że wygrają, i tak bardzo przejął się fiaskiem, że jego serce odmówiło posłuszeństwa. Gdyby biedak wiedział o tym, co wypisują o nim w prasie, przewróciłby się w grobie. Tak czy owak, Tytus musiał zmierzyć się z całym impetem gniewu opinii publicznej. Ponoć ludzie zarzucali jemu oraz Sewerynowi, że za garść judaszowskich srebrników sprzedali swe usługi mordercy.

– Okoliczności faktycznie są przykre – przyznała Felicja. – Ksawery przeczytał mi na głos jakiś artykuł na ten temat.

– Otóż to. Pismacy wciąż używają sobie na zmarłym. Zuzanna twierdzi, że nie zniesie atmosfery skandalu ani chwili dłużej i tak naprawdę bierze pod uwagę wyprowadzkę z Krakowa.

– I musi to robić natychmiast? Nie może poczekać na rozwiązanie Matyldy?



– Nie. Powiedziała, że Kraków ją dusi, a ponadto jej mąż jest przepracowany, przemęczony i potrzebuje wypoczynku, a nade wszystko zmiany otoczenia. Oświadczyła, że już i tak odłożyli podróż o kilka dni, gdyż w pierwszym zamyśle chcieli wyjechać znacznie wcześniej. Zostali w Krakowie ze względu na pogrzeb Seweryna. Tytus musiał pozamykać wszystkie sprawy, które prowadził wuj.

– A to mnie zaskoczyłaś – stwierdziła matka. – Spodziewałabym się raczej, że Strzelecki zostanie w Krakowie, aby bronić dobrego imienia kancelarii. Wszak stracił właśnie współnika. Kancelaria na pewno na tym mocno ucierpiała. Nie znam się wprawdzie na działaniach prowadzonych przez prawników, ale zakładam, że nie można ot tak z dnia na dzień wszystkiego rzucić i wyjechać. Już pominąwszy samo to, że powinien zabezpieczyć interesy wdowy. Nie pojmuję jednak, co im przyszło do głowy, by ruszać na wojaże teraz, gdy mają żałobę! – wyraziła oburzenie.

– To nie tyle jest wyjazd w celach wypoczynkowych, co zwyczajna ucieczka. Z tego, co mówiła Zuzanna, wywnioskowałam, że całą rodziną chcą się wyprowadzić. Na razie zamieszkają w hotelu, lecz docelowo zamierzają kupić we Lwowie mieszkanie.

– Z uwagi na Matysię jest to przygnębiające. I nie mogę pojąć, że Tytus się na to godzi!

– Otóż to. Nie chciałabym rzucać oskarżeń bezpodstawnie, ale uważam, że to sprawka Zuzanny. To ona musiała wywrzeć wpływ na męża! Ostatecznie mogłabym zrozumieć niezbyt długi wyjazd wypoczynkowy, Tytusowi rzeczywiście mogły dać się we znaki ostatnie tygodnie czy nawet miesiące. Ale przeprowadzka? Właściwie wcale bym się nie dziwiła, gdyby i to było ukartowane. Od dłuższego czasu Matylda pisała w listach, że Zuzia zachowuje się w stosunku do niej nader oschle,

jakby żywiła o coś pretensje. Ubolewała nad tym, że ich relacje dalekie są od idealnych. Ciotka bardzo się zmieniła. Matysia wspominała, że dawniej odnosiły się do siebie znacznie serdeczniej. Wręcz żartobliwie określała Zuzannę jako pełniącą obowiązki teściowej. Sama nigdy nie byłam z nią tak blisko jak Matylda, więc trudno mi to ocenić. W jej zachowaniu widzę jednak znaczny egoizm. I doskonale wiem, że Matylda raczej już nigdy nie będzie mogła na niej polegać. Po rozmowie z ciotką stwierdziłam, że albo pozostanę na dłużej w Krakowie, albo będziemy musieli zabrać Matyldę do nas.

– Obawiam się, że nie ma trzeciej możliwości – przytaknęła Felicycja. – Matylda zdecydowanie nie może zostać sama. Jesteśmy świadomi jej stanu emocjonalnego. Jest tak bardzo pogrążona w rozpacz, że gotowa popełnić jakieś szaleństwo.

– Tak. Biedactwo wciąż powtarza, że nie ma ochoty żyć, a Bóg powinien był zabrać ją razem z Sewerynem.

– O mój Boże, to straszne! – Felicycja załamała ręce. – Nie myśli o tym, że ma dzieci?

– Myśli. Co gorsza, uważa, że nie poradzi sobie z ich wychowaniem bez męża. Nie powiedziała mi tego wprost, ale chyba z niedoli pomieszały jej się zmysły i uznała, że dziewczynki są dla niej ciężarem.

– No tak. W rozpacz człowiek czasem robi i mówi różne głupstwa.

– Sama więc widzisz, że nie mogę spuścić jej z oczu. Bo choćby nawet ciotka tutaj wróciła, to pewnie zaglądałaby do Matyldy jedynie co kilka dni na parę minut, a przez większość czasu Matylda i tak byłaby sama. Jakby tego było mało, pozostają jeszcze niewyjaśnione kwestie finansowe, ale tymi teraz nie mam siły się zajmować. Obawiam się jednak, że trzeba będzie niebawem zgłębić ten problem i sprawdzić, czy Seweryn zabezpieczył jakoś przyszłość żony oraz dzieci.

– Zakładam, że w świetle przegranej sprawy i gróźb ze strony wdowy po Sawickim można się spodziewać kłopotów – stwierdziła Felicjta. – Seweryn był w wieku, gdy nie myśli się o odchodzeniu.

– Niby tak, ale był jednak prawnikiem. Na pewno był przezorny i wiele rzeczy potrafił przewidzieć. Jak już Matylda dojdzie trochę do siebie, będę musiała skłonić ją do przyjrzenia się zagadnieniom finansowym. Tuż po pogrzebie wyznała mi, że tak naprawdę nigdy nie zajmowała się tymi rzeczami, ponieważ to Seweryn zawsze regulował najważniejsze domowe rachunki i wyznaczał jej kwotę na wydatki. Jedyną osobą, do której mogłaby się zwrócić po jakąś radę w tej sprawie, jest Tytus. Tylko czy Strzelecki zechce teraz pomóc, skoro planuje dezercję? – rozważała rozgoryczona kobieta.

– Jedno jest pewne: nie możemy tej nieszczęsnicy zostawić na łasce losu. Nie wyobrażam sobie także, abyś ty została tutaj, a dzieci wyjechały do Krynicy. Jesteś nam wszystkim potrzebna w domu. Sęk w tym, że Matylda wymaga długookresowej opieki. Jej sytuacja jest skomplikowana. Przecież niebawem zostanie matką po raz kolejny. I dlatego właśnie pomyślałam, że chyba najlepiej byłoby teraz Matyldzie pod naszym dachem. Nie czułaby się osamotniona, otaczaliby ją życzliwi ludzie. Póki nie nabrałyby sił i chęci do życia, moglibyśmy zaopiekować się jej dziećmi. Przecież dla tych maleństw to jest bardzo trudna sytuacja. Dziewczynki straciły ojca, ich świat legł w gruzach.

– To prawda. Nawet jeśli bliźniaczki niewiele rozumieją, to jest jeszcze Konstancja, która musi teraz czuć się bardzo osamotniona. Dzieci niemalże całymi dniami siedzą tylko z boną albo z którąś z nas. Na pewno tęsknią za matką, a ta nie dopuszcza ich do siebie.

– Uważam, że najrozsądniej byłoby zabrać całą rodzinę do Krynicy. Matylda mogłaby zamieszkać u nas przez najbliższych

parę miesięcy. Z całą pewnością na czas ciąży oraz rozwiązania, aż do momentu, kiedy dojdzie do siebie po porożu. Kobieta w tej sytuacji potrzebuje troski. Nie powinna martwić się problemami egzystencjalnymi.

Aurelia uściskała dłonie Drzewickiej.

– Och, mateczko! – wykrzyknęła. – Jaka ty jesteś szlachetna i wspaniałomyślna. Właśnie o to chciałam cię prosić.

– Doskonale wiem, że z myślą o tym rozpoczęłaś rozmowę – odparła Felicjta, gładząc czule Aurelię po ręce. – Przecież wielokrotnie zapewnialiśmy cię z Ksawerym, że nasz dom jest twoim domem i masz pełne prawo do decydowania o jego mieszkańcach. Nie potrzebujesz naszej zgody, by zapraszać gości. Nawet takich, którzy pozostaną u nas bardzo, bardzo długo. Wiem także, jak ważna jest dla ciebie przyjaciółka. Przecież jej córki są twoimi kuzynkami. Nie martw się, moja droga, otoczmy Matyldę i jej rodzinę troskliwą opieką. Oby tylko doktor Maksymilian nie znalazł przeciwwskazań do odbycia przez Matyldę podróży. W jej stanie różnie może być.

– Porozmawiam z nim na ten temat. Wydaje mi się jednak, że tak naprawdę jedyne, co doskwiera Matyldzie, to zła kondycja psychiczna. Matysia jest zdruzgotana śmiercią męża. Znam ten stan jak własną kieszeń. Nie dziwię się, że straciła chęć do życia i jakakolwiek wolę działania. Fizycznie jednak nie dolega jej chyba nic. Nie uskarża się na żadne przypadłości ani bóle. Wiem, że odczuwa ruchy dziecka, ponieważ ją o to pytałam.

– A zatem, moja droga, mamy już niemalże wszystko uzgodnione. Jeśli tylko doktor Cercha wyrazi aprobatę, polecimy służbie zapakowanie rzeczy Matyldy oraz dziewczynek i wyjedziemy do Krynicy. Nasz dom jest wystarczająco duży, by pomieścić dodatkową gromadkę. Co więcej, jeżeli Matylda będzie pragnęła spokoju i odosobnienia, bez trudu go znajdzie, ponieważ nikt nie będzie jej się narzucał,

choć osobiście uważam, że teraz potrzebne jest jej towarzystwo przyjaznych, życzliwych osób.

– Czasami nie trzeba nic mówić, wystarczy wspólnie pomilczeć, by lżej było cierpiącej duszy.

– To prawda. Kiedy odszedł Jan, balsamem dla mego znękanego matczynego serca była sama twoja obecność w domu – wyznała Felicycya. – Nawet jeśli nie okazywałam ci wówczas ciepła i zainteresowania, to uwierz mi, moje dziecko, że świadomość, iż nie jestem całkowicie sama na tym świecie, utrzymywała mnie przy życiu. Gdyby nie ty, zapewne umarłabym z rozpaczy. Ale, ale! Nie wracajmy już do tego, to przeszłość. Trzeba patrzeć w dzień jutrzejszy. Teraz skupmy się na tym, by pomóc twojej przyjaciółce.

– Mówiłam ci już, jak bardzo cię Kocham? – zapytała wzruszona Aurelia, nie hamując łez, które płynęły po jej twarzy.

Następnego dnia do mieszkania Adamczyków zajrzał wezwany przez Aurelię doktor Maksymilian. Przyszedł na konsultację niemalże w ostatniej chwili, gdyż gotów już był do wyjazdu na sezon letni w Krynicy. Kiedy opuścił sypialnię Adamczykowej, Aurelia poprosiła go o chwilę rozmowy w bawialni.

– Panie doktorze, proszę mi powiedzieć, czy powinnam ją teraz namawiać na wyjazd do Krynicy?

Mężczyzna spojrzał z uwagą na Drzewicką.

– Droga Aurelio, jeśli przekona pani Matyldę do wyjazdu, zrobi pani chyba najlepszą rzecz na świecie. Fizycznie nic jej nie dolega. Jest zdrowa i pełna sił witalnych. Jedynym problemem jest stan jej ducha. Z całym szacunkiem, jaki żywię dla nieszczęsnej pani Adamczykowej, wiem, że jest skłonna do dramatyzowania oraz hysterii. W obliczu tak wielkiej tragedii właśnie ta mniej przyjazna strona jej natury bierze górę. Zmiana otoczenia bez wątplenia poprawiłaby jej kondycję

psychiczną. Być może na łonie natury Matylda oderwałaby się choć trochę od niewesołych myśli. Świeże powietrze oraz zbawienne działanie wód mineralnych zawsze są wskazane. Gdyby przyjechała, wziąłbym ją pod moje skrzydła, dopilnowałbym, aby ponownie doktor Skórczewski zadbał o jej dietę, lecz tym razem w celu pobudzenia, a nie wstrzymania apetytu. Dodatkowo zaleciłbym seanse kinetoterapii. Są bardzo odprężające.

– A sama podróż jej nie zaszkodzi?

– Nie przypuszczam. To nie są czasy dyliżansów, gdy brzemiennie damy narażone były na znaczne ryzyko. Przecież pojedziecie koleją, a z Muszyny do domu dotrzecie wygodną bryczką na resorach. Jak długo zamierzają państwo gościć u siebie wdowę? – zmienił temat.

– Prawdę mówiąc, chętnie zatrzymam ją jak najdłużej, najlepiej aż do rozwiązania i momentu, kiedy dojdzie do siebie. O ile wiem, Zuzanna najpierw wybiera się w podróż po Europie, potem planuje przeprowadzkę do Lwowa. Nie przypuszczam, by zechciała zmienić plany – stwierdziła rozgoryczona Aurelia. – Nie mogę przecież pozwolić na to, by Matylda została tutaj sama, pozbawiona jakiegokolwiek bliskiej osoby.

– Rozmawiała już pani na ten temat z panią Adamczykową?

– Jeszcze nie. Omówiłam to wyłącznie z moimi rodzicami, wszak chcę zaprosić Matyldę pod ich dach. Nie chciałam składać nieszczęsnej wdowie obietnic na wyrost. Wolałam także najpierw skonsultować pomysł z panem. Jeśli pan stwierdziłby, że podróż może Matyldzie zaszkodzić, pozostałabym wraz z nią tutaj, w Krakowie. Musiałabym tylko mocno przeorganizować moje życie. Jak pan doskonale wie, mam teraz pod opieką dwójkę dzieci. Teodozja i Stanisław przeżyli wielki dramat, gdy

zginęli ich rodzice. Nie chciałabym więc rozstawać się z nimi na dłużej. Mogliby się poczuć opuszczeni lub odepchnięci na bok.

– Jest pani bardzo szlachetną osobą – zauważył doktor.

– Proszę mnie nie przeceniać. Robię wyłącznie to, co uważam za słuszne. A zatem wyraża pan zgodę na podróż Matyldy? – upewniła się na ostatek.

– Zdecydowanie tak. Wiem, że w pani domu będzie jej jak u Pana Boga za piecem. A ja miałbym na nią oko, więc wszyscy by na tym zyskali.

Podbudowana słowami doktora Aurelia odprowadziła go do drzwi, a następnie od razu pobiegła do pokoju przyjaciółki.

Matylda jak zwykle leżała na łóżku. Z jej oczu bezszelestnie toczyły się łzy. Miała opuchniętą czerwoną twarz i bezmyślne spojrzenie. Początkowo nawet nie zwróciła uwagi na obecność Aurelii. Od momentu pogrzebu pogrążona była w głębokiej apatii.

*Muszę ją wyrwać z tego marazmu* – pomyślała Drzewicka.

Przykucnęła tuż obok posłania. Poglaskała przyjaciółkę po policzku.

– Dość płaczu, Matyldo. Wylałaś wystarczająco dużo łez. Zabieram ciebie oraz dzieci do Krynicy. Zaraz zadysponuję, by pakowano kufry. Zamieszkacie u nas przez jakiś czas – oznajmiła tonem nieznoszącym sprzeciwu. Do tej pory przemawiała wyłącznie kojącym głosem. Teraz uznała, że najlepiej będzie, jeśli zacznie wydawać polecenia. W przeciwnym razie Adamczykowa nie ruszy się z łóżka.

Doskonale przewidziała jej reakcję.

– Nie mam siły, Aurelio – wyszeptała słabym głosem Matylda.

– Wiem. Nikt nie rozumie cię lepiej ode mnie. Musisz jednak zdobyć się na wysiłek, aby w końcu wstać i włożyć coś innego niż peniuar. Znajdź w sobie odrobinę sił, choć tyle, abyś mogła

odbyć podróż do Krynicy. Nie możesz tutaj zostać sama, a mnie do domu wzywają obowiązki.

– Nie, Aurelio, nie mogę się na to zgodzić. Nie chcę być dla was ciężarem.

– Jakim ciężarem? Matyldo! Przypominam ci, że jesteś nie tylko moją przyjaciółką. Jesteśmy także rodziną. Jesteś matką moich kuzynek! To zrozumiałe, że chcę pomóc wam wszystkim.

– Nie... Zostaw mnie, zostaw... Chcę umrzeć! Cóż mi z takiego życia, kiedy nie ma Seweryna?

– To, co teraz powiem, będzie okrutne – uprzedziła Drzewicka.

– Chcesz tego czy nie, życie trwa nadal i musisz się przyzwyczaić do myśli, że twojego męża już w nim nie ma. Są natomiast dzieci, które potrzebują matki. Nie pozwolę na to, abyś do reszty popadła w rozpacz. W ciągu kilku dni wyjedziemy.

– Ależ Aurelio! Jak ty to sobie wyobrażasz? Jestem brzemienna. Zuzanna miała rację, twierdząc, że kobieta w moim stanie powinna siedzieć w domu.

Aurelia prychnęła niecierpliwie.

– Pff! Też wymyśliłaś! Do rozwiązania zostały jeszcze cztery miesiące. Doktor Maksymilian powiedział, że nie widzi przeciwwskazań do tego, abyś odbyła podróż.

– Ale nie chodzi mi tylko o podróż – wyłkała Matylda. – Przecież ja urodzę dziecko! – wykrzyknęła.

– Otóż to. Nie możesz być wtedy sama!

– Chcesz, aby to się stało u was? – zdziwiła się Adamczykowa.

– Ależ oczywiście.

– A państwo Drzewiccy? Nie są już pierwszej młodości. Noworodek w domu może być dla nich uciążliwością.

– Przestań pleść trzy po trzy. To żadna uciążliwość, nasz dom jest bardzo obszerny. Mateczka sama zaproponowała, abyśmy zabrali was pod nasz dach, do momentu kiedy staniesz pewnie



na nogi. Zatrzymasz się u nas tak długo, jak to będzie konieczne. Choćby pół roku czy rok. Nie próbuj ze mną dyskutować! Mamy wystarczająco dużo miejsca, by przyjąć całą twoją rodzinę oraz służbę.

– Ale tu jest mój dom! Tutaj czuję się najlepiej.

– No i co z tego? Przecież wrócisz do Krakowa za jakiś czas, jeżeli tylko zechcesz. Teraz jednak lepiej zrobisz, jeżeli wyjedziesz razem z nami. Akurat w twojej sytuacji argument, że wszędzie dobrze, ale w domu najlepiej, nie przemawia do mnie. No już, już... Koniec płaczu! Nie ma co się nad sobą użalać – podsumowała, widząc w oczach Matyldy kolejną falę łez.

– Kiedy ja już nie płaczę nad złym losem, ale wzruszyłam się twoją troską.

– Od czego ma się przyjaciół? – zapytała Aurelia, nadając głosowi lekki ton.

# NIE MA JAK W DOMU

\$

## Krynica

Po miesiącu spędzonym w Krakowie rodzina Drzewickich z przyjemnością powróciła do Krynicy. Żegnali upalne i duszne zaułki. W Beskidzie powitała ich przyjemna świeżość powietrza oraz wszechobecna zieleń, której w mieście było zdecydowanie zbyt mało. Nawet najpiękniejszy krakowski park nie był w stanie zastąpić lesistych wzgórz otaczających uzdrowisko. Wisła tocząca leniwie swe wody wyglądała może i pięknie w swym majestacie, ale to radosny plusk Kryniczanki wydawał się najmiłszy ich uszom. Hotelowe pokoje – jasne i skąpane w elektrycznym świetle, nie były ani w połowie tak przytulne jak oświetlone lampami naftowymi pomieszczenia w domu Pod Lipami.

Teosia i Staś z radością oblecieli cały dom i ogród, a następnie okolicę, zaglądając w każdy zakamarek. Byli już nawet tuż przy jarze potoku Palenica, gdzie rozlewało się spore bagnisko torfowe. Tam przy akompaniamencie muzyki kuracjusze popijali trunki, poddając się zbawiennym działaniom kąpieli borowinowych.

– Taplanie się w błocie jest obrzydliwe. – Teosia zmarszczyła nos, po czym pognali dalej.

W Krakowie wynudzili się niczym mopsy, chociaż dziadek Ksawery starał się zapewnić im choćby minimum rozrywki: prowadził ich na spacery Plantami czy do teatru na spektakle

dla dzieci. A ponieważ do Krakowa nie zabrali ze sobą guwernantki, nestor przejął jej obowiązki, codziennie przez kilka godzin ucząc Teosię i Stasia rachunków oraz języka polskiego. Innymi naukami nie zawracał sobie głowy, twierdząc, że dzieciaki uzupełnią wiedzę po powrocie do Krynicy. Chociaż bardzo się starał, nie był najlepszym nauczycielem. Matematykę tłumaczył zawile i podawał zdecydowanie zbyt trudne dla wnuków przykłady zadań. A do czytania wybierał poważne lektury przyniesione z pobliskiej biblioteki. Wyznaczał spore fragmenty, a następnie przepytywał z nich podopiecznych, niecierpliwiąc się, gdy czegoś nie rozumieli.

Teodozja wolała, gdy uczyła ich panna Apolonia. Ta bowiem miała dar opowiadania w piękny sposób o przyrodzie czy odległych krajach, a na czytanki wybierała takie opowiadki, które mogły interesować dzieci w ich wieku. Dodatkowo wdrażała Teosię w tajniki haftu, szycia oraz innych robótek ręcznych, choć te w młodej panience nie wzbudzały większego entuzjazmu. Znała prześliczne piosenki i grywała na fortepianie. Dużo uwagi poświęcała manierom. Chociaż była wymagająca, dzieci za nią przepadały. Miała pogodną naturę, która w pełni rekompensowała srogie miny, jakie czasami gościły na jej twarzy.

W tamtym czasie młodzi Litworowie mało mieli do czynienia z babcią Felicytą oraz z ciocią Aurelią, ponieważ te pochłonięte były kłopotami ciotki Matyldy.

W Krakowie siłą rzeczy ich głównym opiekunem został dziadek Ksawery, a on należał do surowych i wymagających. Przy nim dowiedzieli się, czym naprawdę jest dyscyplina. Ksawery bowiem wprowadził taką kindersztubę, że nie mieli możliwości, by splatać choćby najmniejszego figla. O wiele łatwiej było broić, gdy pozostawali pod opieką ciotki Aurelii

bądź babci Felicyty. Kobiety były zdecydowanie bardziej wyrozumiałe i łagodne dla nieszczęśliwych sierotek. Rządziej nakładały kary. Przeważnie, gdy młodzi już coś spsobili, kończyło się na drobnych połajankach. Stanisław, choć nie brakowało mu ogłady, nie potrafił usiedzieć spokojnie przez dłuższy czas. Ciotka żartowała sobie z niego, że często jest na diablیم miejscu. A gdy Staś dociekał, o co chodzi, śmiała się tylko i odpowiadała, że tak właśnie mawiała do niej i jej przybranego rodzeństwa babcia Paraska, gdy zanadto dokazywali.

W Krynicy zdecydowanie byli u siebie. Tutaj nikt nie chodził za nimi krok w krok. Nie pilnował ich, aby się nie zgubili. Mieli znacznie więcej swobody niż w mieście.

Dzieci zdążyły już obiec niemalże całą miejscowość, zaglądając w każdy zakątek, do którego mogły się dostać. Nie trwało to szczególnie długo, więc wkrótce ze znudzonymi minami usiadły na murku okalającym skwer.

– Co teraz robimy? – zapytała Teosia. Nie miała ochoty wracać do domu, ponieważ tam wciąż trwało zamieszanie spowodowane przyjazdem gości. Gdy wymykali się wraz ze Stasiem, zdążyła usłyszeć, jak ciotka pyta Apolonię, czy zakończyła już zajęcia z dziećmi, ponieważ chciałyby, aby Teodozja pokazała Konstancji swoje lale. A ona nie lubiła tej małej beksy. Za każdym razem, gdy Adamczykowie gościli Pod Lipami, Konstancja chciała się bawić wyłącznie zabawkami Teosi, jakby nie miała własnych. Litworzanka była zazdrosna o swoje rzeczy i bała się, że mała je poniszczy, a wspólne zabawy były po prostu nudne. Teosia, z wyżyn swoich jedenastu lat, niechętnie spoglądała na wszędobylską i ciekawską sześciolatkę.

– Mam pomysł! – wykrzyknął podekscytowany Staś. – Chodźmy jeszcze zobaczyć zakład doktora Skowrońskiego.

Dawno tam nie byliśmy.

– Przecież wiesz, że nie wolno – zaprotestowała z miejsca Teodozja, która zwykle bywała bardziej skłonna do psot. Na co dzień odgrywała mistrzowsko rolę dobrze ułożonej panienci, stroiła słodkie minki, gdy wymagały tego okoliczności, lecz gdy tylko miała możliwość splątania komuś figła lub złamania jakiegoś zakazu, chętnie z niej korzystała.

– Wolno, nie wolno... Phi! A kto by się tym przejmował? – zbył ją brat.

Pod Zakład Kinetoterapii zabraniali im chodzić solidarnie wszyscy dorośli. Twierdzili, że to nie jest odpowiednie miejsce do zabaw dla dzieciaków. A ich oczywiście ciągnęło w tamten rejon. Teren otaczał wysoki parkan. To była jedyna tak pilnie strzeżona placówka w Krynicy. A jak wiadomo, co zakazane, to najbardziej kusi! I kusiło, zdaje się, nie tylko Stasia, ale również i licznych mężczyzn, którzy często przechadzali się wzdłuż płotu i wydłubywali z niego sęki. Gdy udawało im się wykonać dziurkę, przykładali oko, by chciwie przypatrywać się temu, co działo się w obrębie ogrodzenia. A tam na starannie przystrzyżonej trawie rozstawione były leżaki, na których wylegiwały się panie korzystające z dobrodziejstwa kąpeli słonecznych. Może nie byłoby w tym nic dziwnego, gdyby nie to, że niewiasty nie miały na sobie aż tylu warstw odzieży, ile nosiły, spacerując po deptaku. Zapewne właśnie odsłonięte łydki i popiersia przyciągały w okolicę placówki wszystkich panów.

Nieco dalej znajdowało się podobne miejsce przeznaczone dla dżentelmenów, ale tam nikt nie zadawał sobie trudu, by wydłubywać sęki i zerkać na to, co dzieje się po drugiej stronie.

Staś o tym wszystkim dowiedział się od swoich kolegów. Od tamtej pory raz na jakiś czas, niczym stadko swawolnych wróbli, podbiegali pod płot całą gromadą. Wyczekiwali

momentu, kiedy spłoszeni przez nich mężczyźni odejdą, a wtedy sami zerkali przez dziurki po sękach. Przecież musieli sprawdzić, czy plotki są prawdziwe! I sprawdzali, wielokrotnie, dusząc się ze śmiechu oraz wykrzywiając twarze z obrzydzenia na widok choćby skrawka golizny.

Teodozja jeszcze przez chwilę marudziła, że nie powinni tam się zapuszczać, bo jak ktoś znajomy ich zobaczy, to znowu dostaną burę. I że jej tak naprawdę nie interesują opalające się roznegliżowane kobiety. Brat jednak zawsze musiał stawiać na swoim. Chociaż był o dwa lata młodszy, to on dyrygował siostrą.

Czasy, kiedy Stanisław pozwalał, aby Teodozja otaczała go troskliwą opieką, bezpowrotnie minęły. Kiedyś to ona go niańczyła, opowiadała mu bajki bądź wymyślała różne, nieszczerólnie ciekawe zajęcia. Jego nie interesowały zabawy lalkami ani tym bardziej historie o księżniczkach. Zdecydowanie wolał udawać rycerza i toczyć drewnianym mieczem bitwy z wyimaginowanymi wrogami.

Z chwilą gdy zmarli rodzice, poczuł się głową rodziny. Doskonale pamiętał moment, gdy tuż po pogrzebie dziadek Ksawery ujął go za ramiona, spojrzał mu głęboko w oczy i oznajmił, że teraz powinien najmocniej w świecie kochać siostrzyczkę, ponieważ nie ma nikogo, kto byłby dla niego bliższą osobą. Chłopiec wziął sobie do serca jego słowa, ale oczywiście zinterpretował je na własny sposób. Cała miłość polegała na tym, że nie pozwalał, by inni koledzy ciągnęli Teodozję za warkocze. Jemu było wolno, a i owszem, wszak to była jego siostra. Często zabierał jej kredki lub kartki do rysunków. Albo korzystał z chwili nieuwagi i zjadał jej deser. A ponieważ była od niego starsza, zwykle podchodziła do tego z wyrozumiałością. Nie uderzała w bek, tak jak robiłyby inne dziewczyny.

Musiał oddać sprawiedliwość siostrze: jak na dziewczuchę była w porządku. Nie skarżyła na niego do ciotki i dziadków lub panny Apolonii. Wręcz kryła go przed nimi, ilekroć coś przeskrobał. Niekiedy litościwie pomagała mu w odrobieniu lekcji. Panna Apolonia miała bowiem taki brzydki zwyczaj, że po zakończonych zajęciach zadawała im kilka przykładów z rachunków do odrobienia samodzielnie. Cóż mógł na to poradzić, że nie miał do nich głowy?

Sam dziadek Ksawery powiedział kiedyś, że ich ojciec był wyjątkowo słaby w tej dziedzinie i potrafił się pomylić nawet w banalnych obliczeniach. Staś miał więc niechęć do wszelkiego rodzaju działań matematycznych po ojcu. Zresztą na cóż mu rachunki? Buchalterem nie zamierzał zostawać. Jeszcze nie wiedział, co będzie robił w przyszłości. Miał mnóstwo czasu, by o tym zdecydować. Z perspektywy dziewięciu lat nie podejmuje się tak ważkich decyzji, choć dziadek twierdził, że wypadałoby, aby miał jakieś zainteresowania. No i miał – rzecz jasna płatanie figli.

Podeszli właśnie pod parkan okalający teren przy ulicy Pułaskiego 6.

– Stój na czatach i patrz, czy ktoś nie nadchodzi – rozkazał siostrze. – A ja sprawdzę, czy rzeczywiście opalają się tam niekompletnie ubrane kobiety. Bo może, jak byliśmy w Krakowie, coś się zmieniło. Może w tym sezonie zakład nie ruszył.

– A tobie ta wiedza oczywiście jest niezbędna do życia – zakpiła siostrzyczka.

– No ba! Trzeba wiedzieć, co w trawie piszczy. Ciotka Aurelia mówi, że Krynica to nasz dom. Cała Krynica – zaakcentował – a nie tylko willa Pod Lipami. A skoro tak mówi, to znaczy, że tak jest. Dziadek natomiast wciąż powtarza, że swojego trzeba pilnować, bo pańskie oko konia tuczy.

– Tak, oczywiście! A ty zamierzasz tuczyć panie, które się tam wylegają!

Teodozja, jak nikt inny, zawsze potrafiła mu wbić szpilkę. Podobno tę cechę charakteru odziedziczyła po matce. To wiedzieli od ciotki Klary, bowiem ani ciotka Aurelia, ani babka nigdy nie wypowiadały się krytycznie pod adresem nieżyjących. W gruncie rzeczy rodzeństwo było zadowolone, że pod jakimiś względami przypomina swych zmarłych rodziców. A że te cechy niekoniecznie były pozytywne? Cóż mogli na to poradzić? Jakby na pocieszenie, Felicyna powtarzała, że Teosia urodę odziedziczyła po mamusi, a Staś jest równie sprytny jak tatuś.

– Stasiu, lepiej wracajmy, bo znowu będzie draka! – ostrzegła go Teodozja.

– Nie gadaj, tylko pilnuj – fuknął chłopiec, a potem przyłożył oko do dziurki po sęku.

Pechowo wybrał otworek, ponieważ niewiele przez niego było widać. Przesunął się więc parę kroków w bok. Dostrzegł pole do tenisa i dwie panie wymachujące zawzięcie raketami. Tenis był całkiem fajnym sportem, Staś też w niego grywał. Ale śledzenie cudzego pojedynku nie było interesujące.

– Chodźmy już – ponagliła go siostra.

– Jeszcze moment! – odparł i podreptał znacznie dalej.

Tym razem szczęście mu dopisało. Stosunkowo niedaleko od niego rozstawione były leżaki, na których wylegiwały się kobiety, wystawiając na dobroczynne działanie promieni słonecznych obnażone łydki oraz ramiona. Damskie nogi, jeśli nie należały do leciwych matron, bo i takie panie korzystały z dobrodziejstw zakładu, miały całkiem ładne kształty. Nie były tak patykowate jak u Teodozji. Te czasami zdarzyło mu się podpatrzeć, choć w rzeczy samej siostra nie wzbudzała w nim większej ciekawości. Niekiedy widywał Rozalkę szorującą na



klęczkach podłogi oraz schody przeznaczone dla służby. Zadzieriała przy tym zajęciu spódnicę i zatykała jej rąbek za pasek. Ochmistrzyńi zwykle łajała ją, że to nieobyczajne, bo pokazuje wówczas znacznie więcej niżli tylko łydki i kolana. Służąca jednak tłumaczyła, że prócz posługaczy nikt jej nie widzi. Rozalka miała nogi grube w kostkach oraz masywne łydki. Wyglądały, jakby zostały wyciosane z pniaka. Takie pniaki chłopiec widywał w tartaku. Nie robiły na nim wrażenia, podobnie jak nogi służącej.

– No i co: w końcu się napatrzyłeś? – zawołała znudzona siostra.

– Phi! Znowu to samo. Nuuuda – odparł przeciągle, nie odrywając się jednak od otworu w parkanie.

Był tak pochłonięty analizowaniem kobiecych kształtów, że nie dostrzegł nadciągającego zagrożenia. Znudzona Teosia też niczego nie zauważyła, bowiem zamiast rozglądać się czujnie wokół, skubała falbankę przy swej codziennej sukience.

– A co ty tam robisz, łapserdaku?!

Z oddali dobiegł go krzyk jakiejś pani. Stanisław spojrział w głąb ulicy i dostrzegł nadchodzącą szybko matronę. Zważywszy na wiek oraz dość obfite kształty, szła żwawo, zbliżając się niebezpiecznie. Przy odrobinie wysiłku mogłaby go z łatwością pochwycić.

– Chodu! – rozkazał, łapiąc siostrę za rękę i ciągnąc ją za sobą.

– Ja wam dam, łobuziaki, podglądać ludzi! – krzyczała za nimi kobieta, lecz oni uciekali co sił w nogach, nic sobie nie robiąc z jej wrzasków.

Jeszcze przez chwilę stała na chodniku obok parkanu, wygrażając pięściami uciekinierom.

– Skaranie świata z tym Skowrońskim i jego zakładem! Na zgorzenie tylko toto powstało – utyskiwała sama do siebie. – Parkan wygląda jak ser szwajcarski! Podziurawiony na całej

długości, jakby ktoś w niego strzelał. Człek nieobeznany z tematem mógłby powiedzieć, że żołnierze urządzili sobie tutaj poligon. Nawet w teatrze już się z tego śmieją i opowiadają w kabarecie o panach, którzy tu przychodzą, by leczyć swoje oczy. Na co dzień niejeden uskarża się na słaby wzrok, ale przez dziurę w płocie wszystko zobaczy!

Rzuciła ostatnie spojrzenie w kierunku, w którym pobiegły dzieci.

– No starym chłopom to ja się nie dziwię – kontynuowała, choć brakowało jej publiki, która mogłaby posłuchać wywodów o moralności. – Mężczyźni zawsze są łasi na kobiece wdzięki. Ale że taki urwipoleć się tu pałęta? O! To już jest zgorszenie. Ech! Zachciało się kąpiele słonecznych.

Dla porządku pochyliła się i zerknęła przez tę samą dziurkę, przez którą spoglądał przed momentem młodzieniec. Wszak musiała na własne oczy sprawdzić, co w trawie piszczy. A piszczało, że aż strach!

– Zgorszenie, zgorszenie... – wymamrotała, zerkając na leżakujące panie osłonięte ledwo odrobiną bielizny.

\$

– Myślisz, że ona nas zna? – zmartwiła się Teosia, gdy odbiegli na tyle daleko, by nic im nie zagrażało. Zdążyli się już nawet zatrzymać.

– Nie. Raczej nie – stwierdził lekceważąco chłopiec. – Nawet jeśli, to w najgorszym razie po prostu pójdzie na skargę do ciotki.

– Tak, pewnie! A ciotka za to nie pozwoli nam podać na podwieczorek konfitur do budyniu. Budyń bez konfitury jest ohydny – skwitowała dziewczynka.

– Jak ci nie będzie smakował, to ja go zjem. Mnie tam nie przeszkadza brak konfitur. Albo tak zagadam Rozalkę, że przyniesie mi w kieszeni fartucha cały słoiczek.

W na wskroś nowoczesnym domu Drzewickich stosowano wciąż jeszcze nowatorską dla wielu gospodyń metodę przechowywania żywności zwaną pasteryzacją. Kucharka z pomocą Rozalki z upodobaniem zamykała w szklanych słoiczkach powidła i inne przetwory. Półki w spiżarni wręcz ugięły się pod ciężarem tego bogactwa. Stasiowi tylko raz udało się zakraść do owego sezamu z rozkoszami podniebienia. Na co dzień ciemna komórka była pilnie strzeżona przez cerbera w postaci tęgiej kucharki. A jemu po nocach śniły się kandyzowane owoce oraz ustawione w równe rzędkie konfitury.

– Tere-fere! Już to widzę – odparła siostra.

– A założysz się?

– Oczywiście, że się założę! I jestem przekonana, że przegrasz. Rozalka nigdy w życiu nie wykradnie konfitur ze spiżarni. Boi się ochmistrzyni.

– O co się założymy?

– O deser – zaproponowała łakomczuszka. Dla niej był rzeczą świętą.

– Niech będzie o deser – przystał brat.

Zwycięstwa był pewien. Nie chciał tego zdradzać siostrze, ale na Rozalkę i inne kobiety z domu Pod Lipami miał już swoje sposoby. Potrafił je tak przekabacić, że zawsze dostawał to, czego chciał. Oczywiście na każdej z nich wypróbował inne metody, bo nie na wszystkie działało to samo. Przy babce Felicynie trzeba było robić potulne minki i prawić jakieś miłe słówka. W takich sytuacjach babcia nazywała go swoim małym dżentelmenem. Aurelia miękla, gdy siadał jej na kolanach i dopominał się o czułości, a potem mawiał, jak bardzo kocha najlepszą pod słońcem ciotuchną. Na Rozalię nic nie działało lepiej od widoku załzawionych oczu, pociągania nosem i wzdychania z tęsknoty za matką. Inną służącą, Martę, przydybał na całowaniu się z kawalerem. Od tamtej pory

trzymał ją w szachu. Panicznie się bała, aby nie doniósł na nią ochmistrzyni, która była ucieleśnieniem wszelkich zasad i moralności. Na tę ostatnią musiał uważać, zarządzała służbą twardą ręką. Natomiast Apolonia miękła, ilekroć wyrecytował ładnie jakiś wierszyk. Koniecznie jeden z tych, które zadawała w minionych kilku dniach. W przeciwieństwie do rachunków, których nie rozumiał, poezja łatwo dawała się wykuć na pamięć.

Status sierotki nie był więc wcale taki zły, choć oczywiście Stanisław tęsknił czasami za matką. Cóż, gdy coraz mniej ją pamiętał? Teodozja zachowała zdecydowanie więcej wspomnień, więc niekiedy, gdy było mu szczególnie smutno, prosił ją, aby opowiedziała coś o zmarłej. W takich momentach czuł, że siostra jest najważniejszą osobą na świecie i nikt, absolutnie nikt nie jest mu równie bliski.

Po miesięcznej nieobecności Ksawery z lekkim niepokojem wybierał się do tartaku. Obawiał się o to, jak przedsiębiorstwo funkcjonowało pod nieobecność jego oraz Aurelii. Córka, siłą rzeczy, została w domu. Musiała bowiem zainstalować swoich gości. Przeprosiła ojca, że nie będzie mu towarzyszyła, chociaż powinna – wszak była dyrektorem tego interesu, a w niedalekiej przyszłości miała go przejąć na własność.

Drzewicki jednak machnął tylko ręką.

– Zostań tutaj. Wiem, jak ważna jest dla ciebie Matylda. Wszak nie możesz jej porzucić zaraz po przyjeździe do Krynicy. Zaopiekuj się przyjaciółką oraz jej dziećmi, do tartaku jeszcze zdążysz pojechać. Ufam, że Witalis wraz z Jarząbkiem poradzą sobie pod naszą nieobecność.

– Dziękuję za wyrozumiałość, ojczy. Obiecuję, że wrócę do moich powinności tak szybko, jak tylko będzie to możliwe.

Ksawery wsiadł do bryczki. Jeszcze do niedawna jeździł wierzchem, ale przyszedł moment, kiedy wsiadanie na konia stało się uciążliwością. Doktor Ebers uznał, że osiemdziesięcioletek w ogóle nie powinien narzekać na swoją kondycję. Drzewicki w głębi ducha musiał przyznać mu rację, ponieważ znacznie młodszych od niego mężczyzn składano w mogiły. A jemu, poza obniżoną sprawnością i jakimś ogólnym spowolnieniem, zasadniczo nic nie dolegało. Umysł miał wciąż bystry, pamięć nie szwankowała. Mógł z powodzeniem odbywać długie piesze wycieczki, nie dostając przy tym zadyszki. Nie narzekał na podagrę ani na reumatyzm. Okaz zdrowia, tylko pozazdrościć!

*To pewnie nasz klimat i zbawienne działanie wód – stwierdził.*

Wszak wodę mineralną pijał codziennie, i to w dużych ilościach. Korzystał także z dobrodziejstw kąpieli. A kiedy kuracjusze wracali do domów, poddawał się tym samym terapiom, dla których oni przyjeżdżali do Krynicy. Z upodobaniem łykał kapsułki oferowane przez aptekę Nitribitta – słynne kołaczyki krynickie, uznając, że są panaceum na wszelkie dolegliwości, podobnie jak równie niezawodny olejek z wypustek świerkowych. Drzewicki mocno wrósł w uzdrowisko, wręcz zapuścił tutaj korzenie.

I pomyśleć, że z wielką niechęcią przyjął przed wielu laty decyzję ojca o przeprowadzce z Krakowa! On pragnął wówczas zostać w wielkim mieście. Wydawało mu się, że na prowincji nie znajdzie dla siebie miejsca.

*Mój Boże, jakże to życie szybko przemija – westchnął, spoglądając na swoje sękaty dłonie. – Gdyby znowu mieć dwadzieścia parę lat, tamtą energię i wszystko co najlepsze przed sobą... Tyle jeszcze mógłbym dokonać! Wciąż mam głowę pełną pomysłów. Mógłbym rozwinąć interes na większą skalę. Ale na co mi to teraz? Aurelia to dobra dziewczyna, ale jej sam tartak*

wystarczy. Będzie miała z nim istne urwanie głowy, kiedy już przestane służyć jej radą. Poradzi sobie, wiem o tym dobrze. Ale dodatkowe interesy mogłyby ją przerosnąć. Mężczyznom jest łatwiej. My wychodzimy z domów, zamykamy za sobą drzwi. A za drzwiami zostawiamy żony i dzieci, codzienną krzątanie, użeranie się ze służbą oraz z dostawcami. My możemy skupiać się na naszych sprawach, panie rozpraszają się na tysiące drobiazgów, bez których domy by nie funkcjonowały. Gdyby nie kobiety, nie byłibyśmy w stanie prowadzić naszych działalności. Dzięki temu, że one zajmują się dziećmi, domem i wszystkimi problemami, które nie zaprzatają naszej uwagi, łatwiej jest nam robić interesy. Bo jakże połączyć troskę o dom i wychowywanie potomków z zarabianiem pieniędzy?

Uważał, że emancypantki są utopistkami, które chcą postawić na głowie cały świat. Jeżeli kobiety zaczną masowo studiować, politykować i prowadzić firmy, to rozpadnie się mnóstwo ognisk domowych. Albo po prostu wiele z nich nie rozgorzeje.

To były jego prywatne osądy, nie zdradzał ich przed nikim. Wiedział, że zarówno żona, jak i córka popierają działania sufrażystek. Gdyby przedstawił im swój punkt widzenia, zapewne zarzuciłyby mu, że ma skostniałe poglądy.

*Ech... Młodzi! Gorące głowy, na gwałt usiłują zmieniać odwieczny porządek* – westchnął. Chwilę później roześmiał się sam z siebie. Wszak i on wywracał porządek rzeczy, powierzając prowadzenie tartaku córce. Równie dobrze mógł go sprzedać. Za prosperujący biznes otrzymałby tak dużą gotówkę, że wystarczyłoby to do końca życia nie tylko jemu, ale również Aurelii. A jednak dał się przekonać doktorowi Ebersowi, gdy ten go namawiał do powierzenia przedsięwzięcia kobiecie. I musiał przyznać, że medyk się nie omylił. Aurelia miała głowę nie od parady i radziła sobie ze wszystkim nawet

wówczas, gdy się okazało, że została opiekunką młodych Litworów. Ale ona była wyjątkową osobką.

## Słotwiny

Ledwo bryczka pana Drzewickiego wtoczyła się na teren tartaku, zaraz zjawił się przy niej Witalis. Rusnak zgiął się wpół, uchylając kapelusza.

– Moje uszanowanie, dobrodzieju. Jak dobrze znowu pana widzieć – przywitał pryncypała, gdy ten opuścił ekwipaż.

– Dzień dobry, Witalisie. Cieszę się, że nareszcie wróciłem do domu!

– Jak minęła podróż z miasta? – zagadnął zarządca, bowiem nie widział się jeszcze z przybraną siostrą.

– Niezgorzej. O tej porze roku podróżuje się bardzo przyjemnie, choć w pociągu panował znaczny ścisk. Na szczęście zdołaliśmy kupić bilety w pierwszej klasie. W drugiej ludzie mocno się gnietli.

– A jakżeby inaczej? Wszak zaczął się sezon. Siła gości zjechało do Krynicy. A i w Muszynie oraz w Żegiestowie też nie narzekają na brak amatorów wypoczynku u wód. Hotele są znacznie obłożone. Słyszałem, że Porębski zdecydował się otworzyć pensjonat, mimo że nie wykończył pokoi na drugim piętrze. Przyjmuje na dolnych kondygnacjach. Ponoć stwierdził, że resztę oporządzi jesienią.

– Wycofał zamówienie? – zmartwił się Drzewicki, gdyż wzmiankowany człowiek zaklepał sobie w tartaku heblowane na gładko deski podłogowe.

– Ależ skąd! Zapłacił Jarząbkowi z góry i poprosił o przechowanie gotowego materiału do połowy września. Bał się, że jak teraz zrezygnuje, to później będzie musiał czekać kilka miesięcy na nowe, bo dobrze wie, przechera, że mamy huk

roboty i nie nadążamy z zamówieniami. Terminy się wydłużają, ale chętnym na razie niespecjalnie to przeszkadza, choć każdemu się spieszy.

– Nic dziwnego, skoro Krynica rozwija nam się, aż miło. Pamiętam, że jak nastaliśmy tutaj z ojcem, to wszystko było mocno podupadłe. Przy deptaku stało kilka lichych budynków zakwalifikowanych przez Austriaków do rozbiórki. Dworzec Zdrojowy wyglądał nędznie, a letników gościło tyle, co na lekarstwo. W tamtym czasie przybywali tutaj raczej ludzie mniej zamożni, bogacze wybierali Żegiestów bądź Duszniki w zaborze pruskim albo wręcz znacznie dalsze, zagraniczne wojaże. Mało kto wierzył, że doktor Dietl postawi uzdrowisko na nogi. Myślę, że gdyby dzisiaj mógł zobaczyć Krynice, oniemiałby z zachwytu. Piękne wille i pensjonaty wyrastają niczym grzyby po deszczu i z roku na rok przybywa kuracjuszy. Tylko patrzeć, jak doktor Ebers dopnie swego i zapewni naszej miejscowości prawa miejskie.

– Hotelarze na tym zyskają – przyznał Witalis. – Ale nie wszystkim będą w smak takie zmiany.

Nie musiał nic więcej mówić, Drzewicki dobrze wiedział, że mężczyźnie chodzi o Łemków, którzy nie trudnili się goszczeniem amatorów balneoterapii, lecz z dziada pradziada uprawiali ziemię, żyjąc z rolnictwa.

– Przecież twoi ziomkowie nic na tym nie tracą – zauważył Drzewicki.

– Ano nie, choć my są prości ludzie i pragniemy żyć w spokoju. Latem, kiedy jest najwięcej pracy, wszyscy mają urwanie głowy, bo każdy musi dopilnować roli, a i jeszcze trzeba obsłużyć kuracjuszy.

– I właśnie z tego względu lepiej byłoby, gdyby amatorzy wywcześniej zjeżdżali do Krynicy przez cały rok, a nie tylko latem. Gdybyśmy mieli kolej, to ludzie mogliby tu gościć



również wiosną czy zimą. Może wówczas lato byłoby spokojniejsze?

– Z całym szacunkiem, szefie, ale chyba sam pan nie wierzy w to, co mówi. Wątpię, by latem zjawiało się mniej kuracjuszy. Są tacy, co od dawna nas odwiedzają. Wracają każdego roku całymi rodzinami, przywożą ze sobą krewnych i znajomych. Z sezonu na sezon jest ich coraz więcej.

– A więcej, bo przybywa pensjonatów. Goście mają gdzie nocować, więc nas odwiedzają.

– Ale wie pan co, szefie? Ja też jestem za tym, by połączono nas koleją ze światem. Dzięki temu, że Krynica się rozwija, mamy ruch w interesie. – Witalis wrócił do wcześniejszego tematu.

Mężczyźni odeszli do biura, by omówić działalność tartaku pod nieobecność Drzewickiego. Z miejsca dołączył do nich buchalter, który przedłożył księgi rachunkowe oraz udzielił szczegółowych informacji o wszystkich dokonanych płatnościach. Zdał pryncypałowi nadwyżkę gotówki, a ta była niemała.

Drzewicki przeliczył pieniądze i zagwizdał z podziwu.

– No, no! Moi panowie, widzę, że nieźleście się tutaj spisali. No dobrze, idę teraz rozejrzeć się po placu – oznajmił. – Chodź ze mną, Witalisie.

Przez resztę dniówki zachodził w każdy zakamarek, wszystkiemu się przyglądał, zagadał z tym i owym robotnikiem. Chwalił panujący wokół porządek. Z satysfakcją stwierdził, że przedsiębiorstwo wciąż funkcjonuje niczym szwajcarski zegarek.

*Aurelia miała nosa – pomyślał – powierzając zarząd nad pracownikami Witalisowi. Przechera zna się na ludziach! Juraszko jest pracowity i sumienny jak mało kto. Daj Boże, by wszyscy tacy byli. W wygłaszaniu pochwał na głos zachowywał powściągliwość, choć doceniał solidnie wykonaną robotę.*

Postanowił jednak, że tym razem sownie wynagrodzi Witalisa za jego wysiłki. Wiedział, że Rusnak niedawno rozpoczął budowę domu. Zakupił nawet od Drzewickiego sporo drzewa. I choć o to szczególnie nie zabiegał, dostał wtedy spory rabat. Z pewnością będzie jeszcze potrzebował dodatkowych materiałów. Drzewicki zdecydował, że następny ładunek otrzyma za darmo jako formę premii.

# DZIECIĘCE RADOŚCI I SMUTKI

\$

## Krynica

Po powrocie do domu Staś postanowił od razu rozstrzygnąć zakład z siostrą. Do podwieczorku zostało jeszcze trochę czasu, ciotka Aurelia, Felicyna oraz Matylda zajęte były swoimi sprawami. Apolonia dostała wychodne. Rodzeństwo zdecydowanie nie miało ochoty na spędzanie czasu w pokoju dziecięcym, gdzie w tym momencie prym wiodły Adamczykówny. Teodozja ze zgrozą stwierdziła tylko, że jej najukochańszą lalką bawi się Konstancja. Już miała ochotę zabrać ją dziewczynce, gdy Staś odciągnął ją na bok, z obawy, by nie podniósł się zbędny krzyk.

– Chodź, głupia, co ci po lalce? Są ważniejsze sprawy do załatwienia.

– Ale ona popsuje mi Florkę.

– Nie uważasz, że jesteś za duża na zabawy lalkami?

– Może jestem już dużą panną, ale to nie oznacza, że mała ma niszczyć moje rzeczy. A tę lalkę zostawiłabym sobie na pamiątkę. Miałabym ją kiedyś dla moich dzieci.

Słyszając to, Staś przewrócił oczami. *Dziewczyny są takie głupie!* – zachnął się w duchu. Złapał siostrę za łokieć i pociągnął ją w stronę klatki schodowej, z której korzystali zazwyczaj posługacze. Zeszli na półpiętro tuż nad suteroną, w której ulokowana była kuchnia. Chłopiec wskazał niewielki schowek do przechowywania mioteł i innych akcesoriów.

– Schowaj się tam – poleciał siostrze.

– Ale tam jest ciemno i pewnie są pająki – zaprotestowała dziewczynka.

– Nie ma tam żadnych pająków, pozdychałyby z głodu. Pająki mieszkają w kuchni, bo tam lata dużo much.

– A skąd ty to możesz wiedzieć? – zaperzyła się Teosia.

– Trzeba było słuchać, co panna Apolonia mówiła o przyrodzie. Nie pamiętasz, jak ostatnio pytałem, czym żywią się pająki, a ona powiedziała, że muchami i innymi drobnymi owadami?

– Akurat to mnie nie interesuje. Ja się brzydzę pająków. A muchy latają wszędzie.

– Tak, ale najwięcej jest ich w kuchni, bo tam mają dużo jedzenia, a muchy są wiecznie głodne. No! Teoska... Nie jesteś chyba tchórzem? – podpuścił ją, tak jak zwykle to czynił, gdy czegoś odmawiała. Siostra na każdym kroku starała mu się udowodniać, że nie jest płochliwą panienczką.

– No dobrze, niech ci będzie – sapnęła przejęta.

Ukryła się w schowku i przez szczelinę obserwowała, jak brat siada na stopniach. Lada moment mogła tamtędy przejść Rozalia, którą wołano na górę do pokoi zajmowanych przez ciotkę Matyldę. Choć z Adamczykową przyjechała jej prywatna służba, Rozalia musiała czuwać nad wieloma sprawami, zanim obce osoby wdroszą się w życie domowe.

Rzeczywiście już po chwili rozległo się skrzypienie desek. Służąca sapała, wspinając się po schodach. W ostatnich czasach znacząco przytyła, czego nie omieszkała wytykać jej ochmistrzyni, twierdząc, że taka tusza świadczy o lenistwie. Rozalce jednak nie można było zarzucać braku chęci do pracy, a korpulencję zawdzięczała dobremu apetytowi. W domu Drzewickich nigdy nikomu niczego nie żalowano. Służba jadała dobrze i do syta.

– Wszelki duch Pana Boga chwali! – rozległ się krzyk służącej, która o mało nie potknęła się o siedzącego Stanisława. – A co panicz tu robi?

– Oj, Rozalko, Rozalko! Tak mi smutno i źle – wyjęczał chłopiec, pocierając oczy dłońmi zaciśniętymi w pięści, tak jakby chciał wytrzeć z nich łzy. W rzeczywistości był to dobrze przez niego wypróbowany sposób na to, by nadać oczom wygląd zapłakanych.

– A czegoż to źle paniczowi? – zapytała kobieta. – Burę panicz dostał od panny Apolonii? A może tęskno za Krakowem? Bo w wielkim mieście pewnie dużo ciekawiej niż na prowincji. Nudzi się panicz w Krynicy? – próbowała odgadnąć powód jego rozpacz.

– A gdzie tam, Rozalko! Nie wiesz, jaki smutny jest los sieroty? Ciotka Aurelia ma teraz urwanie głowy z gośćmi. Niańczy wciąż Konstancję i te dwie małe, co nic nie robią, tylko w kółko beczą. Dla mnie już nie ma czasu. A mnie tak smutno i źle – zawodził, pociągając wymownie nosem. – Nie ma mnie kto przytulić!

Służąca z westchnieniem umościła się na stopniu. Przygarnęła dziewięciolatka ramieniem.

– Oj, biednyś ty, dzieciaku, biedny – ulitowała się nad sierotą. – Twoja ciocia to szlachetna osoba, na pewno niebawem znajdzie dla ciebie czas. Ma teraz dużo trosk – tłumaczyła łagodnie. – Już ja tam dobrze wiem, jak to jest być sierotą. Moja matula odeszła, gdy byłem małą dziewczynką – oznajmiła.

Chłopiec wydał z siebie kilka nieartykułowanych dźwięków, jakby szlochał.

Siedząca w schowku Teosia zdusiła śmiech. Z jej brata był niezły aktor, mógłby dawać pokazy w Teatrze Modrzewiowym, do którego chodzili z ciotką Aurelią lub dziadkami, gdy wystawiano spektakle dla dzieci. Dobrze wiedziała, że Stasiowi wcale nie jest smutno, a cała żalność jest udawana.

*Nieźle to sobie wymyślił!* – stwierdziła z uznaniem, zerkając przez szczelinę, jak Rozalia przytula i głaszcze chłopca po głowie. Widać było po minie Stasia, że trochę go to irytuje. Marszczył zabawnie nos, jakby przeszkadzał mu zapach unoszący się wokół kobiety. Taki widok wart był nawet przegranego zakładu, bo czuła, że będzie musiała obejść się bez deseru.

– Niech już panicz nie płacze, bo i mnie smutno. Będzie dobrze, paniczu...

– Kiedy mnie tak gorzko w gardle, jakby mnie kto napoił rycyną.

Kobieta poczochnęła go po głowie.

– Na taką gorycz będzie dobry deser – oznajmiła. – Petronela przygotowała ciasto z rabarbarem.

– Łee! Z rabarbarem? – kaprysił Stanisław. – Ja bym wolał leguminę albo budyń z konfiturami.

– Dzisiaj leguminy nie będzie – odparła.

– Och! Co ja bym dał za odrobinę konfitury... – rozmarzył się chłopiec. – Narobiła mi Rozalka smaku. – Spojrzał wymownie na kobietę, choć w rzeczy samej to nie ona rozpoczęła wątek konfitur. – Mateczka moja kochana na pewno by mi przyniosła konfitury. Zawsze mnie nimi karmiła, gdy coś mi doskwierało. Mówiła, że nic nie poprawia humoru skuteczniej. – Łypnął okiem na służkę. – Oj, biedny jestem, biedny, bo mateczkę mam w grobie. A ciotka nie ma dla mnie i Teosi aż takiego zrozumienia.

– Nie wierzę, że pani Aurelia jest aż tak nieczuła. – Skołowana Rozalia westchnęła ciężko. – No niechże już panicz nie marudzi. Pójdę do kuchni i zapytam Petronele, czy nie mogłaby mi nałożyć odrobinę łakoci na spodek.

– Odrobinę? Na spodek? – jęknął Staś. – A co ja jestem jakiś kociak, żeby wylizywać salaterki? Ale jakby tak Rozalka

przyniosła mi cały słoiczek... Oj, byłbym bardzo szczęśliwy! Na pewno poprawiłby mi się humor – mówił z takim przekonaniem, że służąca nie dopatrzyła się w tym żadnego podstępu.

– A skądże ja ci wytrzasnę cały słoik?

– Rozalko, moja kochana, Rozalko złocista – paplał, naśladując wcale udanie pana Rapackiego, którego kiedyś podsłuchał, gdy ten zalecał się do ciotki Aurelii. – W spiżarni stoją słoiczki. Dużo ich jest, widziałem na własne oczy, nikt by tego nie porachował. Choćby zniknął nie jeden, a dziesięć, Petronela w życiu się ich nie doliczy.

– Ale to nieładnie tak postępować.

– A czy ja Rozalkę namawiam do złego? Ja tylko mówię, co by mi poprawiło humor.

– No dobrze... Pomyślę, jak to zrobić, ale niech już panicz nie płacze, dobrze? Proszę wracać do pokoju dziecinnego. Zajrzę tam później, ale musi mi Staś obiecać, że kiedy się zjawię, to dyskretnie załatwimy sprawę konfitur. Tak aby dziewczynki niczego nie zauważyły, bo będzie płacz. Albo, co gorsza, by nie przyłapała nas panna Apolonia.

Stanisław z trudem zapanował nad mimiką, ponieważ kąciki ust ciągnęły wyraźnie w górę, a on nie chciał okazywać nadmiernej radości. Pokiwał tylko głową, że się zgadza.

Tego dnia Teodozja z wielkim żalem oddała bratu swój kawałek ciasta rabarbarowego posypanego zacnie kruszonką. Nie próbowała z nim dyskutować na temat metod postępowania. Wszak cel uświęca środki! Doskonale zapadły jej w pamięć te słowa, padające nader często z ust rodziców, choć wtedy nie do końca zdawała sobie sprawę z tego, co one oznaczają. Pamiętała jednak, że pewnego dnia zapytała matkę o ich sens. I wówczas mama wyjaśniła, że czasami, jeśli komuś na czymś bardzo

zależy, robi coś w sposób, który niekoniecznie podoba się innym. Napomniała ją od razu, że dobrze wychowana panienska, gdy musi skorzystać z jakiegoś podstępu, dokłada starań, by zrobić to tak, aby nikt się w niczym nie zorientował.

Pod tym względem mama była zabawniejsza od cioci Aurelii, ta bowiem wciąż kładła w głowę jej oraz Stanisławowi, że nigdy pod żadnym pozorem nie wolno postępować niegodnie.

\$

– Aurelio, powinna pani bardziej pilnować dzieciaków wziętych pod opiekę po świętej pamięci Emilce. Biedna Litworowa pewnie przewraca się w grobie, widząc, co te niebożęta wyczyniają!

Aurelia struchlała, słysząc słowa Wojnarowej. Mogła przypuszczać, że wizyta największej okolicznej plotkary oznacza jakieś kłopoty. Wojnarowa, prócz tego, że namiętnie oddawała się plotkom, gościła w swoim pensjonacie licznych kuracjuszy. Rzadko więc podczas sezonu letniego zjawiała się u kogokolwiek w celach li tylko towarzyskich. Musiało ją więc przyznać do domu Pod Lipami coś istotnego.

Drzewicka cieszyła się, że przy tej rozmowie nie ma absolutnie nikogo. Felicjta po podwieczorku zabrała całą gromadkę dzieci do ogrodu. Matylda była zmęczona i oznajmiła, że idzie się położyć, a Ksawery jeszcze nie zdążył wrócić z tartaku. Jeśli więc jej podopieczni znowu coś zwojowali, nikt prócz niej o tym się nie dowie.

Każdą porażkę wychowawczą traktowała bardzo osobiście. Ilekroć ktoś przychodził na skargę w sprawie dzieci, odczuwała podwójną przykrość. Po pierwsze dlatego, że znowu było jej wstyd i musiała za nich świecić oczami, a po drugie, czuła się wtedy bezsilna i całkowicie niezaradna w charakterze opiekunki.



Drżącym ze zdenerwowania głosem zapytała kobietę o to, co tym razem zmalowali jej podopieczni. Wojnarowa z wypiekami na twarzy opowiedziała o przyłapaniu rodzeństwa na podglądaniu kuracjuszek przez dziury w parkanie Zakładu Kinetoterapii.

– Pani Aurelio, przecież im potrzebna jest ojcowska ręka! Pani jest dla nich zdecydowanie zbyt łagodna. Dzieci trzeba trzymać twardo, dyscyplinować je na każdym kroku, ale cóż pani może o tym wiedzieć, skoro nigdy nie miała pani własnych? Rozumiem, że z cudzymi jest znacznie trudniej. Póki żyli Emilia oraz Dionizy, ich dzieci nie sprawiały kłopotu. Nigdy nie było ich nigdzie ani widać, ani słyhać. A teraz ta dwójka rozrabia na potęgę!

Aurelia ugryzła się w porę w język, chciała bowiem przypomnieć Wojnarowej, że w chwili gdy pochowano Litworów, ich dzieci miały odpowiednio: Staś pięć, a Teodozja siedem lat, więc były w wieku, gdy nikt nie pozwalał im na samotne wędrówki po okolicy. Trudno jednak trzymać dziewięciolatka i jedenastolatkę pod nieustannym dozorem. Zamiast tego usprawiedliwiła się za podopiecznych.

– Bardzo mi przykro z tego powodu. Pouczałam już nieraz Stanisława, że w ogóle nie powinien tam się plątać.

– Samo pouczanie nie wystarczy. – Matrona prychnęła, wydymając wargi. – Tutaj przydałaby się różga.

Aurelia zadygotała wewnątrz na samą myśl o wymierzaniu dziecku aż tak dotkliwej kary. Sama nigdy nie dostawała lania od przybranych rodziców. Paraska i Nazarym wychowywali swe potomstwo z ciepłem i miłością. Żadne z ich dzieci nie było bite. Ona także nie zamierzała podnosić ręki na swoich wychowanków.

– Tak, tak – odparła z roztargnieniem. – Dopilnuję, by więcej ich tam nie widywano.

Wiedziała, że może być problem z wywiązaniem się z tej obietnicy. Przecież nie zamknie podopiecznych w domu! Nie może też chodzić za nimi krok w krok. Jak na złość pensjonat należący do Wojnarów znajdował się niemalże po sąsiedzku z zakładem doktora Skowrońskiego.

– Ja wiem, Aurelio, że jest pani poczciwą osobką. O pani szlachetności świadczy już samo to, że przygarnęła pani te nieszczęsne sierotki, chociaż należało scedować opiekę nad nimi na Klarę. Wszak to ich najbliższa krewna. A pani, o ile wiem, nawet nie jest z nimi spokrewniona. Jest to więc tym bardziej godne pochwały. Niemniej jednak może warto byłoby pomyśleć o tym, by zapewnić dzieciom ojcowską rękę? Nie jest pani jeszcze aż tak posunięta w latach, by nie znaleźć sobie męża. Mężczyzna w sile wieku przydałby się bardzo w tym domu.

Drzewicka spłonęła rumieńcem. Już szykowała ripostę, gdy do bawialni zajrzała pokojówka i zapowiedziała kolejnego gościa.

– *Madame*, przyszedł pan Filip Rapacz – oznajmiła, dygając.

Wojnarowa spojrzała wymownie na panią domu.

– No... Widzę, że jednak podejmuje pani jakieś rozsądne kroki. Może więc nie na darmo doktor Ebers tak panią wychwala. Twierdzi, że jest pani bardzo rozumną kobietą.

– Bez wątpienia doktor jest tutejszym autorytetem – odparła Aurelia, ponownie gryząc się w język, gdyż już ją korciło, by dodać, że w przeciwieństwie do niektórych osób nie miesza się w nie swoje sprawy.

Na szczęście do salonu wszedł zapowiedziany gość. Widząc znaną w okolicy plotkarę, zatrzymał się w pół kroku. Na ustach mężczyzny zagościł szelmowski uśmieszek.

– Padam do nówek szanownym paniom. – Szarmancko uklonił się starszej z kobiet, a następnie podszedł do Aurelii, ujął jej dłoń i ucałował. – *Madame*, jak dobrze panią widzieć po tak

długiej nieobecności w Krynicy. Mniemam, iż wypoczęła już pani po trudach podróży.

– Dziękuję, panie Rapacz. Zechce pan spocząć. – Wskazała mu fotel.

– Zostawiam państwa samych. – Wojnarowa podniosła się energicznie.

– Ależ proszę nie odchodzić – zachęciła ją Aurelia, choć w rzeczy samej liczyła na to, że wizyta niespodziewanego gościa dobiegnie końca.

– O nie, nie! Moja droga pani Aurelio, czas na mnie. Obowiązki wzywają do pensjonatu. O tej porze roku trudno jest o dłuższe towarzyskie wizyty. Proszę sobie wziąć do serca to, co pani powiedziałam – dodała na odchodnym.

Chwilę później, gdy odeszła, Filip zapytał:

– Jakichże porad udzielała pani *madame* Wojnarowa? Jeśli można wiedzieć, rzecz jasna.

Aurelia spłonęła rumieńcem.

– Ach... Drobiazg. Wygłosiła tylko kilka komentarzy dotyczących wychowywania dzieci. – Zasadniczo niewiele minęła się z prawdą. Ufała, że takie wyjaśnienie wystarczy Rapaczowi.

– No tak, to zrozumiałe. Każda matrona, która odchowała własne pociechy, a co więcej: doczekała się wnuków, uważa, że ma prawo do pouczania innych. Czy jej rady są chociaż przydatne?

Aurelia poczuła, że policzki jej płoną. Nie wiedziała bowiem, jak dużo mężczyzna zdążył usłyszeć z ich rozmowy, nim wszedł do bawialni. Był najwytrwalszym spośród jej konkurentów. Dwukrotnie oświadczał się o jej rękę i dostawał rekuzę. Nie zrażał się jednak i wciąż regularnie przychodził z wizytami. Był sympatycznym człowiekiem, więc Drzewicka godziła się na jego obecność. Czasami wychodziła z nim na spacer po okolicy.

Była wdową, nie musiała zatem szczególnie mocno przejmować się reputacją. Miała nawet w tym względzie niejaki wyrzut sumienia, ponieważ obawiała się, że za każdym razem, gdy okazuje Filipowi odrobinę grzeczności, on może sobie to poczytywać za coś znacznie więcej i robić nadzieję na małżeństwo.

Właściwie nie chciała ponownie stawać na ślubnym kobiercu. I nie chodziło tutaj wyłącznie o tęsknotę za zmarłym mężem. Przede wszystkim obawiała się tego, jak w takiej sytuacji odnalazłyby się dzieci. Czy nie poczułyby się zagrożone lub, co gorsza, odrzucone albo zaniedbywane? To zrozumiałe, że nie była dla nich najważniejsza. Tęskniły za swoją matką. Ale chciała, by czuły się bezpieczne w jej domu. Pojawienie się mężczyzny mogłoby wiele skomplikować. Zwłaszcza gdyby jakimś cudem los pobłogosławił ją i nowego męża dzieckiem.

Emilia nie powiedziała tego wprost, nie napisała także tego dosadnie w swoim liście, ale między wierszami Aurelia wyczytała, że powierza jej opiekę nad Stasiem oraz Teodozją właśnie dlatego, że Aurelia nie ma własnych dzieci. Będzie mogła w całości poświęcić swą uwagę sierotom.

– Proszę wybaczyć, pani Aurelio – przemówił mężczyzna – ale w rzeczy samej usłyszałem przed momentem znacznie więcej, niż mógłbym sobie życzyć i niż pozwala dobre wychowanie. Zapewniam, że wołałbym nie być niemy uczestnikiem tej wymiany zdań. Być może powinienem udawać, że nic takiego nie miało miejsca. Niemniej jednak nie mogę się nie zgodzić z panią Wojnarową. Kobiecie niezamężnej znacznie trudniej jest być matką dla osieroconych dzieci. Pani Aurelio, wiem, że to może mało romantyczne okoliczności, ponieważ powinienem przyjść z bukietem róż i pokłonić się najpierw państwu Drzewickim, lecz proszę baczyć na to, że próbowałem już dwukrotnie ze wszystkimi szykanami, które są mile widziane w

tych okolicznościach. Uczucia, którymi panią darzę, są trwałe i niezmiennie, czego dowodem niech będzie to, że zawsze mam przy sobie pierścionek, którego nie chciała pani ode mnie przyjąć – wyjaśnił, klękając przed Aurelią i wyjmując z kieszeni surduta obciążnięte aksamitem puzderko. – Pani Aurelio, najdroższa moja, wysniona... Czy uczyni mi pani ten zaszczyt i zostanie moją żoną?

Kobieta westchnęła. Stała niczym wmurowana w podłogę, nie mogąc wykonać żadnego gestu. Z zaskoczeniem spoglądała na Filipa. Nagle przysła jej do głowy dość niedorzeczna myśl, że mężczyzna wyskoczył jak porzekadłowy filip\*\*\*\* z konopi. Omal nie parsknęła śmiechem mimo powagi sytuacji.

Czy powinna wyrazić zgodę?

Szukała odpowiedzi w sercu, lecz ono uporczywie milczało. Rozum podpowiadał, że powinna przyjąć pierścień od Rapacza. W minionych kilku latach zdążyła się wielokrotnie przekonać, że bez mężczyzny jest dość trudno pod wieloma względami.

Nie zawsze będzie miała przy sobie Ksawerego.

Nie może także liczyć, że Witalis będzie na każde jej skinienie. Być może pewnego dnia przyszywany brat zechce założyć rodzinę i skupi na niej uwagę. Owszem, pozostanie w tartaku, ale w każdej innej sprawie będzie musiała sobie radzić bez jego pomocy.

*Och! Cóż za chłodna kalkulacja?* – jęknęła w duchu.

Filip widział wahanie na jej twarzy.

– *Madame*, wiem, że zaskoczyłem panią moją propozycją, choć uważam, że mogła się jej pani spodziewać, wszak przychodzę tutaj regularnie i nigdy nie kryłem się z moimi uczuciami. Jeżeli jednak potrzebuje pani kilku dni do namysłu, chętnie poczekam. A gdy już powie pani „tak”, zapewniam, że uczynię wszystko, co w mojej mocy, by panią uszczęśliwić. I będę oddanym opiekunem dla Stanisława i Teodozji.

– Owszem, panie Filipie, przyznaję, że mocno mnie pan zaskoczył. Rzeczywiście potrzebuję paru dni, aby przemyśleć pańską ofertę.

– Zatem daje mi pani cień nadziei?

Delikatnie skinęła głową.

– Już i tak jestem szczęśliwy, bo to znacznie więcej, niż uzyskiwałem do tej pory. Poczekam tak długo, jak tylko będzie to konieczne. Ufam, że dokona pani najlepszego wyboru. Takiego, który uszczęśliwi wszystkich.

Spoglądał na nią z ogromnym żarem.

Czy była gotowa na to, aby znowu mieć u swego boku mężczyznę? Dzielić z nim życie i łożę?

Filip ujął jej rękę i złożył na niej pocałunek.

– Proszę już wstać z kolan. Jeszcze ktoś tu przyjdzie. – Oprzytomniała, gdyż minęła dłuższa chwila, odkąd przed nią ukłęknał.

Późnym popołudniem niebo zaniósło się ciężkimi ołowianymi chmurami. Filip dość szybko odjechał, chciał zdążyć do domu, nim rozpęta się burza. Ta na szczęście obeszła Krynicę bokiem, choć chmury nie poskąpiły deszczu. Wieczór zapadł nadzwyczaj szybko, więc zgromadzona w bawialni rodzina skupiła się w kręgu światła rzucanym przez lampę naftową.

Aurelia siedziała pogrążona w głębokiej zadumie. Dzień obfitował we wrażenia, odczuwała więc zmęczenie i niemalże nie brała udziału w salonowych pogawędkach. Wprawdzie w dłoniach trzymała rozłożoną książkę, lecz wyjątkowo nie potrafiła skupić uwagi na lekturze. Wiedziała, że Ksawery i Felicjta chcieliby ją zagadnąć o wizytę Rapacza, lecz nie zrobią tego, nim dzieci nie odejdą na nocny spoczynek. W domu bowiem przestrzegano zasady, że o pewnych sprawach nie dyskutuje się w obecności małoletnich. Mimo emocji

związanych z propozycją mężczyzny nie zapomniała, że Stasiowi należy się bura. Wyczekiwała tylko na stosowny moment. Nie chciała go łącać w obecności pozostałych domowników, na pewno byłoby mu przykro, gdyby w taką rozmowę włączyli się dziadek i babcia. Zresztą po co miałyby denerwować leciwych rodziców chłopięcymi figlami?

W jej odczuciu przewina Stanisława nie była znowu aż tak wielka. To raczej pani Wojnarowa wyolbrzymiała sprawę. Aurelia, gdy już nieco ochłonęła po jej wizycie i oczywiście późniejszym wystąpieniu Filipa, gotowa była bronić swego podopiecznego. Wszak chłopiec brał przykład z dorosłych! To nie on porobił w parkanie dziury, lecz ciekawscy panowie. Gdyby nie kręcili się w tamtym rejonie w wiadomych celach, Stasiowi z całą pewnością nie przyszłoby na myśl, by podglądać pacjentki doktora Skowrońskiego. On po prostu, wiedziony zwyczajną dziecięcą ciekawością, chciał sprawdzić, na co patrzą inni. Naśladował dorosłych!

Bura jednak mu się należała. Niezbyt ostra.

Przestronne pomieszczenie tonęło w półmroku. Lampa naftowa otoczona siatką Auera dawała dość mocne i jasne światło, udanie naśladowujące to pochodzące z lamp gazowych, lecz niewystarczające do tego, by oświetlić cały pokój. Nagle na karty powieści padł lepki czarny płat. Aurelia zadarła głowę. Jednocześnie usłyszała pisk Teosi.

– Lampa znowu filuje!

– Ach ta Rozalka! – zdenerwowała się Felicycia. – Dziesiątki razy napominałam ją, by sprawdzała knoty w lampach, nim je zapali.

Wydobywająca się od dłuższego czasu smużka sadzy, na którą nikt nie zwrócił wcześniej uwagi, unoszona ciepłem osadziła się na suficie. A teraz sypały się z niego wielkie czarne płatki, które

momentalnie się do wszystkiego kleiły i były niezwykle trudne do usunięcia.

– Rozalio! – wykrzyknęła Aurelia. – Lampa filuje! Jak dobrze, że Matysia została w swojej sypialni. Na pewno by się przeleżała tego diabelskiego opadu – stwierdziła, gdyż lepka sadza do złudzenia przypominała czarny śnieg.

W salonie momentalnie powstał ruch, bowiem nauczenni złym doświadczeniem domownicy rzucili się ku drzwiom. A ponieważ byli już po kolacji, Aurelia zarządziła, by dzieci od razu poszły spać do swoich pokoi.

– Za kwadrans zajrzę do każdego z was, by sprawdzić, czy leżycie w łózkach – oznajmiła podopiecznym.

Rozeszli się wszyscy, ponieważ główny salon nie nadawał się do użytku. Zapewne nawet następnego dnia nie będzie można w nim przebywać, ponieważ uprzątnięcie paskudztwa bywało nader uciążliwe i pracochłonne. Pokojówki już biadoliły na temat czekającej je żmudnej pracy.

Aurelia poszła najpierw do buduaru matki, gdzie zastała Felicytę oraz Ksawerego. Rodzice rzeczywiście zagadnęli ją o wizytę Filipa, więc zgodnie z prawdą opowiedziała o tym, jak jej się oświadczył.

– No i co zamierzasz? – dociekała matka.

– Nie wiem – westchnęła.

– Filip Rapacz to przyzwoity i godny zaufania człowiek. Jeśli zdecydujesz się na zamążpójście, rad będę przyjąć go pod nasz dach jako zięcia – odparł Ksawery.

– Nie żebyśmy cię nakłaniali, córeczko, lecz zważ na to, że pewnego dnia nas zabraknie.

– Są jeszcze dzieci – przypomniała Aurelia.

– Ale i one pewnego dnia wyfruną w szeroki świat.

– Któreś z nich może zechcieć tutaj pozostać. Teodozja na przykład...



– Daj Boże. Byłabym jednak spokojniejsza, wiedząc, że nie czeka cię samotna starość.

Aurelia uśmiechnęła się nieznacznie. *Cała mateczka! Troszczy się o coś, co jest odległą przyszłością. A może nie tak znowu odległą?* – zreflektowała się nagle.

Po kilku minutach rozmowy oznajmiła, że musi zajrzeć do dzieci.

Staś nie spał. Leżał grzecznie w łóżku, robiąc minę słodkiego, niewinnego aniołka. Ten widok zawsze ją rozczulał. Przecież chłopczyk o takiej twarzy i ufnym wejrzeniu szarych oczu nie może być zły. Nie psoci po to, by komukolwiek sprawić przykrość, lecz jedynie dlatego, że jest ciekawy świata, trochę niesforny i miewa trudności z odróżnianiem tego, co dobre, od zła.

W kilku łagodnych zdaniach oznajmiła mu, że wie o podglądaniu pań w Zakładzie Kinetoterapii. Wyjaśniła, że postąpił nieładnie, co ją ogromnie zasmuciło. I oczekuje, że Staś więcej tak nie będzie robił. Oczy podopiecznego momentalnie zaszkliły się łzami.

– Ciotucho moja najukochańsza – wyłkał. – Przepraszam cię bardzo. Nie wiedziałem, że źle czynię – dodał, chociaż ten temat już był poruszany w domu. – Daję słowo, że nigdy więcej tak nie postąpię, tylko nie karz mnie odbieraniem deseru, bo to wielka krzywda.

No i jak mogłaby mu nie wybaczyć?

Pogłaskała podopiecznego po głowie. Jeszcze raz napomniała go, by nie przysparzał jej trosk, po czym wzięła przyniesioną ze sobą lampę naftową i odeszła.

Zajrzała do pokoju Teosi, lecz okazało się, że dziewczynka śpi. Wycofała się więc po cichu.

Kiedy Teodozja usłyszała kroki nadchodzącej Aurelii, odwróciła się tyłem do drzwi i naciągnęła kołdrę niemalże po czubek głowy. Po chwili usłyszała szept.

– Śpisz już, Teosiu?

Nie odpowiedziała. Leżała nieruchomo, markując sen. Skoro ciotka nie miała dla niej czasu w ciągu dnia, to teraz niech ją zostawi w spokoju. A najlepiej niech sobie wraca do Konstancji, Wisi i Izy!

# NIEŁATWE DECYZJE

## \$

### Krynica

Przyjazd do Krynicy wyrwał Matyldę z kokonu otępienia. Przygotowania do podróży, pakowanie kufrów, a następnie jazda koleją wymagały od niej przynajmniej odrobiny zaangażowania. Musiała wstać z łóżka i zacząć normalnie funkcjonować. Dopilnować wielu spraw. Przecież nie mogła cedować wszystkiego na Aurelię, już i tak zawdzięczała przyjaciółce bardzo dużo. Sama obecność bliskiej osoby w tych trudnych chwilach była na wagę złota, a propozycja gościny w Krynicy spadła jej po prostu z nieba. Nie wyobrażała sobie bowiem, co miałyby ze sobą zrobić w sytuacji, gdy mąż zmarł, a Zuzanna postanowiła wyprowadzić się do Lwowa. Mimo że przez większość czasu, który upłynął pomiędzy pogrzebem a wyjazdem, Adamczykowa przebywała w swym buduarze, orientowała się w wielu sprawach. Problemy przebijały się przez warstwę obojętności, docierały do umysłu i tłamsiły serce.

Odczuwała ogromną wdzięczność dla przyjaciółki. Wszak Aurelia mogła zaraz po pogrzebie wyjechać do Krynicy, zostawić Matyldę samą sobie. To dawało Adamczykowej mocno do myślenia. Nie mogła być niewdzięcznicą wobec tak wielu życzliwych gestów. Kiedy więc ulokowano ją już w domu Pod Lipami i odpoczęła po podróży, przełamała wewnętrzną niechęć przed kontaktami z ludźmi. Starła się jak najczęściej

przebywać z dziećmi albo z Drzewickimi. Przesiadywała w ich salonie, wychodziła na spacer. To w żaden sposób nie koło tęsknoty za Sewerynem i nie wyciszało wyrzutów sumienia. Wiedziała jednak, że takie postępowanie jest słuszne i właśnie tego wszyscy od niej oczekują. Była odpowiedzialna za życie, które nosiła pod sercem. Gdyby maleństwu przydarzyło się coś złego, nigdy by sobie tego nie wybaczyła.

Na szczęście doktor Maksymilian, który dotarł do Krynicy mniej więcej w tym samym czasie co rodzina Drzewickich wraz z Matyldą, zbadał ją tuż po przyjeździe i ocenił jej stan jako nader zadowalający. Owszem, narzekał na kondycję psychiczną pacjentki. Nakazywał kategorycznie, by jak najwięcej spacerowała, pijała wody źródlane, a także by korzystała z dobrodziejstw kinetoterapii oferowanych przez zakład doktora Skowrońskiego. Ponownie także wysłał ją na konsultację do Skórczewskiego, który ustalił nową dietę dla ciężarnej. Skarżyła się na brak apetytu, a lekarz tłumaczył, że musi się dobrze odżywiać dla dobra dziecka.

Od kilku tygodni odnosiła wrażenie, jakby żyła w wielkiej bańce mydlanej, wiele bodźców wciąż bowiem do niej nie docierało. Odcięta była od większości zmartwień. Nie musiała podejmować żadnych decyzji, prowadzić domu, opłacać rachunków. Była ze wszech miar życzliwie podejmowanym gościem. Przeczuwała jednak, że wkrótce owa bańka pryśnie i trzeba będzie zmierzyć się z życiem jako takim.

Z całą pewnością czekały ją jakieś rachunki do opłacenia. Krakowskie sprawy nie zostały pozamykane, a jedynie zawieszono na czas jej nieobecności. Pewnego dnia będzie zmuszona tam powrócić, by przejrzeć dokumenty, które zostały po Sewerynie, i zagłębić się w stan własnych finansów. Komuś postronnemu mogłoby się to zdawać niewiarygodne, ale nie

miała większego wyobrażenia na temat majątku, który posiadali wraz z mężem.

Wiedziała, że jej posag w znacznej części został przeznaczony na wyremontowanie mieszkania w kamienicy. Stało się tak zresztą na jej życzenie, ponieważ tuż po zamążpójściu stwierdziła, że w ogóle nie podoba jej się niemodny i staroświecki wystrój wnętrz. W tamtym czasie lokum sprawiało wrażenie ponurego: ciemne obicia ścian, ciemne meble i ciężkie portierey w oknach nie dodawały mu uroku. Ona pragnęła jasnych, nowoczesnych form, skąpanych w blasku światła elektrycznego. Seweryn nie protestował przeciwko zmianom. Pozwolił jej, by urządziła małżeńskie gniazdko według własnego smaku i upodobań. Wydała wówczas lekką ręką mnóstwo pieniędzy. Na dodatek nigdy nie żałowała sobie na stroje, kapelusze oraz buty.

Z biegiem czasu do listy potrzeb doszły także ubranka i rzeczy niezbędne dla dzieci. A kiedy Matylda narzekała, że mąż wciąż przebywa w biurze, ten przypominał, że ktoś musi zarabiać na potrzeby rosnącej rodziny. Z całą pewnością więc nie pokrywał tego wszystkiego z przychodów, które uzyskiwał z wynajmu mieszkań w kamieniczce. Zresztą budynek ów nie był szczególnie duży i to właśnie Adamczykowie zajmowali w nim najpiękniejsze mieszkanie obejmujące pierwsze i drugie piętro.

A co z udziałami w kancelarii? Czy z tego tytułu należały jej się jakieś pieniądze?

Od Tytusa na razie nie dowiedziała się absolutnie nic. Strzeleccy wciąż podróżowali. Przysyłali dość lakoniczne listy z kolejnych etapów wyprawy. Zwiedzili już południe Włoch, a teraz mieli w planach wyjazd do Lwowa, gdzie zamierzali rozejrzeć się za nowym lokum. Nie kryli przed Matyldą, że Tytus zamierza tam przenieść swoje interesy. Dla niej był to dotkliwy cios oznaczający, że nie będzie mogła liczyć na pomoc

ze strony szwagra nawet w tak prostej sprawie jak wyjaśnienie kwestii materialnych.

Nie torturowała się czytaniem prasy, którą dostarczano z Krakowa, lecz wiedziała, że pismacy wciąż szkalują dobre imię jej zmarłego męża. Właściwie nie mogła się dziwić, że Strzeleccy wybrali najprostsze rozwiązanie, czyli ucieczkę, mimo iż zła opinia mogła przecież dotrzeć za nimi również do Lwowa.

Na razie Matylda te wszystkie przemyślenia spychała na bok. Słuchała życzliwych rad Aurelii i skupiała uwagę na sobie, dzieciach oraz maleństwie, którego oczekiwała jesienią. Zanim zmarł Seweryn, planowała, że przyjedzie do Krynicy w maju, by spędzić u przyjaciółki parę tygodni, a na lato powróci do Krakowa i tam poczeka na rozwiązanie. Ten plan spełził na niczym. Już wiedziała, że najmłodszy potomek przyjdzie na świat tutaj, u stóp Góry Parkowej.

Drzewiccy w porozumieniu z doktorem Maksymilianem zadbali o to, aby miała solidnie wypełniony czas. Nie pozostawiali jej miejsca na nudę ani tym bardziej na rozpacz. W ciągu dnia wciąż była zajęta. Nieustannie ktoś jej towarzyszył. Posiłki jadała razem z rodziną oraz gospodarzami. W każdej wolnej chwili zajmowała się dziećmi. Przed południem chodziła na zabiegi wodolecznicze, pijała kryniczankę w pięknym budynku Domu Zdrojowego, spacerowała deptakiem w towarzystwie Felicyty oraz córek i młodych Litworów.

Aurelia z reguły wracała z tartaku w porze obiadowej, potem spędzała resztę dnia z podopiecznymi oraz przyjaciółką. Ze względu na ciężę Matyldy dłuższe wyprawy były niemożliwe. W przeciwnym razie Drzewicka na pewno nie raz wyciągnęłaby ją na bardzo długi spacer. Ale i tak chodziły we

wszystkie możliwe miejsca, gdzie dama pogrążona w żałobie i na dodatek brzemienna mogła się pojawiać.

Drzewicka cieszyła się, że Adamczykowa tak dobrze sobie radzi po śmierci Seweryna. Martwiła się jednak o jej przyszłość. Matysia miała dość niepraktyczną naturę, nie przywiązywała wagi do spraw finansowych. Żyła chwilą.

Aurelia, choć nigdy nie zabiegała o pieniądze, znacznie lepiej orientowała się w kwestii prowadzenia rachunków domowych. I czuła, że to na niej spocznie obowiązek zadbania o dochody przyjaciółki. Już sobie obiecywała, że jak tylko Tytus przyjedzie do Krakowa, wyruszy tam, aby odbyć z nim poważną rozmowę na temat finansów wdowy. Zakładała, że Strzelecki prędzej czy później pojawi się w mieście. Wszak musiał przenieść swe interesy do Lwowa, a tego nie da się zrobić na odległość. Na pewno miał do rozliczenia i pozamykania wiele spraw, w tym również te po zmarłym szwagrze.

Jeśli Seweryn zabezpieczył przyszłość swojej rodziny, to z całą pewnością wiedzę na ten temat posiadał Tytus. Aurelia wątpiła, by człowiek tak przezorny jak wuj polegał wyłącznie na swojej bieżącej pracy. Była głęboko przekonana, że nie wydawał wszystkich zarobionych przez siebie pieniędzy. Pytanie tylko: w co je zainwestował? Na ile miała rozeznanie w sytuacji, wiedziała, że kamienica przy Małym Rynku od dwóch pokoleń należy do rodziny Adamczyków. Jak na miejskie warunki nie była duża, ale z wynajmu mieszkań na pewno wpływał stały miesięczny dochód.

Dokąd trafiały te pieniądze?

Kiedy próbowała o to delikatnie zagadnąć Matyldę, ta tylko wzruszyła ramionami i powiedziała, że o niczym nie ma pojęcia.

*Och! – westchnęła ciężko Drzewicka. – Jak można być do tego stopnia lekkomyślną i polegać wyłącznie na mężu? Nie jest dobrze, że kobiety są tak bardzo zależne od mężczyzn. Powinnyśmy być zdecydowanie samodzielniejsze.*

Od kilku dni panował niemiłosierny skwar zmuszający kuracjuszy do szukania ochłody w cieniu drzew oraz parasoli. W kawiarniach nie nadążano z serwowaniem lodów oraz lemoniady. Deptak znacząco się wyludnił, za to park zdrojowy oblegany był przez spacerowiczów.

Matylda miała w planach wizytę w zakładzie wodoleczniczym, gdzie regularnie poddawała się dobroczynnym działaniom kąpeli. Same zabiegi były nader przyjemne i relaksujące, działały orzeźwiająco podczas upałów. Dla ciężarnej wdowy uciążliwością był jednak spacer w czarnej żałobnej sukni i kapeluszu z woalem – nawet tak krótki. Na widok jej cierpiętniczej miny w Felicynie odezwał się bunt przeciwko odwiecznym tradycjom.

– To niedorzeczne, by w tak gorący dzień katować się noszeniem ciemnych strojów. Moje dziecko! Gotowa jesteś zemdleć krótko po tym, jak opuścisz dom.

– Nic na to nie poradzę, muszę wyjść. – Adamczykowa westchnęła ciężko. – Nie chcę rezygnować z kuracji. Doktor Cercha bardzo nastawał na to, abym poddawała się jej systematycznie.

Nie zamierzała dodawać, że tak naprawdę rutyna kuracji nie pozwalała jej na popadnięcie w marazm. Równie dobrze mogłaby utknąć w domu Pod Lipami, nie opuszczając go na krok, ewentualnie poprzestając na zabawach z dziećmi w ogrodzie. Zapewne wówczas nie dokładałaby starań, by jej fryzura prezentowała się jak należy. Nie wkładałaby gorsetu i wyjściowych sukien, nie zmuszałaby się do powstrzymywania



płaczu, ponieważ w domowym zaciszu znacznie więcej uchodziło jej na sucho. Ale do tego, by nie kłuć Drzewickich w oczy rozpaczą, mobilizowała ją także świadomość, że nie tak dawno ich dom okryty był żałobą po Janie, a następnie po Emilii oraz Dionizym. Nie chciała więc dodatkowo przygnębiać miłych gospodarzy własnymi bolączkami, rozklejaniem się, wylewaniem łez. Chciała być silna również dla nich, a nie tylko dla córek.

– Ależ ja się bardzo cieszę, Matysiu, że bierzesz sobie do serca porady Maksa. Tobie jest to bezwzględnie potrzebne. Uważam jednak, że powinnaś włożyć coś lżejszego, jaśniejszego. Usmażysz się w tej czerni. Nawet twoja dziecinka może źle odczuć skwar.

W jadalni, gdzie państwo kończyli właśnie śniadanie, na moment zapadła kłopotliwa cisza. Pięć par oczu spoglądało z niebotycznym zdumieniem na panią domu. Aurelia, Matylda, Teodozja, Apolonia oraz Justyna – piastunka małych Adamczykówn, zamarły. Jedynie Ksawery puścił mimo uszu uwagę żony dotyczącą odzieży.

– Ależ to nie wypada, pani Felicyno – bąknęła wdowa. – Co ludzie powiedzą?

– Dziecko drogie! Gdy pożyjesz jeszcze trochę na tym świecie, dotrze do ciebie, że to, co ludzie mają do powiedzenia na temat cudzego stroju, jest mało ważne i należy zajmować się istotniejszymi sprawami.

– Ale żałoba... – pisnęła jeszcze ciszej Matylda.

– Żałobę nosisz w sercu i pamięci. Moim zdaniem to całkowicie powinno wystarczyć. Przeżyłam już dość w swoim życiu, by stwierdzić, że zmuszanie osób pogrążonych w tęsknocie za zmarłą osobą do noszenia czerni jest niehumanitarne. O wiele trudniej pogodzić się ze stratą i rozpocząć nowe życie, gdy jest się spowitą w kir.

Teraz nawet mąż patrzył na nią z zaciekawieniem. Felicycja, niezrażona tym, że jej uwagi wywołują zgorszenie obydwu opiekunek i wprawiają w szok Aurelię oraz Matyldę, kontynuowała:

– To oczywiste, że pamięć o bliskich, którzy odeszli, musi być należycie uczczona. Ale, na litość boską, czy czci się ją lepiej poprzez czarne koronki?

– Nie! – Córka jednym krótkim słowem przyznała jej rację. – Strój rzeczywiście nie ma nic do rzeczy. Choć od dawna nie noszę wdowich szat, wciąż z sentymentem wspominam Jana. I aż nazbyt dobrze pamiętam, jak doskwierał mi upał latem, gdy nosiłam żałobę.

– Pod względem strojów chłopki zachowują więcej rozsądku. Owszem, o ile wiem, wkładają czerń na oficjalne okazje, lecz w codziennym egzystowaniu wybierają komfort. Bo jakże taka biduła poszłaby w pole czy na łąkę? Nie dałaby rady nic zrobić, omdlałaby z gorąca.

– To prawda – przyznała Aurelia. – Chłopki muszą przedkładać praktyczność i prostotę nad konwenanse, którym my, w świecie salonowym, tak mocno hołdujemy. Mateczka ma rację. Nieludzką jest konieczność epatowania czernią, gdy z nieba leje się żar. Myślę, że w żaden sposób nie uchybiłabyś pamięci Seweryna, gdybyś włożyła coś lżejszego. Nie ufarbowałaś chyba wszystkich sukien?

Matylda zaprzeczyła ruchem głowy. Z jednej strony przyznawała rację Felicycie, bowiem w ostatnich kilku dniach aż nazbyt mocno odczuwała skutki noszenia czerni. Z drugiej strony paraliżowały ją obawy o to, że ludzie będą sobie na niej ostrzyli języki. Po kilku latach regularnych wizyt w Krynicy była rozpoznawana przez wiele osób mieszkających tutaj na stałe, a także przez spore grono kuracjuszy.

Przyjaciółka zdawała się czytać w jej myślach.

– I co z tego, że będą o tobie mówili? Komu doniosą, że zrzuciłaś czerń? Przecież nie Zuzannie. – Zachichotała. – Bo jej tak naprawdę to nie interesuje, skoro wyjechała w podróż. I wiesz co, Matysiu? Jestem przekonana, że moja cioteczka nie paraduje po włoskich miastach w kirze. A gadaniem miejscowych się nie przejmuj. W czymże ci zaszkodzą? Nie udzielasz się teraz towarzysko z oczywistych powodów. Później będziesz zajęta piastowaniem dzieci. Nim ponownie zaczniesz bywać, mądrzy ludzie puszczą w niepamięć twoje ubrania. Zresztą teraz każdy ma na uwadze letników. Nie bądź więc gąską, posłuchaj naszych życzliwych rad – mówiąc to, zerknęła na Felicytę. I poproś Hanię, by pomogła ci się przebrać. Gdy wrócę z tartaku, pojedziemy do Powroźnika. Dzieciom dobrze zrobi przejażdżka, bo moi podopieczni są wybitnie znudzeni, a Konstancja wciąż dopytuje o Antona – oznajmiła, gładko zmieniając temat. W rzeczywistości zależało jej na tym, by udowodnić Matyldzie, że nikt nie będzie krytykował koloru jej sukni.

Aurelia nie pomyliła się w swych przypuszczeniach – w chyży Juraszków nikt nie skrytykował wdowy, która w skwarny dzień zamiast czarnej sukni włożyła popielatą z muślinu. A gdy skrępowana Matylda próbowała sama to wyjaśnić, Paraska machnęła ręką i stwierdziła, że niejednej damie dobrze by zrobiło, gdyby poszła po rozum do głowy w kwestii stroju. Adamczykowej z miejsca poprawiło to samopoczucie i nie po raz pierwszy pomyślała o tym, jak cudownie się złożyło, że los postawił na jej drodze życiowej Aurelię.

Matylda poczuła się na tyle dobrze, że wręcz zaczęła indagować przyjaciółkę o oświadczyzny pana Rapacza, gdy wracały do domu. Ta jednak, ze względu na siedzące w bryczce dzieci, nie była chętna do rozwijania tematu.

Po kolacji Matyllda i Aurelia miały szansę, by spokojnie dokończyć przerwana rozmowę.

– Wspomniałaś w drodze powrotnej z Powroźnika, że Jan darzył cię szczerą miłością. Czyżbyś nie była pewna uczuć pana Rapacza?

– Właściwie sama nie wiem, co o nim myśleć, i wciąż nie mam pojęcia, co począć.

– A jak podpowiada ci serce?

– To dość skomplikowane, Matylldo. Lubię Filipa. Nie budzi we mnie wstrętu czy niechęci. Sprawia wrażenie dość szczerego i prostolinijnego. Ale czy mogę mu zaufać? W rzeczy samej najbardziej obawiam się o Teodozję i Stasia.

– Kochana! Ale nie możesz w nieskończoność trzymać Filipa w niepewności.

– Tak, zdaję sobie z tego sprawę. Już dwukrotnie odprawiłam go z kwitkiem.

– A zatem do trzech razy sztuka. Zapewne on tak do tego podszedł. Może powinnaś dać mu szansę? Wiesz, że jeśli tym razem dostanie kosza, może już nie ponowić propozycji? Nie znam go tak dobrze jak ty, ale wydaje mi się, że to szlachetny człowiek.

– Masz rację. Wiem, że nie powinnam go zwodzić. Przypuszczam, że on może w którymś momencie stracić cierpliwość. Poprosiłam go jednak o czas do namysłu. Muszę rozważyć wszystkie za i przeciw. Nie jestem panią samej siebie, odpowiadam za Teodozję oraz Stasia. Muszę też mieć na uwadze uczucia moich rodziców. Oni są coraz starsi. Ich dobro jest moim priorytetem.

– A ja zauważam, że ich priorytetem jest wydanie ciebie za mąż. I że wcale nie mieliby nic przeciwko temu, abyś została panią Rapaczową. Co do dzieci natomiast, sędzę, że im także dobrze zrobiłaby świadomość, że w domu jest mężczyzna w sile

wieku, który ma pełne prawo do tego, by ich wychowywać i dyscyplinować. Przed którym czuliby choć odrobinę respektu. Odnoszę bowiem wrażenie, że Staś i Teosia, choć są bardzo miłymi dzieciakami, to jednak troszkę wodzą za nos i ciebie, i dziadków. Staś doskonale potrafi grać na emocjach.

– Nie uważasz, że to zbyt surowy osąd w stosunku do dziewięciolatka? – zdziwiła się Aurelia.

– Nie, to nie jest surowy osąd, po prostu on jest bardzo sprytnym chłopcem. Uważam to za walor, ponieważ spryt jest ważny, bez niego trudno się funkcjonuje. Ale czasami dostrzegam, że Staś wykorzystuje swoją sytuację. A wy, co w pełni rozumiem, jesteście dla niego wyjątkowo wyrozumiali. Chcecie wynagrodzić dziecku przedwczesną utratę rodziców. Nawet pan Ksawery nie jest w stanie całkowicie go okiełznać. Zaufaj mi, Aurelio. Uważam, że Stanisławowi potrzebny jest w domu męski wzorzec. A tobie należy się coś od życia.

– Sądzisz, że małżeństwo będzie dla mnie aż takim dobrodziejstwem?

– A czemu nie? Wbrew obiegowym opiniom małżeństwo służy nie tylko przyjemnościom mężczyzn, o czym sama powinnaś doskonale wiedzieć – wypaliła szczerze Adamczykowa, nic sobie nie robiąc z tego, że o pewnych sprawach jednak nie wypada rozmawiać. – Daj sobie szansę. Otwórz się na miłość.

– Chciałabym. Chyba – stwierdziła dość niepewnie Aurelia. – Właściwie skłamałabym, mówiąc, że powstrzymuje mnie tęsknota za Janem. Dłużej jestem wdową, niż byłam mężatką. To oczywiste, że nie zapomniałam o nim. Ale nawet największa tęsknota z czasem zmienia charakter i staje się mniej bolesna. Na samym początku odczuwałam wręcz fizyczne cierpienie na myśl o tym, że go straciłam. Teraz jest to już raczej pamięć o najlepszych chwilach, które razem spędziliśmy. Czas potrafi zaleczyć rany.

– Mam nadzieję, że i ja kiedyś doczekam tego momentu – odparła Matylda.

Aurelia spojrzała przyjaciółce w oczy, uścisnęła jej dłoń. Przez dłuższy czas siedziały w milczeniu. Czasami słowa są po prostu zbędne.

Aurelia często zastanawiała się nad tym, na ile szczerze są uczucia Filipa. Nieco starszy od niej mężczyzna – kawaler – mógł przebierać w młodych pannach. Był niezłe sytuowany, choć do Drzewickich sporo mu brakowało. Z jakiegoś powodu wybrał właśnie ją: wdowę obarczoną dwójką nie swoich dzieci. Kobieta, którą uważano za bezpłodną. Jaką atrakcję stanowiła dla kogoś takiego? Rzeczywiście kochał ją tak mocno, że nie zrażał się dwiema wcześniejszymi odmowami? Czy może pociągała go wizja przejęcia tartaku oraz pięknej, przestronnej willi?

Dla nikogo nie było tajemnicą, że Aurelia jest majątną kobietą, nawet jeśli wciąż jeszcze wszystkie dobra należały do jej przybranych rodziców. W perspektywie jednak miała ich odziedziczenie. O co chodziło Filipowi? O miłość czy o pieniądze? Sprawiał wrażenie szczerego, ale nie czuła z nim takiej jedności dusz, jaka łączyła ją z mężem.

A może tego typu porozumienie przychodzi z upływem czasu?

Kobieta wciąż się wahała, choć wszyscy wokół namawiali ją do zamążpójścia. Felicjta, Ksawery i Matylda pragnęli jej dobra. Nie doradzaliby jej tego kroku, gdyby nie byli przekonani, że odnajdzie szczęście w małżeństwie.

– Powinnaś przyjąć oświadczyzny Filipa, Aurelio – powiedziała w końcu Matylda, przerywając ciszę. – Zdecydowanie za długo trzymasz go w niepewności. To dobry człowiek. Zasługuje na dobrodziejstwo zaufania.

– Coraz bardziej skłaniam się ku temu, by wyrazić zgodę.

– Ale wciąż się wahasz.

– Tak, masz rację, nadal nie mam całkowitej pewności.

– Nie wiem, czy to dobra rada, ale może powinnaś przyjąć jego oświadczenia i poprosić o dość długi okres zaręczyn? Przecież nie musicie pobierać się w tym roku. Możecie odłożyć ślub do wiosny. To wystarczająco dużo czasu, abyś upewniła się co do swojej decyzji.

– A jeśli w międzyczasie stwierdzę, że jednak nie tego potrzebuję do szczęścia?

– Wówczas zerwiesz zaręczyny, to chyba dość oczywiste – odparła Matylda.

– Nie jestem pewna, czy tak oczywiste. Wiesz, że osoby, które zrywają zaręczyny, są postrzegane negatywnie. Kobiety z reguły kończą w klasztorach.

– Och, Aurelio! Nie spodziewałam się po tobie równie zaściankowego myślenia! Zawsze wydawało mi się, że jesteś znacznie odważniejsza ode mnie, stoisz ponad takie dyrdymały i nie obchodzi cię to okropne i przestarzałe „co ludzie powiedzą”? Tobie na pewno klasztor nie grozi. Jesteś potrzebna tutaj, w domu Pod Lipami. Zapomniałaś, że masz pod opieką dwójkę dzieci?

Aurelia parsknęła śmiechem.

– Akurat Stanisław nie pozwala mi o tym zapomnieć nawet na jeden krótki moment. Ostatnio strasznie się rozbisurmanił. Nawet dziadek nie ma na niego większego wpływu, choć jeszcze do niedawna wzbudzał w nim respekt. Słusznie twierdzisz, że Staś wyrasta na niezłe ziółko.

– Ha! – wykrzyknęła z satysfakcją przyjaciółka. – Może więc jednak chłopcu przydałby się jakiś autorytet?

– Chyba masz rację. Klasztor to faktycznie ostatnie miejsce, do którego mogłabym trafić. Plotkami nie powinnam się przejmować, dość już ich na mój temat padło. Odkąd wyszłam za mąż za Jana, ludzie wciąż ostrzyli sobie na mnie języki z

różnych powodów. Najpierw uchodziłam za szczwaną i wyrachowaną bestię, która owinęła sobie wokół palca męczyznę o wyższej pozycji społecznej. Później takie same pobudki przypisywano mi, gdy rozeszła się fama o tym, że Drzewiccy uznali mnie formalnie za swą córkę. Kolejny raz stałam się żerem dla plotkarzy, kiedy wyszła na jaw tajemnica mojego pochodzenia. Następny, gdy podjęłam się opieki nad dziećmi, z którymi nie łączy mnie żadne pokrewieństwo. Wiele osób uważało, że po prostu kupiłam sobie rodzinę, choć nikt mi tego nie mówił w twarz. Echo plotek zawsze jednak do mnie dociera. Gdybym więc zerwała zaręczyny, wywołałabym tylko kolejną falę spekulacji na temat moich pobudek. Może jestem już tym trochę zmęczona? Wolałabym nie znajdować się w centrum zainteresowania. Chciałabym, aby uwaga naszych ziomków skierowała się w inną stronę.

– Zatem przyjmiesz oświadczyzny?

– Taa... Tak. Ale faktycznie w tym przypadku szczypta egoizmu nie zaszkodzi i muszę sobie zapewnić możliwość rezygnacji ze ślubu, na wypadek gdyby jednak okazało się, że nie pasujemy do siebie z Filipem. Cóż, taka już jest moja przypadłość, że nie potrafię się zmusić do poślubienia człowieka, który byłby mi zupełnie obojętny albo z jakiegoś powodu by mnie irytował. Mariaż dla korzyści finansowych w ogóle mnie nie interesuje.

– Jakbym słyszała Witalisa – bąknęła Adamczykowa.

Witalis był częstym gościem w domu Pod Lipami, a ponadto obydwie panie chętnie odwiedzały Juraszków, więc Matylda zdążyła dość dobrze poznać Łemka. I co tu dużo mówić, obdarzyć sympatią. Choć był prostym chłopem i czasami jego manieri pozostawiały co nieco do życzenia, nie mogła odmówić mu swoistego uroku. Temat ożenku syna często gościł na ustach Paraski. Kawaler zawsze miał argumenty na obronę swego



stanu cywilnego, więc nic dziwnego, że Matylda posłużyła się jego przykładem.

Filipa martwiła zwłoka Aurelii w udzieleniu odpowiedzi na jego ofertę matrymonialną, choć właściwie wyczuwał szóstym zmysłem, że w tym przypadku brak wiadomości to raczej dobra wiadomość. Na poprzednie dwa pytania wybranka odpowiadała mu od razu, nie dając nawet cienia nadziei. Na razie na nią nie naciskał. Pragnął, aby samodzielnie podjęła decyzję. Kiedy jednak dni przemieniły się w tygodnie, pomyślał, że najwyższa pora na wykonanie kolejnego kroku. Wóz albo przewóz!

Kochał Drzewicką całym sercem. Pragnął dzielić z nią życie. Zdawał sobie sprawę, że dla kogoś takiego jak ona nie jest szczególnie atrakcyjną partią. Kobieta z jej urodą oraz majątkiem mogłaby poślubić każdego mężczyznę. To, że nie ma dzieci z poprzedniego małżeństwa, niewiele go obchodził, choć oczywiście pragnął, aby w przyszłości ktoś po nim przejął rodzinny interes.

W rzeczy samej dręczyły go obawy, że właśnie różnica pomiędzy stanem posiadania jego oraz Aurelii może stanowić powód, dla którego ukochana waha się przed przyjęciem propozycji. Być może uznała go za łowcę posagów, który pragnie podnieść swój status materialny, wiążąc się z zamożną kobietą. Nic z tych rzeczy! Jego intencje były czyste, a uczucia szczere.

Pewnego wrześniowego popołudnia Filip zaprosił Drzewicką na spacer. Nie wspomniał jej o tym wcześniej, by nie wpędzić jej w popłoch, lecz celem wyprawy miało być Źródło Miłości. Uznał to za dość romantyczne miejsce do odbycia z Aurelią decydującej rozmowy. A że położone było ustronnie i z dala od

ciekawskich oczu? Cóż, miał nadzieję, że nie zszarga tym reputacji swojej wybranki.

W przeciwieństwie do wielu innych rodzin Drzewiccy uchodzili w okolicy za wyjątkowo mocno wyemancypowanych, nowoczesnych i za nic mających konwenanse. Często postępowali w nieprzewidywalny sposób, narażając się na komentarze i plotki, lecz wszystkie komentarze zaskakująco szybko cichły, a plotki ustawały. Zapewne status materialny oraz pozycja towarzyska tych ludzi pozwalały im na znacznie więcej niż przeciętnym obywatelom. W minionych kilku latach tartak bardzo się rozwinął, przysparzając rodzinie wymiernych korzyści. Przysłużył się temu dynamiczny rozwój Krynicy. Aż dziw brał, że piękna uzdrowska miejscowość nie zyskała jeszcze statusu miasta.

Aurelia bez oporu dała się powieść Filipowi w ustronne alejki parku zdrojowego. Gdy weszli pomiędzy drzewa, złożyła umbrelkę. Zresztą parasol tego dnia był zbędnym akcesorium. Słońce nie prażyło już tak mocno jak w minionych kilku dniach i coraz częściej chowało się za chmurami. Do ochrony przed jego promieniami w zupełności wystarczał efektownie zdobiony kapelusz z szerokim rondem.

Spacerowali niespiesznie, rozmawiając o jakichś błahostkach. Mężczyzna z przyjemnością zerkał na towarzyszącą mu damę. Aurelia wciąż była piękną, pociągającą kobietą i mimo przekroczonego trzydziestego roku życia mogła przyćmić wiele młodziutkich panienek. Filip nie mógł oprzeć się wrażeniu, że bieg czasu nie ma na nią najmniejszego wpływu. Była niczym wino – z wiekiem tylko zyskiwała. Jej oczy wciąż młodzieńczo pałały. Skórę miała jędrną, gładką i pozbawioną zmarszczek. Jedynie w kącikach oczu, kiedy się uśmiechała, a robiła to nader często, tworzyły się delikatne kurze łapki. Uwielbiał jej uśmiech. Uwielbiał ją całą. Dla niego była boginią – mógłby

postawić ją na piedestale i oddawać jej cześć. Pragnął Aurelii wszystkimi zmysłami, jak żadnej innej kobiety.

Gdy dotarli na szczyt Góry Parkowej, Filip skręcił w stronę, gdzie było Źródło Miłości. Aurelia, zdaje się, odgadła cel jego wędrówki. Rzuciła mu lekko zaskoczone spojrzenie, a potem ułożyła wargi w łagodny uśmiech. Nie protestowała, gdy ruszyli w dół mocno wydeptaną ścieżką.

Ku niebotycznemu zaskoczeniu Filipa Drzewicka pierwsza podjęła temat, który on trochę obawiał się poruszyć.

– Odgaduję, panie Filipie, że nie przez przypadek zabrał mnie pan na spacer w to miejsce. Proszę nie przeczyć.

– Przejrzała mnie pani na wskroś – przyznał. – Nie ukrywam, że mam nadzieję, iż czar romantycznego miejsca zmiękczy pani serce. Bardzo długo już wyczekuję odpowiedzi na wiadome pytanie... – Zawiesił głos i spojrzał na nią znacząco.

– Proszę wybaczyć. Wiem, że nie powinnam trzymać pana w niepewności. I właściwie jestem bardzo bliska podjęcia decyzji, ale... – Urwała.

– Ale wciąż się pani waha – dokończył za nią. – Co jest tego powodem?

Kobieta milczała, ważąc słowa. Nie doczekawszy się wyjaśnienia, mężczyzna sam zaczął drążyć.

– Czy chodzi o to, że przewyższa mnie pani swoim stanem materialnym? Czy w grę wchodzi obawy, że jestem łowcą posagów?

– Nie, panie Filipie, to nie tak. Pieniądze nie mogą decydować o moim szczęściu.

– Czy zatem pani rodzice nie są przekonani co do szczerości moich intencji?

– Nie. Skądże ta myśl? Nie znam ludzi, którzy byliby równie otwarci na świat. Oni nie uprzedzają się do nikogo i nikogo nie oceniają po zawartości portfela. Pozostawili mi wolną rękę w

kwestii zawarcia związku małżeńskiego. Nie wywierają na mnie absolutnie żadnej presji.

– A zatem czego się pani obawia, Aurelio? – zapytał ciepłym, łagodnym tonem. – Odnoszę wrażenie, że zyskałem przynajmniej odrobinę sympatii i czuje się pani swobodnie w moim towarzystwie.

Dotarli właśnie do źródła bijącego spomiędzy skał. Nad ich głowami zamykały się korony drzew. Wiatr delikatnie szumiał wciąż zielonymi liśćmi. W powietrzu unosił się aromat grzybów oraz żywicy. Strumyczek cicho szemrał, spływając niewielkim wąwozem, a ponad rozłożystymi gałęziami szczebiotały radośnie ptaki. Aurelię oraz Filipa otaczała jedynie muzyka przyrody. Ich spokoju nie zakłócała niczyja obecność.

– Sama nie wiem – westchnęła kobieta.

Spojrzała w oczy Filipa. Dostrzegł w jej wejrzeniu niesprecyzowany lęk. Odważył się wyciągnąć dłoń i delikatnie pogłodzić kciukiem jej policzek.

– Pani Aurelio, marzę o dobrodziejstwie zaufania. Tak bardzo panią kocham. Miłość dodaje mi jednocześnie skrzydeł i spala mnie jak ogień. Kiedy jestem sam i zamykam oczy, widzę pani twarz. Tylko jedno imię powtarzam w ostatniej myśli przed zaśnięciem i z nim budzę się każdego poranka. Proszę uwierzyć w szczerść moich uczuć. Dla mnie liczy się tylko pani! Zapewniam, że z nie mniejszym zaangażowaniem zabiegałbym o pani rękę, gdyby mieszkała pani w łemkowskiej chyży – powiedział z żarem. – A może przeraża panią to, że moi przodkowie byli prostymi ludźmi i dopiero małżeństwo mojego ojca z matką nobilitowało naszą rodzinę?

– Nie, panie Filipie, pochodzenie w ogóle nie ma dla mnie znaczenia. Żyjemy w pięknych czasach, gdy ludzie zaczynają wznosić się ponad uprzedzenia i podziały. Kiedyś tylko szlachta liczyła się w naszym społeczeństwie, teraz szanse na rozkwit

intelektualny, dostęp do wiedzy oraz rozwoju w każdej dziedzinie ulegają wyrównaniu. A skoro już mowa o naszych przodkach, chciałabym się upewnić, czy aby na pewno pan wie, kim jestem w rzeczywistości. Swego czasu sporo plotkowano na mój temat. Jeśli mielibyśmy się ze sobą związać, chciałabym, aby wiedział pan o mnie wszystko i aby nasz związek opierał się na szczerości. Brzydzę się kłamstwami. Nie chciałabym też, aby czuł się pan oszukany.

– Wiem, że ani nie jest pani córką Drzewickich, ani nie pochodzi z rodu Juraszków. Matylda, choć nazywa ją pani przyjaciółką, w rzeczywistości jest ciotką. Tak więc, jak sama pani widzi, koneksje rodzinne i pochodzenie nie stanowią dla mnie sekretu.

– Moja matka uwikłana była w skandal – wyrzuciła z siebie kobieta bardzo bezpośrednio.

– To nie ma nic do rzeczy. Kocham panią, Aurelio. Panią! – podkreślił. – Jedyne moje, szczęście moje. Co mam zrobić, aby rozwiązać pani wątpliwości? Czego tak naprawdę się pani obawia, ponieważ odnoszę wrażenie, że wspomnienie o pochodzeniu jest tylko jakąś wymówką.

– Boję się cierpienia – powiedziała z ogromną szczerością.

– Nie ufa mi pani? – zapytał rozgoryczony. – Żywi pani lęki, że będę złym mężem? Raptusem? Awanturnikiem? Jednym z tych, którzy zdradzają żony, zamykają je w domach, ograbiają z posagu?

– Nie! – przerwała gwałtownie jego wywody. – To nie jest brak wiary w pana. Nie wątpię, że panu na mnie zależy.

– Czy zatem boi się pani swoich uczuć?

Nieznacznie pokiwała głową. Mężczyzna odetchnął.

– Bez obaw, ja nie zawiodę. Zawsze będę panią kochał, chcę stać u pani boku, być wsparciem w trudnych chwilach i darzyć panią uwielbieniem. Pragnę uszczęśliwić panią każdego dnia.

Proszę mi na to pozwolić. To oczywiste, że nie jestem na tyle wszechmocny, by zagwarantować, że nie umrę młodo, ale mimo wszystko błagam o szansę dla nas. Proszę nie uciekać przed miłością.

Kilka dni później okoliczni mieszkańcy znowu żyli plotką na temat Aurelii Drzewickiej. Majętna wdowa przyjęła oświadczyzny Filipa Rapacza. Spodziewano się rychłego ślubu, lecz ku zaskoczeniu plotkarzy narzeczeni nie zamierzali się spieszyć na ślubny kobierzec. Z góry więc założono, że małżeństwo stanowić będzie interes, na którym zyskać ma przede wszystkim przyszły pan młody. A ponieważ jego wybranka była już kobietą trzydziestoletnią, nie dziwiono się, że nie pali mu się do sfinalizowania owej transakcji. Wszak od zawsze uważano, że na żonę najlepsza jest młódka.

Drzewicka była jednakże na tyle ponętna, że ten czy ów zazdrościł Rapaczowi, choć przyszłym małżonkom nie wrócono, by doczekali jakichkolwiek potomków. Dla narzeczonego musiało to być raczej mało zachęcające. W perspektywie miał bowiem wyłącznie wychowywanie cudzych dzieci. Ale majątek, który miała wnieść w posagu „panna niezbyt młoda”, jak ją złośliwie określano, stanowił łakomy kąsek.

## **Powroźnik**

Znowu, jak każdego roku, najczęstszym kierunkiem wycieczek Matyldy oraz Aurelii stał się Powroźnik, do którego jeździły bryczką, zabierając ze sobą wszystkie dzieci. Czasami korzystały z uprzejmości Witalisa, gdy ten wracał bryczką z tartaku – wszak po drodze musiał minąć ich dom. Właśnie tam, w rusnackiej wsi, młoda wdowa czuła się najswobodniej.

Matylda, choć już wcześniej polubiła rodzinę prostych Łemków, teraz wyraźnie do nich lgnęła. Byli uprzejmi, nienachalni, nie zadawali krępujących pytań. Nikt nie próbował jej na siłę pocieszać, ale też nie cackano się z nią szczególnie. Każdy bowiem miał własne obowiązki.

Paraska zazwyczaj obarczona była niańczeniem wnuków, młodszy gospodarze szli w pola oraz na łąki, pracowali w sadzie i pasiece.

Trzy kobiety otoczone liczną gromadą dzieciaków przesiadywały przed chatą. Młodzi Juraszkowie dość chętnie bawili się z Adamczykównami, Teodozją i Stanisławem. Aurelia i Matylda pomagały w jakichś drobnych pracach domowych, które mogły wykonywać bez większego wysiłku: obierały owoce na przetwory, łuskały groch, czasami przędły. Początkowo tych zajęć imiała się wyłącznie Aurelia, która nie lubiła siedzieć bezczynnie. Bardzo szybko jednak Matylda zaczęła jej pomagać, nie zważając na to, że może zniszczyć dłonie, poplamić je sokiem bądź pokaleczyć na kołowrotku.

– Cóż mi z zadbanych dłoni, skoro i tak nigdzie teraz nie bywam? – prychnęła kiedyś, gdy przyjaciółka zwróciła jej uwagę. – Skoro ty możesz pracować, to i mnie wypada. Nie ma nic gorszego od nudy. Człowiek wtedy tylko snuje przykre przemyślenia.

– Dobrze mówisz, dziecko – poparła ją Paraska, całkowicie pomijając formę zdystansowaną.

Traktowała tę nieszczęśnicę tak samo jak Aurelię. Jakby to była jeszcze jedna jej córka. I cieszyła się, że miastowa dama dobrze czuje się w jej obejściu, a pańskie dzieciaki bawią się w najlepsze z wnukami chłopskimi. Komu przeszkadzało, że ślicznie ubrane panienki goniły po błocie i trawie razem z młodymi Łemkami? Najmłodszy z Parascynych wnuków, Anton, był rówieśnikiem Konstancji, więc w dokazywaniu tworzyli

zgrany duet. Również Bazyli, drugi z kolei syn Dymitra, zdawać by się mogło, że poważny już czternastolatek, dość chętnie przestawał z gośćmi. Babcia utyskiwała nawet, że zamiast iść i pomagać w polu rodzicom, woli zabawiać małe dziewczynki albo psocić ze Stasiem. Nie przeganiała go jednak do roboty, ponieważ zasadniczo był z niego pożytek.

Pewnego dnia chłopak wygrzebał z szopy wózek, w którym przed laty Witalis woził Aurelię. Uciechy było przy tym co niemiara, bo jak już go wyczyścił, oporządził i wyścielił dennicę przyniesionym z domu powijakiem, który został po Antonie, to wsadzał do środka kolejno każdą panienkę i woził je pomiędzy drzewami. Był przy tym tak uważny, że nigdy żadnej z nich nie stała się najmniejsza krzywda. Pilnował, aby nie wychylały się z wózka, nie wkładały rąk pomiędzy szczeble i nie próbowały łapać za koła.

– Jakbym widziała Witalisa i ciebie. – Paraska uśmiechała się do przybranej córki, spoglądając na dziatwę.

– Ano! Witalis tak samo się o mnie troszczył. Zawsze był moim rycerzem. Mój ukochany braciszek. Jak dobrze, że wciąż mogę na niego liczyć! Jego pomoc w tartaku jest nieoceniona.

– W rzeczy samej pocziwina z niego. Ale ma już bez mała czterdziestkę na karku, a żony ani widu, ani słyhu. Co ja bym dała, żeby się ożenił! Pracowity jest, zaradny, piękną willę buduje... Miałaby z niego jakaś dziewczucha pociechę. A i przecież prezencję ma dobrą jak na kawalera przystało: krzepki jest i zwarty, chłop jak dąb. Teraz, jak się nosi z pańska, dziewczki strzelają za nim oczami w cerkwi aż miło! Gdyby tak zechciał do którejś posłać swatów, na pewno by go nie odprawiono z kwitkiem. Ale przymuszać go do żeniaczki nie myślę, skoro nie chce ślubować bez miłowania. Może przyjdzie i na niego czas? O! O wilku mowa! – Wskazała ruchem głowy syna, który wracał właśnie z pola, niosąc przerzuconą przez ramię kosę.



Tego dnia, gdy już Witia zjadł obiad, poszedł skosić trawę wokół swojego domu. Budowla powoli zaczynała nabierać kształtu. Ściany pięły się w górę. Witalisowi zamarzyło się, aby dom był piętrowy – rzecz rzadko spotykana w łemkowskich wsiach. Ale jemu tak bardzo spodobały się wille w szwajcarskim stylu, które pobudowano w Krynicy, że skoro już sam zaczął wznosić dla siebie dom, to chciał, aby wyglądał równie pięknie.

Zmęczony mężczyzna przysiadł na ławie obok kobiet. Z wdzięcznością przyjął od Aurelii kubek z napitkiem, który od razu wysączył.

– Ależ dzisiaj skwar! Namachałem się trochę kosą, ledwo zipię. Strasznie zielsko wybujało na moim gruncie. Muszę powiedzieć Gregorowi, by wypuszczał tam krowy – wspomniał o najstarszym bratanku. – Szkoda, by taka dorodna trawa marniała, bydłatka się przynajmniej pożywią.

– A słusznie, synku, słusznie. Żal baśnicy. Nie puszczaliśmy tam jednak krów, by ci nie nafajdały w obejściu. Wspominałeś przecież, że chciałbyś założyć ładny ogródek. A taka krowa nie dość, że nabrudzi, to nieźle potrafi wszystko starasić.

– Gdzie tam jeszcze do zakładania ogródka? – Mężczyzna wzruszył ramionami. – Ja nawet nie mam do tego głowy.

– Do tego przydałyby się kobiece ręce – podsunęła matka.

– Może tak, może nie. Przy pensjonatach trzymają ogrodników, którzy dbają o rośliny.

– Ech... Witia! Tobie to już całkiem przewróciło się w łepetynie. A na cóż ci ogrodnik? Tobie baby trzeba, która zadba o wszystko.

Aurelia parsknęła śmiechem. Takie rozmówki odbywały się ostatnio regularnie. Matka swoje, Witalis swoje. Niby Paraska zarzekała się, że do niczego nie będzie go przymuszać, a jednak wciąż wywierała nacisk, by rozejrzał się za żonką.

Nawet Matylda, choć było to do niej w ostatnich czasach zupełnie niepodobne, zachichotała cichutko. Zdążyła już dobrze rozeznąć się w sytuacji życiowej Juraszków, poznać ich przyzwyczajenia oraz sprawy bieżące. Wiedziała więc, jak bardzo Parasce leży na sercu los najstarszego syna. Wdowa, zaskoczona własnym zachowaniem, już po chwili stłumiła chichot dłonią i spojrzała z zażenowaniem na Aurelię.

– Nie powinnam... – Westchnęła żałośnie.

– Głupstwa wygadujesz! – Przyjaciółka momentalnie ją skarciła, a następnie objęła ramieniem, przytuliła do swego boku i cmoknęła w policzek. – Nie możesz się wpędzać w poczucie winy tylko dlatego, że pochowałeś męża, a ty żyjesz nadal. Żałoba, którą nosisz w sercu, nie oznacza, że nie wolno ci po ludzku reagować w podobnych okolicznościach. Masz prawo do głośnego śmiechu, a nie tylko do delikatnego uśmiechania się do dzieci. Seweryn na pewno nie miałby do ciebie żalu, gdyby wiedział, że coś cię rozbawiło. Jesteś wdową, lecz to nie oznacza, że zostałeś wraz z nim pogrzebana! – powiedziała dobitnie, głaszcząc ją po twarzy.

– Aurelia ma rację, Matysiu. Nie możesz w nieskończoność się smucić. Zapewniam cię, że tutaj nikogo nie gorszy twój szczery śmiech. W twoim stanie radość jest wręcz potrzebna, bo razem z tobą uśmiecha się twoja dziecinka.

Rusnaczka wymownie spojrzała na mocno napęczniały brzuch wdowy. Do wyznaczonego terminu rozwiązania zostały zaledwie dwa tygodnie. Matylda wciąż wyprawiała się z Aurelią do Powroźnika, chociaż zasadniczo w każdej chwili mogła zacząć rodzić. Nie żywiła w związku z tym jakichś szczególnych obaw. W wygodnej bryczce Drzewickich niemalże nie odczuwało się wstrząsów na wybojach gościńca. Gdyby przyszło co do czego, dość szybko dotarłaby z powrotem do domu Pod Lipami.

*Dobrze, że nie jestem teraz w Krakowie pod sępiim spojrzeniem Zuzanny* – stwierdziła w duchu. Szwagierka na pewno nie pozwoliłaby jej nawet na krok opuszczać domu, tak bywało podczas poprzednich ciąży Matyldy. Adamczykowa byłaby skazana na siedzenie w czterech ścianach mieszkania i pewnie czułaby się tam niczym więzień. Pod „opieką” bratowej żaloba byłaby potwornym przeżyciem.

Witalis wysączył ostatnie krople napitoku. Spojrzał spode łba na kobiety.

– Ech... Wam tylko jedno w głowie. Dałybyście człowiekowi pożycz. Nie potrzebuję baby, która będzie mi zrzedzić za uszami. Teraz przynajmniej mam trochę czasu, aby robić różne rzeczy.

– Jakże? Masz na myśli siedzenie do późna w warsztacie? – zapytała z przekąsem Paraska.

Syn uśmiechnął się pod krótko przystrzyżonym wąsem, który na dżentelmeńską modłę podkręcał delikatnie ku górze.

– A chociażby – odparł.

Tymczasem Juraszkowa, widząc skonsternowanie gości, pospieszyła z wyjaśnieniami.

– Wyobraźcie sobie, że całymi popołudniami zamyka się w komórce i nie wychodzi stamtąd na krok ani nikogo nie chce wpuszczać i pokazać, co robi. Drzwi zamyka na klucz, gdy jedzie do tartaku, by mu który chłopak szkód nie narobił. Dymitr to nawet żartuje, że se pewnie babę z drewna struga, bo w komórce są narzędzia stolarskie.

– Tak, tak, już ja wam zaraz pokażę babę z drewna. – Mężczyzna parsknął śmiechem.

Podniósł się z ławki i odszedł w stronę zabudowań gospodarczych. Po chwili wynurzył się ze środka. A raczej najpierw dało się zobaczyć przedmiot, który tak pieczołowicie wykonywał Witalis, a dopiero potem samego wykonawcę.

Kobiety zaniemówiły z wrażenia. Juraszko podszedł wprost do Matyldy i u jej stóp postawił ślicznie wykonaną kołyskę.

– To w darze ode mnie dla dzidziusia – oświadczył. – Mam nadzieję, że nadaje się na wielkopańskie pokoje. Trochę żem podpatrzył, jak wyglądają meble w willi Pod Lipami, starałem się zrobić coś na ich wzór.

– Ależ panie Witalisie! To prawdziwe cacko! – wykrzyknęła zachwycona Matylda.

W rzeczy samej kołyska była przepięknie zrobiona. W starannie wyheblowanych deskach Witalis wyrzeźbił delikatne kwietne ornamenty, znamienne dla secesyjnego stylu. Całość pomalowana została na biało.

– Nie wiem, jak mam dziękować – stwierdziła Adamczykowa, spoglądając to na mężczyznę, to na dzieło jego rąk. – To chyba najpiękniejszy prezent, jaki kiedykolwiek dostałam.

– Bez przesady, pani Matyldo – bąknął skonfundowany Witalis. – Gdzie tam temu do klejnotów czy pachnideł. To tylko drewniany drobiazg.

– Ładny mi drobiazg. Na pewno poświęcił pan na zrobienie tej kołyski długie godziny. Zamiast odpoczywać po pracy, strugał pan mozolnie te wszystkie dekoracje. Mój Boże! Jakie to piękne! Stokrotnie panu dziękuję!

– Cieszę się, że moja skromna praca znalazła uznanie w pani oczach. Przyznaję, bałem się, czy zdążę na czas.

Spojrzał wymownie na pękaty brzuch kobiety. Matylda odruchowo pogładziła wypukłość.

– W samą porę, panie Witalisie. Czuję, że to moja ostatnia wizyta tutaj w najbliższym czasie. Nie wiem, kiedy następny raz się zobaczymy. Dobrze mi wśród was – wyznała głosem zdławionym przez wzruszenie.

– Zawsze jesteś tu mile widziana, dziecko – powiedziała Paraska i przygarnęła ciężarną ramieniem. Po macierzyńsku

pogłaskała ją po głowie i cmoknęła w skroń. – Odwiedzimy cię w domu Pod Lipami.

– Koniecznie! – Aurelia klasnęła w dłonie. – Oczywiście będziemy bardzo rade waszej wizycie. Mama Felicjta również z radością was wszystkich ugości.

Matylda pogładziła dłonią jeden z boków kołyski. Spojrzała na ofiarodawcę.

– Nie wiem, jak odwdzięczyć się za to чудо. Pomyślałam... – Urwała nieco spłoszona. – Przyszło mi do głowy... Chciałabym prosić pana o to, by wyświadczył mi pan pewien zaszczyt. Czy zechce pan zostać ojcem chrzestnym mojej dzieciny?

Spojrzała na niego z tak wielką nadzieją w niebieskich oczach, że nie miał siły, by odmawiać, choć nie do końca był przekonany, czy to stosowne. Bo nie dość, że różnili się pozycją społeczną, to jeszcze on chodził modlić się do cerkwi, a ona do kościoła.

– Ależ pani Matyldo! To będzie zaszczyt dla mnie – odparł, ujmując jej dłoń i składając na niej kurtuazyjny pocałunek.

Aurelia do głębi wzruszyła się tą sceną. Pomyślała, że Witalis rzeczywiście ma w sobie coś ze średniowiecznego rycerza. Wiedziała, że funkcję ojca chrzestnego będzie wypełniał z wielkim zaangażowaniem. I że od teraz Matylda oraz jej dzieciątko będą mogli na niego liczyć w każdej kwestii.

Nieco później Matylda oraz Aurelia pożegnały się z sympatyczną rodziną Łemków. Dopilnowały, by wszystkie dzieci wsadzono do bryczki, na którą Witia osobiście załadował kołyskę, i odjechały w stronę Krynicy.

– Twoja przybrana rodzina to bardzo sympatyczni ludzie – stwierdziła Matylda, zerkając na pięknie rzeźbiony mebelek, który cieszył ją niczym najhojniejszy dar.

– Witalis się postarał. – Aurelia podążyła za jej wzrokiem.

– Mam na myśli całą twoją rodzinę, a nie tylko Witę, choć przyznaję, że zaskoczył mnie bardzo przyjemnie. Lubię spędzać czas wśród Juraszków. Jest mi u nich lepiej niż w najelegantszych salonach.

– Tak, to prawda, są wspaniali. Kocham ich z całego serca.

– Nie masz żalu? – Adamczykowa zniżyła głos do szeptu.

– O co i do kogo? – zdziwiła się Aurelia, zezując na dzieci, czy nie dokazują zanadto.

– Nigdy nie pomyślałaś o tym, że twoje życie mogło ułożyć się zupełnie inaczej? Nie miałaś pretensji do swojej prawdziwej matki, że zostawiła cię właśnie w Powroźniku?

– Nie, nie czułam do niej żalu nawet przez jedną najkrótszą chwilę. Wybrała dla mnie najlepszych rodziców, jacy mogli mi się trafić. Dorastałam otoczona miłością i troską. Oni zrobili dla mnie znacznie więcej, niż musieli. Przez całe dzieciństwo wynagradzali mi brak mojej rodzonej matczki. Dokładali starań, abym nigdy nie poczuła pomiędzy nami obcości. Wykształcili mnie, zapewnili mi naprawdę dobre życie. Prawdopodobnie, gdybym nie zakochała się w Janie, wydaliby mnie za jakiegoś dość zamożnego człowieka z dobrej rodziny. Tato Nazarym wciąż powtarzał, że pragnie dla mnie kupca z Krynicy bądź Muszyny albo urzędnika. Matka na każdym kroku przypominała mi, abym się szanowała i nie zadawała z pierwszymi lepszymi.

– No tak, rozumiem. Ale nigdy nie pomyślałaś o tym, że Eleonora, wiedząc, w jakiej jest sytuacji, powinna była wrócić na łono rodziny? – drążyła Adamczykowa. – Przecież mogła pokajać się przed ojcem i matką, poprosić o wybaczenie... Wówczas przysłabyś na świat w swoim prawdziwym domu rodzinnym.

– Wiesz, Matyldo... Być może moja prawdziwa matka uważała, że jej przewiny są tak wielkie, iż nie ma mowy o powrocie. Jej

ucieczce towarzyszyła atmosfera nieprzyjemnego skandalu. Seweryn niechętnie o tym opowiadał, ale nie krył przede mną prawdy. Być może nawet troszeczkę złagodził wydźwięk tego, co usłyszałam. Wszak mogło się zdarzyć tak, że zdesperowana Eleonora wróciła do rodziców, a ci pokazali jej drzwi.

– Nie! Nie wierzę! To niemożliwe! Żadna matka nie wyrzeknie się własnego dziecka – zaprotestowała Matylda.

Aurelia już dawno nie widziała jej równie ożywionej, więc cieszyła się tym dość zaskakującym skądinąd tematem i nawet nie próbowała go zmieniać na inny, choć dla niej ta sprawa mimo wszystko była odrobinę bolesna.

– Prawdę mówiąc, też uważam, że rodzice by jej wybaczyli, a przynajmniej matka. Sądzę, że Eleonora bała się powrotu do Krakowa. Trudno powiedzieć, którądy droga przywiodła ją do Powroźnika. Być może Muszyna, w której wysiadła z dyliżansu, miała być tylko etapem w podróży, a rzeczywistym celem był Kraków. Los jednak sprawił, że nie wyruszyła w dalszą podróż. Już nigdy nie dowiem się, co tak naprawdę działo się w jej głowie. Skłaniam się jednak ku stwierdzeniu, że wcale nie miałabym lepszej i łatwiejszej doli wśród krewnych, gdybym tam przyszła na świat. Wyrastałabym w niezdrowej atmosferze, napiętnowana od najmłodszych lat jako córka skandalistki. Być może ludzie przez cały ten czas traktowaliby mnie jak trędowatą. Historia Kazi i tak by się wydarzyła. A i losy Zuzanny nie potoczyłyby się inaczej.

– Och! Zdążyłam poznać moją szwagierkę wystarczająco dobrze, by wiedzieć, że nie darzyłaby cię żadnym pozytywnym uczuciem. Na pewno wciąż miałyby do ciebie pretensje. Obwiniałyby cię o absolutnie każdą swoją porażkę, chociaż w niczym jej nie zawiniłaś! Nie miałaś wpływu na to, co się wydarzyło. Może więc rzeczywiście u Juraszków było ci

znacznie lepiej, niż mogłoby być w rodzinie Adamczyków? Dziwnie się to życie plecie – szeptała.

Całą rozmowę odbywały cichutko, gdyż nie była przeznaczona dla dziecięcych uszu. Na szczęście młodzi Litworowie i Adamczykówny robili w bryczce dość hałasu, by zagłuszyć wymianę zdań.

– Rzeczywiście dziwnie. Jestem jednak pogodzona z tym, że moje życie ułożyło się tak, a nie inaczej.

– Wiesz, Aurelio? Troszkę ci tego zazdroszczę.

– Czego? – zdziwiła się Drzewicka. – Dorastania tutaj?

– Nie. Umiejętności godzenia się z przeznaczeniem. Tego, że tak spokojnie wszystko odbierasz.

– A cóż innego mi pozostało? Na większość rzeczy po prostu nie mamy wpływu. Musimy się na nie godzić, a im bardziej człowiek się szarpie i rozdziera rany, tym jest mu trudniej.

– Może to i racja?

– Jestem przekonana, że tak. Staram się spoglądać na pozytywne aspekty tego, co mnie spotkało. Dzięki temu, że dorastałam w Powroźniku, mogłam zakosztować smaku prawdziwej miłości: szczerzej, niewyrachowanej. Nikt nie patrzył na mnie przez pryzmat posagu.

Kobiety przerwały rozmowę, wychodząc z założenia, że nie należy podejmować pewnych tematów przy dzieciach, nawet jeśli sprawiają wrażenie zajętych.



# SYNECZEK

\$

## Krynica

Trwający od niemalże doby ból zdawał się rozdzierać ciało udręczonej Matyldy. Kobieta nie pamiętała, by poprzednie porody sprawiły jej aż tyle cierpienia. Nawet przyjście na świat bliźniaczek nie zostało okupione równie okropnymi torturami. Akuszerka sprowadzona uprzedniego wieczoru na polecenie Felicyty pocieszała jednak, że to nic niezwykłego. Wszystko idzie dobrze, dziecko jest po prostu dość duże i raczej leniwie pcha się na świat.

– Se-we-ryn! – zawyła rodząca. – Ty przebrzydły draniu! Masz szczęście, żeś skonał, bo zabiłabym cię gołymi rękami za tę udrękę!

– Krzycz sobie, krzycz, jeśli tylko może ci to ulżyć – usłyszała łagodny głos przyjaciółki.

*Umarłemu te krzyki na pewno nie sprawiają przykrości* – pomyślała Aurelia.

Matylda kurczowo trzymała rękę Drzewickiej. Była jej wdzięczna za obecność w tej trudnej chwili. Strach o życie, które właśnie wydawała z takim wysiłkiem, stawał się jakby mniejszy.

Siedząca przy niej Aurelia była przerażona. Matka przestrzegała ją, że nie powinna uczestniczyć w porodzie, skoro sama nigdy wcześniej nie rodziła, bo to, co się wówczas dzieje z kobiecym ciałem, wygląda potwornie. Ale skoro już musi

towarzyszyć tej biduli, to powinna pamiętać, że ból przemija, gdy tylko pojawia się dzieciaczek. Przeżyło go tak wiele kobiet, że nikt nie potrafiłby tego zliczyć.

Aurelia nie była w stanie odmówić przyjaciółce, gdy ta ze łzami w oczach błagała ją o pozostanie w sypialni. Teraz robiła więc, co mogła, by ulżyć położnicy. Ocierała zroszone potem czoło, zwilżała wysuszone krzykiem usta, trzymała dłoń, która przy każdym skurczu zaciskała się z całych sił. Skóra Drzewickiej roiała się od maleńkich, podbiegniętych krwią półksiężyców – śladów pozostawionych przez paznokcie Adamczykowej.

Aurelia starała się nie spoglądać na obszar działań akuszerki oraz pomocnicy, która miała zająć się maleństwem. Ich wieloletniemu doświadczeniu pozostawiła odpowiedzialność za dziecko. Sama skupiła uwagę wyłącznie na rozpraszaniu obaw Matyldy. Ta bowiem już na kilka dni przed porodem zaczęła przebąkiwać, że ma złe przeczucia i panicznie się boi. Nie chciała stracić kruszyny, która w niej wzrastała, ostatniej żywej pamiątki dwunastu lat szczęśliwego pożycia małżeńskiego.

– Boże Przenajświętszy! Umieram! – wrzeszczała położnica.

– Wytrzymaj jeszcze trochę, Matysiu! Dasz radę, błagam, nie poddawaj się – powtarzała wystraszona Aurelia.

– Wszystko będzie dobrze, *madame* – zapewniała raz po raz zmęczona akuszerka, krzątająca się przy Adamczykowej.

Następny krzyk był tak przerażający, jakby nie wydobył się z ludzkiego gardła. A potem zapadła krótkotrwała cisza, która rozdzwoniła się w uszach Drzewickiej. Matylda opadła bezwładnie na wilgotną poduszkę. Jej twarz była trupio blada, sprawiająca wrażenie, jakby z rodzącej odpłynęło życie. Za to oczy kobiety straszyły czerwienią popękanych żyłek. Na szczęście Batorowa zdążyła wcześniej uprzedzić, że może do

tego dojść, inaczej Aurelia wyzionęłaby ducha na sam ich widok.

– Matysiu, Matysiu! – wykrzyknęła, widząc znieruchomiałą przyjaciółkę.

Ta jednak żyła, ponieważ jej klatka piersiowa falowała niespokojnie, a palce, które teraz dla odmiany Aurelia ścisnęła zdecydowanie zbyt mocno, drżały niczym w febrze.

Nagle w przestronnym pomieszczeniu dał się słyszeć jeszcze jeden głosik. Początkowo cichy, jakby onieśmielony, potem coraz donośniejszy.

– *Madame*, gratulacje. Powiła pani zdrowego syna – powiedziała akuszerka, powierzając noworodka swej pomocnicy. – Teraz zajmę się resztą – oznajmiła.

– Syna? O dobry Boże! Dziękuję! – wyszeptała utrudzona matka. Po jej policzkach spływały łzy ulgi i szczęścia. – Chcę go zobaczyć!

– Za chwilę, *madame* – usłyszała w odpowiedzi. – Mam jeszcze trochę zajęcia przy pani. Lusia zatroszczy się o paniczka.

Jeszcze przez jakiś czas przy Matyldzie i maluszkę trwała krzątanina. Dopiero gdy Adamczykową przebrano w świeżą koszulę i doprowadzono wszystko do ładu, Lusia położyła przy matce starannie opatuloną dziecinę.

Matylda delikatnie pogładziła pomarszczony policzek noworodka. Łamiącym się ze wzruszenia głosem powiedziała:

– Mój syneczek. Moja iskierka. Niech nosi imię Mateusz.

Następnego dnia do domu Pod Lipami przyniesiono depeszę, której Adamczykowa oczekiwała od dłuższego czasu. Tytus zapraszał Matyldę na spotkanie w Krakowie. Kobieta bez trudu odgadła, że przybył do miasta, by podomykać ostatnie sprawy i załatwić przeprowadzkę. To była jedyna szansa, aby dowiedzieć się czegokolwiek o majątku, który pozostawił Seweryn.

– Jakże ja mam jechać do Krakowa? – wybuchła płaczem położnica. Była zdecydowanie zbyt osłabiona porodem, by wstać z łóżka, o podróży nawet nie wspominając. – Ach, ten Tytus! Nie mógł wybrać gorszego momentu! – lamentowała. – Przecież dobrze wiedział, kiedy spodziewam się rozwiązania. A może nie? Może Zuzanna nie wytłumaczyła mu tego aż tak szczegółowo? – Zawahała się przez moment, bowiem знаła dobrze pruderię szwagierki. – W tamtym czasie panowało spore zamieszanie, więc rzeczywiście mogło to do niego nie dotrzeć.

Aurelia nie mogła oprzeć się wrażeniu, że Tytus celowo wybrał taki termin przyjazdu do miasta. Co więcej, zrobił to w porozumieniu z Zuzanną. Była zła sama na siebie za te domysły, lecz tak podpowiadała jej intuicja. Strzeleccy dobrze orientowali się w sytuacji, wszak korespondowała z nimi na bieżąco. W jednym z listów wspomniała, że Matylda na dniach spodziewa się rozwiązania i nadspodziewanie dobrze się czuje w stanie odmiennym. W porę ugryzła się w język, aby nie wzbudzać niepokoju u przyjaciółki.

– Martwi mnie pośpiech Tytusa – przyznała Drzewicka. – W depeszy wyraźnie zaznaczył, że jeżeli chcesz załatwić jakąkolwiek sprawę, to bezzwłocznie powinnaś się z nim skontaktować. Jest rzeczą oczywistą, że ty nie wyruszysz w podróż ani dziś, ani jutro, ani nawet za miesiąc. Twoim zadaniem jest teraz dochodzenie do siebie po ostatnich trudach i opieka nad maleństwem. Nie martw się, kochana, pojedę do Krakowa w twoim imieniu. Dobrze by było, abyś w razie czego podpisała dla mnie plenipotencję. Poproszę mecenasa Dołęgę o przygotowanie dokumentu. Natychmiast się do niego wybiorę – oznajmiła, wstając.

– Jakbyś mało miała ze mną kłopotów – utyskiwała Adamczykowa. – Wciąż mnie niańczysz, a teraz jeszcze zamierzasz zajmować się finansami mojej rodziny.

– Od tego ma się przyjaciół – skwitowała krótko Aurelia, opuszczając pośpiesznie sypialnię przyjaciółki, bowiem czasu do działania było niewiele.

Drzewicka nie miała szczególnych powodów, aby nie ufać Tytusowi, wszak był mężem jej ciotki, najbliższą rodziną, jednak jakiś wewnętrzny głos podpowiadał jej, że na spotkanie z nim nie powinna jechać sama.

Tutaj pojawił się pewien kłopot, ponieważ nie mogła zabrać ze sobą Witalisa, który pod jej nieobecność niezbędny był w tartaku. Nie powinna pozostawiać wszystkiego na głowie ojca. Ksawery w ostatnich czasach był wyraźnie znudzony pracą, potrzebował więcej wypoczynku. Owszem, gdyby poprosiła o jego codzienną obecność w Słotwinach, na pewno by nie odmówił. Ale należało mu się wytchnienie. Mogłaby ewentualnie zabrać ze sobą narzeczonego, lecz jego również interesy trzymały na miejscu. Wczesna jesień była porą roku, kiedy w okolicy panował wielki ruch. Póki pozwalała na to pogoda, można było budować domy, pensjonaty, hotele. Nie mogła więc ograniczać Filipowi możliwości zarabiania, zwłaszcza że do pieniędzy miał bardzo honorowy stosunek.

Nic jednak nie stało na przeszkodzie, aby wybrał się z nią tartaczny główny buchalter. Po naradzie z Ksawerym obydwójce doszli do wniosku, że jest to świetny pomysł. Alojzy Jarząbek przyjrzy się uważnie wszystkim rachunkom, które ewentualnie zostaną mu przedłożone, obejrzy każdy dokument i podpowie Aurelii dalsze poczynania. Byłe tylko Tytus zechciał wskazać, jakie interesy prowadził Seweryn.

Drzewickiej wydawało się niemożliwe, by wszystkie pieniądze, jakie posiadał wuj, spoczywały na rachunku bankowym spółki, którą przed wielu laty zawiązał ze swym szwagrem. Adamczykowie musieli mieć jeszcze jakieś inne

lokaty kapitału. A Tytus był jedyną osobą, która mogła pomóc w ich ujawnieniu.

Szczyście dopisało Aurelii, ponieważ mecenas Dołęga od razu załatwił sprawę. Co więcej, zgodził się przyjść do domu Pod Lipami, by poświadczyć, że Matylda własnoręcznie złożyła podpis pod plenipotencją.

W tym samym czasie Ksawery pojechał do Słotwin, aby porozmawiać z Jarząbką o wyjeździe do Krakowa. Buchalter nie robił żadnych problemów. Bez wahania obiecał towarzyszyć Aurelii i służyć jej radą oraz pomocą. Był człowiekiem biegłym w prowadzeniu ksiąg rachunkowych. Znał się na wszystkich kwestiach związanych z finansami. Ponadto cechowała go wyjątkowa czujność, jego uwadze nic nie umykało. Drzewicki nie wątpił, że dla córki będzie stanowił doskonałą podporę.

W kwestiach dotyczących państwa Adamczyków Ksawery uważał się mimo wszystko za osobę postronną. Mógł więc obiektywnie ocenić sytuację. Jemu także, podobnie jak córce, nie dawał spokoju termin, w którym Tytus przyjechał do Krakowa. Czuł, że sprawa szyta jest grubymi nićmi i krewni będą próbowali oszukać bezbronną kobietę. A jeśli nie oszukać, to przynajmniej wykorzystać sytuację i zrobić coś na szkodę Matyldy. Nie podobało mu się to wszystko: wyjazd Strzeleckich niemalże zaraz po pogrzebie, ich wojaże, ucieczka do Lwowa, niejasny stan finansów Adamczykowej. Sytuacji nie polepszały artykuły prasowe, które wciąż szkalowały zmarłego mecenasa. Podzielił się swoimi wątpliwościami z Aurelią.

– Ja też o tym myślę, ojczulku, i dlatego bardzo cię proszę: ani słowem nie wspominaj o swych obiekcjach Matyldzie. Ona musi teraz dochodzić do siebie. Nie dość, że wciąż jest oszołomiona

nagłą śmiercią Seweryna, to jeszcze miała niełatwe rozwiązanie. Potrzebuje spokoju.

– To zrozumiałe, córeczko, dlatego mówię o moich przemyśleniach właśnie tobie. Och, ja też powinienem wybrać się do Krakowa. Co dwie głowy, to nie jedna.

– Ale przecież jedzie ze mną Jarząbek. Będzie czuwał nad wszystkim – uspokoiła go córka.

– Tak, wiem, lecz obawiam się, że ci ludzie coś kombinują, więc buchaltera mogą potraktować lekceważąco. Właściwie jestem o tym święcie przekonany. W takich okolicznościach sama obecność mężczyzny może się okazać korzystna. Nie zrozum mnie źle, dziecko, znam twoje feministyczne poglądy, ale nie czarujmy się: światem rządzą mężczyźni.

– Pół biedy, gdy rządzą sprawiedliwie – skwitowała kobieta. – Gorzej, gdy traktują nas jako osoby pozbawione rozumu. Tytus niestety ma ku temu ciągoty. Właściwie wcale mnie to nie dziwi, bowiem Zuzanna przy nim zawsze udaje słodką idiotkę.

– Miej się na baczności. To oczywiste, że tobie oni nie mogą w żaden sposób zaszkodzić, ale zdaję sobie sprawę z tego, jak ważne jest dla ciebie dobro twojej przyjaciółki.

– Tytus jest prawnikiem, to spryciarz, więc nie będzie łatwo – przyznała zmartwiona.

W porze podwieczorku w willi Drzewickich zawitał Filip. Spodziewał się spędzić miłe popołudnie z narzeczoną. Ku jego zaskoczeniu w domu panowało zamieszanie związane z przygotowaniami do podróży.

– Wybierasz się dokądś? – zagadnął.

– Muszę pilnie udać się do Krakowa – wyjaśniła, a następnie w kilku zdaniach opowiedziała mu o sytuacji Matyldy i roli, jaką miała odegrać.

– Pojadę z tobą – oznajmił mężczyzna tonem nieznoszącym sprzeciwu. – Proszę, kochana, nie protestuj, to nie jest żaden zamach na twoją suwerenność. Doskonale wiem, jak bliskie twemu sercu są idee głoszone przez sufrażystki. Weź jednak poprawkę na to, że będziesz miała do czynienia ze szczywanym lisem.

– Ten człowiek jest moim wujem – zauważyła.

– Nie kwestionuję więzi rodzinnych. Bacz jednak na to, że pojawiłaś się w życiu Strzeleckich stosunkowo niedawno. Być może dla nich wciąż pozostajesz obca. Wszak sama kiedyś zwierzyłaś mi się z tego, że chłód w relacjach z ciotką sprawia ci przykrość.

– Och... – westchnęła ciężko w odpowiedzi. Trochę pożałowała tamtej wylewności, wychodziła jednak z założenia, że w związku najważniejsza jest szczerłość. Nie chciała mieć sekretów przed narzeczoną. Wolała także unikać sytuacji, w których Filip mógłby się poczuć niezręcznie albo zostać niemile zaskoczony.

Tymczasem Rapacz, widząc smutek malujący się na jej twarzy, kontynuował:

– Obecność mężczyzny wzmocni twój autorytet w oczach Tytusa.

– Och... Filipie! Mówisz dokładnie to samo co ojciec. Gotów był rzucić wszystko i jechać ze mną, ale nie mam sumienia, aby go ze sobą ciągnąć w tę podróż. Jest już po osiemdziesiątce. Widzę w nim znużenie i potrzebę odpoczynku, a na to w Krakowie w ogóle się nie zanosi. Nie chciałabym, aby trudy podróży dały mu się we znaki. Stąd decyzja, aby zabrać ze sobą Jarząbka.

– To słuszny krok, buchalter na pewno ci się przyda, ale prócz tego dobrze by było, gdyby w razie czego towarzyszył ci ktoś, kto wzbudzi odrobinę respektu w oczach twojego wuja. Nie znam człowieka, ale przypuszczam, że jak wielu dżentelmenów,



gdy chodzi o interesy, przejawia lekceważący stosunek do kobiet, a szacunek i padanie do nóg pozostawia sobie wyłącznie w sytuacjach salonowych. Dlatego, moja droga, nie protestuj. Jutro rano razem z tobą wyjeżdżam do Krakowa.

– A twoje sprawy? – Aurelia załamała ręce.

– Moim interesom nic nie zagraża. Makary będzie czuwał nad wszystkim. Do kogo jak do kogo, lecz do rodzonego brata mam pełne zaufanie. Poradzi sobie beze mnie przez kilka dni. Ponieważ jestem twoim narzeczonym, nie przypuszczam, byśmy wywołali w Krakowie skandal, pojawiając się bez towarzystwa przyzwoitki. Nawet jeśli ludzie zaczną coś gadać, szybko przestaną. Zresztą mnie tam nikt nie zna na salonach, choć właśnie w mieście szlifowałem edukację.

Ponieważ w bawialni przebywali tylko we dwoje, podszedł do narzeczonej, usiadł obok niej na kanapie, a następnie wycisnął na jej ustach całusa.

– Nie martw się o swoją reputację. Szybko ją odbudujemy, biorąc ślub.

Aurelia mimowolnie parsknęła śmiechem. Chociaż już dawno powinna była wrosnąć korzeniami w świat salonów, bardzo często jego obłuda ją zaskakiwała. Na każdym kroku trzeba było zważać na to, co wypada, a czego czynić nie wolno. Łatwo było stracić dobrą opinię, a odzyskać ją niezwykle trudno. Pod tym względem swojskie życie na prowincji było o wiele prostsze. Tutaj każdy znał Drzewicką, wiedział, czego się można po niej spodziewać, i nikt nie przypisywał jej złych intencji.

Owszem, czasami zdarzało się, że Wojnarowa unosiła wymownie brwi ze zdumienia na widok jej amazonki. To znowu Klara poddawała „kuzynkę” mocnej krytyce, podważając metody wychowawcze Aurelii. Sugerowała konieczność stosowania kar fizycznych wobec Stasia, ilekroć coś zbroił, a do niej dotarły plotki o jego wyczynach. Aurelia

jednak nic nie robiła sobie z jej uwag. Była zdania, że dzieci należy traktować z miłością i nie można wzbudzać w nich strachu.

– No dobrze, Filipie. Skoro tak bardzo się przy tym upierasz, jedź ze mną – odparła łaskawym tonem. W rzeczy samej cieszyła się, że to zaproponował. Sama nie śmiałaby odrywać narzeczonego od jego obowiązków. Zaangażowanie Rapacza świadczyło o tym, że naprawdę mu na niej zależy. Wszak sprawa, w którą się mieszał, dotyczyła osoby postronnej. Nie miał interesu w tym, by poświęcać się dla Matyldy. Tym bardziej więc doceniała jego ofertę. Zresztą cieszyła się nie tylko ze względu na to, że pomoże jej w ewentualnym starciu z Tytusem. Prawda była taka, że wspólny wyjazd do Krakowa stwarzał okazję do tego, by mogli spędzić trochę czasu we dwoje. Z zaskoczeniem odkryła, że odczuwa w związku z tym znaczną przyjemność, mimo niezbyt ciekawych okoliczności.

Narzeczonego pożegnał się z Aurelią znacznie szybciej, niż planował. Musiał jednakże przygotować się do podróży, a czasu było niewiele.

Zadowolona Drzewicka zajrzała wieczorem do sypialni przyjaciółki.

– Udało mi się wszystko dopiąć na ostatni guzik – oznajmiła uradowana. – Najważniejsze, że mecenas Dołęga był na tyle wspaniałomyślny, aby jeszcze dzisiaj przyjść do ciebie z plenipotencją. Ten dokument na pewno wiele ułatwi.

– Kiedy zamierzasz wyjechać?

– Jutro zaraz z rana wyruszamy w drogę. Jarząbek został już uprzedzony. Zapewne nie będzie nas przez kilka dni.

– Przepraszam, Aurelio, że sprawiam ci tyle kłopotu – bąknęła cicho Adamczykowa.

– Ależ to żaden kłopot, przestań się obwiniać. Wyobraź sobie, że Filip postanowił jechać razem z nami – dodała z błyskiem w oku. Liczyła na to, że odciągnie uwagę przyjaciółki od niepotrzebnego zadręczania się jej niemocą.

Rzeczywiście Matylda, dostrzegając radość malującą się na twarzy Aurelii, klasnęła w dłonie.

– O! Widzę, że szykuje się jakieś urocze tête-à-tête.

– Nie nazwałabym tego uroczym sam na sam, wszak będzie z nami również pan Jarząbek. Zresztą, jak dobrze wiesz, priorytetem jest dopilnowanie twoich interesów. Mam jednak nadzieję, że znajdzie się chwila na to, by pójść w Krakowie na jakiś spektakl. Zapewne teatry ruszyły już po wakacyjnej przerwie.

– Nigdy ci się nie znudzi? – Przyjaciółka parsknęła śmiechem, Aurelia bowiem z wielkim upodobaniem chodziła na wszystkie przedstawienia, gdy do Krynicy zajeżdżały najznamienitsze trupy teatralne. Mogłaby spędzać w Teatrze Modrzewiowym każdy wieczór. Ochoczo zabierała tam również swoich podopiecznych, aby od najmłodszych lat chłonęli kulturę.

– Trafiaś w sedno sprawy. Bardzo się cieszę na obcowanie z melpomeną. W gruncie rzeczy za twoją sprawą polubiłam miasto. Nie zmienia to jednak faktu, że jestem prawdziwym dzieckiem Krynicy. Nie zamieniłabym naszego cudnego uzdrowiska na żadne inne miejsce. Odnoszę wrażenie, że tutaj jesteśmy bliżej wielkiego świata niż choćby w takim Krakowie. Powiedz mi, czy gdziekolwiek indziej tak licznie urządza się bale poza karnawałem? U nas wypada tańczyć w ciepłe letnie noce, popijać szampana o brzasku. Na naszym deptaku można zobaczyć najświeższe modele sukni czy kapeluszy, zwykle wprost z Paryża, zanim na dobre zagoszczą na ulicach innych miast. W kawiarniach gawędzi się o sztuce z samymi artystami. To tutaj pan Gierymski rozprawiał o naturalizmie czy

dekadencji, tutaj natchnienie znalazł niejeden pisarz czy poeta. Tutaj jest mój dom – stwierdziła z ogromną satysfakcją. – Ale tak czy owak, zamierzam dobrze wykorzystać czas spędzony w Krakowie.

– Oho! Słyszę dwuznaczność w twoich słowach.

– No, no, no! Nie wyobrażaj sobie zbyt dużo. – Aurelia się roześmiała.

W głębi duszy cieszyła się, że przyjaciółka przestała uważać się nad tym, że nie może osobiście spotkać się z Tytusem. Im bliżej było do wyjazdu, tym bardziej Aurelia zakładała kłopoty. Właściwie wszystkie okoliczności wskazywały na to, że nie obejdzie się bez przeprawy ze Strzeleckim. Bo jak inaczej wytłumaczyć fakt, że mężczyzna wybrał na rozmowę czas, kiedy mógł być całkowicie pewien, że Matylda nie będzie w stanie dotrzeć do miasta? Zapewne z góry założył, że Adamczykowa wyśle w swym imieniu przyjaciółkę.

On i Zuzanna niezmiennie trzymali się na dystans. Nie mieli okazji dobrze poznać Aurelii, nie wiedzieli, na co faktycznie ją stać. A ona, wbrew pozorom, wcale nie była potulną owieczką. Kiedy zachodziła konieczność, potrafiła walczyć jak lwica. Zawsze stawiała po stronie poszkodowanych. Kłamstwem byłoby stwierdzenie, że nie dba o własne interesy, ponieważ pod jej zarządem tartak rozkwitał. Sęk w tym, że nigdy nie zabiegała o to, by przejąć jakiegokolwiek dobra materialne swych niegdysiejszych teściów. Uważała się właściwie za dziecko szczęścia. I o ile o swoje nigdy nie próbowała toczyć bojów, to o cudze zabiegała z ogromnym zaangażowaniem.

Po krótkiej chwili dowcipkowania Matylda spoważniała.

– Aurelio, chciałabym cię o coś prosić.

– Co tylko zechcesz – zapewniła przyjaciółka.

– Bądź tak dobra i pójdz na cmentarz, aby złożyć kwiaty na grobie Seweryna. Powiedz mu, bo myślę, że on cię usłyszy, że na

świat przyszedł jego syn.

– Kochana moja! – wykrzyknęła Aurelia, udając oburzenie. – Dobrze wiesz, że zrobiłabym to, nawet gdybyś o tym nie wspomniała ani słowem. Oczywiście pomodłę się przy grobie wuja i opowiem mu o wszystkim. Jestem jednak głęboko przekonana, że on z wyżyn niebios spogląda na ciebie, wszystko widzi i jego dusza raduje się z upragnionego męskiego potomka.

Jak każdego wieczoru Aurelia zajrzała do pokoi dziecięcych, by choć przez chwilę porozmawiać z podopiecznymi. Gdy byli młodszy, czytywała im o tej porze bajki. Teraz wołała zastępować czytanie rozmową.

Martwiła się, że musi zostawić dzieci pod opieką Felicjy i Ksawerego. Oczywiście Drzewiccy mieli do pomocy pannę Apolonię, ale obawiała się, czy to wystarczy.

Staś ostatnio zrobił się nader niesforny. Wykorzystywał każdą okazję do psot. Ponadto obydwój z Teosią z upodobaniem wymykali się z domu. O ile w okresie upalnych letnich miesięcy przymykała na to oko, o tyle teraz wołałaby, aby więcej czasu poświęcał nauce. Zwłaszcza istotne było dla niej, aby Stanisław solidnie się przyłożył do podręczników, ponieważ nosiła się z zamiarem posłania go do gimnazjum, a w dalszej kolejności również na studia. Od jakiegoś czasu rozważała nawet możliwość zatrudnienia jeszcze jednego nauczyciela, najlepiej mężczyzny, przed którym chłopiec czułby odrobinę respektu. Zresztą Apolonia sama twierdziła, że jej wiedza i kompetencje ograniczają się do tego, by nauczyć dzieci pewnych podstaw, wystarczających raczej dziewczętom. Bardziej bowiem znała się na edukowaniu pańienek. Dla Teodozji była więc idealną nauczycielką, zwłaszcza że jej podopieczna nie przejawiała ochoty, by wyjść poza domową edukację i kontynuować ją na

pensji. A Staszewi przydałyby się dodatkowe lekcje nauk ścisłych.

Przebrany w piżamę chłopiec bawił się na dywanie drewnianą kolejką.

– Stasiu, dość tej zabawy, zmykaj do łóżka. Jutro też jest dzień.

– Aurelia napomniała łagodnie podopiecznego.

– Kiedy mnie jeszcze nie chce się spać – odparł.

– Zobaczysz, że jak tylko się położysz, zaczną ci się zamykać powieki. Chłopcy w twoim wieku muszą chodzić wcześniej do łóżka.

– Ale ja tak nie lubię. Wolę spać rano.

– Rano panna Apolonia jak zwykle będzie z wami prowadziła lekcje. I znowu będzie narzekała, że przysypiasz podczas zajęć, a ona nie może cię dobudzić. No już! Bądź grzecznym chłopcem!

Staszek niechętnie porzucił zabawę i wgramolił się do łóżka. Aurelia otuliła go kołdrą. Pochyliła się, by ucałować podopiecznego w policzek. Pieszczotliwym gestem odgarnęła niesforne kosmyki opadające na jego oczy.

– Przydałoby się strzyżenie – zauważyła. – Rano, zanim wyjadę, powiem Rozalce, aby zaprowadziła cię do balwierza.

Młody skrzywił się szpetnie.

– No, no! – skarciła go ciotka. – Nie rób takich brzydkich min, bo zostaną ci na zawsze. Jutro wyjeżdżam do Krakowa. Nie będzie mnie przez kilka dni. Proszę cię, abyś pod moją nieobecność był posłusznym chłopcem i słuchał panny Apolonii oraz babci i dziadka we wszystkim.

– A przywiezie mi ciocia jakiś upominek? – zapytał przymilnym głosem.

Aurelia przygryzła wargę. Nie powinna mu składać takich obietnic, ponieważ zakrawałoby to na przekupstwo.

– Tylko pod warunkiem, że naprawdę będziesz grzeczny. Jeśli po powrocie usłyszę choćby słowo skargi pod twoim adresem, to prezent, który kupię dla ciebie w Krakowie, oddam jakiemukolwiek innemu chłopcu.

*Ależ to niepedagogiczne* – jęknęła w duchu.

– Przysięgam, ciociu, że będę grzeczny jak aniołek – zapewnił Staś, robiąc przy tym słodką minkę. – I nie dopuszczę, by jakikolwiek diabeł dźgał mnie widelkami. Bo jak taki diabeł dźgnie, to trudno się człowiekowi powstrzymać. Ale będę walczył!

– No myślę – odparła rozbawiona. Stanisław potrafił być rozbijający. – Śpij dobrze. Zobaczmy się za kilka dni.

– *Bon voyage*, moja ukochana ciociu.

## Kraków

Kraków przywitał przyjezdnych chłodem i deszczem. Niebo tak bardzo zasnuwały ołowiane chmury, że nie było najmniejszej szansy na ładną pogodę. Przechodnie kulili się pod mokrymi czaszami parasoli. Tramwaje konne rozbryzgiwały błotnistą wodę z kałuż. Trzeba było uważać, by nie zostać ochlapanym.

– Ach, jaka szkoda! – westchnęła Aurelia, wyglądając na zewnątrz z okna mieszkania przy Małym Rynku.

Siłą rzeczy zatrzymali się u Adamczyków. Matylda sama to zaproponowała, twierdząc, że jest absolutnie wykluczone, aby korzystali z usług hotelu, zwłaszcza że w Krakowie miała zaufaną gosposię, która dbała o mieszkanie. Służąca została uprzedzona depeszą o przyjeździe gości, których należało jak najlepiej przyjąć. W razie czego Aurelia gotowa była stołować się w restauracjach, ale okazało się to zbędne, ponieważ rezolutna Michalina ściągnęła do pracy znajomą kucharkę. Ta, która służyła wcześniej Adamczykom, znalazła zajęcie w innej

rodzinie, czemu nikt się nie dziwił, wszak pani wraz z dziećmi wyjechała na dłuższy czas i sama zasugerowała jej taką możliwość.

Zaraz po przyjeździe do miasta i ulokowaniu się u Matyldy Aurelia posłała służącego do mieszkania Strzeleckich, by poinformował krewnych o jej przybyciu. Otrzymała odpowiedź zwrotną, w której wuj zaprosił ją na rozmowę następnego dnia w godzinach przedpołudniowych.

Tego dnia wcześniej zaczął zapadać zmierzch. Wyglądająca oknem Drzewicka dostrzegła idącego trotuarem umundurowanego mężczyznę, niosącego na ramieniu długi kij z podskakującym na czubku ognikiem. Gdy tylko człowiek ten zbliżał się do latarni, unosił drążek, by zapalić gazową lampę. W wielu miejscach widać już było rozświetlone klosze rzucające blask na najbliższe otoczenie.

Być może gdyby nie ponura aura, Aurelia wybrałaby się z Filipem na spacer. Kusiło ją wspomnienie sklepu pana Hawełki, przy którym właściciel uruchomił coś, co pieszczotliwie zwano handelkiem śniadankowym. W rzeczy samej oferował on nie tylko śniadania, jak sugerowała nazwa, ponieważ można tam było zająć na smaczną przekąskę zarówno z rana, jak i w ciągu dnia, a nawet wieczorem. Takich kanapek Drzewicka nie widziała w żadnym innym miejscu. Matylda szczególnie w nich gustowała, opychając się niekiedy do granic przyzwoitości. Aurelia, podczas pobytów u Adamczyków, też bardzo rozsmakowała się w przekładańcach przygotowanych z pieczywa, homarów, szynki czy innych wybornych dodatków.

Do spotkania z Tytusem zostało zaledwie kilka minut. Aurelia czuła, że ma żołądek zawiązany w supeł, gdy jechali dorożką przez zalane deszczem ulice. Wyjątkowo nie zważała na zatęchłą woń wilgoci, nie martwiła się tym, czy wsiąknie w jej



włosy oraz kostium, choć wiedziała, że Zuzanna jest wyczulona na każdy drobiazg. Zapewne ciotka zmarszczy nos podczas powitania, może nawet wygłosi jakąś niezbyt miłą uwagę. Strzelecka uważała bowiem, że w sytuacjach, gdy rodzina przebywa wyłącznie we własnym gronie, szczerłość jest pożądana, nawet jeśli może sprawić przykrość.

Zatrzymali się przed kamienicą. Filip wysiadł i rozłożył parasol, a następnie wyciągnął dłoń w stronę narzeczonej. Aurelię owionął nieprzyjemny podmuch wiatru niosącego kropelki deszczu. Przytrzymując spódnicę, by nie zamokła, zgrabnie wysiadła z pojazdu, po czym, omijając większe kałuże, dotarła do budynku. W bramie wygładziła nieistniejące fałdki na ubraniu, poprawiła nerwowym gestem starannie uczesane włosy.

Ku zaskoczeniu Drzewickiej w mieszkaniu zastali wyłącznie Tytusa. Kiedy wyraziła zdziwienie, mężczyzna oznajmił dość szorstko:

– Zuzanna wraz z chłopcami jest już we Lwowie, gdzie urządzają nowe lokum. Ja wróciłem tutaj na kilka dni wyłącznie po to, by zlikwidować resztę spraw.

Jakby na potwierdzenie swych słów, wskazał dłonią nagie ściany, z których pozdejmowano już obrazy. Okna straszyły brakiem firan i portier. Pomieszczenia były opustoszałe. W salonie stało zaledwie kilka foteli oraz stolik. Zniknęły dywany i większość mebli. W hallu piętrzyły się rzeczy przygotowane do transportu.

Tytus nie bawił się w zbędne grzeczności. Szybko przeszedł do meritum. Obecność mężczyzn towarzyszących Drzewickiej nie zrobiła na nim najmniejszego wrażenia. Rozmawiał z nią w bardzo oschłym tonie, jakby nie należała do rodziny, ale była natrętną interesantką. I jakby nie chodziło o sprawę powinowatej, lecz kogoś zupełnie obcego.

– Przykro mi, Aurelio, nie jestem w stanie pomóc. Seweryn nie wtajemniczał mnie we wszystkie swoje sprawy. Nie mam pojęcia, czy lokował gdziekolwiek zarobione przez siebie środki. Zakładam, że w całości wydawał je na dom. Niejeden raz narzekał, że Matylda jest rozrzutna i wciąż kupuje nowe stroje, kapelusze, buty oraz ubrania dla dzieci. Zachciało jej się także remontu mieszkania, które przecież było pięknie urządzone. To była niemądra i kosztowna fanaberia, by pozbyć się mebli po rodzicach i zastąpić je nowymi. O ile wiem, w kamienicy też ostatnimi czasy trzeba było dokonywać różnych napraw.

– Nie wierzę, że człowiek tak przezorny jak wuj Seweryn wydawał absolutnie wszystko co do grosza – stwierdziła Aurelia. – Przecież miał na utrzymaniu tylko żonę oraz trzy małe córeczki. Ty masz sześciu synów, których musisz posyłać do szkół, a to na pewno jest znacznie droższe niż zaspokajanie potrzeb małych dziewczynek.

– Zarzucasz mi kłamstwo? – zapytał, spoglądając na nią srogim wzrokiem.

– Ależ skąd! – odparła szybko, czując, jak oblewa ją fala gorąca. Czy w ten sposób czuli się podsądni podczas rozprawy? To było doprawdy nieprzyjemne doznanie. Przecież nie chciała obrazić wuja. – Po prostu nie pojmuję, czemu nie pozostawił po sobie żadnego kapitału. Ty na pewno masz większe wydatki niż on.

– To kwestia odpowiedniego zarządzania finansami. Zuzanna jest oszczędną, skrzętną kobietą. Nie trwoni pieniędzy na fraszki. Zresztą chłopców ubiera się zdecydowanie inaczej niż dziewczęta. Dla chłopaka wystarczą spodnie, koszula i coś elegantszego do wyjścia. A dziewczynki muszą mieć mnóstwo falbanek, koronek, kwiatków, kapelusików, bo przecież bez tego

nie wypada pójść choćby na spacer Plantami – wyliczał z przekąsem.

– Bez przesady – burknęła Aurelia. – Nie mieści mi się w głowie, że Seweryn ot tak wszystko wydawał. Za co ma teraz żyć Matylda?

– To nie jest moje zmartwienie – powiedział obcesowo Tytus. – Nigdy nie pytałem szwagra, na co przeznaczają pieniądze. On także mi się z tego nie zwierzał. Nie robił sekretu tylko z faktu, że żona szasta nimi na prawo i lewo. Nawet jeśli Seweryn miał jakiś rachunek w banku, nie wspomniał mi o tym. Wszak to są sprawy jego oraz Matyldy. Jak widać, moja szwagierka jest osóbką o wyjątkowo małym rozumku, skoro nigdy nie zainteresowała się własnymi finansami. A jeżeli Seweryn nie wtajemniczył jej w takie niuanse, oznacza to, że musiał mieć o niej naprawdę kiepskie zdanie i w ogóle jej nie ufał.

Słyszając to, Aurelia poczuła się tak jak w dniu, gdy pierwszy raz spadła z konia. Potłukła się wówczas tak mocno, że jej płucom zabrakło tchu i przez dłuższy czas nie mogła złapać oddechu. Słowa Tytusa, choć godziły w jej przyjaciółkę, sprawiły Drzewickiej ogromną przykrość.

– Nie zgadzam się na takie ocenianie Matyldy!

– Fakty dobitnie o tym stanowią – odparł Tytus. A potem dodał nieco łagodniejszym tonem: – Mimo wszystko skłaniałbym się jednak ku temu, że Seweryn nie posiadał odrębnego rachunku bankowego, ale jedynie ten, który założony został na potrzeby kancelarii. Tych pieniędzy niestety nie mogę wypłacić Matyldzie. Przede wszystkim dlatego, że nie należą się one jej, ponieważ są własnością spółki.

– Ale spółka nie istnieje, szanowny panie – wtrącił roztropnie Filip, który do tej pory w milczeniu i z dość dużym zażenowaniem przysłuchiwał się wymianie zdań. Jarzábka w ogóle nie zaproszono do salonu, Tytus wskazał buchalterowi

krzesło w hallu i tam polecił oczekiwać na Drzewicką i jej narzeczonego.

– To prawda: nie istnieje. Została rozwiązana z chwilą zgonu Seweryna. Sęk w tym, że po spółce zostały zobowiązania. Pani Sawicka wytoczyła nam proces o zniesławienie. Jeśli przegramy sprawę, będzie się to wiązało z ogromnym odszkodowaniem. Nie jestem pewien, czy na pokrycie roszczeń wystarczy funduszy zgromadzonych na rachunku. Matylda powinna więc liczyć się z tym, że może zostać zmuszona do uszczuplenia własnych zasobów, aby spłacić część zadośćuczynienia. Jeżeli nie posiada aktywów, trzeba będzie rozważyć sprzedaż kamienicy – zasugerował.

– Co? Jakim prawem? Niby dlaczego miałyby płacić za coś, czego nie zrobiła? Jak można karać wdowę za to, że jej mąż przegrał rozprawę? To nie Matylda rzucała oskarżenia pod adresem Sawickiego! – wykrzykiwała coraz mocniej wzburzona Aurelia.

– Oczywiście, że nie ona – odparł wuj. – Sęk w tym, że pani Sawickiej w ogóle to nie interesuje. Ona chce pieniędzy, a małżonkowie odpowiadają wzajemnie za swoje długi. Nie ma się co unosić, Aurelio. Takie są fakty. Oczywiście będę walczył, by oczyścić dobre imię świętej pamięci współnika.

– Fatalnie. – Aurelia westchnęła ciężko. – Matylda została praktycznie bez środków na utrzymanie.

– A kamienica po Adamczykach? Póki ją posiada, może z niej czerpać profity.

– O tym dopiero będę rozmawiała z administratorem. Z tego, co jednak wiem, wynika, że kamienica nie przynosi na tyle dużych dochodów, by w pełni pokryły potrzeby Matyldy i jej dzieci.

– Może więc należałoby trochę spuścić z tonu i ograniczyć owe potrzeby? – zapytał z przekąsem Tytus. – Ewentualnie Matylda,

po powrocie z Krynicy, może przeprowadzić się do któregoś z mniejszych lokali, a ten, w którym obecnie zamieszkuje, po prostu komuś wynająć. Taka zamiana byłaby szczególnie łatwa do przeprowadzenia teraz, gdy gościsz pod swoim dachem wdowę. Wystarczy tylko zlecić komuś przeniesienie rzeczy osobistych.

– Mniejsza o to – rzuciła wymijająco Drzewicka. – Czyli nie masz dla mnie, wuju, żadnych dobrych wiadomości? – Wołała się jeszcze upewnić.

– Przykro mi, Aurelio, ale nie mam. Właściwie powinienem był napisać o tym wszystkim w liście do Matyldy. Uznałem jednak, że wolę o tym porozmawiać osobiście.

– W takim razie trzeba było przyjechać do Krynicy, a nie wzywać ją do Krakowa w najmniej odpowiednim momencie. Przecież wiedziałeś, że spodziewa się rozwiązania. Nie przypuszczałeś chyba, że kobieta w mocno zaawansowanej ciąży lub z maleństwem na ręku wybierze się w taką podróż? Nie wmówisz mi, że nie byłeś niczego świadomy, wszak jesteś sześciokrotnym ojcem. Dobrze wiesz, skąd biorą się dzieci! – Nie omieszkała wbić mu szpilki. – Doprawdy przygnębiające to, że ani ty, ani Zuzanna nie znaleźliście czasu, by odwiedzić Matyldę w minionym okresie. To zrozumiałe, że ona teraz potrzebuje wsparcia najbliższych.

– Uznaliśmy, że w zupełności wystarczy jej twoja obecność. Matylda zawsze była ekscentryczką i szukała sobie specyficznego towarzystwa.

– Panie Strzelecki! – wtrącił surowo Filip. – Uważam, że za wiele pan sobie pozwala. Moja narzeczona nie jest specyficzną osobą, jak pan to ujął. Jest wspaniałą kobietą przepelnioną empatią, ciepłem, serdecznością. Mógłbym długo wymieniać jej przymioty, ale uważam to za zbędne. Wszyscy dobrze wiemy, jaka jest Aurelia. A jeśli ma pan jakieś zastrzeżenia do miejsca,

w którym się wychowywała, to pragnę przypomnieć, że matka mojej narzeczonej była siostrą pańskiej żony. W ich żyłach płynie ta sama krew. A to chyba do czegoś zobowiązuje!

– Zobowiązywałoby, gdyby została oficjalnie uznana za członka naszej rodziny. Jednak z punktu widzenia prawa Aurelia jest córką państwa Drzewickich. Nie czujemy się więc zobowiązani do niczego.

– Nawet do kultury i odrobiny życzliwości? – zapytał zaczepnie Rapacz. Dłonie wręcz go świerzbiły. Chętnie zacisnąłby pięści i w najprostszy na świecie sposób wymierzył temu gogusiowi sprawiedliwość za zniewagi, których właśnie się dopuścił. Hamowała go obecność narzeczonej, bo nawet myśl, że ma do czynienia z prawnikiem, który potrafiłby się za to później odegrać w majestacie prawa, nie robiła na nim wielkiego wrażenia. Honor damy jego serca był dla niego ważniejszy niż konsekwencje takiego czynu.

– Szanowny panie, życzliwość to jedno, związki rodzinne to drugie, a sprawy majątkowe i zobowiązania to trzecie.

– Sam pan zaczął łączyć te kwestie ze sobą!

Aurelia z rosnącą konsternacją przysłuchiwała się tej wymianie zdań. Nie podobał jej się kierunek, w którym zmierzała rozmowa.

– Filipie, Tytusie! Proszę was, przestańcie! Nie spotkaliśmy się, by skakać sobie do oczu. Jesteśmy tutaj wyłącznie po to, by uporządkować sprawy Matyldy – przypomniała. – Skoro nie jesteś w stanie nam w żaden sposób pomóc, to myślę, że powinniśmy zakończyć spotkanie. Ubolewam nad tym, że odcięliście się od Matyldy. Nie rozumiem, co wami powodowało. Czyżby wraz ze śmiercią Seweryna umarły również relacje rodzinne?

Tytus spojrział na nią tak wymownie, że nie musiała zadawać kolejnych pytań. Dopiero po chwili milczenia kobieta

wykrztusiła:

– Czy mam przekazać Matyldzie coś od was?

– Możesz ją zapewnić, że wszystkie sprawy związane z działalnością Seweryna zostaną doprowadzone do finału. Ufam, że nie będzie musiała się tym kłopotać, nawet jeżeli przegramy z panią Sawicką. Wciąż istnieje szansa zawarcia ugody, która będzie nas kosztowała mniej od przegranej w sądzie. A jeśli chodzi o finanse, Matylda powinna się cieszyć, że posiada kamienicę i Zuzia nie wnosi żadnych roszczeń spadkowych.

– Och! Jeszcze tego brakowało! – zdenerwowała się kobieta.

Niezrażony jej wybuchem Strzelecki kontynuował:

– Ta sprawa też nie do końca została uregulowana, ponieważ przed laty Seweryn miał spłacić Zuzannę. Mimo podpisania stosownych dokumentów moja żona nigdy nie dostała pełnej kwoty, a jedynie jej część. Postanowiła jednak darować ten dług Matyldzie.

– Cóż za łaskawość! – skomentował Filip.

– A i owszem. – Strzelecki spojrzał na niego nieprzychylnie spod ściągniętych gniewem brwi. Potem zwrócił się do powinowatej. – My przenosimy się z naszym życiem do Lwowa, zatem kiedy Matylda w końcu tutaj wróci, będzie musiała sama się o siebie zatroszczyć. Zuzanna zawsze miała znaczne zastrzeżenia do jej sposobu bycia oraz światopoglądu, a zwłaszcza zbytniego wyemancypowania. Tolerowała obecność Matyldy na łonie rodziny jedynie z uwagi na Seweryna. Teraz, gdy jej brat nie żyje, nie widzi konieczności utrzymywania jakiegokolwiek formy kontaktu. Prosimy więc, aby panie nie siliły się na pisanie do nas listów, gdyż wszelka korespondencja pozostanie bez odpowiedzi. Domyśliłaś się zapewne, że Zuzanna nie była uszczęśliwiona twoim nagłym pojawieniem się w naszej rodzinie. Jej uraza do Eleonory nigdy nie przeminęła. Zuzanna nie była też w stanie przemóc się, by nie

przenosić na ciebie niechęci, którą żywiła do siostry. A ja nie mogę wpływać na sympatie i antypatie mojej małżonki. Proszę więc wybaczyć, ale uważam, że dalsza rozmowa nie ma najmniejszego sensu. – Dla zaakcentowania swoich słów spojrzał wymownie na drzwi wiodące na korytarz.

Aurelia podniosła się z godnością.

– Nie pojmuję, jak można być do tego stopnia bezdusznym – powiedziała z rozgoryczeniem. – Cóż... Bez większego żalu mówię: żegnaj.

Nieznacznie skinęła głową, odwróciła się na pięcie i nie czekając na Filipa, opuściła pomieszczenie. Mężczyzna przytomnie ruszył w ślad za nią. Alojzy, zażenowany sceną, której był mimowolnym świadkiem, ponieważ wszystko dobrze słyszał, pospieszył za Drzewicką oraz jej narzeczonym.

Gdy tylko wyszli przed kamienicę, w której mieszkali Strzeleccy, buchalter rzucił półgębkiem:

– Państwo pozwolą, że się oddalę. Muszę się przewietrzyć – oznajmił, a następnie odszedł.

Aurelia była mu wdzięczna za to, że dyskretnie się ulotnił. Przypuszczała, że Jarząbek usłyszał o wiele za dużo, choć teraz to nie było jej największym zmartwieniem. Walczyła ze łzami, nie chciała rozplakać się ani w miejscu publicznym, ani tym bardziej w obecności podwładnego. W całym swoim życiu nie poczuła się równie upokorzona. Było jej wstyd, że w taki sposób rodzina jej się wyparła. Mogłaby zrozumieć niechęć Tytusa, ale że Zuzanna tak postąpiła? Był to dla niej cios prosto w serce.

Dało jej to także dużo do myślenia.

Skoro Zuzanna postąpiła tak okrutnie, to jakimi ludźmi musieli być jej rodzice? Czy właśnie z tego powodu Eleonora, będąc w rozpaczliwej sytuacji życiowej, nie wróciła pod



rodzinny dach, lecz poszukała schronienia w Powroźniku wśród obcych osób?

To nie była odpowiednia pora na analizowanie skomplikowanych losów matki.

– Och, Filipie... – jęknęła. – Mam ochotę krzyczeć z rozpacz. Jak oni mogli tak potraktować Matyldę? To podłość!

Filip, wzruszony tym, że narzeczona nawet w tak przykrych sytuacji bardziej myśli o innych niż o samej sobie, delikatnie ją przytulił, chociaż w miejscach publicznych absolutnie nie wypadało czynić podobnych gestów. Drzewicka nic sobie nie robiła z konwenansów. Oparła czoło o jego bark. Jej plecami wstrząsnął szloch. Nie przeszkadzał jej nawet deszcz, który tymczasem nieco osłabł i z ulewy przeszedł w uporczywą mżawkę.

Mężczyzna pomachał ręką na przejeżdżającą dorożkę.

Poniewczasie żałował, że nie powiedział Tytusowi, co o nim myśli. Jego ukochaną spotkał przecież poważny afront.

Gdy wsiedli do pojazdu, przygarnął do siebie narzeczoną.

– Płacz, jeśli jest ci to potrzebne.

Nawet nie próbował na siłę jej pocieszać. Jaki jest sens w proszeniu, by nie płakała, skoro kobietom łzy przynoszą ulgę?

– To niewyobrażalnie podłe i bezduszne – lamentowała wciąż Aurelia.

– Przykro mi to mówić o twym wuju, lecz Tytus Strzelecki to pospolity padalec. Przyzwoici ludzie w ten sposób nie postępują. Przyzwoici ludzie otoczyliby wdowę opieką. Nie odżegnywaliby się od znajomości z Matyldą, która nic im nie zawiniła. Wszak gdyby wcześniej doszło pomiędzy nimi do ostrzejszego konfliktu, Strzelecki nie omieszkałby o tym wspomnieć. Na litość boską! Przecież dzieci Matyldy są spokrewnione z Zuzanną – stwierdził poirytowany. Różniwał

się dobrze w sytuacji rodzinnej i koligacjach Aurelii. – To oburzające.

Sam nie wiedział, czy bardziej ubodło go to, jak została potraktowana narzeczona, czy zmartwiło to, że Aurelia nie była w stanie w żaden sposób pomóc Matyldzie. Wiedział, jak bardzo jej na tym zależało. Zresztą jemu także, ponieważ planując małżeństwo z Aurelią, czuł się zobligowany do zainteresowania wszystkim, co dotyczyło ukochanej.

Jedyne, co jeszcze mogli zrobić, to porozmawiać z administratorem kamienicy Adamczykowej. Oby ten miał dla nich lepsze wieści! Teoretycznie powinien zdać Aurelii pieniądze z czynszów zebranych za ostatnich kilka miesięcy.

*Miejmy nadzieję, że przynajmniej ten człowiek jest uczciwy* – przemknęło przez myśl Filipowi. Wolał nie dzielić się swoimi obawami z narzeczoną. Bez tego była zmartwiona.

Po powrocie do mieszkania Aurelia dość szybko doprowadziła się do porządku. Nie miała czasu na rozpamiętywanie afrontu, który ją spotkał, zresztą wiedziała, że łzami nie pomoże Matyldzie. Musiała działać. Posłała służącego po administratora kamienicy. W tym przypadku szczęście jej dopisało. Mężczyzna okazał się wyjątkowo rzetelny. Od razu przedłożył do wglądu książkę rachunkową i rozliczył się z gotówki. W księdze nie było wiele wpisów. Jarząbek nie zakwestionował żadnego z nich. Pieniądze się zgadzały.

Później, na wyraźną prośbę Matyldy, Aurelia wraz z Filipem i Jarząbkiem przeczesał dokładnie gabinet Seweryna w poszukiwaniu jakichś dokumentów, które mogłyby ich naprowadzić na ślad ewentualnych interesów zmarłego. Niestety nie znaleźli nic godnego uwagi. W sejfie, do którego dostęp miała również Matylda, była jedynie biżuteria i odrobina gotówki.

Wiedziona impulsem Aurelia starannie zapakowała znaleźiska, ponieważ postanowiła zabrać je do Krynicy. Przeczowała bowiem, że Matylda nieprędko wróci do Krakowa. Zresztą sama zamierzała dopilnować tego, by przyjaciółka nabrała pełni sił, nim zacznie dokonywać jakichkolwiek kolejnych zmian w swoim życiu. Miasto nie miało nic do zaoferowania tej nieszczęśnicy.

Tym samym w Krakowie Aurelii nie pozostało już nic do załatwienia. Jej nastrój został skutecznie popsuty przez Tytusa. Na tyle mocno, że odechciało jej się jakichkolwiek wyjść do teatru, opery czy choćby nawet kawiarni. Pogoda nie sprzyjała spacerom po mieście. Pracownie krawieckie oraz modystyczne w ogóle jej nie pociągały. Wszystko to, co mogła nabyć w Krakowie, miała na wyciągnięcie ręki u siebie na prowincji. Krynickskie sklepy były doskonale zaopatrzone, a krawcy i modyści świetnie rozeznawali się w najnowszych trendach. Jedyne, co powinna nabyć, to upominki dla dzieci, lecz po te zamierzała wyprawić się do pobliskich Sukiennic.

– Marzę o powrocie do domu – wyznała Filipowi, gdy wieczorem siedzieli w bawialni i odpoczywali po trudach nieprzyjemnego dnia. Nie zdecydowali się na żadne rozrywki, choć pierwotnie planowali, że obejrzą spektakl.

– Szczerze mówiąc, ja także. Widzę, jak bardzo jesteś podminowana tym, co się tutaj wydarzyło. Zakładam, że nie jesteś w nastroju do jakichkolwiek rozrywek.

– Tak, masz rację. Nie mam ochoty nawet na wyjście do teatru, chociaż obiecywałam sobie, że będziemy spędzali w nim każdy wieczór, do czasu aż załatwimy wszystkie sprawy. Tymczasem okazało się, że zrobiliśmy to w ciągu jednego dnia. I chyba nasza dalsza obecność tutaj mija się z celem.

– To prawda. Administrator wygląda na rzetelnego człowieka. Jestem przekonany, że kto jak kto, lecz on nie oszuka Matyldy.

Twój wuj nie zostawił po sobie żadnych dokumentów, które mogłyby jakkolwiek przysłużyć się wdowie. Być może przechowywał je w kancelarii.

– Też o tym pomyślałam. Niestety kancelaria została zlikwidowana.

Kiedy byli u Strzeleckich, Tytus już na wstępie oznajmił, że wszystkie akta zostały spakowane i wysłane do Lwowa, a lokal zdany. Tylko czy można mu było wierzyć? Aurelia coraz mocniej podawała w wątpliwość jego wiarygodność. Spojrzeli po sobie z Filipem.

– Myślisz, że powinnam pojechać w miejsce, gdzie niegdyś funkcjonowała kancelaria, i na własne oczy przekonać się, że już nie istnieje?

– Właśnie to nie daje mi spokoju. Orientujesz się, od kiedy Tytus jest w Krakowie?

– Ostatni list przyszedł ze Lwowa. Otrzymałam go dzień przed depeszą, którą przysłał do Matyldy. Datowany był trzy dni wcześniej. Z treści oraz wcześniejszej korespondencji wynikało, że Strzeleccy przebywają tam nieco ponad tydzień. Mieszkania szukał dla nich wynajęty pośrednik. Na razie, siłą rzeczy, zatrzymali się w hotelu i czekają na przewiezienie dobytku.

– Zatem jeśli założylibyśmy, że twój wujek wyjechał następnego dnia po wysłaniu listu, przebywa tutaj nie dłużej niż pięć dni. Sądząc po tym, jak wygląda mieszkanie, w pierwszej kolejności zaczął od likwidowania gniazdka rodzinnego. Obstawiałbym, że takie miała priorytety Zuzanna. Na pewno zobligowała męża do jak najszybszego zlecenia transportu mebli oraz wszystkich rzeczy osobistych, których nie zabrali w podróż po Europie... – Urwał i spojrzał znacząco na narzeczoną.

– A to oznacza, że raczej nie znalazł czasu na likwidację biura – uzupełniła.

– Wiele wskazuje na to, że twój wuj jest dość perfidnym człowiekiem, który nie zawaha się nawet przed kłamstwem. Być może kancelaria wciąż istnieje, a po prostu nie chciał, abyś się tam wybrała. Jeśli w biurze zostały jakiegokolwiek dokumenty, to ostatni dzwonek, aby je przejrzeć. Strzelecki nie może ci tego zabronić!

– Tak, to prawda, powinnam spróbować.

Następnego dnia okazało się jednak, że Tytus nie łgał, mówiąc, iż kancelaria została zlikwidowana. W przestronnym lokalu od kilku tygodni urzędowała inna firma. Tak więc ostatnia nadzieja spaliła na panewce. Nawet jeśli pomiędzy dokumentami były jakieś wskazówki dotyczące prawdziwego stanu posiadania Adamczyków, to na wszystkim położył rękę Strzelecki.

– Wiem, że nie powinnam rzucać oszczerstw i oskarżeń, ale odnoszę nader nieprzyjemne wrażenie, że Tytus okradł Matyldę. Zdążyłam na tyle dobrze poznać wuja Seweryna, by wiedzieć, że był człowiekiem przezornym. Darzył szwagra ogromnym zaufaniem. Wiedział także, że Matylda jest osobą dość niefrasobliwą. Być może to właśnie Tytusowi Seweryn powierzył swoje najważniejsze sprawy, ufając, że gdyby coś złego mu się przydarzyło, Strzelecki zadba o jej interesy. Jeśli Tytus miał jakiegokolwiek upoważnienia do dysponowania majątkiem szwagra, mógł je wykorzystać w niecznych celach – stwierdziła z wielkim rozgoryczeniem. – A ponieważ jest prawnikiem, doskonale orientuje się w tym, jak tuszować niewygodne fakty.

– Bardzo chciałbym powiedzieć, że to niemożliwe. Obawiam się jednak, że masz całkowitą rację. Tak naprawdę nie wiadomo, kiedy Tytus przyjechał do Krakowa. Musiał tu być znacznie wcześniej. Na tyle wcześniej, by pozacierać ślady swej

działalności i uprzątnąć całe biuro. Mieszkanie przy ulicy Zamkowej też świeci pustkami i jest gotowe do sprzedaży. Takich rzeczy nie da się zrobić z dnia na dzień. Wiesz, co myślę? On tutaj był w minionych miesiącach, a po Europie podróżowała twoja ciotka wraz z dziećmi, przynajmniej tymi młodszymi. Bo starsi synowie z dużym prawdopodobieństwem towarzyszyli ojcu. Zapewne całe towarzystwo ostatnie dni spędziło w hotelu i nie płaćtało się w okolicy, abyś na kogoś z nich nie wpadła przypadkowo. A depesza wzywająca Matyldę do miasta została wysłana przez Zuzannę, a nie przez Tytusa, w momencie gdy Strzelecki nabył bilety do Lwowa. W jedną stronę.

– Och! Ależ ja jestem głupia! – wykrzyknęła Aurelia i pacnęła się dłonią w czoło. – W ogóle mi to nie przyszło do głowy, ale przecież to z Zuzanną korespondowałam przez ten czas. To ciotka wysyłała do mnie lakoniczne listy z każdego miejsca, w którym przebywała. Chciała odwrócić naszą uwagę od poczynań Tytusa. Doskonale wiedziała, że nikt z nas nie wybierze się do Krakowa wówczas, gdy Tytus i ona przebywają za granicą, ponieważ niczego byśmy nie załatwili ani w żaden sposób nie dostalibyśmy się do kancelarii. Matylda nie była w stanie podróżować w ostatnich tygodniach, więc upewniwszy się, że osiadła u mnie na dobre, Tytus mógł swobodnie działać. Och, ja głupia! Jakże sobie dałam zamydlić oczy!

## Krynica

Nadciągała jesień. Mimo że sady, parki, skwery i lasy wciąż obleczone były w zieleń, Eudokia czuła każdą komórką ciała zbliżający się kres ciepłych letnich dni. Jesień sama w sobie nie była najgorsza, ponieważ kojarzyła się z sytością. To był czas, gdy drzewa uginały się od ciężaru dojrzałych owoców, a z pól

zbierano ziemniaki, kapustę i inne płody rolne. Gdy drewniane skrzynie w spichlerzach złociły się dobrze wysuszonym ziarnem, a w komórkach stały pękate worki mąki, z których przy najlżejszym dotyku unosiła się biała pylista mgiełka. Można było jeszcze wtedy zarobić przy wypasaniu bydła oraz zbieraniu darów przyrody. Gorzej, że po tych krótkich, acz dostatnich dniach nadchodziła najsrozsza pora roku ściskająca zimnem i głodem.

Krynica z wolna się wyludniała. Odjeżdżali kuracjusze, pozostawiając puste pokoje, które należało posprzątać. A gdy to już zostanie uczynione, niepotrzebne będą kubły z wodą. Niepotrzebna będzie praca ubogiej łemkowskiej kobieciny, przy której wciąż płacze się drobny, cherlawy chłopczyk.

– Puść, Nikiforze – wybełkotała niewyraźnie Rusnaczka, gdy syn kolejny raz uczeplił się jej spódnicy. – Idź na podwórze.

Prócz małego nikt nie był w stanie zrozumieć słów padających z ust Eudokii.

Mały usłuchał, choć nie lubił przebywać z dala od matki. Intuicyjnie nauczył się unikania innych osób. Dorośli czy dzieci, nieważne, wszyscy go przeganiali, nazywali głupkiem, szczuli na niego psy.

Gdyby tak mógł stworzyć inny, lepszy świat! Taki, w którym nie byłoby złych ludzi! Pełen pięknych budynków i drzew. Ale bez kobiet i mężczyzn, bez szturchających go łobuzów.

Z tą myślą przemknął chyłkiem schodami służbowymi na podwórze jednego z krynickich pensjonatów. Postanowił, że poczeka na matkę przy studni. Prędzej czy później kobieta będzie musiała tam wrócić po kolejny kubeł wody. Na pewno więc się nie zgubią.

Ziemia wokół cembrowiny była solidnie ubita i pozbawiona choćby jednego źdźbła trawy. Nic dziwnego, skoro każdego dnia wyciągano ze studni dziesiątki kubłów wody. Zadeptana

setkami, może tysiącami kroków, straciła swą płodność. Była niczym pusta tablica, którą Nikifor widywał w wiejskiej szkółce. Niekiedy chłopiec zakradał się pod okna, by popatrzeć, jak pan nauczyciel kreśli na tablicy różne dziwne znaki. Słyszał, że to litery i cyfry. A czasami ten sam, chyba bardzo mądry człowiek potrafił wyczarowywać białą kredą na ciemnym tle jakieś widoki: chyże ze spadzistymi dachami, drzewa i kwiaty, a na niebie ptactwo oraz chmury.

Mama, w swym mało zrozumiałym dla innych języku, obiecała kiedyś Nikiforowi, że pošle go do szkoły. A tam pan nauczyciel zadba, by chłopiec nauczył się ładnie i wyraźnie mówić oraz pisać te tajemnicze symbole, którymi ponoć można wszystko wyrażać. Może nawet pokaże Nikiforowi, jak się maluje obrazki. Bo ojciec Nikifora, ma-lar-sa, potrafił pięknie malować, nauczył się tego w jakiejś ważnej miastowej szkole, bardzo daleko od Krynicy. Dobrze by więc było, aby i syn spróbował.

Nikifor pomyślał, że akurat to można zrobić bez pomocy nauczyciela. I że takie rysowanie musi być niczym stwarzanie światów. Tylko skąd wziąć białą kredę i tablicę? A może dałoby się bez tych rzeczy? Może wystarczyłby dobrze naostrzony patyczek i ubita ziemia? Trzeba tylko odważyć się postawić kreski i połączyć je w całość.

Nagle koło studni pojawił się zarys domku – trochę koślawego, nieporadnego, ale bez trudu dało się dostrzec okna i drzwi, dach z kominem, a nad nim smugę dymu. Następny wyszedł już zgrabniej, a po nim kolejny. Nikifor tak się zapamiętał w kreśleniu budynków, że nawet się nie spostrzegł, gdy matka zakończyła pracę i zawołała go, aby wracali do Powroźnika.

Chłopiec nie zareagował na przywołanie, więc zmęczona Eudokia podeszła bliżej. Wcześniej nie miała czasu, by przyjrzeć się temu, co mały porabia. Teraz zatrzymała się za



plecami kucającego Nikifora i popatrzyła na jego dzieło. Zobaczyła ciąg domów ustawionych wzdłuż ulicy. Płoty i drzewa. Za tym wszystkim spiętrzone wzgórza porośnięte lasami. I ani jednej ludzkiej postaci, choć z kominów snuły się dymy.

– Krze-ny-cze? – wybełkotała zachwycona, choć dzieło synka było dość nieporadne.

Dzieciak odwrócił się i spojrzał na rodzicielkę. Jego drobniutką buzię rozjaśnił uśmiech pełen szczęścia.

– Kry-ni-ca – przytaknął równie niewyraźnie.

– Ma-lar-sa. Ma-tej-ko. – Z uznaniem pokiwała głową.  
Jej ukochany syneczek, jej największa duma!

# POGARDZANI

## §

### Krynica

Przez całą drogę powrotną do domu Aurelia zamartwiała się tym, że ma do przekazania przyjaciółce same przygnębiające wieści. Jak niby miała wyznać pogrążonej w żałobie kobiecie, że najbliższa rodzina postanowiła się od niej odciąć? Jak powiedzieć, że jedyne przychody, na które może liczyć, będą od teraz pochodziły z wynajmu mieszkań w kamienicze przy Małym Rynku?

Matylda przyzwyczajona była do określonego poziomu życia. Zawsze lekką ręką wydawała pieniądze. Teraz ich ilość uległa znaczącemu ograniczeniu. Kobiecie obarczonej czwórką drobiazgu niełatwo będzie związać koniec z końcem, na pewno zmuszona zostanie do oszczędzania.

– Może Tytus słusznie zasugerował, że powinna zmienić lokum na skromniejsze? – powiedział Filip, gdy w pociągu wiozącym ich do Muszyny dzielili się przemyśleniami.

– Zapewne nie jest to najgorszy pomysł – odparła Aurelia. – Ale trudno, aby właścicielka kamienicy cisnęła się w jakimś malutkim lokaliku, zwłaszcza teraz, gdy na świat przyszło jej czwarte dziecko. Ktoś, kto nawykł do określonego poziomu życia, niełatwo przyzwyczaja się do gorszych warunków. Ponadto nie wiem, czy to wpłynie znacząco na jej przychody. Na pewno niekorzystnie podziała na samopoczucie Matyldy. Wiem, że ona bardzo lubi swoje mieszkanie. Sam widziałeś, jak

pięknie je urządziła, wymagało to od niej wiele zachodu. Ulokowała w nim niemalże cały swój posag. Ona jest ulepiona z innej gliny niż ty czy ja. Nam łatwiej byłoby znieść niewygody. Nauczeni jesteśmy, że w życiu nie wszystko przychodzi na pstryknięcie palcami. Nie chcę, abyś źle myślał o Matyldzie, ale dla niej taka rzecz byłaby prawdziwie negatywną zmianą w życiu. Wystarczająco mocno wstrząsnęła nią śmierć Seweryna, a teraz jeszcze mam dla niej hiobowe wieści.

– Wiem, moja droga. Chciałbym jakoś pomóc, lecz właściwie nie widzę sensownego rozwiązania, które pozwoli jej utrzymać obecny poziom życia. Niestety twoją przyjaciółkę czeka obniżenie standardu.

– Może da się temu jakoś zaradzić?

– Z próżnego i Salomon nie należy. Kwota, którą przyniósł administrator, nie była duża. Zapewne nie wystarczy jej na dłuższy czas.

– Będę musiała solidnie zastanowić się nad tym, jak pomóc Matyldzie. Nie mogę jej tak zostawić. Od dawna przeżywa trudne chwile.

Po powrocie do domu Aurelia nie od razu udała się na spotkanie z przyjaciółką. Adamczykowa wciąż spędzała większość czasu w łóżku, dochodząc do siebie po trudach porodu. Aurelia postanowiła, że najpierw rozmówi się z rodzicami, a dopiero później przekaże jej, co wspólnie uradzili. Miała już bowiem w głowie pewien pomysł. Nie chciała jednak działać na własną rękę.

– Córeczko, zrób, jak uważasz – odparł Ksawery, gdy wyjawiała, co jej w duszy gra. – Wiele razy powtarzałem ci, że ten dom jest twoim domem i masz pełne prawo do podejmowania decyzji dotyczących zarówno samego budynku, jak i jego mieszkańców.

Jesteśmy jak najbardziej zgodni co do tego, że musisz pomóc przyjaciółce. Wiesz, że ona zawsze będzie tu mile widziana.

– Nie wyobrażam sobie, abyśmy mieli odwrócić się od niej w trudnej chwili – dodała Felicyna. – Nasz dom jest bardzo duży, bez problemu mieści wszystkich. W minionych kilku miesiącach nikt nie uskarżał się na ruch czy brak miejsca, wciąż jeszcze jest sporo pustych pokoi. Teraz przynajmniej tętni w nim prawdziwe życie. Zawsze marzyłam, by się solidnie zaludnił. Bo nawet najpiękniejsza willa bez szczęśliwych mieszkańców jest tylko zwyczajną budowlą.

– Dziękuję. Wiedziałam, że mogę na was liczyć – odparła córka.

W trójkę udali się do sypialni zajmowanej przez Matyldę. Widząc ich, Adamczykowa zrobiła minę, jakby domyślała się złych nowin. Mimo wszystko ze spokojem wysłuchiwała wieści przekazanych przez Aurelię. Po jej policzkach bezszelestnie spływały łzy. Nie szlochała jednak i nie dramatyzowała, nie wyrywała włosów z głowy.

– Co ja teraz zrobię? – zapytała cichym, złamanym głosem. Widać było w niej ogromną rezygnację.

– Ależ drogie dziecko! – wykrzyknęła Felicyna. – Nic nie musisz robić. Nasz dom od dzisiaj jest również twoim domem. Pozostań z nami tak długo, jak tego potrzebujesz, choćby na zawsze.

– Według mnie, Matyldo, powinnaś wynająć również swoje mieszkanie – podpowiedział Ksawery. – Na razie nic ci po nim. Kiedyś pewnie posłuży Mateuszkowi lub którejś dziewczynce, teraz szkoda, by generowało koszty. U nas nie zabraknie wam ptasiego mleka. A pieniądze z wynajmu mieszkań w kamienicy na pewno wystarczą ci na bieżące wydatki. W moim odczuciu to jedyne rozsądne rozwiązanie.

– Zaopiekujemy się tobą i twoimi dziećmi – dodała Felicyna.

– Tyle dobroci! Mój Boże! Czym sobie na to zasłużyłam? Przecież życia mi nie starczy, aby wam się odwdzięczyć – powiedziała Adamczykowa.

– Och... Błagam! Nie traktuj tego jako jakiegokolwiek zobowiązania! – zaprotestowała Aurelia. – Przecież jesteśmy rodziną, cioteczko. – Puściła do niej oko.

– Dziękuję. Po stokroć dziękuję! Prawda jest taka, że poza wami oraz dziećmi nie mam nikogo bliższego. Rodzice nie żyją, rodzeństwo rozpierzchło się po świecie, każdy pochłonięty jest własnymi sprawami. Brat ze starszą siostrą wyjechali za ocean, najmłodsza siostra wyszła za mąż w Warszawie. Nie chcę być dla nikogo ciężarem. Jak już stanę pewnie na nogi, to pomyślę, co zrobić dalej ze sobą. Nie mogę siedzieć z założonymi rękami.

– Nie galopuj tak, Matyldo. Na razie dochodź do siebie. Myśl o sobie i o dzieciach, a reszta przyjdzie z czasem – uspokoiła ją Felicyna.

– Jeśli akceptujesz naszą propozycję, uważam za słuszne wysłanie kogoś do Krakowa, aby spakował najcenniejsze i najważniejsze dla ciebie rzeczy, a potem przywiózł je tutaj. Należałoby przygotować twoje mieszkanie do wynajęcia jakiejś rodzinie – podpowiedział mężczyzna.

– Na szczęście twój mąż zatrudnił bardzo przyzwoitego administratora. Jestem przekonana, że można mu zaufać i będzie dbał o kamienicę.

– Wiem, że czas nagli – Matylda westchnęła ciężko – ale chyba najrozsądniej by było, gdybym sama pojechała do Krakowa, aby zabrać ze sobą to, co jest dla mnie wartościowe. Potrzebuję jeszcze dosłownie kilku dni, żeby odzyskać siły.

– A zatem o nic się już nie martw. Gdy będziesz gotowa do wyjazdu, dam ci do dyspozycji ludzi, którzy z tobą pojedą i pomogą w przeprowadzce. Dzieci oczywiście będziesz mogła

spokojnie zostawić pod naszą opieką. Moja żona i córka na pewno o nie należycie zadbają – skwitował pan domu.

## Rok 1903

Matylda z dumą i radością przechadzała się po pięknie urządzonych wnętrzach willi Witalisa. Właściwie nie była szczególnie mocno zaskoczona, gdy mężczyzna jej oraz Aurelii powierzył urządzenie swojego domu. Jeszcze na etapie budowy wspominał bowiem o tym, że sam nie będzie w stanie poradzić sobie z umeblowaniem oraz dodatkami, które nadadzą pokojom przytulności i elegancji zarazem.

– Pięknie nam wyszło – zachwyciła się kobieta.

– O tak! Żal robi się na myśl o tym, że Witalis będzie tutaj mieszkał samotnie. Ten dom aż się prosi o licznych mieszkańców.

– W rzeczy samej teraz Witalisowi bardzo przydałaby się żona – zauważyła Matylda. – Najlepiej taka, która nie tylko doceni piękno tego budynku, ale przede wszystkim szczerze pokocha twojego brata. To dobry i poczciwy człowiek, zasługuje na udane małżeństwo. Przykro patrzeć, że jest taki samotny, ale wszystko jeszcze przed nim. Seweryn był niewiele młodszy, gdy prosił mnie o rękę.

– Faktycznie pomiędzy elitami utarło się tak, że panowie znacznie później myślą o zakładaniu rodziny. Wśród prostego ludu przyjęte jest, że mężczyźni szukają sobie żon w dość młodym wieku. Mama Paraska już od dawna bardzo się tym frasuje. Co rusz próbuje raić Witii jakąś dziewczynę, a on tylko kręci nosem. Dymitr sobie pokpiwa, że brat chyba dość wysoko mierzy i nie chce się wiązać ze zwyczajną chłopką. Właściwie trudno jest mi się z nim nie zgodzić. Witalis nie zadbałby do tego stopnia o wnętrza i wygląd domu, gdyby nie myślał o

jakiejś dobrze urodzonej pannie. Zresztą od pewnego czasu zauważam, że chodzi dziwnie oszołomiony, zadumany, niemalże z głową w chmurach. – Zniżyła głos do konspiracyjnego szeptu. Mimo że były w domu same, istniało ryzyko, że w każdej chwili może przyjść gospodarz.

– Sądzisz, że jest zakochany? – zapytała domyślnie przyjaciółka.

– To wielce prawdopodobne. Do tej pory nie zdarzało się, by popełniał jakiegokolwiek błędy w pracy. A ostatnio kilkakrotnie mu się to przytrafiło. Na szczęście były to drobne pomyłki, które łatwo dało się naprawić. Bardzo za to przeproszał, a kiedy zapytałam go, co się dzieje, zbył mnie jakąś wymówką. Trochę to zaskakujące. Myślałam, że ma do mnie więcej zaufania i zechce mi się zwierzyć, lecz gdy próbowałam go delikatnie wypytawać, od razu zmieniał temat. Widzę wyraźnie, że coś go nurtuje.

– A ja zauważyłam, że jeszcze bardziej zaczął dbać o swój wygląd. Nosi się jak prawdziwy dżentelmen. I właściwie gdybym nie wiedziała, że przyszedł na świat w chyży, nigdy w życiu nie przyszłoby mi to do głowy. Odkąd go poznałam, a minął już ładny kawał czasu, zmienił się znacząco nawet jego sposób wyrażania myśli. Starannie dobiera słowa i mówi niemalże bez rusnackiego akcentu. Jak na chłopca ma wyjątkowo bogate słownictwo.

Aurelia uśmiechnęła się pod nosem. Wstyd by jej się było przechwalać, ale w dużej mierze to była jej zasługa. Osobiście szlifowała ten diament. Podrzucała Witalisowi odpowiednie książki, z których mógł czerpać wiedzę o życiu na salonach. Przeczuwała bowiem, że przybrany brat ma dość wysokie aspiracje. Nie dałaby sobie dwa razy powiedzieć, czy jego opieszałość z ożenkiem nie wynika stąd, że upatrzył sobie

dobrze urodzoną pannę i zwleka z oświadczeniami do momentu, aż poczuje się wystarczająco pewny siebie.

Wyczuwając podświadomie jego dążenia, starała się jak najdyskretniej mu pomagać. Nienachalnie poprawiała jego wypowiedzi. Udzielała mu porad w zakresie dobrego wychowania. Zawsze towarzyszyła mu u krawca i szewca. Regularnie zapraszała go na wieczorki taneczne.

Witalis także bardzo się starał, ponieważ ilekroć gościł w domu Pod Lipami i podejmowany był jakimś posiłkiem, uważnie przyglądał się poczynaniom domowników przy stole. Starał się naśladować ich gesty. Zapewne w domowym zaciszu ćwiczył posługiwanie się sztucami. U Juraszków jadało się ze wspólnej drewnianej misy cynową łyżką. On używał noża i widelca. Wiedział, że ciasto należy spożywać za pomocą małego widelczyka. Że nie wolno odchyłać małego palca, gdy bierze się w dłoń filiżankę. I że z porcelaną należy obchodzić się delikatnie, by nie stukać nieprzyjemnie o spodeczek. Ktoś obserwujący go z boku mógłby uznać, że jest flegmatyczny, bowiem na salonach zachowywał się z największą ostrożnością. W rzeczywistości kipiał wręcz energią i siłą zmuszał się do wyważonego zachowania.

– Tak bardzo bym chciała, aby mu się poszczęściło – oznajmiła Aurelia, uśmiechając się do swoich myśli.

– A ja jestem niezwykle ciekawa, która panna wzbudziła w nim na tyle duże zainteresowanie, że wprowadził w swoim życiu aż tak wielką rewolucję. I wiesz co? Sądzę, że on musi być szaleńczo w niej zakochany. Ach! Taka miłość jest naprawdę romantyczna i piękna! – westchnęła z rozmarzeniem.

Jej myśli pogalopowały w stronę Seweryna. Wciąż tęskniła za zmarłym mężem, lecz ból serca, który odczuwała tuż po jego śmierci, zdecydowanie nacichł. Czas miał na nią zbawienny wpływ.



Być może dobremu nastrojowi i samopoczuciu Adamczykowej przysłużyło się to, że już nigdy więcej nie nosiła żałoby. Kiedy doszła do siebie po urodzeniu Mateusza i zaczęła wychodzić z domu, wkładała rzeczy sprzed ciąży. Zasugerowały jej to przyjaciółka oraz *madame* Drzewicka. Stwierdziły, że ponowne przyoblekanie się w żałobę nie miałyby najmniejszego sensu, skoro przez część stanu odmiennego nosiła stonowane, lecz niezbyt ciemne barwy. I że dzieci na pewno wolą oglądać matkę w takim wydaniu, a nie czarną i ponurą niczym wrona.

– Nie pozostaje nam nic innego, jak trzymać za niego kciuki – stwierdziła Drzewicka, wyrywając przyjaciółkę z zadumy. – Mam nadzieję, że panna, którą obdarzył uczuciem, jest tego godna i należycie go doceni.

– Jeśli ma dość rozumu, nie będzie kręciła nosem na jego pochodzenie.

– Jan mi się oświadczył, znając mnie jako chłopską córkę. Lucjan Rydel wziął ślub z Jadwigą Mikołajczykówną, a jeszcze wcześniej Włodzimierz Przerwa-Tetmajer poślubił siostrę Jadzi, Annę. O ile nam wiadomo, żyją bardzo szczęśliwie. O mnie i o Filipie też swego czasu plotkowano. Twierdzono, że mój wybranek jest zwyczajnym łowcą posagów, ponieważ znacząco przewyższałam go stanem majątkowym. A ja nie widzę powodu, dla którego ludzie nie mieliby zawierać małżeństw mimo dzielących ich różnic. Bogaci z biednymi. Dobrze urodzeni z prostymi. Miłość jest dla każdego. Jednakowo kochają bogaci i biedni, kobiety i mężczyźni. Ważna jest szczerść.

– Tak, masz całkowitą rację. Zawsze ubolewałam nad tym, że w naszych sferach pobierają się majątki z posagami. Że każda panna za wszelką cenę chce zrobić jak najlepszą partię. Że panowie szukają sobie posażnych żon. Tak naprawdę wiele małżeństw to tylko kontrakty zaaranżowane przez dwie

rodziny. Czas z tym skończyć – zauważyła Adamczykowa. – Bardzo się cieszę, że ludzie zaczęli przełamywać stereotypy. Wszak istotne jest przede wszystkim to, co człowiek nosi w sercu, a nie w kieszeni.

– Uwielbiam cię, Matylde, za te słowa – odparła Aurelia. – Jak dobrze, że są ludzie, którzy myślą w taki właśnie sposób. I cieszę się, że mimo upływu lat wciąż jesteś konsekwentna w swoich poglądach. W chwili gdy cię poznałam, byłaś dokładnie taka sama, jaka jesteś teraz. Nie zmieniasz się niczym chorągiewka łopocząca na wietrze.

– Być może to, za co ty mnie tak cenisz, stało się powodem, dla którego Zuzanna i Tytus postanowili się ode mnie odciąć – skwitowała ze smutkiem Matylde.

Nigdy nie przestała ubolewać nad tym, że relacje rodzinne uległy całkowitemu rozluźnieniu. Nie korespondowała ze Strzeleckimi. Gdyby nie lakoniczne informacje prasowe na ich temat, w ogóle nie miałyby pojęcia, co u nich słyszeć. To z gazety dowiedziała się, że sprawa wniesiona do sądu przez panią Sawicką rozstrzygnięta została na korzyść Tytusa. Dzięki temu oczyszczono również dobre imię Seweryna, ponieważ nie doszło do żadnego zniesławienia. Co więcej, Anatol Bardecki, którego w pierwszej instancji skazano na dożywocie jako winnego zamordowania swego teścia, w drugiej instancji został oczyszczony z zarzutów i uwolniony. Niby Matylde już ta sprawa nie dotyczyła, ale Adamczykowa odczuła ulgę. Na szczęście, nie wiedzieć czemu, w Krynicy nie łączono jej z tamtymi wydarzeniami albo po prostu ona nic o tym nie wiedziała. Do Krakowa natomiast wolała nie zaglądać.

Od definitywnej przeprowadzki do willi Pod Lipami była w mieście zaledwie kilkakrotnie. Za pierwszym razem po to, by spakować najważniejsze dla siebie pamiątki i przewieźć je do nowego domu. Za każdym następnym, by spotkać się z

administratorem kamienicy i na własne oczy sprawdzić, czy wszystko funkcjonuje w niej tak jak należy. Przy żadnej z tych okazji nie spotkała się w mieście z nikim znaczącym. Raz przez przypadek wpadła na ulicy na jakąś znajomą, lecz wymieniły wyłącznie kurtuazyjne grzeczności. Nie złożyła jednak nikomu wizyty, nie poszła do teatru, nie wybrała się nawet na zakupy. Szerokim łukiem omijała ulubioną niegdyś cukiernię.

Wszystko, czego obecnie Adamczykowa potrzebowała, miała w Krynicy. Zresztą pouczona o stanie swoich finansów, nie szastała pieniędzmi na prawo i lewo. Uczyła się oszczędzania. Już i tak odczuwała ogromne skrupuły, że ona i jej dzieci żyją na koszt Drzewickich. Za każdym razem, gdy próbowała poruszać ze swoimi gospodarzami temat uczestnictwa w wydatkach domowych, ci od razu zaczynali rozmawiać o czymś innym. Nie pozwalali na to, by się sumitowała. Uparcie twierdzili, że ich dom jest jej domem – bez żadnych ograniczeń czasowych i bez zobowiązań.

Kiedy Witalis złożył propozycję, by urządziła wnętrza jego domu z pomocą Aurelii, zasugerował, że zadośćuczyni jej za wysiłki. Kategorycznie odmówiła przyjmowania jakichkolwiek pieniędzy. Stwierdziła, że robi to z czystej przyjemności. Miała wystarczająco dużo doświadczenia, ponieważ sama zaaranżowała krakowskie mieszkanie. Wiedziała, na co należy zwrócić uwagę, by pokoje były nie tylko przytulne, ale również wygodne. Pomyślała jednak, że w przyszłości mogłaby zajmować się tym zawodowo.

W Krynicy oraz okolicznych wsiach wciąż niczym grzyby po deszczu wyrastały wille i pensjonaty. Ich właściciele nie zawsze mieli czas i możliwości, by zajmować się starannym wystrojem. A niektórym z nich po prostu brakowało gustu. Matylda uważała, że piękne pomieszczenia na pewno przyciągnęłyby

gości. Ludzie chętnie wracaliby do miejsc, w których dobrze by się czuli. Dlaczego więc ona nie miałaby na tym zarabiać?

Kiedy dzieliła się swoimi przemyśleniami z Aurelią oraz Felicją, te tylko przyklasnęły jej projektowi. Gdyby udało się zrealizować skądinąd śmiały plan, poczułaby się bardzo dowartościowana. Nie chciała przez całe życie być bluszczem, który wymaga podpórki w postaci bliskich osób.

– Sądzę, moja droga – Aurelia ponownie wyrwała ją z zadumy – że nie powinnaś już wracać do tematu Strzeleckich. Wiem, jak bardzo cię to ubodło, zresztą i mnie potraktowali w ten sam sposób. Nie można jednak tego w nieskończoność rozpamiętywać. Rozmyślając o nich, ranisz przede wszystkim samą siebie. Nie ma sensu rozszarpywać ran. Z dwojga złego lepiej, że szczerze postawili sprawę. Spotkania rodzinne w atmosferze niechęci i niedomówień byłyby doprawdy mało przyjemne – zauważyła.

– Racja. Ilekroć miałam do czynienia z Zuzanną, zawsze zastanawiałam się, w którym momencie wbije mi szpilkę. Składałam jej wizyty głównie z uwagi na Seweryna. Zależało mu bowiem, abym pozostawała z jego siostrą w jak najlepszych stosunkach. Był do niej bardzo przywiązany.

– To zrozumiałe, skoro z czwórki rodzeństwa zostali tylko oni dwoje.

– A jednak dla Zuzanny nie miało to najmniejszego znaczenia.

– Przykre jest, że dla niektórych pozory są ważniejsze od więzów krwi. Przypuszczam, że Zuzanna się mnie wstydziła. Dla niej nigdy nie przestałam być zwyczajną dziewczuchą z chłopskiej chaty. Mniejsza o to, że Drzewiccy uznali mnie za własną córkę. Ona kojarzyła mnie wyłącznie z Powroźnikiem. Albo raczej ze skandalem, w który uwikłała się moja nieszczęsna matka. Dobrze, dość na tym, nie wracajmy do tego tematu. Oszalałabym, gdybym wciąż analizowała szczegóły –

powiedziała stanowczo. W samą porę, gdyż usłyszały ruch przy drzwiach. Do domu wszedł Witalis.

Tego dnia umówili się na spotkanie w trójkę w Powroźniku. Wspólnie chcieli zdecydować, czy w willi konieczne są jeszcze jakieś dodatkowe prace wykończeniowe. Kobiety były zgodne co do jednego: wnętrza zostały urządzone ze smakiem, nie były przeładowane zbędnymi bibelotami. Nic więcej nie trzeba było robić, wystarczyło tam po prostu zamieszkać.

Jedyne, co Aurelia zamierzała zasugerować bratu, to zatrudnienie kilku osób, które będą dbały o dom. Zdawała sobie sprawę z tego, że samotny stary kawaler nie podoła utrzymaniu domu w idealnym stanie. Do tego potrzebna była przynajmniej jedna pokojówka oraz jedna zwykła służąca wykonująca bardziej niewdzięczne zajęcia. Przydałby się także jakiś człowiek od cięższych prac, takich jak odśnieżanie czy troska o ogród. Najlepiej taki, który również potrafiłby zajmować się końmi. Choć na razie Witalis zarzekał się, że sam sobie poradzi i zadba należycie o wierzchowca, którego nabył jakiś czas temu z myślą o dojeżdżaniu do Słotwin, to Aurelia uważała, że z biegiem czasu przyda mu się ktoś do pomocy. Wszak prócz ogiera miał również konie pociągowe i bryczkę. Na razie na szaleństwa takie jak kupno samochodu raczej nie byłoby go stać.

Chociaż Witalis zarabiał bardzo dobrze, to jednak koszt zakupu i utrzymania pojazdu mechanicznego był niesamowicie wysoki. Nawet Ksawery, który za życia był otwarty na wszelkiego rodzaju nowinki techniczne, nie skusił się, by nabyć takie cacko, aczkolwiek stwierdził, że gdyby tylko Aurelia wyraziła życzenie, jak najbardziej mógłby dla niej sprowadzić taki wyrób wprost z Fabbrica Italiana Automobili Torino\*\*\*\*\*. Ona jednak nie odczuwała potrzeby wydawania pieniędzy na zbytki, chociaż za każdym razem, gdy w Krynicy pojawiali się

jacyś automobiliści, z ekscytacją przyglądała się ich niesamowitym pojazdom. Taka ekstrawagancja wiązałaby się jednak z koniecznością zatrudnienia szofera, a Drzewicka bardzo ceniła sobie niezależność. Wierzchem wszędzie mogła dotrzeć samotnie. Nie potrzebowała do tego bitej drogi, wystarczała zwykła ścieżka. Automobile miały tę wadę, że mogły poruszać się jedynie po dobrych traktach.

– Dzień dobry – przywitał się mężczyzna, wchodząc do bawialni, gdzie czekały na niego kobiety.

Podszedł do Matyldy, ujął i z szacunkiem ucałował jej dłoń. Siostrę cmoknął w policzek.

– Panie Witalisie, dom gotowy do zamieszkania – oznajmiła z dumą Matylda.

Mimo iż znali się od wielu lat i mężczyzna został ojcem chrzestnym jej syna, nigdy nie przeszli na formę bezpośrednią, chociaż z Paraską, mimo znacznej różnicy wieku, właśnie tak się do siebie zwracali.

Mężczyzna uśmiechnął się do niej.

– Jest pięknie – pochwalił, gdyż obecny był na każdym etapie prac wykończeniowych. Wiedział zatem doskonale, jak prezentują się wnętrza. Nie musiał ich ponownie oglądać.

Właściwie dawno temu mógł zamieszkać w willi, jemu wystarczyłby do szczęścia jeden pokój, byle było gdzie ułożyć się do spania po pracowitym dniu. Zwlekał jednak z przeprowadzką, bowiem domostwo, które wznosił i urządził z tak wielkim zaangażowaniem, wzbudzało w nim nieśmiałość. Nie czuł się godny tak wspaniałej budowli. Bał się ponadto, czy pod jego nieudolnym zarządzaniem trud *madame* Adamczyk nie pójdzie na marne. Wytworne wnętrza przyprawiały go o nabożny lęk, chociaż przywykł do przebywania w takowych, jako częsty gość nie tylko w domu Pod Lipami, ale również w

innych eleganckich miejscach. Ostatnimi czasy szczególnie chętnie zapraszano go tam, gdzie mieszkały panny na wydaniu.

Teraz nie miał wyboru, powinien się oświadczyć kobiecie, o której skrycie marzył.

Tylko czy taka dama zwróci uwagę na kogoś takiego jak on? Dzielilo ich chyba zbyt wiele.

*Za wysokie progi* – westchnął ciężko, wyraźnie markotniejąc.

– Coś nie tak? – zapytała zmartwiona Matylda, widząc chmurę na jego czole.

– Ależ nie, pani Matyldo. Jest naprawdę pięknie. Ten dom po prostu zapiera mi dech w piersiach.

– To pański dom – przypomniała.

– O tak, braciszku! I nie może stać niezamieszkały, gdyż w takiej sytuacji będzie niszczał. A jeśli nie wiesz, jak o niego zadbać, to podpowiadam: powinieneś zatrudnić służbę. Zarabiasz w tartaku wystarczająco dobrze.

Odkąd zabrakło Ksawerego, Witalisowi przybyło obowiązków. Tak się bowiem złożyło, że nestor rodu wyzionął ducha krótko po ślubie Aurelii. Zdążył tylko się dowiedzieć, że zostanie dziadkiem, lecz nie doczekał się na wnuka.

Dla Drzewickiej-Rapacz był to wyjątkowo trudny okres. Nie dość, że musiała się zmagać z przypadłościami ciężowymi, to została bez ukochanego ojczulka, który, choć sam coraz rzadziej pojawiał się w Słotwinach, służył jej radą i pomocą, ilekroć tego potrzebowała. Nie mogła obarczać prowadzeniem tartaku świeżo poślubionego męża, gdyż ten nie miał pojęcia o zarządzaniu takim interesem, ponadto sam był bardzo zapracowany. Cieszyło ją, że ma na podorędziu Witalisa, który sumiennie zajmował się każdą powierzoną mu sprawą. Nic więc dziwnego, że w tamtym czasie jego apanaże znacząco wzrosły.

Nikifor nie miał łatwego życia w szkolnej społeczności. Dzieci nie chciały się z nim bawić w czasie przerw od nauki. Na każdym kroku mu dokuczano. Nie dość, że był biedny, to jeszcze traktowano go, jakby był głupkiem. Nikt nie rozumiał jego bełkotliwej mowy. To nie była jego wina, że nie mówił wyraźnie. Matka nie mogła go tego nauczyć, bo sama nie potrafiła, a od obcych też nie przyswoił wielu słów, gdyż miał język przyrośnięty do podniebienia.

Z dnia na dzień chłopiec stawał się prawdziwym odludkiem. Wolał zaszyć się w jakimś zakamarku i kreślić ukochane rysunki choćby patykiem na udeptanej ziemi albo kredą na tabliczce. Marzyły mu się wielkie arkusze białego papieru. Pudła pełne kolorowych kredek. Farbki akwarelowe. Pragnął nadać barwy światom, które tworzył z coraz większym rozmachem. Na swoich rysunkach nieczęsto umieszczał ludzi. Z rzadka pojawiały się jakieś postaci we wnętrzach cerkwi. Oni byli statystami, modlili się, zastygli w bezruchu. Siebie wynosił czasami na ołtarze. Kreślił nimb wokół własnej głowy, by wierni mogli oddawać mu cześć niczym świętemu.

Święty ma-lar-sa.

Ludzie byli źli! Okrutni! Drwili z niego i wyśmiewali jego matkę.

Matka była najlepszym człowiekiem na świecie, ale nawet jej nie rysował. Skupiał uwagę na domach, ulicach, drzewach, cerkwiach. Opatrywał rysunki koślawymi literami. W szkole bowiem trochę nauczono go pisać, mimo że uchodził za tumana.

Najbardziej lubił chodzić z matką do cerkwi. Ale nie wtedy, kiedy odbywały się nabożeństwa, lecz wówczas, gdy budynek pustoszał. Podziwiał wtedy bogaty wystrój wnętrza, obrazy rozwieszane na ścianach. Ikony.



– Twój ojciec. Ma-lar-sa – powtarzała za każdym razem Eudokia.

Tylko oni wzajemnie rozumieli swoją mowę. Potrafili przekazać sobie absolutnie wszystko, co mieli do powiedzenia. Wiedział więc od matki, że jest synem znanego malarza, choć nigdy nie poznał jego nazwiska. Ale to właśnie po ojcu odziedziczył talent. I jak Bóg da, może w przyszłości będzie równie sławny jak on. Niech więc dużo rysuje. Jak najwięcej. Bo z jego wadą wymowy na nauczyciela nie ma szansy się kształcić, chociaż przydałby mu się dobry zawód, zanim jego sztuka zostanie doceniona.

Jeśli Eudokia pragnęła czegoś jeszcze na tym świecie, to przede wszystkim tego, by ukochanemu synkowi nikt nie robił krzywdy. Niech ta mizerota będzie jak najszczęśliwsza.

Serce jej się krajało na widok własnego dziecka. Drobnny był, niewysoki. Choć odejmowała sobie od ust, nie była w stanie porządnie go odkarmić. Wyglądał na zabiedzonego.

Robiła, co tylko mogła, by poprawić nędzną dolę, ale sama coraz częściej opadała z sił. Wiadra z wodą nie chciały być ani trochę lżejsze. Ręce bolały i puchły. Stopy coraz wolniej wybijały rytm na schodach. Płucom brakowało tchu.

Krótką jest młodość biednej kobiety.

Czasami Eudokii udawało się odłożyć odrobinę pieniędzy. Musiała nimi bardzo rozsądnie gospodarować. Chłopiec mimo wszystko rósł i potrzebował ubrań oraz butów. Czasami ktoś litościwie dawał jej rzeczy po swoim dziecku, ale to zdarzało się rzadko, a ona nie potrafiła prosić o pomoc. Nauczona była, że sama musi sobie wszystko zapewnić.

Po lekcjach Nikifor postanowił pójść do pensjonatu, w którym obecnie pracowała matka. To nic, że był wątki, chciał jej chociaż trochę ulżyć i pomóc w dźwiganiu ciężkich kubłów. Czasami

robił to mimo jej protestów. We dwójkę chwyтали za metalowy pałak wrzynający się nieprzyjemnie w dłoń, podnosili wiadro i ostrożnie szli z nim po schodach. Matka nie chciała, aby jej pomagał. Mówiła, że synuś ma się uczyć, a ona jak zawsze sobie poradzi. Ale on widział, jak szybko opadała z sił. Serce mu się krajało na ten widok! Była najważniejszą osobą w jego życiu, całym światem.

– Idź na po-dwór-ko – burknęła niewyraźnie kobieta, widząc, że znowu przyszedł do hotelu.

Wciąż prosiła synka, by tego nie robił. Doceniała jego wysiłki, ale nie chciała, aby się męczył, bo z jego pomocy bywało więcej szkód niż pożytku. Musiała na niego fuknąć kilkakrotnie, nim odszedł.

Chłopiec niechętnie usłuchał matki. Ostatecznie jednak przycupnął na ziemi koło studni. Znalazł w miarę ostry i cienki patyczek. Już po chwili pochłonał go własny świat. Z coraz większą wprawą oraz rozmachem kreślił domy, ulice i drzewa. Starał się jak najlepiej wszystko rozplanować. Kiedy rysował, czuł się niczym Bóg stwarzający najcudowniejsze miejsce na ziemi. Zabawa jak zwykle zaabsorbowała go do tego stopnia, że nawet nie zauważył, kiedy nadeszła matka.

Tego dnia Eudokia pracowała wydajniej niż zwykle, co zostało docenione przez gospodynię wypłatą większego zarobku. Nikłowa dwudziestohalerzówka połyskiwała w zagłębieniu dłoni Rusnaczkii. Kobieta chuchnęła na nią kilkakrotnie. Bardzo pragnęła, aby zawsze tak ją doceniano. Sezon uzdrowiskowy dopiero się zaczynał, więc wszystko było przed nią: długie dniówki mozolnej pracy, niemalże nadludzki wysiłek. Ale również zarobki.

Wiosną i latem zawsze żyło się lżej. Zamiast więc odłożyć ten dodatkowy grosz na czarną godzinę, postanowiła sprawić przyjemność synkowi.

– I-dzie. – Wyciągnęła dłoń do Nikifora.

Chłopcu żal było porzucać niedokończoną wedutę. Ale z jego rysunkami tak właśnie się działo: kreślił coś z pasją i zaangażowaniem, a później dzieło ulegało zniszczeniu. Zacierał je deszcz lub upływ czasu. Znikało zdeptane stopami służących.

Nikifor potulnie powędrował razem z matką przez Krynice. Zaskoczony był, gdy zamiast skręcić od razu do Powroźnika, udali się w stronę deptaku. Zazwyczaj na podobne spacerunki pozwalali sobie od święta. Wtedy, kiedy matka miała wychodne, a on nie musiał chodzić do szkoły. W takie dni oglądali wystawy, zaglądali do cerkwi, wędrowali po parku zdrojowym, by pokłonić się przed figurką Matki Boskiej. Rzadko wchodzili do któregoś ze sklepów, żeby coś nabyć.

Tym razem jednak matka pchnęła drzwi wiodące do jednego z nich. Brzdęknął zabawnie dzwoneczek, alarmując subiekta o nadejściu klientów.

Eudokia troszkę się martwiła, jak podoła swoim zamierzeniom. Ludzie zazwyczaj nie rozumieli tego, co miała do powiedzenia.

Znudzony sprzedawca spojrział krytycznym okiem na przybyszy. Skrzywił się na widok ich nędznych przyodziewków. Nie spodziewał się, by kupili cokolwiek. Bardziej się obawiał, że mogą coś ukraść. Jedno może próbować odwrócić jego uwagę, a drugie zabrać jakiś towar.

– W czym mogę pomóc? – zapytał z ociąganiem.

Eudokia pokręciła głową przecząco. Wodziła wzrokiem po półkach wyładowanych różnymi dobrami. Szukała konkretnego artykułu – czegoś, o czym myślała już od dawna. Przejęta i oszołomiona mnogością oferowanych na sprzedaż przedmiotów, puściła rękę synka. Miała nadzieję, że mały nie zrobi żadnej szkody.

Podczas gdy matka bezradnie się rozglądała, Nikifor od razu podszedł do witryny, w której wyeksponowano artykuły papiernicze: kredki, farbki, bloki oraz inne akcesoria. Kobieta uśmiechnęła się, właśnie tego szukała! Trochę zmroziła ją wysokość cen. Za małe pudełko kredek mogliby żywić się z dzieckiem przynajmniej przez kilka dni. Nikiforowi na pewno bardziej przydałaby się odrobina mięsa.

Westchnęła ciężko i ze smutkiem spojrzała na swojego synka.

– Chciałbyś takie? – wybełkotała po swojemu, wskazując jedno z opakowań.

Mały energicznie pokiwał głową. Jego oczy zaśniły nadzieją.

Eudokia mocno ścisnęła w dłoni monetę, którą zarobiła z wielkim wysiłkiem. Chociaż pieniądź wbijał się w jej dłoń, powoli rozwarła palce, by się upewnić, że wciąż tam tkwi. Ważyła go z namaszczeniem. Na jednej szali niewidzialnej wagi stawiała rozsądek, a na drugiej marzenie. Ostatecznie odwróciła się do subiekta i pokiwała do niego głową. Mężczyzna podszedł bliżej, a wtedy wskazała palcem na witrynę.

– Kredki? – zapytał krótko.

Nie zamierzał tytułować jej panią ani zawracać sobie głowy zbędnymi grzecznościami. Znał Eudokię z widzenia, wiedział, że jest przygłupia. O jej synku też różnie gadano.

Usta kobiety rozciągnęły się w szerokim uśmiechu. Bez słowa przytaknęła.

– Które? – brzmiało następne pytanie.

Wybrała najmniejsze pudełko. Do tego jeszcze poprosiła ruchem dłoni o mały blok rysunkowy. Miała nadzieję, że Nikifor będzie szanował kartki i nie zużyje ich zbyt szybko. By się nie rozmyślić, od razu położyła monetę na ladzie.

Uszczęśliwiony chłopiec złapał kredki oraz niewielki plik białych arkuszy.

– Ma-ma! Najlepsza na świecie! – zagadał niewyraźnie, lecz jego słowa trafiły wprost w serce Eudokii.

Pochyliła się i z ogromną czułością pogłaskała dłoń jego twarz, następnie poczochnęła niesforną czuprynę. Jej serce przepełniała duma i bezgraniczna miłość.

– Ty Ni-ki-for ma-lar-sa.

Dawno temu, gdy Witalis był małym chłopcem, w domu jego rodziców zmarła Eleonora Leitner z domu Adamczykówna. Nim wydała ostatnie tchnienie, chłopiec często spędzał z nią czas, dotrzymując jej towarzystwa. Kobieta wiele z nim rozmawiała. Twierdziła, że jest nad wyraz mądrym i bystrym dzieckiem. Wróżyła mu dobrą przyszłość.

Wszystkie jej słowa mocno zapadały mu w pamięć oraz w serce. Wierzył w siebie i swoje możliwości. Jedne z ostatnich słów, które do niego skierowała, brzmiały:

– By osiągnąć w życiu sukces, trzeba wysoko mierzyć i wytrwale dążyć do celu.

Tego podobno nauczyli panią Eleonorę miastowi nauczyciele. U schyłku życia gorzko żałowała, że nie zrobiła żadnego użytku z tej mądrości. Być może dlatego tak mocno pouczała Witalisa, by nigdy nie spoczywał na laurach i chciał od życia znacznie więcej niż jego rówieśnicy.

Zapewne był to jeden z powodów, dla których Juraszko do tej pory się nie ożenił. Głównym jednak było to, że do niedawna żadna kobieta nie wzbudzała żywszego bicia jego serca. Być może gdyby nie aspiracje, związałyby się w końcu z jakąś miłą wiejską dziewczyną. Nie zadowoliliby go jednak małżeństwo zawarte z rozsądku.

Teraz sam sobie gratulował w duchu, że nie ożenił się na łapucapu. Nie byłby szczęśliwy.

Tylko czy szczęście w ogóle było mu pisane?

Spoglądając na wybrankę swego serca, myślał, że jest tak odległa jak gwiazdy rozsiane wysoko na niebie. I że być może on, Witalis Juraszko, syn Paraski i Nazaryma, mierzy zdecydowanie zbyt wysoko. Wątpił bowiem, czy dopisze mu takie samo szczęście, jakie stało się udziałem Aurelii.

Kiedy przybrana siostra wychodziła za mąż, nie miała pojęcia o tym, kim w rzeczywistości jest. Samą siebie uważała za chłopską córkę. Może nieco lepiej wykształconą niż inne wiejskie dziewczyny, ale jednak prostego rodu. Gdy prawda wyszła na jaw, była już wdową, więc nie miało to wówczas większego znaczenia. Liczył się fakt, że pochodzenie społeczne nie stanęło Aurelii na drodze ku szczęściu.

Witalis był całkowicie pewien swych korzeni. W jego przypadku nie pojawi się żadna dobra wróżka, która machnie różdżką i sprawi, że w żyłach mężczyzny popłynie błękitna krew. Albo że na skutek magii z dnia na dzień stanie się wykształconym mężczyzną pochodzącym z dobrej rodziny.

*Stop!* – wyhamował w myślach samego siebie. – *My, Juraszkowie, jesteśmy dobrą rodziną!*

Jego rodzice byli bardzo przyzwoitymi ludźmi, szanowanymi powszechnie w okolicy. Nie miał absolutnie żadnych powodów do wstydu. I w rzeczy samej nie wstydził się swego pochodzenia nawet przez jedną krótką chwilę.

Dawno temu Aurelia wyrecytowała mu piękny wiersz. O tym, że serce nie jest sługą i nie daje nad sobą panować. Teraz podpisywał się pod tym obydwoma rękami. Jego serce okazało się niepokorne. O ile jeszcze przed kilku laty Witalis usiłował rozbudzić w sobie uczucia dla jakiejś dziewczyny pochodzącej z Łemkowszczyzny, to teraz trochę wystraszony był tym, co rozkwitło w jego sercu mimowolnie: samo z siebie.

Od niedawna mieszkał w swoim pięknym nowym domu. Być może budynek nie byłby tak reprezentacyjny wewnątrz, gdyby

nie drobna sugestia siostry, która podszeptała mu, aby zlecił umeblowanie poszczególnych pomieszczeń Matyldzie. Zapewniła go wówczas, że upiecze jednocześnie dwie pieczenie na jednym ogniu: po pierwsze, zyska mieszkanie urządzone z dużym smakiem, a po drugie, zrobi dobry uczynek, dając choćby krótkotrwały cel życia jej przyjaciółce. Oczywiście posłuchał podpowiedzi i poprosił Matyldę o pomoc. Błysk radości w jej oczach utwierdził go w przekonaniu o słuszności tego posunięcia. Wdowa faktycznie nabrała zapału do działania, a jej humor uległ ewidentnej poprawie. Dobry uczynek został więc spełniony.

Witalisowi ogromnie zależało na tym, aby jego dom, chociaż nie był tak obszerny jak inne wille, przynajmniej trochę przypominał domy zamożnych ludzi i wyglądał po wielkopańsku. Za sugestią kobiet zatrudnił nawet służbę, choć zasadniczo nie było mu to aż tak bardzo potrzebne do szczęścia. Ale ktoś musiał dbać o czystość w pokojach, o porządek w ogródku, o jego garderobę, a nawet o żołądek. On, prosty Łemko, wychowany w chacie pod strzechą, nagle awansował społecznie. A wszystko za sprawą Aurelii, która dała mu zatrudnienie w tartaku.

Kiedy składała tę propozycję, Juraszko złapał się za głowę. Nie potrafił sobie nawet wyobrazić pieniędzy, jakie mu oferowała w zamian za lojalność i pomoc. Tłumaczył, że to zbyt wiele i że niepotrzebne. Gotów był pomóc z dobrego serca i przywiązania, jakie do niej żywił. Była jego najukochańszą siostrzyczką. Królowną, której pragnął służyć niczym wierny giermek. Ślubował to umierającej Eleonorze i nigdy swych ślubów nie złamał. Aurelia jednak skarciła go i powiedziała, że braterskie uczucia to jedno, a uczciwe wynagrodzenie za pracę to drugie.

– Kochajmy się jak bracia, liczymy się jak Żydzi – odparła z uśmiechem, bowiem wyznawcy judaizmu znani byli ze swej

skrupulatności. Juraszkowie szanowali takie podejście do sprawy.

Czy teraz nadszedł czas na to, by puste wnętrza pięknej willi wypełnić odgłosem licznych kroków, gwarem rozmów i śmiechem? Obecnością innych osób. Powinien się ożenić, zanim się zestarzeje. Nie był już młodziankiem, dawno przekroczył czterdziesty rok życia. Wypadałoby zadbać o to, aby cały dorobek było komu przekazać. Owszem, mógłby wyznaczyć na swego spadkobiercę Gregora – chrześniaka, Dymitrowego syna. Ale czy nie lepiej byłoby zatroszczyć się o własne dzieci? Nawet Aurelii Bóg pobłogosławił dzieciną, choć wszyscy wcześniej gadali, że jest bezpłodną.

O ile kredki dawało się jakoś oszczędzać, można było nimi malować delikatnie, ledwo muskając papier, by zostawiać odrobinę barwy, to kartki podarowane przez matkę skończyły się Nikiforowi bardzo szybko. Chłopiec doskonale je wykorzystał. Każdą zarysował nader starannie, nie pozostawiając nawet skrawka pustej przestrzeni.

Ależ to była uciecha!

Mógł tworzyć własne światy. Uwieczniać Krynice, dumną cerkiew z Powroźnika, łagodne wzgórza wznoszące się nad uzdrowiskiem i porastające je lasy. Rysował bez pośpiechu, dobierając z rozważą kolejne kolory. Poprawiał swe rysunki, żeby były perfekcyjne. I dopiero gdy na arkuszu nie zostawał nawet skrawek wolnej przestrzeni, brał kolejną kartkę. Każda następna zagospodarowana była coraz piękniej.

\$

– Ma-lar-sa. Mój syneczek – mówiła z dumą Eudokia, zerkając na efekt jego poczynąń.

Wiedziała, że chłopiec musi się jeszcze wiele nauczyć i daleko mu do mistrzów, a jednak w kolorystyce jego twórczości



dostrzegała piękno. Prace jej synka cechowała fantazja w dobieraniu barw. Choć obrazki Nikifora zdawać by się mogły prymitywne, ona potrafiła wyobrazić sobie, że jest częścią malunku, że przechadza się trotuarem wiodącym pomiędzy willami. Że zagląda do wnętrza cerkwi. Nie gniewała się nawet o to, że syn stawia się na piedestale w tych cerkwiach i rysuje siebie z aureolą otaczającą głowę, bowiem dostrzegała nad chłopcem nimb męczeńskiej świętości.

Dzieciak zaznał mnóstwo krzywdy od ludzi! Wiele musiał niesprawiedliwie wycierpieć. I dlaczego? Dlatego, że miał nieszczęście urodzić się niepełnosprawnym? Że był drobny, mizerny? Że trudno było się z nim porozumieć? A wreszcie, że miał matkę bardzo ubożuchną...

Życie nie było sprawiedliwe.

Eudokia mimo wszystko wierzyła, że pewnego dnia talent jej syneczka zabłyśnie niczym jutrzeńka na niebie. Z pietyzmem składała wszystkie jego obrazki do niewielkiego kuferka. Nic nie mogło się zmarnować.

Kiedy Nikifor zarysował ostatni arkusz i nie miał już na czym wykonywać kolejnych prac, poczuł się tak, jakby czegoś w jego życiu zabrakło. Nie śmiał prosić matki o pieniądze na kupno nowego bloku, ale szybko odkrył, że papier można pozyskać inaczej. Czasami zdarzyło mu się znaleźć jakąś tekturkę, to urzędowy druczek, to pudełko po papierosach. Wykorzystywał nawet zapisane kartki ze szkolnych zeszytów. Rysował z wielką pasją i zapamiętaniem. Dbał o szczegóły. Nie powielał swoich prac, starał się, by każda była inna – wszak miał świata wiele do przekazania. Bo choć ludzie byli dla niego źli i wciąż mu dokuczali, to jednak pragnął uprzytomnić im, w jak pięknym miejscu się znajdują. I że na świecie nie ma niczego

piękniejszego niż Krynica, Powroźnik czy Muszyna, do której czasami zabierała go matka.

Pochylony nad małym kartonikiem, nawet nie zauważył, kiedy podkradła się do niego zgraja okolicznych łobuziaków. Już nieraz mocno dali mu się we znaki. Popychali go, wymierzali bolesne kuksańce. Czasami niszczyli jego dzieła. Na szczęście nigdy nie zdołali zabrać kredek ani czystych kartek – tego by chyba nie przeżył.

– Głupek! Głupek! – zaczęli wykrzykiwać.

Szybko otoczyli go zwartym kręgiem.

– Pokaż, co tam skrobiesz, głupolu!

– Wielki artysta się znalazł! – zakpił Stanisław.

Mieszkaniec domu Pod Lipami przodował we wszelkiego rodzaju złośliwościach. Nikiforowi solidnie zalazł za skórę. Drobniutki Łemko nawet nie próbował z nim walczyć. Wiedział, że w starciu z dobrze odżywionym chłopcem nie ma żadnych szans. Litwora był od niego starszy, wyższy, rozrośnięty w ramionach. Mimo że liczył dopiero lat jedenaście, wyglądał na dużo starszego. W przeciwieństwie do niego Nikifor był mały, chudy, drobny i z powodzeniem ujmowano mu wieku.

Widząc zagrożenie, rysownik szybko pozbierał kredki i wcisnął je za pazuchę. Obronnym gestem przycisnął do piersi kartonik, na którym kreślił obrazek. Zamierzał bronić go do upadłego, lecz nie miał najmniejszych szans. Chuligani odebrali mu rozpoczętą pracę i zaczęli ją rwać na strzępy.

– Zostawcie! To moje! – bełkotał niewyraźnie Nikifor. – Tak nie można. To podłość!

Oni jednak nie rozumieli jego mowy. Zaczęli go złośliwie przedrzeźniać i wykrzywiać twarze, robiąc mnóstwo zamętu. Jak zwykle zaliczył kilka bolesnych szturchnięć. Byliby może poturbowali go mocniej, lecz ruch wokół Nikifora przyciągnął

uwagę jakiegoś kuracjusza. Mężczyzna okazał ludzki odruch, przeganiając chuliganów.

– Wszystko w porządku, mały? – zagadnął, pochylając się nad mizerotą.

Nikifor bał się odezwać, aby jego bełkotliwa mowa nie odstraszyła mężczyzny. Pokiwał więc w milczeniu głową. Jego oczy szklily się łzami.

– Mogę ci jakoś pomóc?

Chłopiec zaprzeczył.

– No dobrze, młody człowieku, uważaj na siebie – rzucił nieznajomy na odchodnym.

Nikifor odprowadził go wzrokiem. Widział, jak ten sięga do kieszeni i wydobywa paczkę papierosów. Z pudełka wyjął, zdaje się, ostatnią cygaretkę, ponieważ opakowanie cisnął niedbale w kierunku kosza na śmieci. Nawet nie zauważył, że nie trafił. Łemko skorzystał z okazji i podniósł pudełeczko. Wystarczyło je tylko delikatnie rozłożyć i rozprostować. Wewnętrzna część pozbawiona była nadruków. Znajdowało się tam dość miejsca, żeby narysować jakiś niewielki obrazeczek.

Od razu zabrał się do pracy. Na małym kartoniku nakreślił powroźnicką cerkiew. A potem przycupnął na murku okalającym skwer. Miał nadzieję, że jeszcze zobaczy swojego wybawcę. Oczekiwanie trwało dość długo, lecz jego cierpliwość została nagrodzona. Jakiś czas później wśród tłumu spacerowiczów mignął mu ten sam człowiek. Wprawdzie był w towarzystwie, lecz Nikifor poczuł, że musi zrobić to, co już wcześniej zaplanował. Tylko tak mógł podziękować za okazane serce i pomoc.

Podbiegł do mężczyzny i delikatnie musnął dłonią jego łokieć, a gdy ten odwrócił się w jego stronę, wyciągnął rękę z obrazkiem.

– A! To znowu ty, basalyku? – Mężczyzna się zaśmiał. – Potrzebujesz jeszcze jakiejś pomocy? Liczysz na datek?

Chłopiec energicznie pokręcił głową. Podał rysunek swojemu wybawcy.

– W porządku, rozumiem, chcesz podziękować. Jesteś niemową, tak? Dlatego ci dokuczają?

Nikifor skinął głową.

Nieznajomy przyjął upominek. Zerknął na niewielki kartonik z rysunkiem.

– Ładne – pochwalił powściągliwie, a następnie, by nie robić dziecku przykrości, włożył obrazek do wewnętrznej kieszeni marynarki. Później zamierzał go wyrzucić. Na cóż mu taki śmieć?

# CZAS MIŁOŚCI

## \$

### Powroźnik

Są takie miejsca na świecie, gdzie spędza się czas wyjątkowo miło, chociaż nie ma tam żadnych luksusów. Tak właśnie czuła się Aurelia za każdym razem, kiedy przyjeżdżała wraz z dziećmi do Powroźnika i gościła u rodziny Juraszków. Mimo że uwielbiała dom Pod Lipami oraz jego mieszkańców, wciąż jednak ciągnęło ją do łemkowskiej chyży, pomiędzy ludzi, wśród których dorastała.

*Jestem dzieckiem szczęścia* – stwierdziła, spoglądając, jak Paraska z namaszczeniem kołysze na rękach jej synka, malutkiego Lucjana. Chociaż wciąż odczuwała smutek na każde wspomnienie Jana i Ksawerego, to jednak uważała, że życie nie mogło jej się piękniej ułożyć. – *Dobrze mi tutaj.*

W matczyne progi ciągnęło nie tylko ją. Także Witalis, który przecież od jakiegoś czasu mieszkał w swej pięknej willi, chętnie zaglądał do obejścia rodziców. Mawiał nawet, że matczyne chleb smakuje jakoś inaczej – lepiej niż domowy. A może po prostu czuł się samotny w swoim wielkim domu?

Zaskakującym zbiegiem okoliczności pojawiał się zawsze wówczas, gdy u Juraszków gościła Aurelia wraz z nieodłączną przyjaciółką. Kiedy tylko pozwalała na to pogoda, zasiadali gromadnie w cieniu jabłoni bądź na ławce ustawionej pod oknami chałupy.

– A poszedłbyś, huncwocie jeden, na jakieś panny! – zżymała się niekiedy żartobliwie Paraska.

– A gdzie mi będzie lepiej, matulu, jak nie pod twoim oknem?

Jego pracowite dłonie zajęte były struganiem zabawek z drewna. Nie lubił siedzieć beczynnie. A że dzieci w rodzinie przybywało, wynalazł sobie zajęcie. Robił fujarki, drewniane koguciki, koniki, wózeczki. Starał się obdarowywać maluchy sprawiedliwie, ale widać było, że największy sentyment żywi do małego Mateuszka. Niby nic dziwnego, wszak był ojcem chrzestnym chłopczyka.

Aurelię jednak od jakiegoś czasu nachodziło dziwne przecucie. Obserwowała uważnie brata i często dostrzegała w jego oczach charakterystyczny błysk, gdy spoglądał na Matyldę.

*Czyżby?* – usiłowała dociec w duchu.

Starła się przeanalizować fakty i jak nic wychodziło jej, że Witalis wyraźnie się ożywił, ilekroć widział Adamczykową. Nie roiała sobie przecież zbyt wiele? Może faktycznie brat stracił serce dla nadobnej wdówki, lecz coś stawało mu na przeszkodzie, by ujawnić swe uczucia? Ochoczo rozmawiał z Matyldą, żartował, usiłował ją rozbawiać, ale zachowywał lekki dystans i nigdy nie próbował przekraczać pewnych granic. Zapewne uważał, że dla niego to zbyt wysokie progi. Albo żywił obawę, że Adamczykowa wciąż nosi w sercu żałobę po zmarłym mężu.

Aurelia była jednak zdania, że czas, najlepszy lekarz dla złamanych serc, zdążył już rozpocząć swe dobroczynne dzieło.

Witalisowi brakowało na pewno śmiałości, choć przecież mógł wywnioskować z tonu rozmów, jakie prowadzili nieraz w szerszym gronie, że Matylda jest otwarta na świat i nie żywi żadnych uprzedzeń. Wszak często wspominali Lucjana Rydla, który był ewidentnym przykładem na to, że można wyjść poza

utarte schematy, a różnice społeczne są wyłącznie efektem ludzkiej pychy i chęci dominowania nad innymi.

*Może powinnam z nim porozmawiać i zachęcić go jakoś, by spróbował zdobyć serce Matyldy? Szkoda byłoby, aby w samotności szli przez życie. Obydwoje zasługują na szczęście.*

Nie obawiała się o to, że przyjaciółka wzgardzi uczuciami Witalisa. Widać było, że i ona go lubi. Wielokrotnie w rozmowach z Aurelią wyrażała się o nim w bardzo ciepły sposób. Być może nie spoglądała na niego oczami zakochanej kobiety, lecz przy niezbyt dużym wysiłku ze strony mężczyzny mogłoby się to uczucie w niej zrodzić. Związek z Witalisem na pewno dałby jej poczucie bezpieczeństwa oraz stabilizację. Zamieszkałaby w pięknym domu, który *de facto* sama urządziła. I, co najważniejsze, miałyby wiernego, oddanego męża.

## Słotwiny

Następnego dnia, gdy tylko Aurelia przybyła do tartaku, postanowiła skorzystać z okazji i rozmówić się z bratem sam na sam. Zamierzała w sposób bezpośredni i szczerzy poruszyć temat, który nie dawał jej spokoju. Zapytała więc Witalisa wprost, czy jest zakochany w Matyldzie. Świdrowała go przy tym uważnym wzrokiem i nie umknęło jej uwadze, jak nagle zadrżała żuchwa mężczyzny, gdy gwałtownie przełykał ślinę.

– Skąd wiesz, Aurelio? – zapytał. – Znasz jakąś diabelską sztuczkę, by zaglądać człowiekowi w serce?

– Och, Witalisie! Do tego nie są potrzebne żadne diabelskie sztuczki. W twoich oczach można czytać niczym w otwartej książce. Przecież widzę, jak spoglądasz na Matyldę. Ta kołyska i zabawki dla Mateuszka oraz pozostałych dzieci, ciągle zagadywanie, dotrzymywanie nam towarzystwa... Jesteś na

każde nasze skinienie. Lubisz bywać Pod Lipami. A jakoś nie słyszałam, abyś równie ochoczo bywał w innych bawialniach, choć wiem, że jesteś zapraszany do domów, gdzie są panny na wydaniu. Zaskakującym zbiegiem okoliczności niedzielne popołudnia zawsze spędzasz w naszym towarzystwie. Gdybyś był zakochany w jakiejkolwiek innej pannie, to albo snułbyś się pod jej oknami, albo przebywałbyś w jej salonie. Potrzebujesz jeszcze jakichś dowodów, że moje odkrycie nie jest żadną diabelską sztuczką? – Puściła do niego oko.

– Ech, ty! – Westchnął ciężko. – Skoro taka jesteś mądra, to mi teraz powiedz, co ja mam z tym fantem zrobić? Sama żeś mi kiedyś wyrecytowała, że serce nie jest sługą. Moje zdecydowanie nie chciało mnie usłuchać, kiedym je prosił, by przestało żywiej bić w obecności Matyldy.

– A po co ty mu wydajesz takie durne rozkazy? Nie lepiej posłuchać jego głosu?

– Ba, żeby to było takie proste! Ona pewnie dalej tęskni za zmarłym mężem. Może wciąż go oplakuje?

– No co ty, Witalisie? Moja przyjaciółka nie nosi przecież żałoby.

– To, że nie nosi żałobnych sukien, nie świadczy jeszcze o niczym. Wiem, że w jej strojach udział miałaś ty oraz *madame Drzewicka*.

– Przyznaję, że naszą intencją było to, by jak najszybciej wyrwać Matyldę z rozpacz. Chciałyśmy, aby wkładała zwyczajne rzeczy nie tylko ze względu na dzieciaki, ale również po to, by nie pogrążała się w tęsknocie. Zwyczaj żałoby zamiast wpływać pozytywnie na osobę cierpiącą po stracie kogoś bliskiego, w rzeczywistości tylko potęguje wrażenie pustki. Nie pozwala nawet na moment zapomnieć o poniesionej stracie. To dlatego wywieraliśmy presję na Matyldę. Tak małym dzieciom potrzebna jest spokojna i pogodna matka. Zauważ zresztą, że



Matylda w towarzystwie zachowuje się zupełnie swobodnie. Nie widać w niej smutku, nie jest osobą pogrążoną w żalu.

– Jest... Nie jest... Może i nie jest – przyznał. – Obawiam się tylko, że dla mnie to mimo wszystko za wysokie progi. Ona jest piękną panią z miasta. Pewnie za jakiś czas zechce wrócić do Krakowa.

– Mylisz się, Witalisie. Za każdym razem, gdy poruszamy ten temat, mówi, jak dobrze jest jej w Krynicy. Wprawdzie trochę się sumituje, że żyje w naszym domu i czuje się z tego powodu niedowartościowana, ale w ogóle nie wspomina o wyjeździe. Spodobało jej się tutaj. I wiesz, co ci jeszcze powiem? Kiedy urządzałyśmy wspólnymi siłami twoją willę, odnosiłam wrażenie, jakby ona urządzała ją dla siebie. Tak naprawdę nie wtrącałam się w jej poczynania. To Matysia wybierała wszystkie sprzęty, dekoracje czy dywany. A ja tylko przytakiwałam, godząc się z każdą jej decyzją. Widziałam, ile jej to sprawia przyjemności.

– Może po prostu cieszyło ją to zajęcie?

– Witalisie! Bo zaraz stracę cierpliwość! – zachnęła się Aurelia.  
– Jeżeli nie wyciągniesz do niej ręki, nie zrobisz sam pierwszego kroku, to nigdy się nie przekonasz, czy coś pozytywnego z tego wyniknie. Daj szansę swojemu sercu.

– Łatwo ci się mówi – burknął.

– Drogi braciszku! Najgorszym, co cię może spotkać, będzie bardzo delikatna odmowa. Zważ jednak na to, że nim ja zostałam panią Drzewicką-Rapacz, dwukrotnie dawałam kosza Filipowi. On jednak się nie zrażał. Wierzył, że pewnego dnia obudzi we mnie uczucia. I wiesz co? Jestem teraz bardzo szczęśliwa, że wykazał się wytrwałością. Przed przyjęciem jego oświadczyn paraliżowała mnie myśl, że mogę go unieszczęśliwić. Zakładałam, że za jakiś czas zapragnie mieć

dzieci, a ja nie będę w stanie mu ich urodzić. I że wówczas w naszym związku pojawi się frustracja.

Nikogo nie wtajemniczała w swoje sprawy, lecz szczęście małżeńskie miało również inny wymiar. Owszem, Aurelii dobrze było u boku Filipa, który okazał się dobrym mężem. Łączyła ich namiętność, lecz kobieta odnosiła wrażenie, że mimo wszystko temu związkowi brak jest głębi. Nie była pewna swych uczuć. Lubiła swego wybranka, lecz nie potrafiłaby szczerze wyznać, czy odczuwa cokolwiek więcej poza sympatią i przywiązaniem. Zresztą to było nieistotne w tej chwili.

– Los sprawił inaczej – zauważył Juraszko.

– Otóż to! Los! On zawsze ma dla nas jakieś niespodzianki. Zaskakuje nas na każdym kroku. Wspomniałeś mi kiedyś, jak moja świętej pamięci matka mówiła ci, że w życiu trzeba mieć wyznaczone odpowiednio ambitne cele. Myślałam, że potraktowałeś jej słowa bardzo serio.

– Bo tak jest.

– Na co więc czekasz? Chcesz się całkiem zestarzeć? Spędzić resztę życia w samotności i z oddali spoglądać, jak Matyldzie siwieją skronie i tworzą się zmarszczki na twarzy? Wiem, że ona bardzo cię lubi. Może nawet ta sympatia jest głębsza, niż mi się wydaje. Zapewne Matylda jeszcze tego sobie nie uświadamia i potrzebuje impulsu z twojej strony. Kobiety z naszej sfery oczekują adoracji. Matylda nie jest prostą dziewczuchą ze wsi, której wystarczy, że zatańczysz z nią oberka w gospodzie i pójdziesz na spacer w blasku księżyca. Musisz się zdobyć na odrobinę wysiłku. Spróbuj, proszę – perswadowała.

Mężczyzna w milczeniu przytaknął. Włożył na głowę panamę, którą do tej pory obracał w dłoniach. Siostra wlała w jego serce nadzieję i zmotywowała go do działania. Wszak sam od dłuższego czasu myślał o tym, że powinien zdobyć się na odwagę i wykonać pierwszy krok. Wóz albo przewóz!

## Krynica

W niedzielne popołudnie do domu Pod Lipami przybył Witalis. Niby nic nadzwyczajnego, wszak był regularnym gościem Drzewickich, lecz tym razem miał przy sobie trzy bukiety kwiatów – po jednym dla każdej z pań. W rzeczy samej, początkowo zamierzał obdarować wyłącznie Matyldę, lecz uznał, że Felicynie i Aurelii mogłoby być przykro. Ponadto na razie jeszcze nie chciał zdradzać się z uczuciami. Pomyślał, że powinien zaproponować swej wybrance przechadzkę tylko we dwoje, by ostrożnie wybadać grunt.

Nawet jeśli Matylda była zdziwiona tym, że zaprosił ją na spacer po deptaku, nie okazała tego. Poprosiła służącą o przyniesienie kapelusza oraz umbrelki, a następnie, odprowadzona spojrzeniem przyjaciółki, opuściła dom pod rękę z Witalisem. Przypuszczała, że Juraszko potrzebuje jakiejś rady dotyczącej wystroju swej willi. Być może uznał, że chciałby jednak coś zmienić.

Witalis, początkowo nieco onieśmielony sytuacją, w jakiej się znalazł, mimo że z Matyldą miewał przecież do czynienia niemalże na co dzień, plótł androny o pogodzie i jakichś bzdurach. Na szczęście konwersowanie z Adamczykową szło gładko. Nawet przez moment nie zapadała kłopotliwa cisza, której najbardziej się obawiał. Wynikało to być może stąd, że wybranka jego serca, jak przystało na prawdziwą damę, potrafiła rozmawiać absolutnie z każdym.

W gruncie rzeczy Juraszko przyzwyczajony był już do salonowych konwersacji. Wszak od dawna nieustannie miał do czynienia z ludźmi z wyższych sfer. Teraz odczuwał zadowolenie, że tak uważnie wszystkiemu się zawsze przypatrywał i chłonał to, czym żyli ludzie z elit. Być może dzięki temu miał nawet łatwiejsze zadanie niż Aurelia. Tej

bowiem za całą salonową edukację musiał posłużyć nieco ponad roczny pobyt w Krakowie.

Podczas ostatniej rozmowy z przybraną siostrą pojął, że jej wszystkie działania z ostatnich kilku lat miały na celu dopracowanie jego dobrych manier. Błogosławił ją w duchu za tak taktowne wpływanie na niego. Choć prawie tego nie zauważał, jednak starał się sprostać rzucanym przez Aurelię wyzwaniom. Teraz wiedział, że nie robiła tego przez przypadek ani dla kaprysu. Od dawna musiała zakładać, że brat, podbudowany rosnącym majątkiem, zechce poprawić swą pozycję społeczną poprzez odpowiedni mariaż. Zdaje się, że ona ze swą niezwykle mocną kobiecą intuicją odkryła, co mu w duszy gra, zanim sam przed sobą się do tego przyznał. Musiała to dostrzec już wtedy, gdy delikatnie zasugerowała mu, aby to właśnie Matyldzie powierzył urządzenie swego domu. Może przypuszczała, że w rzeczywistości jej przyjaciółka przysposobi wnętrza willi dla siebie?

Doprawdy dziwne los płatał figle!

Kto by pomyślał, że pojawienie się, przed wielu laty, zubożałej damy w domu Juraszków uczyni taką rewolucję w ich życiu i że wpłynie również na osoby postronne, takie jak Witalis? Czy to już w tamtym czasie przesądziły się jego losy?

– Czy dobrze odgaduję, że chciał pan coś ze mną omówić na osobności? – zagadnęła w pewnym momencie Matylda.

– Tak, w rzeczy samej.

– Chodzi o jakieś zmiany w domu? – zapytała domyślnie, choć intuicja podpowiadała jej coś zgoła innego.

Jej serce załomotało jakoś dziwnie szybko. Tak, jak łomotać nie powinno. Bardzo lubiła Witalisa. Żywiła dla niego ogromny szacunek, bowiem zdawała sobie sprawę, jak wiele pracy musiał włożyć w to, by znaleźć się w tym punkcie, w którym właśnie był. Człowiek, który wyszedł spod chłopskiego dachu,

regularnie bywał w elitarnym towarzystwie. Zapraszano go bowiem nie tylko do domu Drzewickich. Gościł u innych znamienitych krynickich rodzin: Nitribittów, Litworów czy u doktora Ebersa. Miał na stałe wykupione miejsce w Teatrze Modrzewiowym. Za sprawą Aurelii, która od czasu do czasu organizowała wieczorki taneczne w willi Pod Lipami, nauczył się tańców salonowych. Dzięki temu pojawił się nawet kilkakrotnie na balu w Domu Zdrojowym. To był rzeczywiście olbrzymi awans społeczny, ponieważ okoliczna socjeta przyjmowała go życzliwie. Nikt mu nie czynił afrontów. Być może była w tym duża zasługa Aurelii oraz Drzewickich. A może po prostu ludzie radykalnie zmieniali swój światopogląd i zaczęli dopuszczać do siebie myśl, że to nie pochodzenie świadczy o człowieku, lecz jego sposób bycia oraz to, co ma w głowie?

Tak czy owak, Witalis Juraszko coraz mocniej wrastał w nowe otoczenie. Krążyły nawet plotki, że ten czy ów myślał o tym, by wydać za niego swą córkę. Stanowił bardzo atrakcyjny kęs dla niejednej panny z dobrego domu: chłopski syn, który swą pracowitością osiągnął dobrobyt, jakiego mogli mu pozazdrościć niejedni zubożali arystokraci.

– Nie, pani Matyldo, skądże znowu? Dom jest tak piękny, że nie śmiałybym dokonywać w nim jakichkolwiek zmian. Może poza jedną... – przyznał nieco zmieszany.

– Ach, a więc jednak! – wykrzyknęła. W jej oczach momentalnie zagościł smutek.

– Proszę się nie obawiać, pani Matyldo. Naprawdę nie chodzi o wnętrza. Myślę raczej o ludziach.

– Czyżby potrzebował pan, abym poleciała kogoś na służbę?

– Nie. Nie chodzi mi nawet o to. Ja pomyślałem... – zająknął się. – Proszę wybaczyć śmiałość... Doszedłem do wniosku... – Urwał.

Kobieta spojrzała na niego z lekkim rozbawieniem.

– Widzę, że ta sprawa mocno pana frapuje, skoro nie wie pan, jak ująć myśli w słowa.

– Tak, w rzeczy samej. Boję się, jak zostanę odebrany. Uznałem jednak, że pora na kolejne zmiany w moim życiu.

– Czyżby posłuchał pan w końcu matczynych rad i zamierzał się żenić? – zapytała dziwnie zduszonym głosem.

Nagle odczuła przykrość na myśl, że Witalis kocha się w jakiejś pannie. Co gorsza, być może w takiej, która nie jest godna jego miłości. Bardzo nie chciałyby, żeby źle ułożył uczucia. Szczerze go podziwiała. Skłamałyby przed samą sobą, gdyby stwierdziła, że na swój sposób nie jest pociągający.

Witalis reprezentował jakąś dziką, pierwotną siłę. Był zupełnie inny od dżentelmenów, z którymi do tej pory miała do czynienia. W niczym nie przypominał Seweryna – nobliwego, wykształconego, jowialnego prawnika. Seweryn zbyt często zastanawiał się nad tym, co wypada, a co nie. Ważył każde słowo. Kiedy byli w towarzystwie innych osób, musiała się dobrze pilnować, by nie podpaść mężowi jakąś niefrasobliwą wypowiedzią. Przy Witalisie odczuwała pełną swobodę. Nie musiała kontrolować swego zachowania na każdym kroku.

Żałowała, że nie jest panną. Być może wówczas zwróciłby na nią uwagę.

*Ach! Gdyby tak mieć z dziesięć lat mniej...* – westchnęła nieznacznie.

– Czyta pani w moich myślach – przyznał Juraszko.

Matyldzie przyszło do głowy, że być może wybrał ją sobie na swatkę. Może nie miał dość odwagi, by poprosić o tę przysługę swą siostrę? Zapewne założył, że racjonalna z natury Aurelia mogłaby mu wybić z głowy mariaż z panną, którą sobie upatrzył. I choć nagle poczuła z tego powodu ogromną

przykrość, wiedziała, że gdyby zwrócił się z tą delikatną sprawą do niej, nie zawahałaby się, aby mu pomóc.

Choć z jednej strony było jej trochę smutno, że przyszedł czas ożenku również dla tego człowieka, to z drugiej strony bawiło ją to wyrywanie z niego odpowiedzi na siłę. Witalis nie był bowiem mężczyzną nieśmiałym z natury. Zawsze mówił szczerze, co ma na myśli. Nie kręcił, nie lawirował, nie mataczył. A teraz wyraźnie był zmieszany.

– Czyżby chciał mnie pan prosić, Witalisie, abym udzieliła panu jakiejś rady odnośnie do przyszłego mariażu? Jeśli tak, nie ukrywam, że przyjemnie mi z myślą, iż darzy mnie pan aż tak wielkim zaufaniem.

– Niezupełnie, ale może ujmę to tak: w istocie odgadła pani, że myślę, by się żenić. Cały problem w tym, że wybranka nie jest kobietą z mojej sfery, należy do elitarnego towarzystwa. W związku z tym żywię pewne obawy.

– Boi się pan arbuza? Dlaczego? – Z jej ust padło nader naiwne pytanie.

– Dobrze pani wie, że jestem zwyczajnym chłopem, któremu po prostu powiodło się w życiu.

– Och... Witalisie! Zapewniam, że nie jest pan jedyny. Ludzie wywodzący się z prostego ludu coraz odważniej poczynają sobie w świecie, zdobywając wykształcenie, robiąc interesy, a wreszcie zawierając małżeństwa poza swą dawną sferą. Skoro znani artyści szukają sobie żon wśród ludu, to czemu pan nie miałby upatrzeć sobie wybranki w salonach?

– O Święta Przepczysta! Gdybyż to było takie proste! – stwierdził wyraźnie ożywiony.

– Jeśli dręczą pana jakieś wątpliwości, mogę delikatnie wy badać poglądy pańskiej wybranki i dowiedzieć się, czy miałyby coś przeciwko małżeństwu z osobą, która być może jest niżej urodzona, lecz za to pełna szlachetnych przymiotów. Pana

prawość, charakter, pracowitość i to wszystko, do czego pan doszedł na przestrzeni choćby tych paru lat, od kiedy się znamy, czynią z pana człowieka niezwykłego. Jakie znaczenie ma akt urodzenia? Panie Witalisie, jestem głęboko przekonana, że pańska wybranka doceni wymienione przeze mnie walory. Ufam bowiem, że swe uczucia ulokował pan odpowiednio i nie pokochałby płochej pannicy, która ma fiu-bździu w głowie i dla której liczy się wyłącznie gra pozorów. Bo czasami to, co widzujemy na salonach, jest tylko warstwą pozłoty, a prawdziwe złoto można znaleźć pod strzechą.

Podbudowany tymi słowami mężczyzna delikatnie uściśnął jej dłoń.

– Jak piękne brzmi wszystko, co pani mówi! Och... Pani Matyldo! Gdyby wolno mi było żywić nadzieję... – Urwał.

Zatrzymał się w pół kroku, ona stanęła wraz z nim. Nagle spojrzał na nią ciepło i czule jak nigdy dotąd. Aż bała się pomyśleć, że to ona może być obiektem jego uczuć.

Nie! To by było zdecydowanie zbyt wiele od losu!

Tymczasem Witalis uniósł dłoń Adamczykowej do ust i delikatnie ją ucałował.

– Pani Matyldo, błagam, proszę wybaczyć mi śmiałość. W rzeczy samej nie potrzebuję swatki. Jedyne, czego pragnie moje serce, to wzajemność. Pani wzajemność – uzupełnił.

Patrzył na nią z tak wielkim uczuciem, że nie miała wątpliwości, iż mówi całkowicie szczerze. Jej serce biło jak szalone. Nagle doznała olśnienia. Witalis wcale nie potrzebował zabiegać o jej wzajemność!

– Ależ ty ją masz, Witalisie – wyszeptała oszołomiona, pomijając formę „pan”.

– Matyldo... – odparł zduszonym głosem, nie dowierzając własnemu szczęściu. Ogarnęła go fala wielkiej błogości. – Wolno mi zatem starać się o twoją rękę?



– Czy to oświadczyły? – Naprowadziła go na właściwą drogę, bowiem na przewlekły okres „starań się” szkoda byłoby czasu. Ani ona nie była podlotkiem, ani on młodzikiem.

– Ta... tak! – zająknął się i padł przed nią na kolana. – Wiem, to dość niespodziewane. Nie mam nawet przy sobie pierścionka. Nie przypuszczałem, że dziś będę się oświadczał. Matyldo! Jedyna moja, ukochana! Powiedz, że zgadzasz się mnie poślubić.

– Ja też jestem zaskoczona. Ale wiesz? Chcę wyjść za ciebie! – wykrzyknęła, a potem roześmiała się perliście. – Niesamowite! Byłam pewna, że ulokowałeś uczucia w jakiejś młodej pannie, a nie we wdówce obciążonej czwórką drobiazgu.

– Tam do diaska! Cóż mi po młodej pannie, gdy serce rwie się do ciebie? A dzieci... Dzieci są błogosławieństwem. Da Bóg, wychowamy je razem. Da Bóg, postaramy się również o wspólne. Nie mógłbym być bardziej szczęśliwy – powiedział wzruszony mężczyzna, wstając.

By nie wzbudzać sensacji, ruszyli ponownie przed siebie. Teraz delikatna rączka Matyldy spoczywająca na jego przedramieniu nie paliła żywym ogniem. Odważył się na to, by delikatnie przykryć jej palce własnymi.

Nad ich głowami szumiały łagodnie drzewa parku zdrojowego. Nawet nie zauważyli, kiedy zboczyli z deptaku.

## Lwów

Zgodnie z podjętym przed dwoma laty postanowieniem Zuzanna nie utrzymywała żadnej formy kontaktu ani z Aurelią, ani z Matyldą. Nie tęskniła za nimi. We Lwowie szybko znalazła sobie odpowiednio dobrane towarzystwo. Było jej o tyle łatwiej zapuścić korzenie, że miała tam kuzynkę, która wprowadziła ją na salony.

Tytus nawet nie próbował rozwijać działalności prawniczej na nowym gruncie. Gdy się przeprowadzał, snuło się za nim echo krakowskiego skandalu. Zakładał więc, że nie będzie wiarygodnym partnerem w interesach, a już tym bardziej mecenasem. Postanowił zatem cały posiadany kapitał zainwestować w dwie wytworne kamienice położone w samym centrum miasta. Od tamtej pory żył z czynszów pobieranych od najemców. Nawet sobie chwalił tę beczynność. Miał teraz mnóstwo wolnego czasu, więc mógł spędzać go w klubach i oddawać się rozrywkom, na które dawniej nie był w stanie sobie pozwolić. Na szczęście, z chwilą gdy Seweryn został oczyszczony z zarzutów, Strzeleccy mogli odetchnąć z ulgą. Ich pozycja wśród elit nie była w żaden sposób zagrożona.

Zuzanna korespondowała z kilkoma paniami, z którymi dawniej pozostawała w bliskich relacjach. Chociaż w swoich listach starała się unikać tematu Matyldy, czasami krakowianki czuły się zobligowane do tego, by o czymś napomknąć, odnieść się do jakichś wydarzeń. Zwykle wychodziły z założenia, że Zuzanna jest na bieżąco o wszystkim informowana przez swoją szwagierkę. Z tego powodu wieści, które od nich przychodziły, pełne były niedomówień. Strzelecka nigdy nie komentowała takich faktów. Nie odnosiła się do nich w żaden sposób, by nie dawać pożywki plotkom. Czuła się bowiem trochę niezręcznie z myślą, że mogłaby być postrzegana jako osoba, która odżegnuje się od żony zmarłego brata oraz bratanków.

Spore więc było zdziwienie, gdy w jednym z listów Zuzanna przeczytała wzmiankę o tym, że jej szwagierka zaręczyła się z Witalisem Juraszką.

- A to dopiero! – wykrzyknęła, wymachując listem.
- Co takiego? – zapytał Tytus, poprawiając binokle.

Ślubna oderwała go od przeglądania prasy. Wpadła jak burza do gabinetu, szeleszcząc jakimś arkuszem papieru.

– Nawet nie jesteś sobie w stanie tego wyobrazić! Co za szczęście, że się od niej odcieliśmy! Taki wstyd, taka hańba!

– Możesz mówić jaśniej? – zniecierpliwiał się mężczyzna, któremu paliło się do powrotu umysłem w świat własnych spraw.

– Wyobraź sobie, że Matylda zaręczyła się z chłopem! Pamiętasz Witalisa Juraszkę, łemkowskiego woźnicę, który trudni się wożeniem kuracjuszy z Muszyny do Krynicy?

– A tak, tak... – burknął na odczepnego, w rzeczy samej bowiem nie kojarzył postaci.

Zuzanna szybko przejrzała go na wylot, więc od razu wyjaśniła:

– Chodzi o przybranego brata Aurelii. Nie mogłeś przecież zapomnieć!

Zniechęcony Tytus odłożył dziennik i spojrzał wyczekująco na ślubną.

– I cóż z tego? Jakie ma dla nas znaczenie, co porabia Matylda? Przecież ucieliśmy z nią wszelkie stosunki.

– No tak, ucieliśmy, a i owszem, ale wyobraź sobie, że wybieramy się z wizytą do Krakowa. I co wtedy? Ludzie będą o nas gadać, żeśmy się spowinowacili z plebsem! Och! Ta Matylda! Zawsze miała upodobanie do prostaków. Rozumiem, że chciała ponownie wydać się za mąż i nie uszanowała pamięci o moim zmarłym bracie, ale żeby zaraz za chłopą? Nie znalazła sobie godniejszego kawalera?

Niczym furia wędrowała po gabinecie tam i z powrotem.

– Musisz ochłonąć – zauważył chłodno Tytus. – Przypominam ci, że w Krakowie nie powinniśmy się pojawiać. Nie mamy tam czego szukać. Dziwię się, że w ogóle jeszcze z kimkolwiek stamtąd korespondujesz, wszak zawsze unikałaś skandali. Wolałbym, aby nas całkowicie zapomniano. A mariaż Matyldy naprawdę nie jest naszym problemem. Co do kandydata

natomiast, myślę, że to sprawka Aurelii i właśnie ona ich ze sobą wyswatała. Owszem, dziwię się naszej szwagierce, że podjęła decyzję o zawarciu małżeństwa z prostakiem. Ale to ostatnio dość popularne w pewnych sferach. Matylda zawsze gustowała w dość specyficznym towarzystwie. Dajmy już temu spokój, Zuzanno. Bądź pewna, że nie zostaniemy zaproszeni na ślub. Nie musisz się więc obawiać, że będziesz miała do czynienia z plebsem. Na twoim miejscu raczej cieszyłbym się, że Matylda ma w tym momencie głowę zajętą amatorami i nie wraca do przeszłości. Całe szczęście, że wtedy nie wykazała...

– Zamilcz! Nie wracajmy więcej do tego! – przerwała mu wzburzona kobieta. – Masz rację: w naszym życiu nie ma już Matyldy.

## Krynica

Od kilku miesięcy Staś niezbyt chętnie spędzał czas w towarzystwie swojej starszej siostry. Zdecydowanie wolał biegać z chłopcami po Krynicy i okolicach, by płać ludziom jakieś figle.

Teodozja czuła się w związku z tym bardzo osamotniona.

W domu Pod Lipami działo się coraz gorzej. Najpierw rewolucję w życiu domowników wprowadziło pojawienie się Matyldy z dziećmi. Później do tego towarzystwa dołączył jeszcze wuj Filip, a następnie Lucjan, który w całości pochłonął ciotczyną uwagę.

Najbardziej irytujące było to, że od Teosi oczekiwano, aby bawiła się z małymi Adamczykównami albo Luckiem, a ją drażniło to niepomernie. Nie znosiła młodszych od siebie dzieci, ponieważ nie dość, że były irytujące, to jeszcze zbyt mocno absorbowwały dorosłych, a ona lubiła pozostawać w centrum zainteresowania. Tylko o Stasia nie bywała zazdrosna,

gdy jeszcze była małą dziewczynką i mieszkała z rodzicami. Ale tamte czasy minęły dawno temu i chyba bezpowrotnie.

Teodozja zdawała sobie sprawę z tego, że dom Drzewickich opuści dopiero wówczas, gdy sama będzie wychodziła za mąż. Chyba że zdecyduje się pójść na studia, co ostatnio stawało się dość popularne wśród panien. Na razie musiała jednak znosić wszystkie uciążliwości, które wiązały się z mieszkaniem pod cudzym dachem.

I pomyśleć, że kiedyś było jej u Aurelii tak dobrze! Sama zabiegała o względy ciotki, łaknęła jej bliskości, domagała się zainteresowania. Ale wtedy była oczkiem w głowie swej opiekunki, a nie jedną z dziewczynek zamieszkujących w willi.

Na szczęście miała jeszcze w pobliżu Klarę, którą ochoczo odwiedzała.

Córki Klary były nieco starsze od niej i zdecydowanie nie tak nudne. Nie wyklócały się wiecznie o zabawki i nie beczwały na każdym kroku. Chętnie za to opowiadały różne ciekawe historyjki, zaczynały już rozglądać się za kawalerami. Marzyły o pierwszym balu, o debiutanckich sukniach i późniejszych „dorosłych” strojach. Płoniąc się niczym piwonie, szeptały o chłopakach i młodych mężczyznach.

Tak! To było zdecydowanie ciekawsze niż przebywanie w domu przepełnionym małymi dziećmi, gdzie czuła się odsunięta na bok.

Kiedy tylko było to możliwe, Teodozja wyciągała Stanisława, by razem udawali się do ciotki Klary. Ciotka była sympatyczna, zawsze chętnie z nimi rozmawiała. Wypytywała o różne domowe sprawy. Lubiła słuchać plotek i nie karciała dzieci za ich rozsiewanie. Miała zrozumienie zarówno dla Stasiowych figli, jak i dla Teosinej złości na ciotkę Aurelię. Przy Klarze nie musieli hamować swoich emocji. Wręcz zachęcała ich do tego, by byli szczerzy i dobitnie wyrażali uczucia. Śmiała się, ilekroć

Staś opowiadał o swoich psotach. Nie złościła się nawet o to, że czasami dokucza głupiemu Nikiforowi.

– Cóż, jesteś lepszy od niego i z urodzenia, i z pozycji społecznej, i nawet ze stanu majątkowego. Tamten to tylko zwykły nędzarz – skwitowała, gdy opowiedział jej o tym, jak zabrali mu jego bohomyzy. Od Aurelii za coś podobnego dostałby z całą pewnością burę. – Zabawne z was dzieciaki. – Westchnęła. – Szkoda, że ciotka poświęca wam tak mało uwagi. Nie powinna była wychodzić za męża. Moja świętej pamięci siostra, a wasza matka, nie po to powierzyła was jej opiece. Ufała, że Aurelia zajmie się wyłącznie wami i nie będzie myślała o tym, by łapać mężczyznę. A już na pewno nie brała pod uwagę tego, że może postarać się o dzieci. Zachciało jej się! W pewnym wieku to po prostu nie wypada – stwierdziła nader złośliwie, choć Aurelia stosunkowo niedawno przekroczyła trzydziestkę. Nawet Teodozja wiedziała, że małżeństwa zawierają znacznie starsze kobiety.

– A nie moglibyśmy zamieszkać z tobą? – zapytała trzynastolatka.

– Przykro mi, kochanie, ale to jest całkowicie wykluczone. Ostatnia wola mojej siostry wskazała ewidentnie na to, że waszą opiekunką ma być ciotka Drzewicka. Takie życzenie jest święte. Poza tym zostało to usankcjonowane prawnie.

– Oj! Nie marudź, Teośka! – wykrzyknął Staś. – Jak podrośniesz jeszcze trochę, to wyjdiesz za męża i będziesz miała ciotkę z głowy. Na pewno dostaniesz od niej duży posag.

Boguszowa zachichotała, słysząc jego wypowiedź. Siostrzeńcy byli bardzo bystrzy, doskonale wiedzieli, o co chodzi w życiu. Zresztą miała w tym znaczący udział. Czasami rzucała niby od niechcienia jakieś uwagi, które dotyczyły przyszłości, posagu bądź studiów. Robiła to celowo. Chciała, aby kiedyś potrafili

upomnieć się o swoje. W końcu po to Emilia umieściła potomków u Aurelii, by coś dla nich uzyskać.

Klara nigdy nie polubiła Drzewickiej. Chociaż starała się utrzymywać z nią poprawne stosunki towarzyskie, w przeciwieństwie do siostry nie potrafiła się płaszczyć dla osiągnięcia korzyści. Zresztą na te w ogóle nie liczyła. Wątpiła, by Felicycya uwzględniła ją w testamencie w jakiś znaczący sposób. Nie miała wobec niej żadnych zobowiązań. Na pewno bardziej ceniła to całe szemrane towarzystwo, które zgromadziła wokół siebie.

Kiedy Litworowie odeszli do domu, Boguszowa z przekąsem wyznała ślubnemu:

– Wiesz, Szymonie? Wuj Drzewicki był koszmary, bardziej cenił obcych niż swoich. A ciotka nie jest ani trochę lepsza. Z żadną z tych osób, które zamieszkały w domu Pod Lipami, nie łączy jej pokrewieństwo. Ale jestem pewna, że Felicycya wyżej sobie ceni Matyldę niż mnie.

– Ciebie to jeszcze dziwi? Myślałem, że przejrzałaś na oczy, z chwilą gdy uznali formalnie Aurelię za córkę – stwierdził mężczyzna. – Swoją drogą, to znaczna złośliwość z twojej strony, że podpuszczasz siostrzeńców przeciwko opiekunom. Jeśli Staś mocno zajdzie Aurelii za skórę, gotowa wyrzucić go z domu, gdy tylko chłopak osiągnie pełnoletniość.

– Jak ty mało znasz się na ludziach, Szymonie! – prychnęła Klara. – Bądź pewien, że Aurelia nigdy czegoś takiego nie uczyni. Prędzej mój siostrzeniec odejdzie stamtąd z własnej inicjatywy. Zanim to jednak zrobi, ciotka zacznie wyposażyć go w gotówkę. W przeciwnym razie zjadłyby ją wyrzuty sumienia, że ograbiła biedactwa ze schedy.

W rzeczy samej Klara do tej pory nie potrafiła darować Aurelii, że to na jej korzyść wuj Ksawery zrobił zapis w

testamencie. Cały swój majątek postanowił zostawić przybranej córce i to ona miała dysponować wszystkim według własnego uznania. Jako że nie był spokrewniony bezpośrednio z Klarą, nie czuł się zobligowany do tego, by zapisać jej choćby parę talarów. Boguszowa wprawdzie nie czekała na jakikolwiek gest z jego strony, ale odebrała to jako przykrość. No cóż, może przynajmniej Felicjta będzie choć trochę łaskawsza.

– Ale nie zaprzeczysz chyba – ślubny drażył temat – że celowo judzisz dzieci.

– Nie przeczę. Chcę, żeby dały w kość tej łachudrze. Moja siostra żywiła do niej ogromny żal i nie wierzę, że przed śmiercią poczuła nagle jakiś przyływ uczuć. Nie wiem, jak potoczyłyby się jej losy, gdyby nie wypadek w tartaku, do którego zresztą sama się przyczyniła. Szalona dziewczyna! Wybrała najgorsze z możliwych rozwiązań – perorowała z rozgoryczeniem.

– Zaiste, było to ogromne szaleństwo – przyznał Szymon.

Małżonkowie mniej więcej orientowali się w przebiegu wydarzeń. Bynajmniej nie wiedzieli o niczym od Aurelii, tym bardziej nie od wuja. Wywnioskowali wszystko na podstawie listu, który pozostawiła po sobie Emilia. W słowach skierowanych do Klary dość oględnie wyjaśniła motywy swego postępowania i poprosiła siostrę o wybaczenie, że to nie jej powierza swe pociechy.

– Nigdy nie przestanę twierdzić, że powinna była wyprosić pieniądze na leczenie i spróbować jakiejś sensownej kuracji. Była zdecydowanie zbyt młoda, żeby umierać.

Szymon pomyślał, że ślubna jest strasznie zapiekła w swych przekonaniach. Był spokojnym człowiekiem, przeważnie ustępował żonie we wszystkim, choć w wielu przypadkach nie zgadzał się z jej osądami. Nie był z gruntu zły, miał swój światopogląd, lecz dla własnego dobra wolał go trzymać w



sekrecie. Wiedział doskonale, że Klara byłaby wściekła, gdyby stanął po stronie Drzewickiej-Rapacz. Owszem, uważał za niesprawiedliwe, że wujostwo przygarnęli pod dach obcą osobę i hołubili ją bardziej niż własną krewną. Ale stało się, więc trudno! Trzeba było zacisnąć zęby i żyć dalej. W jego odczuciu Klara niepotrzebnie podsycala w sobie wściekłość na Aurelię. A już z całą pewnością nie powinna jej obwiniać za śmierć Emilii. Podobnie jak nie powinna buntować przeciwko niej młodych Litworów. Mieszała dzieciom w głowach, popierała wszystkie wyskoki Stanisława, utwierdzała Teodozję w przekonaniu, że ma prawo być zazdrosna o uczucia Aurelii. Jątrzyła.

To była jedna strona medalu.

Druga strona medalu była taka, że Klara wcale nie zachowywała się lojalnie w stosunku do siostrzeńców. Niejeden raz wspominała mu o tym, jak to odbyła sobie pogawędkę z „kuzyneczką”, podczas której zwracała jej uwagę na to, że Stasia należy mocniej temperować. Że z dziećmi trzeba twardo, krótko i należy im narzucać znaczną dyscyplinę, a kiedy są nieposłuszne, powinna stosować kary o wiele surowsze niż bura czy stanie w kącie. Doradzała jak najczęstsze korzystanie z różgi.

Kiedyś, w przypływie odwagi, Szymon usiłował wyperswadować żonie takie zachowanie, lecz rozpętała się wówczas okropna awantura. Od tamtej pory wolał unikać grząskich tematów. Bardziej sobie cenił święty spokój niż komfort Teodozji i Stanisława. A słuchając rozmów Klary z siostrzeńcami, coraz mocniej utwierdzał się w przekonaniu, że bardzo dobrze się stało, iż Emilia powierzyła swoje dzieci właśnie Aurelii. Bo gdyby Stanisław mieszkał z nim pod jednym dachem, z całą pewnością nastreczyłby mu wielu kłopotów. Ten gagatek miał wybitnie rogatą duszę.

*Cóż, niedaleko pada jabłko od jabłoni – pomyślał. – Świętej pamięci Dionizy miał taki sam wredny charakter. Emilia także nie należała do aniołów.*

Niby zmarli przedwcześnie Litworowie byli powszechnie szanowanymi ludźmi o nienagannych manierach, lecz w rzeczywistości nikt nie znał ich równie dobrze jak Klara i Szymon. Tylko oni zdawali sobie sprawę z tego, jak dalece zbiorowa pamięć o nich rozmija się z faktami. Szymon nie dałby sobie dwa razy powiedzieć, czy i na ich użytek Litworowie nie zachowywali się w miarę poprawnie, natomiast w domowym zaciszu ujawniali prawdziwe i znacznie gorsze natury.

Ku zaskoczeniu Drzewickich oraz Juraszków Matylda i Witalis pobrali się po wyjątkowo krótkim okresie zaręczyn. Obydwoje zgodnie stwierdzili, że nie potrzebują wiele czasu, aby się namyślać czy też lepiej poznać. Pragnęli spędzić resztę życia razem.

– Dobrze, że nasz syn w końcu się ożenił – stwierdziła z ulgą Paraska kilka dni po ślubie.

Starokawalerstwo Witii od dawna spędzało jej sen z powiek. Kiedy usłyszała, że Witalis oświadczył się Adamczykowej, była w siódmym niebie. Nie przeszkadzało jej, że synowa pochodzi z wyższych sfer ani że jest wdową. To nie miało nic do rzeczy, wszak Witia nie był już młodzikiem. Grunt, że znalazł swoje szczęście w życiu, a piękny dom nie będzie dłużej stał opustoszały. Bo na cóż jednemu mężczyźnie taka wielka willa? Ważne było, że zaraz po weselu domostwo zaczęło rozbrzmiewać śmiechem dzieci i gwarem rozmów.

– Niech im Bóg darzy, zasługują na szczęście – odparł ślubny, pykając fajkę.

– Dobry z niego chłopak, to i żona mu się dobra trafiła. Światowa pani! Wiesz, Nazarymie? On chyba właśnie takiej potrzebował. Nieboszczka Eleonora posiała w jego głowie ziarno, a ślub z Matysią jest jego plonem.

Mężczyzna w milczeniu przytaknął. Dopiero po dłuższej chwili zapytał:

– A nie boisz się, że taka światowa będzie go miała za nic? Że jak już ją znudzi, to zacznie mu wytykać prostacze pochodzenie i niewyszukane maniery?

– Ani trochę. Kochają się, to widać. Witia będzie dobrym ojcem dla małych Adamczyków. Pracowity jest i zaradny. A Matysia jest poczciwą kobietą i też nie lęka się pracy. Ileż to razy siedziały tutaj we dwie z Aurelią, łuskając groch, tkając czy pomagając w jakiś inny sposób? Nie bała się, że zniszczy białe rączki. Zobaczysz, w tym małżeństwie miłość nie zgaśnie.

## RÓŻNE RACJE

*Rok 1905*

Krynica

Stasiowi nigdy nie doskwierała nadmierna dyscyplina. Póki żył dziadek Ksawery, próbował chłopca odrobinę utemperować, lecz z nikłym skutkiem, gdyż mieszkające w domu kobiety zawsze potrafiły wybronić go z tarapatów. Ogarnięta współczuciem ciotka Aurelia traktowała podopiecznego nader wyrozumiale. Babka Felicyna także nie próbowała go w jakikolwiek sposób ograniczać. Gorzej było z wujem Filipem. Ten dość często wygłaszał swoje zdanie, nakładał na chłopaka kary, próbował go jakoś okiełznać. Właściwie był jedynym człowiekiem, przed którym młody Litwora odczuwał respekt. Całą resztą się nie przejmował.

Chociaż od śmierci rodziców minęło już tak wiele lat, że w ogóle nie pamiętał ani matki, ani ojca, wciąż udawało mu się brać damską część rodziny na litość.

Zresztą jakiej rodziny?

Aurelia była jego ciotką tylko z nazwy. Ciocia Klara nie omieszkała przypominać, że jej siostrzeńców z Drzewicką--Rapacz nie łączą żadne więzy krwi. Często wracała do tego tematu, mówiąc o pochodzeniu Aurelii i o tym, jak trafiła do rodziny Drzewickich. Niby nie wyrażała tego wprost, lecz Staś czuł, że w głębi duszy ciotka pogardza swoją „kuzyneczką”. To właśnie ona najczęściej opowiadała Staszce o zmarłych rodzicach. Przypominała matkę i ojca, wyrażając się o nich z

największym szacunkiem. Czasami Stanisławowi wydawało się, że jest dzieckiem świętych ludzi.

Chociaż ciotka nie o wszystkim mówiła ze szczegółami, dowiedział się od niej, że matka poświęciła życie dla niego oraz Teodozji. Bardzo ciężko zachorowała, a później zdarzył jej się potworny wypadek, którego właściwie można było uniknąć, ponieważ Emilia znalazła się w niewłaściwym czasie w niewłaściwym miejscu. Powinna była być wówczas gdzie indziej i ratować zdrowie. Przecież mogła próbować leczyć się u miastowych doktorów. Może gdyby nie trzymała się tak uporczywie Krynicy, tylko wyjechała do Krakowa, Lwowa czy nawet do Warszawy, to tam znalazłaby kogoś, kto potrafiłby ją uzdrowić. Ona jednak nie chciała opuszczać swoich dzieci. Ponadto nie dysponowała odpowiednimi środkami finansowymi.

Ciotka Klara była wręcz zła na dziadka Ksawerego oraz babkę Felicję, że nie sfinansowali kuracji. Powinni byli się domyślić i dać Emilii pieniądze na ten cel, bo ona była zbyt honorowa, by błagać o jałmużnę. Tymczasem Drzewiccy woleli oddać cały majątek Aurelii. Zdaniem cioci było to niezwykle niesprawiedliwe. Dobrze przynajmniej, że Aurelia miała choć tyle przyzwoitości, by zająć się nieszczęsnymi sierotami. A zatem Staś i Teosia powinni bez skrupułów korzystać z zamożności Drzewickich i oczekiwać spełniania wszelkich zachcianek. Ba – powinni wręcz stawiać wymagania! Wszak to wszystko należało im się jako rekompensata za utratę rodziców.

Stanisław był głęboko przekonany, że Klara ma całkowitą rację. Słowa, które Boguszowa nieustannie syczyła mu do ucha, mocno go podburzały. Buntował się przeciwko Aurelii oraz Filipowi, chociaż buntu przeciwko wujowi starał się nie okazywać nazbyt dosadnie. Szczerze nie znosił wuja i miał nadzieję, że ten szybko umrze. W jego odczuciu Rapacz

wydawał się już starym człowiekiem. Był po czterdziestce, co kilkunastoletniemu chłopakowi jawiło się jako mocno zaawansowany wiek. Zdaniem Stasia wuj przeżył wystarczająco dużo, a gdyby zmarł, w domu znowu zapanowałby święty spokój. Tym świętszy, że już nawet bez utyskiwań dziadka.

Nikt nie próbowałby ograniczać swobody Stasiowi!

Nikt nie nakładałby na niego głupich kar, takich jak stanie w kącie albo przepisywanie po kilkaset razy jakiegoś durnego stwierdzenia typu: „Nie będę dokuczał pokojówce”, „Będę uprzejmy dla innych” czy „Nie będę strzelał z procy do łabędzi”.

Całe szczęście, że wuj nie miał w zasobie restrykcji różgi ani, co gorsza, paska. Koledzy Litwory często dostawali cięgi od rodziców. Staś praktycznie pozostawał bezkarny. Większość jego przewinień kończyła się burą ze strony opiekunki.

Jakiś czas temu chłopiec odkrył, że Aurelia ukrywa przed Filipem większość jego niecnych sprawek. Nic go to nie obchodziło. Nie odczuwał z tego powodu żadnej wdzięczności. Tak naprawdę marzył o tym, aby dorosnąć na tyle, by wyjechać do Krakowa na studia. Uczyć się co prawda nie lubił. Zatrudniony przez wujostwo guwerner, którego zadaniem było przygotowanie Stanisława do nauki w gimnazjum, miał z nim sporo kłopotu. Ale studia były przecież dla zamożnych. A skoro dorastał w rodzinie, w której nie brakowało pieniędzy, zamierzał skorzystać z tego przywileju.

Ostatnio wuj przebąkiwał, że być może od nowego roku szkolnego Stanisław zacznie uczęszczać do gimnazjum w Krakowie lub Tarnowie. To wiązałoby się z zamieszkaniem na stacji albo w internacie. Sęk w tym, że koledzy, którzy już kształcili się w szkołach poza Krynicią, narzekali na dyscyplinę w takich miejscach, gdy przyjeżdżali latem do rodzinnych domów.

Na razie jednak chłopak cieszył się beztroską nadciągających wakacji. Do Krynicy, jak każdego roku, zaczęło zjeżdżać mnóstwo kuracjuszy. W Zakładzie Kinetoterapii już teraz wylegiwały się na słońcu dość mocno roznegliżowane kobiety. Dziur w parkanie okalającym tę posesję przybywało w postępie geometrycznym. Panowie przechadzający się wzdłuż niego nawet nie kryli się z tym, że tylko wypatrują sposobności, aby przyłożyć oko do szpary po sęku. Nic więc dziwnego, że również Stanisława i jego kolegów tam ciągnęło. Wciąż podglądali panie bardziej dla uciechy czy żartu. Sprawdzali, czy plotki na ten temat nie są przesadzone. Z wolna jednak to niechlubne zajęcie stawało się lekcją anatomii, ponieważ chłopcy zaczęli wkraczać w ten etap życia, gdy rośnie zainteresowanie płcią przeciwną. Nieraz dzielili się spostrzeżeniami, że właściwie letniczki powinny opalać się całkiem nago, ponieważ pantalony i koszulki zasłaniały mimo wszystko zbyt dużo.

A kiedy już zgrai młokosów znudziło się spoglądanie przez dziury i napatrzyli się do syta, szli na deptak lub do parku zdrojowego. Płatali się pomiędzy kuracjuszami, kombinując, komu i jaką wyrzucić psotę.

Ostatnimi czasy do Krynicy coraz liczniej całymi rodzinami przyjeżdżali Żydzi. Rozsiadali się na skwerach i w parku, czynili sporo hałasu i rozrzucali wokół siebie mnóstwo śmieci. Chłopaków śmieszyły czarne chałaty, pasiaste tałesy i pejsy wijące się na kilka cali\*\*\*\*\*. Niekiedy przedrzeźniali starozakonnych, lecz takie błazeństwa bawiły ich tylko przez chwilę. Zwłaszcza że kilkakrotnie któryś z młodszych wyznawców judaizmu nieźle natarł uszu gagatkowi przyłapanemu na figlach.

Na szczęście mieli jeszcze jednego kozła ofiarnego. Ten nigdy nie bronił się wystarczająco skutecznie. Mogli mu dokuczać do

woli. Bardzo rzadko zdarzało się, by ktokolwiek stawał w jego obronie.

Henryk Ebers lubił zachodzić do domu Pod Lipami, chociaż bardzo brakowało mu w nim obecności Ksawerego. Mimo dzielącej ich różnicy wieku za starych, dobrych czasów lubił rozmawiać z seniorem. Łączyła ich bowiem wspólna miłość do Krynicy – małej ojczyzny, do której pewnego dnia każdego z nich rzucił kapryśny los. Żaden nie był rodowitym mieszkańcem okolicy. Ksawery przyjechał do uzdrowiska wraz z ojcem i doktorem Dietlem, Ebers urodził się na obczyźnie, we Francji. Później miotał się trochę po świecie: wrócił na studia do Krakowa, by po uzyskaniu tytułu doktora medycyny pogłębiać wiedzę w Wiedniu oraz Paryżu. Podróżował po Szwajcarii, Austrii, Włoszech i Niemczech. Gromadził doświadczenia, czynił obserwacje, zapoznawał się z funkcjonowaniem zakładów klimatycznych. Później to wszystko, co utrwaliło się w jego pamięci, starał się wykorzystać w ukochanej Krynicy. Pragnął, by kurort był nowoczesny, jak przystało na realia dwudziestego wieku, i przyciągał rzesze kuracjuszy. Jego starania zostały docenione w okolicy, ponieważ w ubiegłym roku powierzono mu godność prezesa Koła Lekarzy w Krynicy. To wyróżnienie zdopingowało medyka do jeszcze większej aktywności, oznaczało bowiem, że cieszy się powszechnym szacunkiem. Nie ograniczał swej działalności wyłącznie do spraw związanych z wodolecznictwem, działał bowiem również w Komisji Zdrojowej i Radzie Gminnej.

Niedawno udało mu się w Radzie przeforsować pomysł budowy linii kolejowej łączącej Krynicy z Muszyną, a co za tym idzie, z szerokim światem. Tym samym zrobił znaczący krok ku realizacji jednego ze swych najważniejszych zamierzeń,



bowiem o konieczności włączenia Krynicy w sieć kolejową mówił od wielu lat.

Jego ambicje sięgały jednak dalej. W przyszłości pragnął sprowadzić do Krynicy naukowców, którzy wykonaliby kolejne odwierty i poszukali nowych źródeł. Być może natrafiliby na szczyty o innych właściwościach leczniczych niż kryniczanka?

*Tak, pod warunkiem, że kuracjusze nie będą popijali ich w połączeniu z winem* – rozmyślał z przekąsem, bowiem w ostatnim czasie stało się to nader powszechne, podobnie zresztą jak wszelkie uciechy suto zakrapiane alkoholem.

Ksawery, jak chyba nikt inny, popierał jego działania i dodawał mu skrzydeł do pracy. Gdy zgasł, Ebers odczuł ogromną przykrość. Cieszył się jednak, że nieodżałowany przyjaciel pozostawił po sobie adoptowaną córkę – kobietę światłą, nowoczesną, wciąż łaknącą wiedzy. Wiedział, że Aurelia mimo nawału obowiązków bardzo dużo czyta. Kiedyś między wierszami wyznała mu, że gdyby przed laty miała taką możliwość, chętnie poszłaby na studia, przełamując kolejny stereotyp.

Nic więc dziwnego, że Henryka ciągnęło w gościnne progi domu Pod Lipami.

Tym razem jednak, zamiast wybrać się tam, postanowił pojechać do Słotwin, chciał omówić pewną sprawę w tartaku, ponieważ uznał, że to najlepsze miejsce, zważywszy na temat.

\$

– Uszanowanie panu doktorowi! – Witalis uchylił kapelusza, widząc Ebersa zsiadającego z wierzchowca. – Jakie pomysły wiatry przywiały pana aż tutaj?

Wyciągnął dłoń po wodze, by uwiązać konia. Doktor bez wahania powierzył mu zwierzę.

– Dzień dobry, panie Juraszko. Mam sprawę do pani Aurelii. Zastanę ją w biurze?

– O ile wiem, siostra omawia rachunki z buchalterem. Śmiało można im przeszkodzić – dodał szybko, widząc zmieszanie na twarzy medyka, który zapewne uznał, że pojawił się nie w porę.

– Świetnie, w takim razie za chwilę pójdę z nią porozmawiać – oznajmił. – Jak zdrowie szanownej małżonki? – zagadnął.

– Dziękuję, wybornie. Matylda tryska wręcz energią. Zlecenie na zaprojektowanie wnętrza hotelu pana Zarzyckiego, które zawdzięcza pańskiej uprzejmości, sprawia jej ogromną satysfakcję.

Kilka tygodni wcześniej doktor podszeptał swemu znajomemu, by zwrócił się do Juraszkowej po pomoc. Obydwie strony były zadowolone z tego układu, a szczególnie Matylda, która marzyła o podobnych zajęciach, odkąd urządziła dom Witalisowi. Od razu poszły w ruch katalogi sprowadzone z Wiednia, Krakowa i ze Lwowa. Matylda z ogromnym zapalem przystąpiła do pracy, kreśląc – czasami na oczach oczarowanego męża – rysunki z aranżacjami westybulu, sali jadalnej i innych pomieszczeń.

– Cieszę się, że mogłem pomóc. Pańska żona znana jest z dobrego smaku. Zarzycki wspomniał, że pokazywała mu już swoje pierwsze projekty. Był zachwycony, bo o ile ma smykałkę do prowadzenia interesów, to jak sam twierdzi, ani on, ani jego Dusia nie mają wyczucia stylu.

– Przekażę Matyldzie, na pewno będzie szczęśliwa.

– Koniecznie. Bo jak znam tego łobuza Zarzyckiego, był zapewne oszczędny w słowach. No dobrze, nie zawracam głowy, panie Witalisie. Pójdę do *madame*. Znam drogę – dodał, bowiem bywał tutaj już niejednym razem.

Aurelię zastał w biurze. Na podręcznym stoliku posapywał pękaty samowar. Kobieta uśmiechnęła się na widok gościa i zaproponowała filiżankę herbaty, na którą przystał z wielką przyjemnością. Jarząbek w tym czasie pozbiierał księgę

rachunkową oraz jakieś kwity i wycofał się do sąsiedniego pomieszczenia.

– Co dobrego słyhać, panie Henryku? – zagadnęła Drzewicka-Rapacz, wręczając mu naczynie samodzielnie przygotowanego naparu.

– Same dobre rzeczy, *madame!* Same dobre rzeczy! – odparł z zadowoleniem. Jego oczy aż lśniły z podekscytowania.

– Zamieniam się w słuch!

– Szanowna pani, proszę sobie imaginować, że ruszyły wstępne pomiary w celu wytyczenia linii kolejowej!

– Nie! Doprawdy?! – wykrzyknęła uradowana kobieta. – Będziemy mieli własne połączenie ze światem?

– Owszem. Może jeszcze trochę to potrwa, ale dzieje się, dzieje!

– Doskonałe nowiny! Proszę przyjąć moje gratulacje, doktorze. Wiem, że to przede wszystkim pańska zasługa. Robi pan bardzo dużo dobrego dla naszej miejscowości.

– Ufam, że uda mi się zdziałać jeszcze więcej. Ach! Pani Aurelio! Rozpiera mnie taka energia, że mógłbym góry przenosić. A jeśli nie góry, to przynajmniej ruszyłbym z posad Diabelski Kamień.

– Domyślam się. – Zachichotała niczym podlotek.

– Oby mi nie zabrakło tego impetu w dalszych działaniach. Trzeba bowiem będzie pozyskać fundusze na realizację tego przedsięwzięcia. Myślę zarówno o pożyczce od władz, jak i o założeniu towarzystwa akcyjnego. Oczywiście akcjonariusze czerpaliby w przyszłości profity z wniesionych udziałów. – Chrząknął i spojrzał na nią znacząco. – Pomyślałem więc, że skieruję się do pani w tej sprawie. Nie żebym namawiał, lecz proszę o przemyślenie tematu i omówienie go z szanownym małżonkiem. To po pierwsze. A po drugie, niezależnie od pani decyzji chciałbym już teraz zasygnalizować, że budowa

połączenia kolejowego pociągnie za sobą znaczne zapotrzebowanie na drewno.

– Bardzo się cieszę, że pan o nas pomyślał. Oczywiście wezmę pod uwagę pańską propozycję. A co do drewna, tego u nas nie brakuje. Gdy już rzecz dojdzie do skutku, zadbam o to, by było najlepszej jakości.

– Świetnie! Wiedziałem, że znajdę u pani poparcie. Pani doskonale rozumie, jak ważna jest ta inwestycja nie tylko dla mnie, ale dla całej okolicy. Pozwolę sobie odwiedzić państwa w domu Pod Lipami w najbliższych dniach. A na razie nie przeszkadzam w dalszej pracy – powiedział, odstawiając opróżnioną filiżankę.

Aurelia wracała wierzchem z tartaku. Dzień był śliczny i niezbyt upalny, delectowała się więc przejażdżką. Myślami wciąż jeszcze była w Słotwinach. Ruch w interesie był bardzo duży i nic nie wskazywało na to, by miał zmaleć. Domy, wille, pensjonaty i hotele wyrastały niczym grzyby po deszczu. Krynica rozwijała się w niesamowitym tempie.

Spółka należąca do Filipa oraz jego brata również przeżywała rozkwit. Odkąd Aurelia wyszła za męża, ich interesy stały się wspólne, ponieważ teraz Filip zaopatrywał się wyłącznie w jej składzie. Bynajmniej nie oczekiwał dużych upustów na drewno, wszak i tak za wszystko płacili jego klienci. Ale biorąc je od żony, wiedział, że będzie najlepszej jakości: dobrze wysuszone, równo docięte, nietknięte przez robactwo.

Tego dnia mąż zapowiedział późniejszy powrót do domu, miał bowiem bardzo ważną budowę, którą osobiście nadzorował. Aurelia domyślała się, że kiedy brakuje mu pracowników, sam zdejmuje surdut, zakasuje rękawy i wchodzi na konstrukcję. Nie mogła mu tego zabronić, chociaż bała się, że któregoś dnia Filip spadnie i przetrąci sobie kręgosłup albo skręci kark.

Widziała go kiedyś, jak wspinał się na najwyższe kondygnacje bez żadnej asekuracji. W Krynicy wznoszono wysokie wille, zazwyczaj dwupiętrowe, podobnie zresztą było w całej okolicy. Należało przecież sprostać rosnącej popularności uzdrowiska. Mężczyzna uspokajał ją, że nie ma się czego obawiać, ponieważ jest jak kot i zawsze spada na cztery łapy. A w ogóle to od małego wlaził na drzewa i na różne budynki. Owszem, zdarzyło mu się potłuc tyły, ale nigdy nie skończyło się to żadnym poważniejszym urazem.

– Ale nie masz już dwudziestu lat! – Załamywała ręce.

– Kochana, nie rób ze mnie niedołęznego staruszka – droczył się z nią zazwyczaj. – Czy mam kolejny raz dowieść ci mojej młodzieńczej sprawności?

Spoglądał przy tym na nią tak wymownie, że od razu oblewała się rumieńcem, bowiem doskonale wiedziała, jakie to dowody przysły mu na myśl. Łączyła ich ogromna namiętność, która zadziwiająco szybko zaowocowała synem. Lucjan urodził się dokładnie dziewięć miesięcy po ich ślubie. Imię dali mu na pamiątkę krakowskiego poety, Rydła, którego mieli okazję spotkać, gdy Aurelia była brzemienna.

Półtora roku po Lucjanie, późną jesienią, przyszła na świat Beatka, oczko w głowie uszczęśliwionego tatusia.

Świeżo upieczona mama niechętnie rozstawiała się z maluszkami, jednak chciała sumiennie wypełniać swoje obowiązki. Dlatego gdy tylko doszła do siebie zarówno po pierwszym, jak i po drugim porodzie, wróciła do pracy w tartaku.

Początkowo pojawiała się w Słotwinach raz na kilka dni. Większość spraw w jej imieniu załatwiał Witalis. Później jednak zaczęła zwiększać częstotliwość wyjazdów. Dzieciaczki pozostawały pod dobrą opieką. Felicysta wprost oszalała na

punkcie Beatki i Lucjana. Cieszyła się, jakby były jej rodzonymi wnukami, i nigdy nie określała ich innym mianem.

Życie w domu Pod Lipami płynęło dość spokojnym rytmem, zakłócanym od czasu do czasu jakimiś psotami Stanisława. Aurelia pocieszała się jednak myślą, że pewnego dnia niesforny podopieczny wydorosleje i nabierze rozumu. Zresztą zadowolona była, że los funduje jej wyłącznie takie kłopoty.

*Inni mają gorzej* – stwierdziła, głaszcząc pieszczotliwie kark ulubionego ogiera.

Nieszczęścia zdawały się omijać zarówno ją, jak i jej bliskich. A może po prostu na razie wyczerpała się pula dramatów? Może kostucha zasnęła twardym snem? Oby spała jak najdłużej i nie zjawiała się po Felicycę, która w wieku osiemdziesięciu jeden lat cechowała się znaczną żywotnością.

Spokojnie było nie tylko w Krynicy, ale także w Powroźniku. Aurelia często gościła zarówno w chyży Juraszków, jak i w pięknej willi Witalisa, gdzie Matylda przeżywała małżeńskie szczęście.

*To zadziwiający, jak bardzo zbieżne są nasze losy. Jakby przędła je ta sama Mojra.* – Uśmiechnęła się do swoich myśli.

Synek Matyldy był starszy od Lucjana o rok. Juraszkowa wciąż powtarzała, że gdy już chłopcy troszkę podrosną, na pewno będą najlepszymi przyjaciółmi. I że Mateuszek będzie czuwał nad małym Lucjankiem oraz Beatką. Chłopców połączy więc równie mocna, co ją i Aurelię: na dobre i na złe.

Na myśl o tym Drzewickiej-Rapacz robiło się ciepło na sercu.

Zadumana Aurelia wjechała stępą do Krynicy. Mimo że miejscowość mocno rozrosła się w ostatnich czasach, dom Pod Lipami nadal zdawał się pozostawać nieco na uboczu, choć zlokalizowany był blisko centrum. Nagle amazonka z zaskoczeniem zobaczyła wychudłą kobietę wymachującą rękami. Rozpoznała w niej Eudokię.

*Ależ ona jest zabiedzona!* – pomyślała z przykrością. Dawno jej nie widziała, bowiem Rusnaczką zatrudnioną była w którymś z pensjonatów z przeciwnej strony Krynicy, przy drodze wiodącej w kierunku Powroźnika. Wiedziała o tym od Paraski, która z niemalejącą lubością opowiadała przybranej córce o wspólnych znajomych.

Jeszcze kilka lat temu Eudokia przykuwała uwagę swoją dość prostą, ale za to świeżą chłopską urodą. Nie była salonowo piękna, lecz nie można jej było odmówić powabu. W czasach, gdy wydała na świat swoje jedyne dziecko, przyciągała spojrzenia wielu panów, co oczywiście wpakowało ją w tarapaty. Aurelia nie widziała Eudokii bodajże od momentu, gdy wyrzucono ją z Trzech Róż. Wtedy to Drzewicka poszła do pensjonatu i wstawiła się za biedną dziewczyną. Domagała się od gospodyni, by pozwoliła wrócić nieszczęśnicy do pracy. Ta oczywiście postąpiła po swojemu i zamiast dać ciężarnej zajęcie, po prostu wydała ją za mąż za opłaconego chłystka. Drzewicką bardzo wtedy zirytowało to rozwiązanie, ale nie miała wpływu na losy Rusnaczkę. Mleko się wylało. Nie była w stanie pomóc już w żaden inny sposób. I właściwie gdyby nie skąpe doniesienia Paraski, nie wiedziałyby w ogóle, co dzieje się z biedną kobieciną.

Dlatego teraz zaskoczona była tym, że Eudokia najwyraźniej usiłuje ją zatrzymać.

– Prr! – wstrzymała konia.

Energicznie zeskoczyła z męskiego siodła, bowiem od lat już nie jeździła w damskim. Wyglądziła amazonkę i spojrzała wyczekująco na kobietę.

– Mogę ci jakoś pomóc? – zagadnęła.

Eudokia zaczęła bełkotać bez składu i ładu, wymachując przy tym rękami.

– Poczekaj, nie tak szybko, nic nie rozumiem – poprosiła Drzewicka-Rapacz, usiłując wsłuchać się w jej mowę. Nie rozróżniała poszczególnych słów. Nie potrafiła ocenić, czy wieśniaczka mówi do niej po rusnacku czy po polsku. Z chaotycznej wypowiedzi zdołała wyłowić tylko jeden wyraz. Łemkini ewidentnie chodziło o Nikifora.

W okolicznej społeczności już nikt nie pamiętał, jak naprawdę zwie się synek Eudokii, ponieważ matka zawsze nazywała go Nikiforem. Imię to oznaczało „niosącego zwycięstwo”. Według tego, co wiedziała Aurelia, również do szkoły chłopiec uczęszczał pod takim mianem. Dowiedziała się o tym tylko dlatego, że syn Dymitra, Anton, chodził z nim do jednej klasy w szkole trywialnej\*\*\*\*\*.

– Czy Nikifor zachorował? – usiłowała dociec.

Być może kobieta zatrzymała ją w nadziei, że otrzyma jakiś datek na lekarstwa albo jedzenie dla synka. Wszyscy wiedzieli, że biedaczka ledwo wiąże koniec z końcem i obydwójce z chłopcem często chodzą głodni. Eudokia jednak nie zniżała się do żebrania. Ciężko pracowała na to, by wyżywić siebie i dziecko. Ale być może tym razem zabrakło jej pieniędzy i postanowiła posunąć się do najbardziej przykrego sposobu pozyskania funduszy.

Eudokia zniecierpliwiła się tym, że Aurelia nie rozumie, co się do niej mówi. Powtarzała w kółko, że podopieczny Aurelii, Stanisław, pobił jej synka. I że nie było to po raz pierwszy. Że Aurelia powinna natrzeć uszu temu smarkaczowi i pouczyć go, że nie wolno się pastwić nad słabszymi. To żaden honor dla chłopaków, gdy całą zgrają napadają na młodszego od siebie. Nawet jeśli Nikifor jest dużo drobniejszy i słabszy od Staszka, to wcale nie oznacza, że jest kimś gorszym, o nie!



W odczuciu Eudokii Nikifor stał ponad tym chuliganem. Był grzeczny, cichy, potulny i prześlicznie rysował. Kiedyś zostanie prawdziwym artystą! A podopieczny Aurelii, jeśli się nie poprawi, na pewno skończy w więzieniu.

To wszystko usiłowała powiedzieć, coraz mocniej irytując się tym, że nie potrafi wyraźnie mówić.

Ta głupia baba oczywiście błędnie odebrała jej wypowiedź. Przecież Eudokia nie oczekiwała od niej żadnego datku. Od nikogo nie potrzebowała łaski, domagała się jedynie sprawiedliwości dla swego dziecka. Kiedy Aurelia wyciągnęła do niej dłoń z monetami, które chwilę wcześniej wysupłała z torebki przymocowanej do paska, odruchowo je przyjęła, ale tylko po to, by po chwili rzucić nimi w Aurelię.

Nie znosiła tej przemądrzałej paniusi! Nie od dziś uważała, że Aurelia zadziera nosa. Na pewno uważała się za kogoś lepszego, bo weszła pomiędzy bogaczy. Ale Eudokia nie chciała jej pieniędzy. Pragnęła tylko, by Stanisław zostawił w spokoju jej synka.

Rozeźlona brakiem zrozumienia, okręciła się na pięcie i odeszła.

Drzewicka-Rapacz przez chwilę spoglądała ze zdumieniem na oddalającą się kobietę.

– O co jej chodziło? – zdziwiła się bezgranicznie. – Chyba już całkiem pokręciło jej się w głowie.

W gruncie rzeczy żal jej było Rusnaczkii.

Zdruzgotana Eudokia oddalała się pospiesznie. Nie chciała, by Aurelia zobaczyła łzy spływające po jej twarzy. Pogardzała tą kobietą, być może niesłusznie. A może to była zwyczajna zazdrość, bo Aurelii wszystko ułożyło się przepięknie? Miała dobre życie. Choć wywodziła się z łemkowskiej chyży, wyszła za

mąż za bogatego pana. A kiedy on zmarł, została przy jego rodzicach. Potem szczęście dopisało jej po raz drugi i znalazła kolejnego zamożnego męża.

Eudokii nikt nigdy nie pokochał prawdziwie. Najszczerza miłość, która zaistniała w jej życiu, to ta do Nikifora. I dlatego serce pękało jej na myśl o krzywdzie rodzzonego dziecka.

Świat pełen był niesprawiedliwości!

Nie życzyła Aurelii źle, ale uważała, że Drzewicka-Rapacz powinna dostać od losu prztyczka w nos, zaznać choćby trochę niedoli, by wejść w czyjąś skórę.

# KIEDY SERCE PĘKA

\$

## Krynica

Dorośli byli strasznymi nudziarzami. Wciąż czegoś zabraniali. Lista rzeczy, których nie można było robić, wręcz rozrastała się w oczach. To zaczynało być już męczące!

Nie wolno podglądać pań w Zakładzie Kinetoterapii!

Nie wolno przedrzeźniać starozakonnych!

Nie wolno grać w piłkę na deptaku i w najbliższej okolicy!

Nie wolno deptać trawników i klombów!

Nie wolno krzyczeć, biegać i dokazywać!

Nuda. Co gorsza, wszystkie owe zakazy w czasie wakacji były przestrzegane jakby surowiej. Bo przecież nie można było wystraszyć kuracjuszy, którzy licznie przybywali do Krynicy, dając tym samym środki na utrzymanie stałym mieszkańcom uzdrowiska. Sęk w tym, że kiedy ma się dwanaście, trzynaście czy czternaście lat, trudno jest siedzieć spokojnie w jednym miejscu. Nogi wręcz podrygują, a palce świerzbią, by coś zrobić.

Niedawno jeden z kolegów Stasia dostał od rodziców piłkę. To dopiero była gratka! Skórzany obiekt pożądania chyba wszystkich okolicznych chłopaków! Oczywiście nie wolno było im kopać piłki w ogrodzie rodziców Michała, bo podczas tej zabawy niszczyli rabatki, rozdeptywali pędy roślin i strącali owoce z krzaków. Brakowało im miejsca, gdzie mogliby dokazywać do woli, ponieważ każdą atrakcyjną przestrzeń anektowali kuracjusze oraz ich dzieci.

– Ech... do kitu! – zżymali się koledzy.

Pokusa była jednak silniejsza niż głos rozsądku, więc czasami toczyli swe rozgrywki na deptaku pomiędzy przechadzającymi się ludźmi. Starali się kopać delikatnie, by wyrządzać jak najmniej szkód, ale i tak zewsząd ich przeganiano. Musieli więc z zabawą przenieść się w ustronniejsze miejsce.

Pech chciał, że podczas meczu zanadto zbliżyli się do Zakładu Hydropatycznego, w którym urzędowali doktorzy Cercha oraz Ebers. Jeszcze większy pech sprawił, że kiedy Staś kopnął piłkę do jednego z chłopaków, ta, zamiast polecieć w nadanym jej kierunku, trafiła prosto w okno. Rozległ się alarmujący brzęk tłuczonej szyby. W pierwszym odruchu chłopcy chcieli uciekać. Bali się jednak, że wówczas bezpowrotnie przepadnie piłka. Michaś na pewno dostałby za to burę od rodziców, może nawet ojciec przyłożyłby mu po łapach. Skarb należało bezwzględnie odzyskać. Tylko jak tego dokonać, by nie narazić się na karę?

Nie zdążyli się nawet zastanowić, gdy w oknie budynku ukazała się surowa twarz Maksymiliana Cerchy.

Doktor, oderwany brzękiem tłuczonego szkła od wertowania pracy naukowej z zakresu balneoterapii, pogroził chłopakom pięścią. Pod pachą dzierżył piłkę.

– Przyznajcie się: który kopnął w okno mojego gabinetu? Nie macie gdzie się bawić?

– Przepraszamy, panie doktorze – bąknął przezornie właściciel piłki, jednak nie chciał wydać kolegi. – My nie chcieliśmy. To nie było specjalnie!

– Na przyszłość idźcie z zabawą gdzie indziej. A jeśli chcecie, abym zwrócił wam piłkę, niech się przyzna ten, kto strzelał. Rodzice pokryją koszt wstawienia szyby i będzie po sprawie – powiedział bardzo ugodowo doktor.

Starął się być wyrozumiały dla chłopaków. Wiedział, że zaczyna się pora letnich wakacji, więc ciągnie ich do tego, by

przyjemnie spędzać czas na zabawie. I że tak naprawdę nie za bardzo mają gdzie to robić, ponieważ wszystkie atrakcyjne miejsca okupowane są przez kuracjuszy. Dobrze pamiętał, jak sam był chłopcem. Wprawdzie było to dość dawno temu, ale mimo wszystko wspomnienia ówczesnych figli nie wywietrzały mu z głowy. Nie mógł jednak pozwolić na to, by psotnicy bezkarnie powodowali straty.

– No... Czyżby zabrakło wam cywilnej odwagi?

Spojrzał na nich wyczekująco. Chłopcy pospiesznie naradzili się między sobą. Ostatecznie jeden z nich zrobił krok w przód.

– To ja, panie doktorze. Bardzo przepraszam.

Maksymilian zmarszczył brwi. Młokos wyglądał znajomo.

– Stanisław Litwora, czyż nie? – Wolał się upewnić, nim podejmie jakieś kroki.

Młody przytaknął.

– No dobrze. Porozmawiam z twoją ciotką na ten temat. Żeby mi to było ostatni raz, nie chcę was tu więcej widzieć. Czy to jasne?

– Tak, psze pana! – wykrzyknęli chórem.

Rzucił im piłkę. Złapali ją i zmyli się pospiesznie.

Maksymilian pokręcił głową. Na szczęście nie narobili większych szkód poza wybiciem okna. W gabinecie przebywał wówczas sam, nie miał żadnych pacjentów. Odłamki szkła nikogo nie pokaleczyły. Nawet nie chciał myśleć o tym, co by było, gdyby towarzyszył mu jakiś kuracjusz. Nie miał wyjścia, musiał zamienić na ten temat parę słów z Aurelią lub Filipem. Powinni pouczyć podopiecznego, by nie pałętał się byle gdzie.

Zerknął na zegarek kieszonkowy. Następna pacjentka umówiona z nim była dopiero za półtorej godziny. Na razie miał w perspektywie przerwę obiadową. Do domu Drzewickich było stosunkowo blisko, raptem parę minut spacerem. Pomyślał więc, że od razu tam pójdzie i załatwi przykrą sprawę. Bardzo

nie lubił występować w takim charakterze, wolał więc jak najszybciej się z tym uporać. Zlecił służącej doprowadzenie gabinetu do porządku, a sam udał się z niewdzięczną misją.

W domu Pod Lipami podawano akurat posiłek. Doktor poczuł się niezręcznie, wszak powinien był to przewidzieć. Postanowił nie przeszkadzać kobietom i tylko poprosił, aby na kilka minut wywołano Filipa z jadalni.

Z ogromnym zażenowaniem wyłuszczył mężczyźnie problem, z którym przyszedł.

– Bardzo przepraszam, panie doktorze, oczywiście pokryjemy wszelkie straty. Polecę służącej, by jak najszybciej poszła do szklarza i skierowała go do pańskiego zakładu. Zaraz natrę uszu Staszкови. Dziesiątki razy powtarzaliśmy mu, gdzie nie należy się bawić. Jeszcze raz najmocniej pana przepraszam – powtórzył.

– Nie, panie Filipie, to ja przepraszam, że nachodzę państwa o takiej porze.

Filip wrócił do jadalni bardzo zdenerwowany.

– Co się stało? – zagadnęła Aurelia, widząc, że mężczyźnie drga nerwowo żuchwa.

Wiedziała, że przyszedł doktor Maksymilian, ponieważ służąca powiedziała, kto prosi Filipa o kilka słów na osobności. Z miejsca wystraszyła się, że chodzi o jakieś problemy zdrowotne. Czyżby mąż zataił przed nią wizytę u lekarza? Potrzebował konsultacji, która wypadła na tyle niekorzystnie, że Cercha wolał przyjść z tym do ich domu? Musiała to jak najprędzej wyjaśnić.

Jej uwadze zupełnie umknęło, że Stanisław spłonął rumieńcem i wbił wzrok w talerz.

– A stało się, stało! – wykrzyknął Rapacz, po czym zwrócił się do podopiecznego. – Podejź tu, młody człowieku. Do ciebie

mówię, Stanisławie, podnieś głowę. Nie udawaj, że nie słyszysz! Już ty dobrze wiesz, po co przyszedł tutaj doktor Cercha. No... Przyznaj się ciotce, co tym razem zbroiłeś – domagał się od młokosa.

Chłopiec potulnie wstał i podszedł kilka kroków. Zwiesił ramiona i zrobił żalostną minkę, wiedząc, że to zawsze działa na Aurelię.

– Bardzo przepraszam, nie chciałem narobić szkód. To nie było specjalnie.

– Co znowu nawyczyniałeś? – zdenerwowała się nie na żarty Aurelia. Stwierdziła bowiem, że skoro doktor zadał sobie osobiście trud, by tutaj przyjść i o swoim problemie powiedzieć Filipowi, a nie jej, to znaczy, że przewinienie było stosunkowo duże.

– Ale ja naprawdę nie chciałem.

– On i kilku innych gamoni urządzili sobie mecz piłki nożnej dokładnie pod oknami zakładu doktora Cerchy. Oczywiście wybili szybę.

– Czy komuś coś się stało? – zmartwiła się Felicyna.

– Na szczęście obyło się bez urazów. Doktor był sam w gabinecie i nawet on się nie pokaleczył, ale liczy się sam fakt chuligańskiego wybryku. Dziesiątki razy powtarzaliśmy Stanisławowi, że nie wolno grać w piłkę gdzie popadnie. Mało im miejsc do zabawy? Mam już tego dość! Nie będę wciąż świecił oczami za twoje wybryki! – Wyciągnął rękę i wytarosił chłopaka za ucho. – Za karę przez cały tydzień nie opuścisz domu. A żeby nie przyszło ci do głowy, aby tutaj czynić jakieś głupoty, codziennie po dwa tysiące razy napiszesz zdanie: „Nie będę więcej grał w piłkę pod oknami doktora”.

– To niesprawiedliwe! – krzyknął chłopak i tupnął nogą. – Przecież się przyznałem! Nie skłamałem, że to nie ja, i nawet przeprosiłem. Niesłusznie mnie karzesz.

– Bez dyskusji! Kara jest słuszna. I ciesz się, że tylko na tym się skończyło, bo tak naprawdę w ruch powinien pójść pas lub różga. Brak ci surowej ojcowskiej ręki.

– Tato nigdy w życiu by mnie nie zbił – burknął chłopiec. – Był najlepszym człowiekiem na świecie. Nie powinien być w ogóle umrzeć! To niesprawiedliwe! Niesprawiedliwe! – krzyczał. – Wszystko przez ten cholerny tartak!

– Stasiu, przestań, proszę. – Aurelia próbowała go uciszyć. Nie podobał jej się kierunek, w jakim zmierzała awantura.

– Nie przestanę! To przez tartak moi rodzice nie żyją. Trzeba było tam lepiej pilnować porządku, a nie myśleć o amorach. To twoja wina! Przez ciebie oni nie żyją! Byli tacy dobrzy, kochani. – Rozszlochał się rozpaczliwie.

W jadalni zapanowała nieprzyjemna cisza. Kilka par oczu wpatrywało się w chłopca, który nigdy wcześniej nie odnosił się do nikogo w równie bezczelny sposób.

– Co? – Aurelia osłupiała. Choć dziesiątki razy napominała dzieci, że nieładnie jest tak stawiać pytania, nie była w stanie wykrztusić ani słowa więcej.

– Co też ci przyszło do głowy, chłopcze?! – wykrzyknęła zbulwersowana Felicycja.

– A to, że ciotka nie powinna była wydawać się za męża! – odparł młokos.

Obserwująca go siostra z trudem zdławiła śmiech. Z jednej strony podziwiała odwagę brata w głośnym wyrażaniu osądów, które do tej pory wymieniali wyłącznie pomiędzy sobą. Z drugiej strony z przerażeniem myślała o konsekwencjach, jakie mogą stać się jego udziałem.

– Zamilcz, młody człowieku, zanim do reszty stracę cierpliwość i spuszczę ci manto, na które tak usilnie pracujesz od bardzo dawna. Jak w ogóle śmiesz mieszać się w sprawę



dorośli? – Wuj nie uważał za słuszne, by wytłumaczyć temu smarkaczowi, że z Aurelią poznali się już po katastrofie.

– Nie, nie będę milczał! Mam tego dosyć! Gdyby nie ten cholerny wypadek, ja i Teosia mieszkalibyśmy w naszym domu razem z mamą i tatą. Wzięłaś nas tutaj – spojrzał na ciotkę – po to, żeby zagłuszyć wyrzuty sumienia!

– Dosyć tego! Powiedziałeś zdecydowanie za dużo! W tej chwili marsz do swego pokoju. Do wieczoru nie wyjdiesz nawet na krok. O podwieczorku możesz zapomnieć. A na kolację dostaniesz tylko kromkę chleba i wodę!

W jadalni ponownie zapadła nieprzyjemna cisza. Chłopiec opuścił pomieszczenie. Aurelia przygryzła usta, po jej twarzy płynęły łzy. Czuła się tak, jakby dostała cios pięścią w brzuch.

– Pozwól, Filipie – zwróciła się do męża zdławionym głosem. Nie chciała, aby ich rozmowie przysłuchiwała się Teodozja. Panienska już i tak usłyszała zdecydowanie za dużo.

Małżonkowie weszli do gabinetu.

– Potraktowałeś go nader surowo – zauważyła smutnym głosem. – Nie kwestionuję słuszności kary, ale głodzenie dziecka?

– To nie jest głodzenie, Staszek dostanie posiłek, tylko że skromny. Może to go czegoś nauczy? Jesteś dla niego zdecydowanie zbyt wyrozumiała, Aurelio! Chłopak zaczyna pyskować i coraz częściej staje okoniem.

Kobieta zwiesiła bezradnie ramiona.

– Nie pojmuję, skąd mu przyszło do głowy to, co powiedział o nas i o tartaku.

– Ja też nie wiem. Przypuszczam jednak, że to jakieś złe podszepty. Albo usłyszał czyjąś rozmowę, kilka zdań wyrwanych z kontekstu... Przecież niemożliwe, by samodzielnie pokojarzył takie fakty! Poznaliśmy się ładnych

parę lat temu, to prawda. Ale to było już po śmierci jego rodziców. Zresztą o czym mowa? On nie ma prawa nikogo obarczać winą!

Aurelia westchnęła ciężko. Mąż nie znał szczegółów tamtego fatalnego przedpołudnia. Nigdy o tym nikomu nie opowiadała. Sekret powierzyła wyłącznie Ksaweremu. Czemu więc Stasiowi przyszło do głowy, aby to ją i tartak obarczyć winą za śmierć Litworów? Chłopiec nie miał wówczas prawa słyszeć, jak rozmawiała z przybranym ojcem. Ponadto był zbyt mały, by ewentualnie cokolwiek zrozumieć.

A może usłyszał to wtedy ktoś ze służby i powtórzył niefrasobliwie Staszкови?

To było jedyne logiczne wytłumaczenie.

Teraz rozumiała, czemu Staś wciąż żywi do niej tyle pretensji i jest okropnie niesfornym dzieckiem. Zapewne w ten sposób próbował karać ją za to, że została sierotą. Ale przecież to nie była jej wina! To Dionizy chciał zabić ją i Emilię! Cud, że nie zdołał tego dokonać! Sama omal nie stała się ofiarą jego niecznych czynów!

Momentalnie wróciły jej przed oczy przerażające obrazy z tamtego dnia.

– Och, Filipie, gdybyś tylko wiedział... – wyłkała.

– Co takiego? – zdziwił się mąż.

Pokręciła głową, nie miała sił na to, by mu cokolwiek tłumaczyć. Od razu pożałowała słów, które nieopatrznie rzuciła. Doszła do wniosku, że musi tę sprawę dalej trzymać w sekrecie nawet przed ślubnym. Nie potrafiła przewidzieć, jak Filip zareagowałby na wieść o tym, że ojciec Teodozji i Stasia nastawał na jej życie. I że jej pierwszy mąż zginął właśnie przez Litworów. Zapewne nie potrafiłby zrozumieć wielkoduszności, jaką się wykazała, przygarniając sieroty pod swój dach. Może nawet zechciałby odprawić dzieciaki do Klary albo do

prztyłku. Nie mogła na to pozwolić, wszak obiecała umierającej kobiecie, że zastąpi im ojca i matkę.

– Nic, nic. Po prostu źle się spisuję w roli opiekunki. Przerosło mnie to wszystko – wyszłochała, podminowana. – Nie chcę być dla nich zbyt surowa, bo dość w życiu przeszli. Wiesz, jak straszną gorycz musi nosić Stanisław w sercu, skoro obwinia mnie o śmierć swych rodziców?

– Kochana moja – przemówił łagodnym głosem, tuląc żonę do siebie – nie masz racji, Nie możesz patrzeć na problem w ten sposób. Na twoim miejscu zastanowiłbym się raczej, skąd w dziecku aż tyle jadu? I czemu zajmują go sprawy, które dotyczą wyłącznie dorosłych? To skandal! – zirytował się Filip. – Wybacz, może nie powinienem się w to aż tak mocno angażować, ale nie mogę znieść tej sytuacji. Jesteś zdecydowanie zbyt pobłażliwa. Nie doszłoby do tego wszystkiego, gdybyś krócej trzymała Staszka i Teodozję. To, co Staś powiedział, było niedopuszczalne. Takie słowa w ogóle nie powinny padać z ust młodego człowieka. Nie – poprawił się szybko – nie powinny padać z niczyich ust. To był stek bzdur i oszczerstw! Przestań go bronić – dodał, wyczuwając, że żona zamierza protestować. – Uważam, że temu chłopakowi należy się znacznie większa dyscyplina.

– Nie! Filipie, nie możemy go tak srogo karać. To nie jest jego wina, to jeszcze dzieciak. Nie rozumie, co się dzieje wokół niego. Wie tyle, że jego rodzice zginęli w Słotwinach, ponieważ doszło do wypadku. Tartak jest moją własnością. Nic więc dziwnego, że to na mnie przenosi swój gniew.

– Aurelio, opamiętaj się! On ci zarzucił, że przygarnęłaś go pod swój dach z poczucia winy. Rozumiesz?

– Tak, doskonale to rozumiem. Jakkolwiek dziwnie by to zabrzmiało, Staś ma prawo tak uważać, ponieważ nie zna wszystkich faktów.

– A jakie są fakty? – zapytał mocno zirytowany Filip.

– Fakty są takie, że do katastrofy doszło na skutek zaniedbania Dionizego – odparła wymijająco. Wstyd jej było za kłamstwo, które właśnie wypowiedziała. – To zrozumiałe, że nie mogłam dziecku wyznać całej prawdy.

– Zachowywanie tajemnicy niczemu nie służy. Ja na twoim miejscu nie ukrywałbym przed nim istotnych spraw.

– To mogłoby złamać mu serce. Przecież wiesz, z jakim szacunkiem zawsze wyraża się o swoich rodzicach. Nie mogę w oczach Stasia burzyć ich pozytywnego wizerunku. Wyrządziłabym mu krzywdę.

– Zatajając prawdę, krzywdzisz samą siebie, stajesz się kozłem ofiarnym. Stach zawsze będzie miał do ciebie pretensje.

– Porozmawiam z nim o tym, gdy dorośnie.

– Wtedy będzie zdecydowanie za późno. Stanisław będzie tak zacieurzewiony w swym gniewie, że uzna twe słowa za tanią wymówkę. Powie, że wymyśliłaś na poczekaniu kłamstewko, by oczernić jego rodziców i bronić swego wizerunku.

Kobieta westchnęła ciężko i ukryła twarz w dłoniach. Żałowała, że nie może wyznać nikomu prawdy. Być może gdyby zrzuciła ten balast ze swych ramion, poczułaby się lepiej.

– No dobrze, czas na mnie. Obowiązki wzywają, muszę wracać na budowę, by dopilnować robotników – oznajmił mężczyzna po chwili.

– Nie dokończysz obiadu?

– Straciłem apetyt – przyznał.

Razem ruszyli w stronę drzwi wejściowych. Filip sięgnął po słomkową panamę. Widać było, że wciąż wrze w nim gniew na podopiecznego.

– Dopilnuj, proszę, by sprawa wybitej szyby została należycie załatwiona, żeby nie było wstydu przed doktorem –

przypomniał, gdy stanął na moment przy bocznym wyjściu, gdzie po przyjeździe z Czarnego Potoku uwiązał wierzchowca.

– Oczywiście.

– Do zobaczenia później – powiedział, całując żonę na odchodnym w policzek.

Stary ogier zdążył już napić się i najeść. Mężczyzna pogładził go po karku. Żałował, że ma tak dużo pracy i musi jechać na budowę nowych budynków gospodarczych na zlecenie pani Bieniaszewskiej\*\*\*\*\*. Mieli jednak już spore opóźnienie w robocie, więc teraz liczyła się każda godzina. Wiedział, że Aurelia byłaby na niego wściekła, dlatego nie przyznawał się, że wraz z robotnikami wchodzi na rusztowania i pomaga we wznoszeniu zabudowań.

Być może właśnie ten pośpiech na budowie był przyczyną rozdrażnienia Filipa, i stąd tak gniewna reakcja na wybitą szybę u doktora Maksymiliana. W innych okolicznościach Rapacz byłby zapewne bardziej wyrozumiały.

Poniewczasie, pędząc konno, wyrzucał sobie, że nie powinien był przenosić swojego zdenerwowania na dziecko. Z jednej strony było mu wstyd, że odreagował swój stres na Stasiu. Ale z drugiej strony zaskoczyła go gwałtowność reakcji chłopaka. Tego natomiast nie mógł puścić płazem.

*Mamy poważny problem – rozmyślał. – Sytuacja zaczyna wymykać się spod kontroli. To niedopuszczalne, by szczeniak tak pyskował do ciotki, która, de facto, zastępuje mu matkę. Trzeba to jakoś ukrócić! I przede wszystkim wybić mu z głowy ten tok rozumowania. Nie pozwolę, by obwiniał Aurelię o śmierć swoich rodziców. Już ja sobie z nim porozmawiam! Niech no tylko wróć do domu!*

W rzeczy samej zamierzał odbyć z młokosem poważną pogadankę. Liczył na to, że kilka godzin spędzonych na budowie pozwoli mu ochłonąć na tyle, by nie rozszarpać

chłystka gołymi rękami. W przeciwieństwie do żony nie litował się nad dziećmi. Uważał, że minęło wystarczająco dużo czasu, by opłakały swoich rodziców i pogodziły się z ich utratą. Zresztą w czasie, kiedy zginęli Litworowie, Staś i Teosia liczyli po kilka lat. Niewiele rozumieli z tego, co się wokół nich dzieje. Zapewne nawet nie pamiętali zbyt dobrze swych rodziców i dlatego ich gloryfikowali. Dawno temu Rapacz miał kilkakrotnie do czynienia z Dionizym na gruncie towarzyskim i prawdę mówiąc, nie darzył go szczególną sympatią. Uważał Litworę za bufona.

Nie pojmował ogromu niewdzięczności ze strony Stanisława. W jego odczuciu Aurelia była wspaniałą opiekunką: czułą, delikatną, niewymagającą od dzieci zbyt wiele. Zamiast podnosić głos, gdy postąpili źle, łagodnie tłumaczyła im, czego nie należy czynić. Nigdy nie stosowała wobec nich kar cielesnych. Hojną ręką płaciła za stroje i zabawki. Zatrudniła dla Stasia osobnego guwernera o naprawdę świetnych referencjach. Taki człowiek z powodzeniem mógłby znaleźć pracę w arystokratycznej rodzinie. Wiadomo było z góry, że ślubna sfinansuje studia Stanisława. A na odrębnym rachunku bankowym już teraz odłożona była znaczna kwota, która miała w przyszłości stanowić posag dla Teodozji.

Filip wiedział, że Aurelia stara się jednakowo dobrze traktować zarówno własnych potomków, jak i podopiecznych. Na zabawach i rozmowie z nimi spędzała więcej czasu niż niejedna matka. Pod opieką bony zostawiała ich wyłącznie wtedy, gdy wybierała się do Słotwin lub uczestniczyła w tych wydarzeniach towarzyskich, które są niedostępne dla dzieci. Tak więc w odczuciu Rapacza Stanisław zdecydowanie nie miał prawa żywić do niej jakichkolwiek pretensji.

Jego gniew na chłopaka całkowicie zmienił charakter. O ile w pierwszej chwili rzeczywiście mocno wytrąciła go z równowagi

wybita szyba, to teraz cała złość skupiała się wokół braku szacunku wobec Aurelii.

Zdruzgotana Aurelia nie miała sił na powrót do jadalni. Po nieprzyjemnej scenie z udziałem Stasia czuła się fatalnie. Zawiodła na całej linii i nie sprawdziła się w roli, którą wyznaczyła dla niej Litworowa. Ale, na litość boską! Ona wcale o to nie prosiła! Nie chciała być na siłę uszczęśliwiana cudzymi dziećmi! Cokolwiek chodziło wówczas po głowie umierającej kobiecie, swą prośbą uczyniła więcej szkód niż pożytku.

Każdego dnia od chwili, gdy prawda o śmierci Jana została ujawniona, Aurelii pękało serce. Chociaż nie można było stanowczo uznać, że mąż zmarł na skutek wypadku spowodowanego przez Litworów, istniało spore prawdopodobieństwo, że to oni odpowiadali za jego zgon. Być może żyłby do tej pory, gdyby nie uderzył się w głowę. Trudno było to rozstrzygnąć. Nawet doktor sprawujący pieczę nad umierającym nie był w stanie jednoznacznie stwierdzić, czy upadek z konia przyspieszył tylko postępowanie rozwijającej się już wcześniej choroby, czy wręcz ją spowodował.

Niełatwo było oddzielać niechęć i głęboki żal do Emilii oraz Dionizego od uczuć do ich dzieci. Starła się nie przenosić na niewinne istoty swej frustracji, ale było to nader trudne zadanie, gdy każdego dnia spoglądała na potomków morderców. Wszak Litworowie czyhali również na jej życie i uknuli zbrodniczy plan, który tylko cudem nie wypalił.

To wszystko potwornie bolało!

Drzewicka-Rapacz, nie próbując pohamować łez, pobiegła na oślep do swego pokoju. Po drodze potrąciła Rózię i nawet jej nie przeprosiła, co uczyniłaby w każdym innym przypadku. Skołowana jej dziwnym zachowaniem służąca stała przez

chwilę z otwartymi ustami. Nie wiedziała o awanturze przy stole, choć do pokoi znajdujących się na piętrze, które właśnie wtedy sprzątała, dobiegał pogłos jakiejś głośnej wymiany zdań.

Ktoś skrzywdził jej ukochaną panią, olśniło ją w pewnej chwili. Zbiegła schodami na parter tak szybko, jak pozwalały na to jej obfite kształty, i podeszła pod drzwi jadalni. Tam niemalże zderzyła się z *madame* Drzewicką. Bąknęła przeprosiny, lecz Felicjta machnęła tylko ręką. Wyglądała na zaaferowaną, podobnie jak guwerner Stasia i panna Apolonia, która nadal uczyła panienkę Teodozję. Rózia dobrze wiedziała, że z Zenobiusza nie wyciśnie ani słowa – mężczyzna co do zasady nie plotkował ze służbą, stawiając się znacznie wyżej w hierarchii domowej. Apolonia natomiast pręcej przejawiała skłonności do wdawania się w niedyskretne rozmówki. Rózia dała jej więc znak, by na moment zajrzała do pomieszczeń służbowych.

– Co się stało? – zagadnęła szeptem, widząc zmieszanie na twarzy nauczycielki.

Apolonia, rozglądając się uważnie, czy nikt nie podsłuchuje, streściła przebieg awantury. Służąca załamała rękę.

– A to dopiero! – sapnęła przejęta. – Co za hultaj z panicza! To ja dla niego podbierałam Petroneli konfitury, a on okazał się takim niewdzięcznikiem? Toć panience Aurelii pewnie serce pękło, gdy usłyszała takie niegodziwości z ust wychowanka. Przecież ona przyhołubiła dzieciaki po pani Emilii jak własne, choć Emilia nie szczędziła naszej *madame* przykrości i nawet chciała ją stąd wysiudać – paplała, a po jej pulchnym obliczu toczyły się łzy. Rozalka wciąż określała Aurelię mianem panienki, choć ta była już dwukrotnie zamężna i dochowała się dwójki potomków.

Nie mogła wprost uwierzyć, że Staś, uroczy łobuziak, który zawsze potrafił się przymilić o słoiczek konfitur, postąpił podle



w stosunku do kogoś, komu zawdzięczał tak wiele!

*Już ja mu dam łakocie!* – pomstowała w duchu.

Przygnębiona Felicycya pomyślała, że zamiast na spacer po ogrodzie pójdzie do swej sypialni, by trochę ochłonać. Zwykle po obiedzie urządzała sobie małą przechadzkę, tak swego czasu zalecił jej doktor Skórczewski, gdy poskarżyła mu się na krępujące dolegliwości żołądkowe. Lekarz zasugerował, że to powinno pobudzić jelita do lepszego trawienia pokarmów. Fuij! Cała ta anatomia była jakaś taka okropnie nieromantyczna! Ale jakiego romantyzmu mogła jeszcze oczekiwać leciwa wdowa?

Awantura w jadalni sprawiła Felicycie okropną przykrość.

*Powinnam natrzeć uszu Stasiowi za rażący przejaw braku szacunku względem opiekunów.* – Kobieta westchnęła ciężko.

Zazwyczaj nie wtrącała się w metody wychowawcze Aurelii, sama zresztą pobłażała chłopcu w wielu kwestiach. Uważała go za uroczonego, choć trochę niesforne młodzieniaszka, który zapewne wyrośnie na prawdziwego pożeracza damskich serc. Jednak o ile na wszystkie wcześniejsze psoty i chwile niesubordynacji można było spoglądać przez palce, to słowa, które wykrzyczał z wielką zaciekłością, były na wskroś okrutne, niesprawiedliwe i w ogóle nie miały prawa paść z ust dziecka! Nie można było tego zostawić ot tak.

*Dobry Bóg dał mi dość zdrowia i sił, abym wciąż mogła wspierać Aurelię. Obiecałam, że będę jej pomagała w wychowywaniu dzieci i słowa dotrzymam* – stwierdziła.

Nie zamierzała umywać rąk w tej sprawie.

Zamiast więc udać się na upragnioną drzemkę, skręciła w przeciwną stronę korytarza, tam gdzie znajdowały się pomieszczenia przeznaczone dla dzieci. Pomiedzy jej pokojami a sypialniami należącymi do dziatwy, bony oraz nauczycieli mieścił się apartament małżeński Rapaczów. Mimo że drzwi

były zamknięte, usłyszała dobiegające stamtąd stłumione szlochanie. Od razu się domyśliła, że to Aurelia daje upust smutkowi. Nie wiedzieć czemu niesłusznie założyła, że zarówno ona, jak i Filip rozjechali się do swoich spraw. Jedno do Słotwin, a drugie na budowę.

Rozmowa ze Stasiem od razu zeszła na dalszy plan. Najpierw Felicyna musiała pocieszyć córkę. Energicznie zastukała, odczekała chwilę na zaproszenie, a następnie weszła do sypialni.

Aurelia siedziała na szeszlunku, wspierając łokieć o oparcie. Zapewne chwilę wcześniej płakała z czołem opartym o rękę. Na jej policzkach wciąż lśniły łzy.

– Córuchno moja, nie rozpaczaj! – wykrzyknęła na jej widok Felicyna. – Nie można aż tak mocno brać sobie do serca głupot, które padły z dziecięcych ust. Staszek nie wiedział chyba, co mówi!

Aurelia spojrzała jej w oczy. Na jej twarzy malował się ogromny ból.

– Och... Mateczko, wiesz równie dobrze jak ja, że mówił to, co go dręczy.

– O nie! Moja droga! Dzieci nie powinny mieć takich myśli. Jeżeli rzeczywiście Staś tak uważa, należy z nim odbyć poważną rozmowę i wytłumaczyć mu, że jest w błędzie. Zrobiłaś dla sierot wspaniałą rzecz. Przygarnęłaś je w chwili niedoli. Przecież równie dobrze mogła zająć się nimi Klara.

– Ale takie było życzenie Emilii. Czuję, że zawiodłam. Powinnam była wkładać więcej uczuć w wychowanie Stanisława i Teodozji.

– Co ty wygadujesz, Aurelio? – Felicyna załamała ręce. Usiadła na szeszlunku obok córki. Przygarnęła ją ramieniem, przytuliła policzki do jej włosów. – Moja maleńka. Wiem, jak było ci trudno. Z dnia na dzień musiałaś zająć się dwójką nie swoich

dzieci, choć cierpiałaś z powodu braku własnych pociech. Obserwowałam cię przez cały ten czas i widziałam, jak wspaniale potrafisz się odnaleźć w tej skomplikowanej sytuacji. Otworzyłaś dla nich serce. A oni odpłacają ci złą monetą, przynajmniej Staś. Chociaż kiedy głębiej się zastanowić, to i do Teosi miałabym w tym momencie parę zastrzeżeń. Ona także zaczyna robić się krnąbrna. Być może bierze przykład z młodszego brata. Nie pojmuję, co temu chłopakowi strzeliło do głowy. Słusznie Filip nałożył na niego surową karę.

– Czuję się winna. – Aurelia ciężko westchnęła.

– Naprawdę nie powinnaś. W moim odczuciu nie masz sobie nic do zarzucenia. To Stasiowi uroiło się coś głupiego.

Aurelia ukryła twarz w dłoniach. Żałowała, że nie może być szczerą ze swą przybraną matką. Chętnie zwierzyłaby jej się z bólu rozdzierającego duszę. Powiedziałyby o tym, dlaczego czasami tak trudno było jej się przełamać, aby naprawdę pokochać te dzieci i zajmować się nimi jeszcze lepiej. Że ilekroć spoglądała w oczy Stasia czy Teosi, widziała w nich odbicie Dionizego i Emilii, przypominając sobie w efekcie o dramatycznych okolicznościach śmierci pierwszego męża. Że mimo usilnych starań nie potrafiła zapomnieć o tym, że tamtego dnia w tartaku sama nieomal straciła życie.

Wciąż jednak uważała, że wiąże ją obietnica złożona Ksaweremu. Nie chciała kolejny raz łamać serca matce. Kobiecie będącej w tym wieku nie należy rozdzierać ran, przypominać o śmierci jedyne go syna, odbierać złudzeń co do chrześnicy. Aurelia samodzielnie musiała dźwigać ciężar na swoich barkach.

Nagle naszła ją bardzo przygnębiająca myśl, że w rzeczywistości powierzenie jej przez Emilię opieki nad dziećmi było jeszcze jedną złośliwością. Być może zachowanie „kuzynki” nacechowane było perfidią. Chciała każdego dnia

karąć Aurelię za to, że pozbawiła ją dziedzictwa. Zapewne nigdy nie wyzbyła się pretensji o to, że Aurelia zajęła w życiu Drzewickich tak znaczące miejsce. Być może gdyby nie uznali jej za córkę, Emilia zostałaby ich spadkobierczynią. To ona zamieszkałaby z mężem oraz dziećmi w domu Pod Lipami.

Może wówczas nie doszłoby do tego potwornego wydarzenia w tartaku?

Czy to możliwe, że Dionizym i Emilią kierowały aż tak dalece posunięta chciwość oraz nienawiść?

Bała się roztrząsać dalej tę myśl. Musiała jednak przyznać przed samą sobą, że zajmowanie się młodymi Litworami nie należało do łatwych zadań. A nieprzenoszenie na nich niechęci żywionej do rodziców stanowiło prawdziwe wyzwanie.

Czy po ostatniej awanturze ze Stasiem zdoła jeszcze kiedykolwiek się przełamać i okazać życzliwość chłopcu?

A może właśnie przełamała się czara gorzycy?

Nie pojmowała, jak drobiazg w postaci rozbitej szyby mógł eskalować do tak nieprzyjemnej wymiany zdań. Przecież chodziło tylko o szybę! O bzdurę, która jest łatwa do naprawienia. Nie miała pretensji do Maksymiliana, że przyszedł ze skargą na chłopca. Zdawała sobie bowiem sprawę z tego, że doktor i tak bardzo długo okazywał anielską wręcz cierpliwość. Problem gry w piłkę w tamtym miejscu istniał przecież już od dość dawna.

Skoro więc nie mogła zwierzyć się matce, musiała zacisnąć zęby i dalej stwarzać pozory osoby, która radzi sobie ze wszystkim.

*No dalej, Aurelio – dopingowała samą siebie w duchu. – Przecież nie jesteś omdlewającą panienczką. Wychowywałaś się jako prosta chłopska córka, odporna na różne przeciwności losu. Nie pozwól, by złamało cię kilka krzywdzących słów wypowiedzianych przez nieświadome sytuacji dziecko.*

Wyprostowała plecy, otarła dłonią łzy spływające po twarzy.

– Dziękuję, mateczko, że tak bardzo wspierasz mnie na każdym kroku i że wciąż we mnie wierzysz. Wybacz mi tę chwilę słabości.

– Moja maleńka, a czemuż ty mnie prosisz o wybaczenie? Któż lepiej rozumie cię ode mnie? Wiem, że jest ci niełatwo. Bądź jednak pewna, że póki żyję i póki starczy mi sił, zawsze będę ci pomocna. Każdego dnia wnosisz w moje życie radość i szczęście. Decyzja, aby uznać cię za córkę, była najlepszym, co mogliśmy z Ksawerym uczynić. Tamten dzień całkowicie odmienił nasze życie i sprawił, że dom Pod Lipami na nowo ożył. A później jeszcze zapełnił się ludźmi i gwarem. Owszem, jak każda rodzina miewamy trudne chwile. Nikt nie jest wolny od trosk, zapamiętaj to na całe życie. Nikomu los nie oszczędza zgryzot, a my, dzięki Bogu, nie miewamy ich aż tak wiele, jak mogłoby się wydawać. Jan i Ksawery odeszli, zostawiając po sobie ogromny ból. Ale poza ich utratą dobry Bóg oszczędzał nam wielu innych cierpień: chorób, biedy, głodu. Nie poddawaj się, dziecko. Wspólnymi siłami będziemy wpływać na Stasia, by zmienił swój sposób myślenia. A jeśli odczuwasz żal do Filipa, że tak ostro zareagował na jego wybryk, wybacz mężowi. Chciał dobrze.

– Dziękuję, mateczko. Pójdę porozmawiać ze Stasiem. Oczywiście nie mogę zostawić bez echa tego, co zaszło. Mam wrażenie, że chłopak jest strasznie pogubiony. Jesienią czeka go wyjazd do szkoły w Tarnowie. Być może trochę obawia się pozostawienia za sobą domu, w którym mieszkał przez ładnych parę lat. Może nie chce się rozstawać z Teosią? Może właśnie w ten sposób akcentuje swoją obawę przed tym, co przyniesie mu przyszłość? Nie wie, co go czeka w mieście. Filip trochę nastraszył Stasia mieszkaniem na stacji. Być może chłopak traktuje to jak karę za wszystkie dotychczasowe psoty. Przecież

to tylko dziecko! Dzieci mają czyste serca, nieskażone nienawiścią. Nawet jeśli ma już posiane w nim złe ziarno, nie mogą dopuścić do tego, by wykiełkowało i zapuściło korzenie.

Aurelia z ulgą opuściła pokój Stanisława. Chłopiec okazał skruchę i przeprosił za niegodziwe zachowanie. Starła się wierzyć w jego szczerłość. Nie mogła przecież mierzyć go tą samą miarą co Dionizego. Mimo wszystko uczucie zdenerwowania nie opuszczało kobiety. Odczuwała je dość boleśnie w żołądku.

Postanowiła, że nie pojedzie już do Słotwin, choć w pierwotnym zamiśle miała wrócić tam po obiedzie. Uznała jednak, że spędzi czas w domu z dziećmi. Tego dnia nie spodziewała się żadnych wizyt, więc zabrała Lucjana i Beatkę do salonu. W przestronnym pomieszczeniu zastała Felicytę oraz Teosię. Starsza pani haftowała coś pracowicie, usiłując zapanować nad drżeniem dłoni. Panienka czytała na głos książkę, być może chciała w ten sposób umilić czas im obu.

Aurelia z córką w ramionach podeszła do okna. Spojrzała na ogród skąpany w słonecznym blasku.

– Może powinniśmy wyjść na zewnątrz? – zagadnęła. – Dzień taki piękny, szkoda siedzieć w bawialni.

Nie zdążyła jednak wprowadzić swoich słów w czyn, gdyż od strony korytarza dobiegły jakieś krzyki i tupot.

– A cóż to za hałasy? – zdenerwowała się, ponieważ miała już serdecznie dość wrzasków na jeden dzień. Wcisnęła Beatkę w ręce Apolonii, a sama ruszyła, by uciszyć intruza. Nie udało jej się jednak nic zrobić, bowiem w drzwiach stanęła Rozalka.

– Bardzo panią przepraszam – zaczęła z niepewną miną. – Przyjechał umyślny z Czarnego Potoku. Ma pilne wieści dla pani.

Aurelia zamarła. Przecież w Czarnym Potoku robotnicy zatrudniani przez Filipa i Makarego wykonywali ważne zlecenie. Wątpiła, by posłaniec od Wandy Bieniaszewskiej przyjechał z jakąś fraszką, musiało chodzić o męża. Spojrzała wyczekująco na mężczyznę. Sama bała się powiedzieć choćby słowo, ponieważ naszło ją przerażające przeczucie.

– Przynoszę złą nowinę, psze pani – wysapał przejęty swą misją robotnik.

Z gardła kobiety wydobył się krzyk rozpacz. Padła zemdlona na dywan, zanim goniec dokończył. Felicjta rzuciła kanwę i przypadła do nieprzytomnej córki, by podnieść ją z podłogi. Służąca oraz Teodozja ruszyły z pomocą. Ostrożnie ułożyły Aurelię na kanapie. Apolonia z Beatką na ręce ujęła dłoń Lucjana i zabrała dzieci z salonu.

– Rozalko, przynieś w tej chwili sole trzeźwiące! – krzyknęła Drzewicka tak głośno, że słyhać ją było zapewne w całej willi. Następnie odwróciła się do przybysza. – Mów, co się stało? – poleciła tonem nieznoszącym sprzeciwu, darując sobie jakiegokolwiek grzeczności.

– Pan Filip spadł z rusztowania.

– Matko Boska! Jakże to? Co on robił na rusztowaniu?

Mężczyzna pobladł. Nie wiedział, czy powinien mówić całą prawdę, ponieważ pan Makary kategorycznie zabronił mu wspomnienia, że obydwaj z Filipem każdego dnia zdejmowali surduty, zakasywali rękawy i pracowali pospołu z budowlańcami.

– Chciał sprawdzić postęp i dokładność wykonywanych prac. Nastąpił jakoś tak niefortunnie na deskę, że poleciał w dół.

– Żyje? – zapytała zdruzgotana kobieta.

– Kiedy mnie tu wysyłali, dychał jeszcze, ale był nieprzytomny. Na pewno ma złamaną rękę i nogę. A co więcej mu dolega, tego

nie wiem. Nim żem tu dotarł, byłem u doktora Ebersa. Lekarz już jedzie do Czarnego Potoku.

– Dobrześ zrobił, człowiecze, żeś najpierw powiadomił lekarza – pochwaliła go Felicyna. – Rozalko, niech natychmiast zaprzęgają do bryczki! – wydała polecenie służce, która właśnie podsuwała Aurelii pod nos sole trzeźwiące. Felicyna odebrała od niej flakonik i skupiła uwagę na cuceniu córki.

Aurelia była blada jak śmierć, gdy w końcu podniosła powieki.

– Co się stało? Co z Filipem?! – wykrzyknęła. W jej głosie słychać było wielką rozpacz.

– Spokojnie, córeczko, spokojnie. On żyje – zapewniła ją Felicyna, choć nie mogła zaręczyć, że nie mówi tego na wyrost. – Twój mąż spadł z rusztowania i trochę się potłukł. Doktor Ebers pojechał do niego. Już zaprzęgają do bryczki, my też zaraz tam wyruszamy. Pewnie trzeba będzie biedaka tutaj przewieźć. Umyślny mówił, że ma złamaną rękę i nogę – tłumaczyła, zaklinając jednocześnie w duchu rzeczywistość, by jej słowa okazały się prawdą.

Aurelia rozszlochała się rozpaczliwie. Ogarnął ją paraliżujący strach, że może stracić również drugiego męża.



# KONFRONTACJE

## \$

### Krynica

Chciał tego czy nie, Filip musiał przyznać przed żoną, że właściwie miał więcej szczęścia niż rozumu, ponieważ spadając z rusztowania, złamał sobie tylko nogę i rękę. Taki upadek mógł skończyć się dużo gorszymi konsekwencjami. Nie przetrącił kręgosłupa. Nie połamano żeber czy miednicy. A wreszcie nie uderzył się w głowę. Zdenerwowana połowica upewniała się o tym kilka razy. Uprosiła doktora, aby zbadał męża wyjątkowo dokładnie: osłuchał, opukał, obejrzał każdy kawałek ciała. A gdy już wiedziała, że Filipowi nie doskwiera nic więcej ponad dwie złamane kończyny oraz kilka stłuczeń, nie omieszkała czynić mu z tego powodu wyrzutów.

– Filipie! Na litość boską! Gdy jechaliśmy do Czarnego Potoku, odchodziłam od zmysłów, że poturbowałeś się dużo mocniej albo wręcz że zginąłeś. Czyś ty rozum postradał? Tyle razy cię prosiłam, abyś nie wchodził na rusztowania! Od czego masz pracowników? Wdowę mnie chcesz zostawić? Osierocić dzieci?

– Przepraszam, kochana, powinienem być ostrożniejszy.

– Ostrożniejszy? Po jakiego diabła cię tam poniosło? – zżymała się połowica, nie przebierając w słowach. – Przyznaj, że pomagałeś robotnikom!

Skruszony mężczyzna przytaknął, co pociągnęło za sobą kolejną lawinę wymówek.

– Na co ci to było? – zapytała Aurelia kilka minut później, gdy już dała upust wściekłości.

– Goni nas termin.

– I co z tego? Dziura w niebie się nie zrobi, gdy pani Bieniaszewska poczeka na swoje budynki gospodarcze odrobinę dłużej!

– Tak, ale prócz tej budowy mamy zleczone jeszcze kilka innych inwestycji.

– Zawsze możesz z którejś z nich zrezygnować! Nie musisz dorabiać się za wszelką cenę. Na nic nie brakuje nam pieniędzy – przypomniała. – A ja nie wyobrażam sobie, by w moim życiu miało zabraknąć ciebie! Kocham cię, ty idioto! – warknęła, odzierając wyznanie z choćby odrobiny czułości.

– Kochasz mnie? – powtórzył za nią wzruszony do głębi. Nigdy wcześniej z jej ust nie padły te słowa. Chociaż była troskliwą i nader czułą małżonką, przypuszczał, że wyszła za niego, słuchając głosu rozsądku, a nie serca.

– Czy to takie dziwne? – odparła zaskoczona tym, z jakim wysiłkiem przyszło jej dopuszczenie do głosu myśli, że obdarzyła Filipa głębokim uczuciem. Jeszcze do niedawna sądziła, że mimo znacznego przywiązania i sympatii nie jest w stanie szczerze go pokochać.

Mężczyzna wyciągnął zdrową dłoń i pogładził po twarzy żonę siedzącą na krawędzi posłania. Przepęniało go szczęście.

– Gdybym wiedział, jedyna, że to właściwa droga do zdobycia twej wzajemności, połamałbym się dawno temu. Na długo przed tym, jak po raz pierwszy dałaś mi arbuza.

– Głuptas z ciebie, Filipie – powiedziała łagodnym tonem. – Gdybyś nie był cierpiący, to, choć daleka jestem od stosowania kar cielesnych, osobiście porachowałabym ci wszystkie gnaty za zbędne ryzykanctwo. Musisz mi złożyć przysięgę, że nigdy więcej nie będziesz się narażał.

– Dla ciebie wszystko – oświadczył.

Właściwie nie mógł się z nią nie zgodzić. Szaleństwem było wchodzenie na rusztowanie w sytuacji, kiedy targały nim nerwy po wcześniejszej awanturze ze Stanisławem. Nawet nie mógł zrealizować swojego wcześniejszego zamysłu i odbyć z chłopakiem poważnej rozmowy. Głupio by się czuł, robiąc mu połajanki w pozycji leżącej. Obiecał sobie jednak, że jak tylko stanie ponownie na nogi, nie omieszka powiedzieć smarkaczowi, co o nim myśli. A jeśli uzna to za konieczne, natrze mu solidnie uszu.

Staś niewiele robił sobie z ostatnich wydarzeń w domu. W głębi duszy nawet nie potrafił współczuć Rapaczowi, że tak mocno się potłukł. Właściwie odczuwał niezwykłą, słodko-gorzka satysfakcję. Tak jakby pojadał jednocześnie konfitur i popił je łyżką oleju rycynowego lub tranem.

Niby wiedział, że nie wolno się cieszyć z cudzego nieszczęścia. Ksiądz z ambony często o tym grzmiał. Mówiły o tym babka i ciotka.

On jednak uważał, że los słusznie pokarał Filipa. I wcale by się nie zmartwił, gdyby wuj przetrącił kręgosłup albo kark. W pierwszym przypadku pozostałby nieszkodliwym łamagą przykutym do łóżka. Nie byłby w stanie narzucać w domu żadnej dyscypliny, bo kto słuchałby kogoś bezradnego niczym niemowlę? W drugim przypadku Rapacz wylądowałby na cmentarzu. Ciotka Aurelia pewnie trochę by nad nim popłakała. A potem życie wróciłoby do normy. Choć może nie do końca, bo przecież byli jeszcze Lucek i Beata. Oni jednak nie interesowali młodzieńca ani trochę, chociaż ciotka Klara powiedziała kiedyś, że dla Stasia i Teosi przyjsie na świat tych dzieci nie jest dobrą wiadomością. Lepiej byłoby, gdyby ciotka Aurelia w ogóle nie

miała potomków, bo wówczas jedynymi jej spadkobiercami byliby młodzi Litworowie.

Lato mijalo szybko. Jak nigdy wcześniej Staś z utęsknieniem wyczekiwał końca wakacji. Jego guwerner został już odprawiony. Od września nie będzie potrzebny, gdyż na dalsze nauki Stanisław pojedzie do Tarnowa. Czekalo go zamieszkanie na stacji wśród obcych ludzi i zawieranie nowych znajomości.

Trochę obawiał się, że tam nie będzie miał takiej swobody jak w Krynicy. I że zanim przeciągnie na swoją stronę służbę, minie sporo czasu. No bo chyba będzie tam jakaś służba, od której zdoła niekiedy wycyganić słoiczek konfitur lub inne łakocie?

Na pewno nie będzie tam zrzędlivego wuja oraz irytującej ciotki.

Aurelia była słabą istotą. Po awanturze, która rozpoczęła się rozbitym oknem, zamiast spuścić mu lanie paskiem bądź różgą, przyszła tylko i oznajmiła, że wyrządził jej ogromną przykrość. Mówiła o tym, jak krzywdzące były słowa, które wypowiedział. Że powinien to do głębi przemyśleć. Przecież jego matka sama na łożu śmierci powierzyła jej opiekę nad nim i nad Teodozją. Nie zrobiłaby tego, gdyby nie miała do niej pełnego zaufania. I że ona, ciotka Aurelia, robi wszystko, by się z tej obietnicy jak najlepiej wywiązywać. Chciałaby więc bardzo, aby Staś był grzeczniejszy i nie sprawiał jej zawodu, bo z góry spogląda na niego zafrasowana matula. Na pewno byłoby jej przykro, gdyby wiedziała, że ukochany synek postępuje tak niegodziwie.

Ponieważ ciotka tego oczekiwała, okazał wówczas skruchę. Poprzysiągł też sobie w duchu, że następnym razem postara się być ostrożniejszy w doborze słów. Bo czasami niektóre sprawy lepiej jest przemilczeć. To znacznie korzystniejsze niż mówienie wszem wobec o tym, co człowiekowi doskwiera.

Ciocia Klara napomknęła kiedyś, że jego mama sztywno trzymała się tej zasady i doskonale na tym wychodziła, bo człowiek rozważny zachowuje dla siebie pewne sekrety po to, by wykorzystać je w stosownym momencie.

Cóż, dla niego taki moment jeszcze nie nadszedł. Nie był dorosły, nie chciał trafić do przytułku dla sierot. Tam nosiłby łańchmany, jadał byle co, a kto wie, może nawet oblażyłby go wszy. Nie miałby upragnionych zabawek, pobłażliwych opiekunów ani służby, która ścieli łożko, sprząta pokój, czyści buciki i pierze ubrania. Tymi okropnościami postraszyła go Rozalka nazajutrz po pamiętnej awanturze. Był zły na służącą, że wtyka nos w nie swoje sprawy, ale nawet jej nie odpowiedział wtedy złośliwie, choć mocno go korciło. Bał się, że gdyby doniosła o tym Aurelii lub Filipowi, to rozpętałoby się jeszcze większe piekło. Zresztą nie chciał drzeć kotów z Rozalką. Bywała czasami przydatna, zwłaszcza gdy miał ochotę na jakieś słodycze. W domu bowiem panowała zasada, że poza ustalonymi porami nie wolno jadać łakoci, ponieważ jest to bardzo niezdrowe. A on nic nie mógł poradzić na to, że miał nieustanną ochotę na konfitury albo ciasteczka.

Aurelia wracała z apteki Pod Aniołem. Nabyła tam maść z wypustek jodłowych sporządzoną według receptury samego Hugona Nitribitta. Doktor Ebers zalecił, by smarować nią stłuczenia męża. Mogła wprawdzie wysłać po specyfik którąś ze służących, ale odczuwała potrzebę urządzenia sobie choćby krótkiego samotnego spaceru. Od wypadku minęło kilka dni, a ona wciąż była zaaferowana i nie miała ani jednej wolnej chwili dla siebie. Nie zaglądała nawet do Słotwin, całkowicie powierzywszy prowadzenie wszystkich spraw Witalisowi. Sama skupiła się na pielęgnowaniu chorego.

Z maścią nie musiała się spieszyć, ponieważ w domu znajdował się jeszcze zapas. Pomyślała więc, że skreśli na moment do parku zdrojowego i podejdzie pod figurę Matki Boskiej, by tam podziękować za ocalenie męża.

Ledwo przekroczyła linię drzew, gdy usłyszała dobiegające z niewielkiej odległości odgłosy szamotaniny. Trochę się wystraszyła, ponieważ nie chciała wpaść w żadne tarapaty. Uznała jednak, że nie wolno jej tchórzyć, przecież ktoś może potrzebować pomocy. Szła przed siebie, nasłuchując, skąd dobiegają krzyki. W końcu dostrzegła kilku chłopców. Czterech wyrostków otaczało znacznie mniejszego dzieciaka. Zdaje się, że mikrus był kozłem ofiarnym kolegów. A może nie kolegów? Może zwyczajnych chuliganów, którzy postanowili mu po prostu dokuczyć?

Podeszła bliżej i nagle oblała ją fala gorąca.

– Stanisławie! – wykrzyknęła. – Co ty wyczyniasz? Łobuzy! Przestańcie szarpać tego biedaka!

W obiekcie prześladowań rozpoznała Nikifora, chłopca, o którym mawiano, że jest przygłupi. Często widywała go w różnych ustronnych miejscach malującego kredkami na kartonikach. W momencie kiedy nadeszła, Staszek darł coś na drobne strzępy. U jego stóp słały się skrawki papieru. Na jej widok koleddy Stanisława momentalnie się rozpierzchli. On nawet nie próbował uciekać.

– Ja nic nie robię – bąknął z miną niewiniątka.

– No właśnie widzę! Jak możesz pastwić się nad słabszym od siebie kolegą?

– Ten głupek nie jest moim kolegą – burknął niegrzecznie chłopiec. – Poza tym ja mu w ogóle nie dokuczałem. To chłopaki zabrały Rusnakowi rysunek. Ale nikt mu żadnej krzywdy nie robił – tłumaczył się pokrętnie, usiłując jednocześnie wepchnąć stopą pomiędzy ściółkę skrawki papieru.

– Przestań kłamać! – powiedziała rozgoryczona Aurelia, schylając się po fragment obrazka. Nie potrafiła się rozeznaczyć w tym, co narysował Nikifor. Być może był to jakiś pejzaż, gdyż dostrzegła wyrysowane ołówkiem i ledwo muśnięte kolorowymi kredkami drzewko oraz fragment budynku.

Nikifor stał, jakby go ktoś wmurował w ziemię. Wyglądał niczym nędzna kupka nieszczęścia.

– Wszystko w porządku? – zapytała.

Chłopak przytaknął w milczeniu.

– Przykro mi z powodu tego, co się tutaj stało. Stanisławie, masz natychmiast przeprosić Nikifora! – poleciła podopiecznemu tonem nieznoszącym sprzeciwu.

Staś spojrzał na nią spod byka. Nie znosiła, gdy tak na nią patrzył, bo od tego aż ciarki przechodziły po skórze. Nie ustąpiła jednak i ponowiła polecenie. Przeprosiny zostały wymamrotane. Nikifor pokiwał głową. Potem kucnął i zaczął zbierać strzępy swego dzieła.

Drzewicka-Rapacz dostrzegła łzy spływające po jego twarzy. Było jej strasznie żal tego podrostka. Na pewno nie miał łatwego życia jako bękart, a na dodatek syn niepełnosprawnej i nader ubogiej kobiety. Nie wiedziała, jak wynagrodzić mu krzywdę wyrządzoną przez Stasia.

Nagle przyszło jej na myśl wydarzenie sprzed kilku tygodni, gdy została zaczepiona przez Eudokię. Czy Rusnaczka próbowała się wówczas poskarżyć na Stanisława? Być może przyłapała go na dokuczaniu Nikiforowi!

To nie był odpowiedni czas i miejsce na wyjaśnianie tej sprawy z podopiecznym. Ujęła Stanisława pod łokieć i energicznie ruszyła w stronę willi Pod Lipami.

– Marsz do domu! – zwróciła się do niego. – Już my sobie porozmawiamy!

Za swój kolejny wyczyn Stanisław spodziewał się srogiej kary od Aurelii. Sądził, że tym razem pójdzie w ruch pasek albo różga, którymi od dłuższego czasu go straszono, choć w całym domu nigdy nie natknął się na narzędzie dyscyplinujące. Niemniej jednak z trwogą szedł za ciotką, obawiając się, że w końcu odczuje na własnej skórze, iż nawet ona potrafi być bezwzględna. Wszak przyłapała go na gorącym uczynku. Nie miał możliwości, by jak zwykle wykręcić się sianem i skłamać, że jest niewinny.

Jakież było jego zdumienie, gdy znowu skończyło się na połajance słownej oraz pozbawieniu go deserów przez najbliższy tydzień. Fakt, Aurelia głądziła na temat jego niegodziwości dość długo. To znowu uderzała w łagodne tony, jakby chciała go usprawiedliwić, bo przecież w jej oczach nie był na wskroś złym dzieckiem, lecz jedynie niesfornym. Ciotka nawet nie doniosła na niego wujowi. Może nie chciała niepokoić chorego? Tak czy owak, incydent z parku zachowała dla siebie. Nie wspomniała o nim również babce Felicycie.

Staś bynajmniej nie żałował swego postępowania. Należało się smarkatemu Łemkowi, choćby za to, że był okropnie głupi. Nie potrafił się wysłowić i całymi dniami gryzmolił coś na różnych kartonikach, zwykle znalezionych wśród śmieci. Zawsze, gdy z chłopakami zdołali odebrać mu jakiś obrazek, najpierw go oglądali i wyśmiewali nieporadne bohomazy. Nikifor w ogóle nie miał pojęcia o rysowaniu. Słowo „perspektywa” było mu obce, chociaż uwieczniał w kółko domy, drzewa i cerkwie. Nic szczególnego! Szkoda było kredek na takie gryzmoły. Kilka razy chcieli mu odebrać przybory rysunkowe, ale bronił ich z zaciętością lwa. Potrafił nawet ugryźć. Ostatecznie więc kredki zostawiali. A gryzmoły trafiały tam, gdzie ich miejsce: w strzępach do kosza na śmieci lub na ziemię.

I pomyśleć, że przez tego niedojdę stracił desery!



Tego dnia z kuchni dobiegały wyjątkowo smakowite aromaty. Petronela na pewno szykowała coś pysznego. Chłopak niby nie był głodny, ponieważ zjadł obiad, lecz czuł, że w brzuchu aż go skręca, tak bardzo chciało mu się słodczy.

A może zdoła jakoś przekonać Teodozję, by oddała mu swoją porcję łakoci? Była dziewczyną, musiała dbać o linię. Ciotka Klara wspomniała kiedyś, że słodczy nie służą kobiecym kształtom. I napomniała Teosię, by się nie opychała zanadto, bo jak za bardzo utyje, to nie zechce jej żaden porządny kawaler. A ona koniecznie musi zrobić jak najlepszą partię.

Ostatnio ten temat wracał w rozmowach z ciotką nader często, gdyż Teodozja liczyła piętnaście wiosen. Przy odrobinie szczęścia za dwa, najdalej trzy lata powinna debiutować na balu. Staś nieraz słyszał, jak siostra rozprawia o tym z kuzynkami. Bardzo się podniecała suknią, kawalerami, tańcami i innymi dyrdymałami, które on uważał za głupie. Tak czy owak, mógł tę wiedzę wykorzystać we własnym celu.

Niestety tego dnia Teosia była nieprzejednana, nie podzieliła się z nim swoją porcją szarlotki z kruszonką i cynamonem. Szarlotkę upieczono z papierówek, które rosły w ogrodzie. Dopiero od kilku dni były wystarczająco dojrzałe, by nadawały się do jedzenia. Ciasto ze świeżych owoców trafiło więc na stół pierwszy raz w tym sezonie. Staś za nim przepadał, smakowało nieporównywalnie lepiej, niż gdy Petronela używała jabłek zamkniętych w słoikach.

Cóż, nie pozostawało nic innego, jak wykorzystać stary, sprawdzony sposób i spróbować podejść Rozalkę. Ostatnio tego nie robił, bowiem troszkę się na nią boczył po tym, jak go skarciła za awanturę, która się rozpełtała przy okazji wybitej szyby. Ale niby z jakiej racji miałyby go besztać zwyczajna sługa? Ona była od szorowania podłóg i innych zajęć, a nie od

wtrącania się w sprawy państwa. Jeśli jednak chciał zjeść coś dobrego, musiał przełamać dumę.

– Rozalko, moja złocista – powiedział, gdy przydybał ją na klatce schodowej dla służby. Sporo wcześniej musiał się tam na nią zaczaić, zaczął nawet tracić cierpliwość, ponieważ długo nie wychodziła z kuchni.

– A czego to panicz się tutaj płacze? – fuknęła gniewnie jak nigdy.

– A co Rozalka taka zła na mnie? Czym ja Rozalce zawiniłem? – jęknął po swojemu, robiąc minę skrzywdzonej niewinności.

– Już tam panicz dobrze wie, co ma za uszami. Dość uprzykrza życie swej kochanej cioteczce. Drugiej takiej dobrej ze świecą szukać! A panicz nic, tylko psoci albo pyskuje.

– No, no! Niech se Rozalka nie pozwala za wiele – obruszył się. – Bo Rozalka jest tutaj zwyczajną sługą, a ja jestem paniczem – przypomniał, mrużąc oczy i spoglądając na nią złowrogo. – Powinna więc Rozalka okazywać więcej szacunku. Niech mi przyniesie słoik konfitur – warknął niegrzecznie, a następnie odwrócił się, ponieważ zamierzał odejść.

– Aha, jeszcze czego! – wykrzyknęła służąca, łapiąc się pod boki. – Niech sobie panicz wybije z głowy, że jeszcze kiedykolwiek mu cokolwiek przyniosę.

– A niech mnie Rozalka nie irytuje! – syknął, zwracając w jej stronę samą twarz. – Konfitury!

– Nie ma mowy! – powiedziała stanowczo. – Skończyło się dobre.

– Jak mi nie przyniesiesz tych konfitur, to ja doniosę Petroneli.

– A niby co panicz zamierza powiedzieć? – zapytała hardo.

– A to, że Rozalka regularnie okradała spiżarnię z konfitur. I że widziałem, jak je zjadała sama, siedząc tu na schodach. Każdy da temu wiarę, bo Rozalka ma dużo sadła. Zresztą słyszałem, jak nieraz Petronela utyskiwała, że konfitury coś za

szybko jej znikają z półek – uzupełnił z jadowitym uśmiechem na ustach.

– Akurat paniczowi uwierzy – stwierdziła nieco mniej pewnie Rozalia. W głębi duszy wcale nie była przekonana, czy Petronela nie uwierzyłaby słowom tego chłopca. Wszak on był paniczem, a ona tylko zwykłą sługą. Na dobitkę ochmistrzyni zarzucała jej dość często, że jest tęga i niemrawa. Gdyby więc sprawa konfitur dotarła do niej, Rozalia mogłaby się mieć z pyszna. Nikt nie uwierzyłby w to, że konfitury wykradała dla Litwory.

*I bądź tu dobry, człowieku!*

Mimo wszystko postanowiła nie ugiąć się przed szantażem. Gdy przyjdzie co do czego, padnie do nóg Aurelii i wyzna swą przewinę. Jak poprosi samą panią o wstawienie się przed ochmistrzynią, to może nie zwolnią jej ze służby z powodu głupich konfitur. *Madame* miała najlepsze serce na świecie i nigdy nikogo nie wyrzuciła ze służby za byle bzdurę. Gorzej, jeśli Drzewicka-Rapacz nie uwierzy zapewnieniom Rozalki, jakoby łakocie były dla smarkacza. Wszak może się rozgniewać i wytykać służącej, że rzuca oszczerstwa na Bogu ducha winnego chłopca.

*Nie, do tego nie dojdzie* – stwierdziła, pomna tego, jak niedawno usłyszała, powiedzmy, że przez przypadek, Aurelię zwierającą się Felicycie, że wybryki Stasia zaczynają ją przerastać, bo chłopak zrobił się nad wyraz krnąbrny. Takie „przypadki” zdarzały się Rozalce nader często – lubiła bowiem wiedzieć, co w trawie piszczy.

Postanowiła więc, że mimo wszystko będzie stanowcza, w przeciwnym razie Stanisław wejdzie jej na głowę z kolejnymi żądaniami. A ona miała już tego dość!

– Może panicz donieść samemu panu Rapaczowi. Ja się nie boję! Jak będzie trzeba, powiem, dla kogo te konfitury

zabierałam ze spiżarni. Pan na pewno da wiarę moim zapewnieniom – dokończyła stanowczo, po czym, nie wdając się w dalsze dyskusje z młokosem, wróciła do kuchni.

Tam przycupnęła w kąciku za szaflikiem służącym do zmywania naczyń i zaczęła pociągać nosem. Mimo wszystko bała się, że może na nią spaść karząca ręka państwa. Dopuściła się karygodnego czynu. A Staś, o czym zdążyła się już przekonać, zdolny był do różnych niegodziwości. Czy miałby dość tupetu, by kłamliwie ją oskarżyć?

Może jednak powinna była ulec i bez szemrania dostarczyć mu ten słoiczek? Ostatecznie nie prosił o to zbyt często. Pech jednak chciał, że godzinę wcześniej „przypadkowo” usłyszała, jak Aurelia besztala podopiecznego za dokuczanie jakiemuś dzieciakowi. Później zaś przyszła Marta i przekazała wiadomość, że przez cały tydzień paniczowi nie wolno dawać deseru ani żadnych innych słodczy. Może gdyby nie doszło do nałożenia takiej kary na chłopca, Rozalia by zmiękła. Ale złamać polecenie pani Aurelii? Nie, nie, niepodobna!

Aurelia już od dłuższego czasu zamartwiała się tym, że zbyt mało uwagi poświęca dzieciom, chociaż i tak ubyło jej obowiązków, z chwilą gdy jej łemkowskie uczennice dorosły i dzięki jej protekcji otrzymały zajęcie w Łazienkach Borowinowych. Dni mijały szybko, nie wiedzieć kiedy składały się w całe miesiące, a potem lata. Ostatnie problemy uświadomiły jej, że od ośmiu lat sprawuje opiekę nad młodymi Litworami. Minęło więc wystarczająco dużo czasu, by wyrzucić z serca żal do Emilii i Dionizego, zapomnieć krzywdy z przeszłości i skupić się na tym, co naprawdę jest ważne.

*Stanisław zrobił się nieznośny z mojej winy – pomyślała skonfundowana. – Nie poświęcałam mu dość uwagi. Nie mogę powielać tego błędu.*

Miała już koncepcję, jak przeorganizować swe życie, by nie dopuścić do kolejnych zaniedbań.

– Ależ Aurelio, nie ma o czym mówić! – odparła Felicyna, gdy córka zwierzyła się jej oraz Filipowi ze swojej bolączki. – Zdecydowanie zbyt wiele na siebie wzięłaś. Prawdę mówiąc, przypuszczałam, że po urodzeniu Lucjana przestaniesz się zajmować tartakiem i zostawisz go w rękach Witalisa.

– Nie masz do mnie żalu?

– O co?

– O to, że muszę na dłuższy czas spuścić z oczu dorobek życia ojca.

– Jestem głęboko przekonana, że Ksawery by to zrozumiał. Powierzając ci zarząd nad tartakiem, nie wziął pod uwagę, że możesz doczekać własnych pociech, choć na łożu śmierci wspomniał o tym, ile dałaś mu szczęścia. Na pewno zgodziłby się ze mną, że teraz najważniejsze jest, abyś skupiła uwagę na dzieciach. I że nawet najlepsza bona nie zrobi tego lepiej od ciebie.

– A ja już dawno ci mówiłem – dodał Filip – że poradzę sobie z utrzymaniem rodziny.

– Tartak nadal będzie przynosił dochody, tyle że mniejsze – zauważyła żona.

– Dla mnie pieniądze nie są ważne. Poślubiłem ciebie, a nie twój majątek.

Drzewicka-Rapacz odetchnęła z ulgą, choć spodziewała się właśnie takich odpowiedzi. *Może to prawda, że pańskie oko konia tuczy i powinnam sama pilnować swego interesu, aby w przyszłości Lucjan przejął dziedzictwo po dziadku. Ale przyszedł czas na to, by poświęcić się dzieciom. Teodozja weszła w dość trudny wiek. Muszę nad nią czuwać. Trzeba też dołożyć starań, by naprawić to, co popsulo się w moich relacjach ze Stasiem. Nie*

*szkodzi, że chłopak wyjeżdża na nauki do Tarnowa. Przecież będzie wracał na święta i na lato.*

Nad tym właśnie ubolewała najbardziej. Powinna była wcześniej dokonać zmian. Pozostała jej już tylko do odbycia rozmowa z Witalisem. Czy brat pomoże? Czy zechce zaangażować się jeszcze mocniej w sprawy tartaku? Czy weźmie na siebie aż tak dużą odpowiedzialność?

Przez resztę dnia Aurelia nie mogła przetrwać porażki wychowawczej, którą niewątpliwie poniosła w przypadku Stanisława. Było jej wstyd za podopiecznego i jego zachowanie. Czuła, że samo przeproszenie Nikifora to zdecydowanie za mało. Nałożenie kary na Stasia też było niewystarczające. Próbowwała co prawda wypytać chłopca, czy dokuczał Nikiforowi jeszcze kiedykolwiek, ten jednak szedł w zaparte i twierdził, że nie. Aurelia była jednak głęboko przekonana, że epizod z parku zdrojowego nie był jednorazowy.

Jedyną osobą, która mogłaby rzucić światło na tę sprawę, była Eudokia. Może więc należało z nią porozmawiać? Postawić kilka pytań, na które kobieta mogłaby odpowiedzieć skinieniem głowy bądź zaprzeczeniem.

Tak czy owak, Aurelia czuła się zobligowana do tego, by jakoś zadośćuczynić krzywdzie wyrządzonej niewinnemu dziecku. Dość długo nad tym rozmyślała. Nagle doznała olśnienia. Mały lubił rysować! Być może była to jego największa życiowa radość. Może w ten sposób wyrażał swoje emocje? Tym bardziej więc karygodne postępowanie chłopaków musiało go zboleć. Pomyślała, że wprowadzić nie naprawi w ten sposób szkody, ale kupi dla chłopca trochę akcesoriów malarskich. Na pewno mu się przydadzą.

Zdecydowanie jednak nie zagłuszą wyrzutów sumienia, które dotkliwie ją kęsały. Uważała bowiem, że zawiodła na całej linii.

Powinna była zwracać bacniejszą uwagę na poczynania Stasia. Organizować mu czas tak, aby nie było miejsca na nudę i dokazywanie z okolicznymi chłopakami. Być może ulegał złym podszeptom i wpływom. Ale jakże ograniczać dziecku swobodę, zwłaszcza letnią porą? Przecież nie mogła go odcinać od rówieśników.

Trudno, trzeba będzie Stasiowi jeszcze wiele razy tłumaczyć, co jest dobre, a co złe. Pouczać, że nie wolno pastwić się nad słabszymi.

Następnego dnia zaraz z rana poszła do jednego ze sklepów ulokowanych przy deptaku. Nabyła dwa bloki, duże pudełko kredek, farbki akwarelowe, pędzelki, ołówki, strugaczkę oraz gumkę do mazania. Nie miała pojęcia, w którym pensjonacie obecnie służy Eudokia. Nie wiedziała też, o której godzinie kobieta skończy pracę. Słyszała jednak od mamy Paraski, że Eudokia wciąż pomieszkuje u Pawła Hryniaka w Powroźniku. Pomyślała więc, że najlepiej zrobi, jeżeli późnym popołudniem pojedzie z zakupionymi rzeczami właśnie tam. Wręczy upominek Nikiforowi i postara się wyciągnąć od jego matki informację, czy faktycznie Staś dokuczał częściej małemu. Jeżeli uzyska potwierdzenie, będzie musiała odbyć bardzo poważną rozmowę ze swoim podopiecznym.

Być może nawet trzeba będzie w tę sprawę zaangażować Filipa, chociaż wolałaby tego uniknąć, bowiem mąż bywał czasami dość krewki. Zazwyczaj mężczyzna starał się hamować wybuchy złości, lecz Aurelia przypuszczała, że tym razem nie wybroni Stasia przed jego gniewem. I chociaż serce pękało jej na samą myśl o tym, wyjątkowo dopuszczała możliwość użycia różgi.

Jak postanowiła, tak uczyniła. Jeszcze tego samego popołudnia poleciła osiedlanie ulubionego wierzchowca. Domownikom

oświadczyła, że jedzie do Matyldy, ponieważ stęskniła się za przyjaciółką. W domu nie wywołało to najmniejszego zdziwienia, choć zazwyczaj jeździła w odwiedziny bryczką, zabierając ze sobą wszystkie dzieci.

## Powroźnik

Aurelii dopisało szczęście, zastała Eudokię w obejściu Hryniaka. Ponieważ nie chciała zwracać na siebie uwagi gospodarzy, pomachała do niej ręką i gestem przywołała kobietę do ogrodzenia. Sama zeskoczyła z konia i wyjęła z sakwy upominki.

– Chciałabym cię o coś zapytać – powiedziała, gdy Rusnaczka zbliżyła się do niej.

Kobieta miała nieprzystępne, wręcz złowrogie spojrzenie. Drzewickiej-Rapacz było przykro, lecz zdawała sobie sprawę z tego, że zasługuje na takie traktowanie. Nie dopilnowała Stasia. Dopuściła do koszmarnych sytuacji. Nawet nie próbowała oszukiwać samej siebie, że to był tylko jednorazowy incydent. Znała Staszka wystarczająco dobrze, by zakładać, że dręczył słabszego kolegę niejeden raz.

– Wtedy, gdy mnie zaczepiłaś tuż obok mojego domu, chciałaś poskarżyć się na Stanisława, czy tak? – zapytała Łemkinę.

Kobieta milczała, co właściwie nie dziwiło Aurelii. Nie oczekiwała na barwne opowieści. Szukała tylko prawdy.

– Chciałaś mnie poinformować, że Staszek dokucza Nikiforowi? – drążyła, spoglądając w oczy Rusnaczki. Ta skinęła delikatnie głową, potwierdzając tym samym jej domysły.

– Przepraszam za niego. Nie powinno być do tego dojsć.

Eudokia zaprzeczyła i zaczęła coś bełkotać po swojemu. Choć mówiła bardzo niewyraźnie, Aurelia zdołała wyłapać imię



Nikifor, a jeden z wyrazów zabrzmiał dość podobnie do Staszka.

– Domyślam się, co chcesz mi powiedzieć. To Stanisław powinien przeprosić Nikifora. Zrobił to od razu w mojej obecności, ale czułam, że to zdecydowanie za mało. Wtedy, gdy mnie zaczepiłaś, nie zrozumiałam, z czym do mnie przychodzisz. Uwierz, że jest mi bardzo przykro z tego powodu. Staszek nie będzie już dokuczał twojemu synowi. Za kilka dni wyjeżdża do szkoły w Tarnowie.

Trudno było zrozumieć cokolwiek z odpowiedzi udzielonej przez niepełnosprawną kobiecinę. Sądząc z tonu, była jednak dość gniewna. Aurelia nie wiedziała, co jeszcze powiedzieć, by udobruchać wieśniaczkę. Ostatecznie wyciągnęła dłonie z prezentem.

– Proszę, przyjmij to dla twojego synka na przeprosiny.

Eudokia nawet nie spojrzała na przedmioty, które próbowała wcisnąć w jej rękę Drzewicka-Rapacz. Protestowała, gestykulując.

– Nie odmawiaj. Wiem, że Nikifor bardzo lubi rysować. To wszystko na pewno mu się przyda. Pozwól, że chociaż tak zadośćuczynię mu za krzywdę wyrządzoną przez Stanisława. Masz prawo czuć do mnie złość. Powinnam była bardziej pilnować mojego podopiecznego. Proszę...

Była tak skruszona, że w jej oczach zalśniły łzy. Eudokia spoglądała na nią wnikliwie. Na jej wymizerowanej twarzy wciąż odbijała się pogarda. Czy dała wiarę słowom Aurelii? Być może, ponieważ z jej ust padło krótkie:

– Ni-ki-for. Ma-lar-sa.

A potem wyciągnęła rękę po upominki i na znak podziękowania pokiwała głową. Odeszła, nie oglądając się na Aurelię.

Drzewicka-Rapacz westchnęła ciężko.

– Przepraszam – wyszeptała ponownie, choć Rusnaczka nie mogła już tego usłyszeć.

Domyślała się ogromu żalu, jaki ta kobieta musiała nosić w swoim sercu. Bała się nawet pomyśleć o tym, ile krzywdy musiał zaznawać jej niepełnosprawny synek.

Jaki los czekał takie dziecko?

# KROK W DOROSŁOŚĆ

*Rok 1907*

Krynica

\$

– Dzień dobry państwu.

– Dzień dobry, panie Henryku. Miło znowu pana widzieć w naszych skromnych progach. – Filip ożywił się na widok przybysza. Jesienna szaruga zamknęła bowiem rodzinę w salonie, a wcześniej zapadający zmierzch przyprawiał o senność.

Doktor przywitał się z siedzącymi w pobliżu kominka damami, a następnie zasiadł na jednym z wolnych foteli.

– Jakie pomyślne nowiny tym razem nam pan przynosi? – zagadnęła go Aurelia, która z miejsca odłożyła na etażerkę niewielką książeczkę, wręcz broszurkę.

Wrodzona ciekawość zmusiła Henryka do zerknięcia na okładkę. Z zaskoczeniem zobaczył, że nazwisko autora i tytuł zapisane są po rosyjsku. Od razu sobie uprzytomnił, że Aurelia wychowywała się wśród Rusnaków, stąd więc biegła znajomość cyrylicy, którą wielu Polaków – szczególnie mieszkańców zaboru rosyjskiego – znało, a i owszem, lecz z musu, a nie szczyrych chęci. Nic więc dziwnego, że *madame* Drzewicka-Rapacz czytała w oryginale hm... dzieła pochodzące ze wschodu, a nie francuskie romanse wzorem innych dam. Ale ona zawsze sprawiała wrażenie kobiety o zupełnie innych

horyzontach myślowych – niepasujących ani do łemkowskiej chaty, ani do nieco zatechłych salonów.

*Ktoś taki powinien kształcić umysł na uniwersytecie* – stwierdził nie po raz pierwszy.

– Sołowjow. *Krótką opowieść o Antychryście?* – zagadnął, pomijając jej pytanie. – Przepraszam. Wiem, że to nader niegrzeczne, powinienem najpierw zaspokoić pani ciekawość, lecz intryguje mnie pani lektura. Nigdy wcześniej nie widziałem tej hm... rozprawy w kobiecych dłoniach.

Aurelia zdusiła chichot.

– Ach, bo ja lubię umykać standardom. Latem poznałam w kawiarni grupę bardzo sympatycznych kuracjuszy. Jeden z nich był absolwentem filozofii mocno rozeznaczonym we współczesnych trendach myślowych. Przyjaciele zwali go czarnowidzem, bo wciąż snuł iście dekadencjonalne rozważania dotyczące kresu naszej cywilizacji. On właśnie zafascynowany był Włodzimierzem Sołowjowem i podarował mi tę książeczkę. A ja dopiero teraz znalazłam czas na to, by się w nią wgryźć.

– Ciekaw jestem pani opinii odnośnie do lektury – zaskoczył kobietę drażnieniem tematu.

– Czyżby pan również to czytał?

– Tak. Zainteresowały mnie głównie odniesienia do ekologii i wegetarianizmu.

– Ach tak, jest i o tym mowa, zdaje się na samym początku – odparła, a następnie sięgnęła po broszurkę, by ją przewertować. Omyliła się jednak, szukany przez nią urywek był nieco dalej.

– *Nowy władca ziemi był nade wszystko pełnym współczucia dobroczyńcą, przyjacielem nie tylko ludzi, ale i zwierząt. Sam będąc wegetarianinem, zabronił wiewiękacji i wprowadził surowy nadzór nad ubojniami...* \*\*\*\*\* – zacytowała, potem podniosła spojrzenie na lekarza. – Co pan o tym myśli?

– Opieka nad zwierzętami jest ważna. Trzeba humanitaryzmu w traktowaniu naszych czworonożnych przyjaciół. Można ograniczyć tłustość wszelką w diecie, spożywać więcej warzyw. Lecz wątpię, czy człowiek pracujący maziem rąk własnych poradzi sobie bez mięsa. Marchew nie da mu krzepy. To tyle, jeśli chodzi o interesujący mnie wątek. A pani jak zapatruje się na pozostałe treści?

– Staram się podchodzić do niej z dystansem. Niepokoi mnie wiele myśli, przykładowo ta, że Europa w dwudziestym pierwszym wieku będzie jednolitym tworem państw niesuwerennych. Czy to oznacza, że dążenia, by przywrócić Polskę na mapy świata, spełzną na niczym? Tyle wysiłków, tyle przelanej krwi, tyle ludzkich nieszczęść miałyby pójść na marne? Nasi potomkowie mieliby do tego dopuścić?

– Moja droga – wtrącił się w to Filip – bądźmy optymistami. To tylko wizje jakiegoś rosyjskiego mnicha... Rosyjskiego – zaakcentował. – To może być po prostu część wrogiej propagandy.

– Obawiam się, że nie jest, bowiem treść nie dotyczy stricte naszej ojczyzny. To jeszcze nic! W innym miejscu ten sam człowiek twierdzi, że na przełomie przyszłego stulecia naszą wiarą wstrząśnie potężny kryzys – stwierdziła zaafierowana czytelniczka.

– W rzeczy samej – odparł doktor – to śmiała teoria, lecz nie bezpodstawna. Wśród klasy robotniczej coraz mocniej szerzą się poglądy marksistowskie. W *Przyczynku do krytyki heglowskiej filozofii prawa* Marks ewidentnie określa religię jako opium dla ludu. Od opublikowania tego tekstu minęło pół wieku. To wystarczająco dużo czasu, by zawarte w nim idee rozprzestrzeniły się na cały świat.

– Przygnębiające wizje – powiedziała z westchnieniem milcząca do tej pory Felicja. – Mnie wiara daje ukojenie w

najtrudniejszych momentach życia. Nie wyobrażam sobie, jak bezbronna i pogubiona byłabym, gdybym nie pokładała ufności w to, że pewnego dnia spotkam się w innym, lepszym świecie z Ksawerym, Janem oraz wieloma bliskimi osobami. Ale, ale! Kochani! To popołudnie jest wystarczająco ponure bez snucia czarnych wizji. Lepiej zmieńmy temat, zanim lampy dostosują się nastrojem i zaczną filować, aby w rezultacie zasypać nas sadzą.

– Ależ oczywiście, *madame*. Koniec tematu. Wszak nie przyszedłem tutaj, by wprowadzić szanownych państwa w minorowe nastroje. Rad podzielę się znacznie lepszymi nowinami – podsumował z ogromną satysfakcją.

– Proszę nas nie trzymać w niepewności. – Filip zachęcił gościa do dalszych wynurzeń.

– Sejm galicyjski wydał akceptację dla moich wysiłków. Zatwierdzony został projekt budowy linii kolejowej. Teraz to już pewnik!

– Fantastyczne nowiny! – Aurelia klasnęła z radości w dłonie. I choć daleka była od materializmu, szybko porachowała w głowie zyski, jakich przysporzy jej tartakowi sprzedaż podkładów kolejowych, szalunków oraz ewentualnie drewna na budowę dworca.

– To jeszcze nie wszystko – oznajmił Henryk, pusząc się niczym paw. – Podjęta została także uchwała o udzieleniu na ten cel pożyczki w wysokości dwudziestu tysięcy koron. Wydział Krajowy stanął na wysokości zadania! Mamy kapitał, mamy plany, możemy w końcu ruszyć z działaniem!

– Cudowne wieści. Krynica znajdzie się bliżej świata. Do tej pory moi inwestorzy narzekali na uciążliwości związane z dowożeniem letników do pensjonatów – zauważył Filip.

– No tak, Krynica bez wątpienia na tym zyska – stwierdziła Aurelia. – Ale co z łemkowskimi fiakrami?

– Każdy medal ma dwie strony – odparł mąż. – W interesach często jest tak, że jedni zyskują, a inni tracą. Łemkowie trudniący się transportem będą musieli zmienić profesję.

– Ufam, że z głodu nikt nie umrze – podsumował Henryk.

– Jeśli wzrośnie zapotrzebowanie na drewno, tartak będzie musiał zatrudnić nowych robotników.

– Gdy ruszą prace przy budowie linii kolejowej, też wiele osób znajdzie zajęcie – podsunęła Felicycja.

– A ja pewnie otrzymam zlecenia na budowę kolejnych pensjonatów – skwitował Rapacz, choć na brak zamówień i tak nie narzekał, bowiem Krynica przechodziła od lat nieustającą fazę rozwoju.

Dzięki wydawanym w sezonie kuracyjnym balom, fantowej tomboli oraz licznym zbiórkom udało się zgromadzić pokaźny kapitał, który został asygnowany na budowę kopca Kazimierza Pułaskiego. Do kopca miał przylegać park z amfiteatrem oraz licznymi lokalami gastronomicznymi. A wszystko to ku uciechu kolejnych amatorów hydroterapii, którzy coraz liczniej gościli w uzdrowisku, dając zajęcie oraz utrzymanie okolicznym mieszkańcom, w tym również Filipowi i Makaremu.

Do osiemnastych urodzin Teodozji zostało zaledwie kilka miesięcy, ale Aurelii już teraz spędzał sen z powiek bal debiutancki. Bardzo zależało jej na tym, aby podopieczną wyprawić w wielki świat z należytą oprawą. Sama nigdy tego nie doświadczyła, ponieważ pierwszy raz w życiu była na balu już jako narzeczona Jana. Nie została więc oficjalnie wprowadzona na salony z wszelkimi szykanami, które temu towarzyszyły. Ale doskonale wiedziała, jak ważne jest to wydarzenie w życiu młodych panien.

Ilekcroć widziała się z Klarą i jej córkami, wciąż była o tym mowa. Wszystkie trzy Boguszożny miały to wielkie wydarzenie

za sobą. Najstarsza była już mężatką, druga z kolei miała wyjść za mąż zaraz po Bożym Narodzeniu, a jeszcze przed Nowym Rokiem. Najmłodsza z nich, Zosia, zaręczyła się niedawno, na dodatek z kawalerem, którego poznała podczas pierwszych tańców.

Teoretycznie Aurelia mogłaby poprosić Klarę o radę i pomoc w zorganizowaniu debiutu Teosi. Być może nawet Boguszowa tego oczekiwała. Ale Aurelia wyczuwała jej niechęć do siebie i nie chciała zwracać się do niej z prośbą absolutnie o nic. Wystarczało jej już samo to, że „kuzyneczka” wciąż wtrącała się w wychowywanie dzieci Litworów. Nieustannie dawała różne „życzliwe rady”, z których przeważnie Aurelia nie korzystała, ponieważ pozostawały w sprzeczności z tym, co sama uważała za słuszne.

\$

– Wiesz, nad czym się zastanawiam, Matyldo? – zagadnęła pewnego dnia Aurelia swą przyjaciółkę.

– Nawet nie próbuję zgadywać. Mam nadzieję, że to nic ekstrawaganckiego. Nie chcesz chyba sprawić Teosi na bal debutantek sukni w jakimś wyzywającym kolorze.

Akurat rozmawiały o czekającym Teodozję wydarzeniu. Nic więc dziwnego, że Juraszkowa pomyślała właśnie o tym.

– Skądże znowu! Nawet ja nie posunęłabym się aż tak daleko w łamaniu zasad towarzyskich. Jakieś granice powinny jednak obowiązywać. Ktoś słusznie wymyślił, żeby młode dziewczęta występowały w jasnych barwach podkreślających ich niewinność. Zatem suknia Teosi będzie dokładnie taka, jaka być powinna. Przyszło mi jednak do głowy, żeby zabrać Teodozję na bal debutantek do Krakowa. Zależy mi na tym, aby dla niej to było naprawdę wielkie wydarzenie. Takie, które wspomina się potem przez całe życie.



– Doskonały pomysł. Z całą sympatią, jaką mam dla naszej ukochanej Krynicy, Kraków jednak stwarza o wiele większe możliwości. Z dużym prawdopodobieństwem już podczas pierwszego sezonu towarzyskiego Teosia mogłaby znaleźć atrakcyjną partię.

– Och, o tym akurat nie myślałam! – stwierdziła Aurelia. – Teodozja jest jeszcze bardzo młodziutka i ma pstro w głowie. Uważam, że nie dojrzała do zamążpójścia.

Matylda miała na to własne zdanie. Wiedziała, że Teodozja, podobnie jak Staś, przysparza przyjaciółce wielu zmartwień. W jej oczach dziewczyna była krnąbrna i bardzo roszczeniowa. Aurelia jednak zawsze potrafiła ją usprawiedliwić, składając zachowanie panienki na karb traumy związanej z utratą rodziców w młodym wieku. Juraszkowa założyła więc, że w pomyśle wyjazdu do Krakowa tkwi drugie dno. I że Aurelia chciałaby jak najszybciej wydać za mąż swą podopieczną, a tym samym pozbyć się związanych z nią problemów. Zachowała jednak powściągliwość w wygłaszaniu uwag. Choć znała Aurelię doskonale, czasami bywała zaskoczona jej niektórymi decyzjami.

Tymczasem przyjaciółka kontynuowała:

– Martwię się tylko jednym: jak poradzić sobie w takiej sytuacji? Sama nigdy nie byłam debiutantką. Wiem, że Klara udziela Teodozji mnóstwa rad w tej dziedzinie. Ale czy słusznych? Zgodnie z obowiązującymi zasadami zamierzam towarzyszyć Teosi podczas tych wszystkich tańców. Powinnam być dla niej wsparciem, służyć także pomocą. Strasznie żałuję, że matka nie może ze mną jechać do Krakowa. Jest już zbyt leciwa, by znosić trudy podróży, chociaż i tak ma zaskakująco dużo witalności. Ona na pewno byłaby nam podporą, choć sama także nigdy nie wyprawiała żadnej panny w świat salonów. Mnie powierzyła opiece pewnej matrony, która

niestety już nie żyje. A szkoda, ponieważ *madame* Rylska bardzo mi wówczas pomogła.

– Nie martw się. Przecież zawsze możesz na mnie liczyć. Jak dobrze wiesz, pół roku temu zwolniło się nasze mieszkanie. Najemcy przeprowadzili się do Niepołomic. Zleciłam odświeżenie wnętrza. Administrator miał się rozejrzeć za nowymi lokatorami. Ale z całą pewnością jeszcze takowych nie ma, ponieważ uzgodniłam z nim, że jeżeli pojawią się chętni, to da mi znać, abym mogła pojechać do Krakowa i ocenić, czy chcę wynajmować mieszkanie tym ludziom. Lokal stoi na razie pusty. Przyszło mi do głowy, że mogłybyśmy razem wybrać się na karnawał do miasta. Zabrać ze sobą dzieci oraz mężów. No i oczywiście bohaterkę sezonu. We dwie czuwałybyśmy nad tym, aby Teodozja odnalazła się w nowych okolicznościach i nie wpadła przy tej okazji w jakieś tarapaty albo nie popełniła faux pas. Nietrudno o to w wielkim świecie.

– Naprawdę?! – wykrzyknęła ucieszona Aurelia. – Twoja propozycja spada mi z nieba. W ogóle nie zamierzam się sumitować, ponieważ w rzeczy samej doskonale wiem, że będzie mi o wiele przyjemniej i różniej, jeśli z nami pojedziesz.

– Możesz na nas liczyć. Nawet Witalis swego czasu przebąkiwał, że chętnie wybrałby się na karnawał do dużego miasta. Wiem, że chce w ten sposób sprawić mi przyjemność, choć i on nie stroni od dobrej zabawy. Mamy więc świetną okazję, aby to zrealizować. Zresztą czas mija bardzo szybko. Tylko patrzeć, jak sama będę wprowadzała moją Konstancję na salony. Aż się wierzyć nie chce, że pannica liczy już dwanaście wiosen. Ostatnio przy szyciu strojów wciąż wyklóca się ze mną o jak najdłuższe sukienki. Ech... Za wszelką cenę chce wyglądać na doroślejszą, niż jest.

Towarzystwo Boguszków miało niewątpliwą zaletę. Otóż Klara i jej córki, podobnie jak świętej pamięci Emilia, doskonale znały się na modzie. Mogły godzinami rozprawiać o falbankach, koronkach, riuśkach i innych zdobieniach sukien. Były doskonale obeznane z wszelkimi nowinkami.

Aurelia, choć w rzeczy samej lubiła ładnie wyglądać, nigdy aż tak bardzo nie interesowała się paryskimi nowościami. Nie znosiła przesady i jej stroje cechowały się raczej skromnością. Gdy zauważyła, że powoli odchodzi w zapomnienie upodobanie pań do balonowych rękawów, ochoczo z nich zrezygnowała, niejako wyprzedzając trendy. Zrobiła to jednak przede wszystkim ze względów praktycznych i estetycznych. Zdecydowanie wygodniej jej było, gdy nie musiała uważać, by nie zawadzić o coś bufą. W tartaku, do którego starała się nadal regularnie zaglądać, nikt nie oceniał jej strojów. A tam najważniejsze były wygoda i bezpieczeństwo. Jeden nieuważny ruch mógłby doprowadzić do wypadku. Maszyny do obróbki drewna zmieliłyby ją na miazgę, gdyby w tryby którejs z nich wkręciła się odstająca tkanina.

Właściwie Drzewicką-Rapacz zachwycało coraz większe upraszczanie strojów, odejście od trenów i obszernych spódnic. Uważała, że kobiety wyglądają o wiele piękniej w węższych fasonach, które nadają lekkości i smukłości sylwetce. Asymetrię w krojach sukien oceniała jako uroczą i nie raziło jej nawet, gdy w którymś żurnalu wypatrzyła odsłonięte buty. Żywiła nadzieję, że kobiety będą podążały tym tropem. Wszak o wiele wygodniej było podróżować koleją bądź wierzchem w lżejszym kostiumie. Gdy w tańcu nie przydeptywało się własnej bądź cudzej toalety. Panie wożone samochodami lepiej się czuły, gdy miały kreacje, które nie zabierają mnóstwa miejsca na ograniczonej przestrzeni. Cyklistki także potrzebowały strojów, które nie krępowały ruchów, stąd znacznie krótsze „sportowe”

gorsety. W głębi duszy Aurelia marzyła o tym, by w ogóle zrezygnować ze ściskania talii sznurówką.

*Gorset jest symbolem zniewolenia kobiety – pomyślała pewnego dnia. – To pancierz krępujący nasze ruchy, odbierający swobodę, wymuszający sztywne zachowania.*

Już wiedziała, że zrezygnuje z niego, nawet jeśli moda nadal będzie nakazywała krępowanie ciała. Po prostu obstalowując u krawca suknie na następne sezony, zwróci uwagę na to, by uszyto je luźniej. Zacznie stopniowo popuszczać troczki przy znieawidzonym elemencie bielizny i przyzwyczajając otoczenie do zmieniającej się sylwetki. A pewnego dnia po prostu ciśnie w ogień szatański wynalazek i znowu zacznie oddychać pełną piersią.

To był jej pogląd na damską garderobę. Ceniła upraszczanie form. Nie narzucała jednak swego stylu ubierania wychowance. Dlatego ciekawie nadstawiała uszu, kiedy przychodziła Klara bądź jej córki z opowieściami o tym, jakie sprawiły sobie kreacje. Musiała się czymś zainspirować, wybierając toalety balowe oraz „dorosłe” suknie dla Teodozji. Nie mogła przecież pozwolić, by jej podopieczna czuła się gorszą od innych panien. Nie szczędziła więc pieniędzy na krawca, szewca oraz modystę.

Przygotowania do balu ruszyły w domu Pod Lipami na dobre.

Teosia była zadowolona, że ciotka tak poważnie podeszła do kwestii jej debiutu towarzyskiego. Doceniała wysiłki Aurelii, choć nie okazywała tego jakoś szczególnie. Traktowała to jako sprawę oczywistą. Według niej Aurelia była jej to po prostu winna. Niby nie mogła niczego zarzucić swej opiekunce, ale jednak na dnie serca skrywała do niej głęboki żal. Podobnie jak Stanisław, uważała, że ciotka i jej tartak ponoszą odpowiedzialność za to, że w młodym wieku straciła rodziców.

A ciotka Klara tylko utwierdzała ją w tym przekonaniu, choć wprost nie wyrażała swoich opinii.

*Nikt nie rozumie mnie lepiej niż ona* – rozmyślała aspirująca panna.

Boguszowa zdawała się czytać w jej myślach. Teodozja często zwierzała jej się ze swoich rozterek. Klara zawsze słuchała jej z zainteresowaniem, a potem udzielała życzliwych rad albo pocieszała wtedy, kiedy było to konieczne. Nawet Zofia, jej najmłodsza córka, nie była tak bliska Teosi.

*Szkoda, że nie jest moją matką. A przynajmniej że to nie ona zajęła się mną po śmierci mamy. Lepiej by mi było w jej domu.*

Niby nie mogła nic konkretnego zarzucić Aurelii. Widziała, ile ciotka dokłada starań, by ich relacje układały się jak najlepiej. Nie była nadzwyczaj wymagająca ani surowa. Pannica skłaniałaby się raczej ku stwierdzeniu, że jest dość pobłażliwa. Ale ona miała na to swoje wytłumaczenie. Uważała, że łagodność ciotki wynika z wyrzutów sumienia.

– Dla niej i tak najważniejsza jest Beata – powiedziała pewnego dnia cioci Klarze, gdy gościła u niej z wizytą. Ponieważ zastała w domu tylko ją, nie omieszkała wykorzystać okazji do zwierzeń.

– To zrozumiałe, moja kochana. Przecież Beata jest jej córką. Ciebie ma jedynie pod opieką. Wiem, że jest ci przykro z tego powodu, zasługujesz na to, by dla kogoś być całym światem. Ale nie martw się. Niebawem czeka cię debiutancki bal. A później już zawsze będziesz uczestniczyła w rozrywkach zarezerwowanych dla dorosłych pannic. Dzięki temu na pewno rychło poznasz mężczyznę, który pokocha cię całym sercem i zechce się z tobą związać. A wtedy uwolnisz się spod ciotczynej kurateli.

– Nie mogę się doczekać – westchnęła dziewczyna.

– Tylko zapamiętaj dobrze moje słowa, Teosiu. Wiesz, że nikt nie jest ci równie przychylny co ja. Nigdy nie pozwól, by zawrócił ci w głowie pierwszy lepszy chłystek. Bo cóż ci z tego przyjdzie, że zabierze cię z domu Pod Lipami, jeśli nie będzie miał ci wiele do zaoferowania? Nie możesz sobie pozwolić na małżeństwo z byle kim. Panna w twojej sytuacji koniecznie musi zrobić dobrą partię! Powinnaś też uważać na łowców posagów.

– Och, ciociu! Gdyby to było takie proste! Ja nie wiem, jak mam się przed takimi ustrzec – przyznała pannica. – Ciotka Aurelia w ogóle ze mną nie mówi na ten temat.

– To zrozumiałe. Gdy była panną, na jej posag nikt nie czyhał, bo wyszła za mąż za mojego nieodżałowanego kuzyna jako nędzarka. A gdy kobieta ponownie zawiera małżeństwo, nie patrzy już na to, czy narzeczony dopatruje się w takim mariażu interesu, bowiem z reguły o to chodzi przy powtórnym zamążpójściu. W takim przypadku kobieta jest raczej szczęśliwą, że ktoś chce ją poślubić, by nie pozostawała po kres swoich dni we wdowim stanie – stwierdziła jadownicę Klara, choć jej ton nie zdradzał nawet śladu złośliwości. Ot, subtelnie rzucona uwaga! – Nie dziwię się więc, że nie przestrzega cię przed zagrożeniami, jakie czają się na młode, niewinne panienki. Doprawdy nigdy w życiu nie zrozumieję, czemu moja nieszczęsna siostra tak obstawała przy tym, aby to Aurelia wprowadzała cię w wielki świat. Opiekunka powinna czuwać nad tobą i chronić cię przed różnymi łajdakami, dla których najważniejszy jest twój posag. Moje dziecko! Pamiętaj, by przy wyborze męża zachować czujność i kierować się zdrowym rozsądkiem.

– Ech... Ciotka Aurelia nawet słowem o tym nie pisnęła. A raczej mówi coś zupełnie innego niż ty.

– A! To interesujące, moja droga. – Klara wbiła w nią zaintrygowane spojrzenie. – Co takiego kładzie ci ciotka do głowy?

– Ona uważa, że w życiu trzeba iść za głosem serca. Owszem, powinno się zachować rozsądek, ale małżeństwo należy zawierać, kierując się przede wszystkim uczuciami.

– Bzdury! – obruszyła się pani domu. – Nie słuchaj jej rad! Właśnie z tego powodu młode, niewinne dziewczęta padają ofiarą wyzyskiwaczy, którzy chcą tylko czerpać korzyści z ich posagów. Uleganie uczuciom jest nader nieodpowiedzialne i głupie. Wyobraź sobie, że twoje serce zacznie żywiej bić w obecności, powiedzmy, gubernera albo chłopca na posyłki. Jeśli nie zdusisz tego afektu w porę i ulegniesz porywom serca, w efekcie wylądujesz z mężem, który będzie biednym niedorajdą. A już nie daj Boże utracjuszem! Ktoś taki nie będzie w stanie zaspokoić twoich podstawowych potrzeb. Zamieszkaż w jakimś podupadającym niewielkim domu. Nie sprawisz sobie pięknych sukien, a o służbie będziesz mogła zapomnieć. Wyobrażasz sobie takie życie?

Klara zamilkła. Przypomniała sobie bowiem, że właśnie w takiej sytuacji znalazła się jej siostra, gdy poślubiła Dionizego. Wszak Emilia uległa zauroczeniu, a później przez całe życie była uzależniona od szczodrości Drzewickich. Boguszowa chętnie powiedziałaaby o tym Teodozji. Uporczywie trzymała się jednak zasady, by w oczach młodych Litworów nigdy nie stawiać w złym świetle ich zmarłych tragicznie rodziców. Wręcz starała się ich gloryfikować. Akurat w tym wypadku przykład Emilii byłby wyborny, lecz nie mogła się nim posłużyć.

Od wypadku w tartaku minęło już dziesięć długich lat. Domek, w którym niegdyś mieszkali Litworowie, wciąż stał tuż przy rozstajnych drogach. Aurelia starała się o niego dbać, by do reszty nie podupadł. Zleciła pomalowanie elewacji i wymianę

gontów na dachu. Regularnie palono w piecach, aby nie doszło do zawilgocenia pomieszczeń. Na tym jednak kończyła się jej troska o budynek. Kiedy Klara o to zagadnęła, Aurelia stwierdziła tylko, że utrzymuje dziedzictwo po Litworach w przyzwoitym stanie wyłącznie ze względu na dzieci. To oni będą mogli zdecydować o dalszych losach domostwa. Jeżeli młodzi zechcą, wyremontują budynek jak należy. Jeżeli uznają, że nie warto, każą go rozebrać i wybudują w tym miejscu nowy dom. Tak więc od lat jedyną osobą, która tam zaglądała, była służąca. Do jej obowiązków należało ogrzewanie domu, wietrzenie pomieszczeń, a od czasu do czasu wytrzepanie kurzu z pokrowców, którymi przykryto wszystkie meble. Aurelia nie wchodziła tam nigdy. Może bała się duchów? Niemniej jednak ten dom był realnym dowodem na to, że niefrasobliwie zawarte małżeństwo nie służy kobiecie.

– Z całą pewnością nie wyjdę za mąż za nędzarza. – Teodozja wyrwała Klarę z zadumy. – Na szczęście ciotka ustanowiła dla mnie wysoki posag. Myślę, że to pomoże mi w znalezieniu najlepszej partii. Wiem bowiem doskonale, że majątny dżentelmen przy zdrowych zmysłach nie ożeni się z byle nędzarką. Musiałby mieć nie po kolei w głowie, by porwać się na coś takiego – podsumowała jadownicę.

Klarę zaskoczyła przenikliwość tego dziewczęcia. Nie mówiąc wprost, Teosia podsumowała stan umysłu Jana z chwili, gdy oświadczał się Aurelii. Kobieta zdusiła uśmiech triumfu. Ziarno, które dawno temu posiała w sercu dziewczynki, wydawało właśnie plon.

– Słusznie. Pieniądze ciągną do pieniędzy. A nędzarze niech się żenią pomiędzy sobą – skwitowała.

***Rok 1908***

**Kraków**



W mieszkaniu Matyldy od samego rana trwały przygotowania do balu, którym Litworzanka miała zainauguować pierwszy w życiu karnawał. Do prześlicznej sali balowej Starego Teatru wybierali się wszyscy dorośli, dzieci miały zostać pod opieką bon. Od wczesnych godzin służące prasowały toalety wieczorowe pań, koszule oraz ubrania panów. Zamówiony na tę okoliczność fryzjer miał przyjść niebawem, wszak do uczesania były trzy kobiety. Z pobliskiej kwiaciarni już dostarczono zamówione wcześniej cieplarniane kwiaty, które miały zdobić Teosię.

Bohaterka dnia siedziała jak na szpilkach, zamartwiając się o to, czy nie wypadnie zbyt blado na tle innych debutantek oraz czy nie zostanie uznana za prowincjonalną gąskę. Bardzo żałowała, że nie ma przy niej cioci Klary albo przynajmniej którejś z kuzynek. One na pewno potrafiłyby rozwiać wszelkie wątpliwości. Aurelia powtarzała tylko, że wszystko będzie dobrze i Teodozja na pewno sobie poradzi. A nawet jeśli zdarzy jej się jakaś pomyłka, nie powinna się nią zanadto przejmować, nikt nie jest idealny.

– Nie martw się, Teosiu, przecież tańce masz doskonale wyćwiczone. Od lat uczyliście się ze Stasiem pod okiem pana Smolińskiego – wspomniała o nauczycielu tańca, który jeszcze do niedawna trzy razy w tygodniu przyjeżdżał do domu Pod Lipami, by uczyć młodzież walców, polek czy tradycyjnych mazurów. – Tańczyłaś także z wujami oraz z mężami kuzynek.

W przeciwieństwie do wielu innych pań Aurelia pozwalała podopiecznej, aby jeszcze przed oficjalnym debiutem w towarzystwie uczestniczyła w organizowanych w domu wieczorkach tanecznych. Zwykle z tej okazji zapraszała grono najbliższych osób: Juraszków oraz Boguszków z córkami i zięciami. Teodozja miała więc okazję, by popróbować swych sił

w tańcach. Radziła sobie świetnie, nie powinna więc obawiać się, że pomyli kroki podczas balu.

Gdy ciotka przestała na nią patrzeć, dziewczyna przewróciła oczami. Nie to było powodem jej troski! Żałowała, że nie potrafi na tyle panować nad emocjami, by nie zdradzać wyrazem twarzy czy jakimkolwiek zachowaniem swego zdenerwowania. W rzeczy samej powód do zmartwienia miała tylko jeden: czy pozna w karnawale mężczyznę, który będzie odpowiednim kandydatem na męża. I jak rozpozna, czy spełnia on wszystkie jej oczekiwania? Czy taki ktoś nie okaże się zwyczajnym blagierem, łowcą posagu albo, co chyba najgorsze, łamaczem dziewczęcych serc? Ciocia Klara na pewno potrafiłaby się w tym wszystkim rozeznać. Jej sokoli wzrok wyłowiłby z tłumu dżentelmenów godnych uwagi. Potrafiłaby zapewne również wytypować tych, od których aspirująca dama powinna się trzymać z daleka.

Konstancja z zachwytem przyglądała się przygotowaniom do balu. W domu matka z ojczymem często organizowali wieczorki taneczne, sami także bywali na balach w Domu Zdrojowym lub tańcach organizowanych przez okoliczną socjetę. Marzyła o chwili, gdy to dla niej zostaną uszyte prześliczne suknie, a jej włosy zostaną starannie ufryzowane i ozdobione kosztownymi cieplarnianymi kwiatami. Jakże chciałaby teraz znajdować się na miejscu Teodozji! Wiele by dała, by wokół niej było tyle przyjemnego zamętu, gonitwy z pończoszkami, gorsetem i suknią. Gdyby to ona mogła zmarszczyć rozkosznie nosek, wskazując pokojówce niewidoczną fałdkę na jedwabnym materiale.

Teodozja wzbudzała w Konstancji mieszane uczucia. Z jednej strony był to podziw i zachwyt, gdyż starsza od niej o kilka lat „kuzynka” sprawiała wrażenie bardzo dorosłej i światowej. Z drugiej strony trochę się jej bała, bowiem Teosia była nader

nieprzystępna i zblazowana, potrafiła być przy tym niemiła. Konstancja próbowała się z nią kiedyś zaprzyjaźnić, lecz dzieliła je zbyt duża różnica wieku, a to oznaczało zgoła odmienne zainteresowania oraz zabawy. Teosię ciągnęło zresztą do jej prawdziwych kuzynek, Boguszówien, choć były od niej starsze. Adamczykówna nie zauważyła jednak, by one traktowały Teosię choćby w połowie tak wyniośle, jak Teosia traktowała ją. Przeważnie więc wołała schodzić jej z drogi, ale tego dnia nie mogła się oprzeć pokusie i przyszła do pokoju, w którym młoda dama szykowana była na pierwszy bal.

Fryzjer właśnie kończył swe dzieło. Pokojówka zdjęła z ramion Teodozji pelerynkę. Ciocia Aurelia oraz mama stały obok, z zadowoleniem spoglądając na pannicę.

– Wyglądasz jak księżniczka – stwierdziła zachwycona Konstancja.

– Ach, bo dzisiaj Teosia jest księżniczką – odparła Drzewicka-Rapacz, a następnie zwróciła się do podopiecznej. – Ślicznie! Zawojujesz świat. Wyglądasz tak delikatnie i niewinnie, że zachwyceni panowie będą na wyścigi wpisywać się do twojego karnetu.

– Mamusiu, ja też bym tak chciała – westchnęła dwunastolatka, łapiąc Matyldę pod łokieć.

– Musisz jeszcze trochę poczekać, moje kociątko. Ale jak skończysz osiemnaście lat, też wyprawimy cię na pierwszy bal tutaj, w Krakowie.

– Nie mogę się doczekać!

Bohaterka wieczoru nie podzielała tych wszystkich zachwyty. Miała na sobie białą jedwabną suknię, w której sama sobie wydawała się wręcz trupio blada. Oczywiście Teosia wiedziała, że jasna twarz jest pożądana, lecz uważała, że barwa debiutanckiej toalety jest dla niej wyjątkowo niekorzystna. I

nieważne, że ciotka Aurelia pozwoliła jej na wybranie fasonu, skoro przy kolorze reguły były sztywne.

Konstancja nie podzielała opinii Teodozji. Z zachwytem przypatrywała się ślicznej kreacji z niezbyt dużym dekoltem i gorsem ozdobionym uroczym haftem oraz kokardą. Dół sukni był dość wąski, dzięki czemu pannica wyglądała niezwykle smukło, a spódnicę uszyto z kilku falbaniastych warstw.

– Wyglądasz jak grecka bogini – oświadczyła kuzynce. Dla niej bowiem Teosia była kuzynką, nieważne, że przyszywaną.

Sala balowa w Starym Teatrze była piękna, lecz nader duszna. Natłok osób zgromadzonych na tańcach sprawiał, że po ścianach spływała wilgoć. Teosia była skrajnie rozczarowana. Czekala z tak wielkim utęsknieniem na karnawał, a tymczasem okazało się, że nic nie idzie po jej myśli. Karnecik służący do wpisywania partnerów do tańca w rzeczywistości nie należał do niej. Cóż to bowiem za własność, w której wpisy może wykonywać każdy, kto ma na to ochotę, a jej nie wolno protestować?

A tak pięknie wszystko się zapowiadało!

Podjechali dorożką na miejsce i pospiesznie przeszli do obszernego hallu wypełnionego stoiskami z kwiatami. Ich zapach był tak intensywny, że przywodził na myśl cieplarnię. Teosię wręcz zaczął dusić i przyprawiać o zawroty głowy, aż się wystraszyła, czy nie padnie za chwilę zemdłona, gdyż wyjątkowo mocno zasznurowany gorset nie pozwalał na to, by głębiej odetchnęła.

Rapaczowie i Juraszkowie prędko ruszyli dalej. Na półpiętrze panowie okazali zaproszenia i uiścili opłaty. Tam panie zostały obdarowane kwiatami, a zainteresowani danserzy zaczęli rezerwować tańce. No i właśnie wtedy nastąpiła pierwsza nieprzyjemność, bowiem na inauguracyjnego poloneza do

karnetu Teosi wpisał się opasły mężczyzna, na oko trzydziestoletni, czerwony na twarzy i niezgrabny w ruchach.

Tego dnia bal odbywał się pod protektoratem pani namiestnikowej Andrzejowej Potockiej z Krzeszowic\*\*\*\*\* i to ona stanęła w pierwszej parze wraz ze swoim mężem. Do tego tańca zgłosiło się niewielu ochotników, więc Teosia czuła na sobie dziesiątki par oczu i była zawstydzona tak nieatrakcyjnym towarzyszem. Całe szczęście, że nie musiała bezpośrednio dotykać jego dłoni, gdyż na pewno była spocona. Zgodnie z utartym zwyczajem mężczyzna nosił białe rękawiczki. Hm... Powiedzmy, że białe.

A później przyszły kolejne tańce: walce, polki, mazury. Nowi danserzy, wymyślne figury, kroki, które trzeba było stawiać pewnie i bez namysłu. Teosię zaczynało mdlić od nadmiaru wrażeń, niekoniecznie pokrywających się z jej wcześniejszymi wyobrażeniami. Ona bowiem, nim zderzyła się z rzeczywistością, imaginowała sobie, jak spośród licznie przybyłych debiutantek wyławia ją czujne oko księcia z bajki. Rosły, przystojny mężczyzna o harmonijnych rysach twarzy, mocno zarysowanej żuchwie i starannie przystrzyżonych wąsach odziany jest w doskonale skrojony frak, spod którego mankietów połyskują wysadzone brylantami spinki koszuli tak sztywnie wykrochmalonej, że można by ją postawić na baczność. Wywołujący zbiorowe westchnienia dżentelmen kłania się przed Teodozją, po czym tańczą razem walca, wzbudzając powszechny zachwyt i podziw. A potem, niczym w baśni o Kopciuszku, tańczy już tylko z nią, nie oglądając się na inne panny.

Tymczasem ją, niczym stado sępów, opadli panowie, którzy od razu zostali przez nią sklasyfikowani jako całkowicie nieatrakcyjni. Niejeden z nich był spocony, chuchał nieprzyjemnym oddechem, miał niepiękną twarz lub posturę

tak niezgrabną, że przywodził na myśl niedźwiedzia. W tańcu poruszali się ciężko, deptali po jej pantofelkach oraz następowali na brzeg sukni. To ściskali ją zbyt mocno, to trzymali ją tak niepewnie jak cacko z kruchej saskiej porcelany. W pierwszym przypadku obawiała się siniaków pozostawionych na swym ciele. W drugim, że partner nie zapewni jej dostatecznego oparcia, a w rezultacie przewrócą się, wywołując skandal, jak zdarzyło się jednej z debiutantek. Niektórzy kawalerowie odziani byli w wyświechtane fraki, których tkanina wyglądała na mocno zużytą i wręcz błyszcząca w blasku światła. Tacy zazwyczaj nosili nieświeże koszule i nie pamiętali o tym, by wymieniać kołnierzyki po bardziej skomplikowanych i żywiołowych tańcach. Ich niestarannie ostrzyżone włosy stroszyły się mimo brylantyny. Mimo pozorów elegancji wyglądali w rzeczy samej nędznie. Ci oblegali Teosię najbardziej ochoczo.

Ciotka Matylda, najmocniej spośród bliskich Teosi obeznana z krakowskimi zwyczajami karnawałowymi, napomknęła jedynie, że tacy panowie każdego sezonu pilnie rozglądają się za żonami, licząc na to, że wśród nieopierzonych debiutantek upolują ofiarę. Zapewne to byli owi słynni łowcy posagów, o których tyle naopowiadała jej ciotka Klara oraz kuzynki.

Teodozja szybko nauczyła się odróżniać dżentelmenów od łachmytów.

Pierwsi nie kwapili się równie ochoczo do tańców z debiutantkami. W sferze ich zainteresowań były raczej kobiety zameżne albo, o zgrozo, kokoty. Jedynie od czasu do czasu któryś z nich wyłuskiwał z tłumu jakąś atrakcyjną pannę, by zatańczyć z nią jednego walca czy mazura. A potem odprowadzał dziewczę na kanapę pod opiekę rodziców, nie zadając sobie trudu, by dotrzymać jej towarzystwa choćby jeszcze przez chwilę. Później znikali za drzwiami

prowadzącymi do pokojów, w których mężczyźni mieli urządzone palarnie i gdzie mogli w spokoju popijać trunki. Niektórzy ostentacyjnie stali pod ścianami, lustrując tańczących.

Drudzy polowali na naiwne panienki, które miały zapewnić im majątek w postaci posagu. Zdawali się niestrudzeni w tańcu, choć wcale nie byli mistrzami w tej dziedzinie. Owszem, pojawiali się tacy, którzy mieli piękną powierzchowność i poruszali się lekko. Ale cóż z tego, gdy czujne oko panienki od razu wyłapywało nicowane ubrania, podniszczone lakierki bądź koszulę z bawełny o lichej jakości.

Teosia błogosławiła w duchu ciotkę Klarę, która nauczyła ją, by zwracała uwagę na takie szczegóły. Wszak nie zamierzała wydać się za mąż za pierwszego lepszego biedaka! Chciwym okiem poszukiwała prawdziwych dżentelmenów, dobrze ubranych, wyglądających na zamożnych. Przypatrywała się dłoniom, na których połyskiwały pierścienie. Szukała subtelnych oznak bogactwa. Ale jak rozróżnić, czy szpilka wbita w krawat jest wysadzana prawdziwymi brylantami czy zwykłymi szkiełkami mającymi je imitować?

Po kilku balach Teosia dostrzegła pewną prawidłowość. Na ustach zamożniejszych mężczyzn nader często gościły cyniczne uśmiechy. Widać było w zachowaniu takich panów znaczną nonszalancję. Nie zabiegali jakoś szczególnie o względy pań. Stanowili raczej obserwatorów.

Cóż, nawet dla Teodozji było rzeczą oczywistą, że zamożny mężczyzna nie poszuka sobie Kopciuszka. Takie rzeczy zdarzały się wyłącznie w baśniach. Ale właśnie takiego mężczyzny chciała dla siebie. Nawet najmiłszy i najprzystojniejszy kawaler nie byłby w stanie pobudzić jej serca do żywszego bicia, gdyby tylko dostrzegła, że jego ubranie nie jest uszyte z najlepszej

jakości materiału. Miała do tego oko, co oczywiście nie było zasługą ciotki Aurelii, lecz Klary.

Jeszcze mocniej żałowała, że nie ma przy sobie Boguszowej. Ta na pewno potrafiłaby zwrócić jej uwagę na odpowiednich kawalerów, by była im miłszą. Kto wie, może nawet podpowiedziałyby, jak Teodozja powinna postępować, by przyciągnąć zainteresowanie konkretnych osób. Oczywiście jeszcze w Krynicy ciotka udzielała mnóstwa życzliwych porad, które panna starała się jak najpilniej zapamiętywać. Ale co innego teoria, a co innego praktyka.

Drzewicka-Rapacz zdawała się uszczęśliwiona za każdym razem, gdy Teodozję proszono do tańca. Tak jakby nie miało dla niej znaczenia, czy mężczyzna zainteresowany jej podopieczną jest majętny, czy też nie. Teosia szybko skonstatowała, że ciotka daje się łapać na lep przymilnych słówek oraz że w jej oczach uznanie zyskują panowie, którzy potrafią prowadzić z nią układną pogawędkę.

*Och! – wzdychała w duchu pannica. – Ona naprawdę chce mnie wydać za mąż za pierwszego lepszego. Ciocia Klara miała całkowitą rację. Jestem zdana sama na siebie. Dla Aurelii stanowią tylko problem. Chciałaby się mnie pewnie pozbyć z domu.*

Tańcząc z jeszcze jednym mężczyzną, który nie wzbudzał ani grama jej zainteresowania, marzyła o powrocie do Krynicy. Pragnęła, aby karnawał jak najszybciej dobiegł końca. Z zazdrością spoglądała na ciotki Aurelię oraz Matyldę, oblegane przez dżentelmenów. Żadna z nich nie narzekała na brak partnerów do tańca i, co ciekawe, potrafiły dyplomatycznie wybrnąć, gdy prosił je na parkiet ktoś, kto nie wydawał im się tego godny. Jaki sekret posiadały, że żadna z nich ani razu nie zatańczyła z ociężałym, cuchnącym potem danserem? Świeciły triumfy w ramionach najprzystojniejszych mężczyzn. Takich,



którzy powinni zwracać uwagę na świeżość Teosi, a nie na ich lekko przywiedle policzki.

A może winne temu były okropnie nudne stroje?

Teodozja nosiła jasne suknie: delikatne, dziewicze, niemalże pozbawione ozdób. Za całą dekorację musiała jej wystarczać wstążka zawiązana na szyi bądź kwiaty przyczepione do stanika oraz wpięte we włosy.

Obydwie ciotki błyszczały. Ich toalety mieniły się przepychem soczystych barw.

Tego wieczoru Aurelia miała na sobie bordową suknię wykończoną czarną koronką. Do tego dobrała garnitur biżuterii wysadzanej rubinami. Tiara połyskująca w jej włosach sprawiała, że ciotka wyglądała niczym królowa. Matyllda dla odmiany wybrała suknię ciemnoniebieską, podkreślającą kolor jej oczu, a do niej brylanty.

Kiedy Teosia poprosiła, by pozwolono jej włożyć jakieś klejnoty po mamie, Aurelia zaprotestowała, twierdząc, że na to ma jeszcze czas. Zresztą cóż za klejnoty zostały po nieszczęsnej Emilii? Sznurek pereł oraz jeden skromny wisiołek z szafirów, zawieszony na delikatnym złotym łańcuszku. Kiedyś te drobiazgi wzbudzały zachwyty Teosi, ale wówczas była małą dziewczynką i nie mogła się doczekać, gdy będzie mogła ich używać. Na razie wciąż spoczywały w sejfie w domu Pod Lipami, ponieważ Matyllda uznała, że nawet one są nieodpowiednie dla młodziutkiej panienki, a Aurelia oczywiście musiała jej posłuchać!

Nic więc dziwnego, że dżentelmeni oblegali stateczne mężatki lub kokoty znienawidzone przez wszystkie przyzwoite damy. To one przyciągały wzrok. Debiutantki wyglądały niczym stado duchów: blade, bezbarwne, pozbawione blasku.

*Mężczyzna, jaki mi się marzy, nigdy w życiu nie okaże zainteresowania, jeśli będę wyglądała tak smętnie – pomyślała*

dziewczyna. Oceniała, że ten sezon musi spisać na straty. Stanie jednak na głowie, by przekonać ciotkę, aby na następny karnawał sprawiła jej suknie w ładnych żywych kolorach, które podkreślą piękną karnację i przepych ciemnych włosów. Potrzebowała barw, by przyciągać uwagę. Nie obchodziło jej, czy wywoła tym samym skandal.

Żałowała bardzo, że nikt nie chce jej objaśnić, kim są tajemnicze kokoty, które panie omijały szerokim łukiem, jakby się bały, że samo otarcie się o nie strojem przyniesie im hańbę. To słowo wymawiano szeptem za zasłoną wachlarzy. Musiało więc być w nim coś nader wstydliwego. Tylko co, skoro owe panie nosiły najpiękniejsze suknie i fryzury, a ich klejnoty wabiły wzrok niepowtarzalnym blaskiem bogactwa?

Aurelia przyglądała się podopiecznej. Odnosiła wrażenie, że dziewczyna źle się bawi. A tak bardzo zależało jej na tym, aby sprawić przyjemność Teodozji. Myślała, że zabierając ją do Krakowa, rozerwie choć trochę wiecznie znudzoną pannicę. Przecież jej wychowanka bardzo oczekiwała na swój pierwszy karnawał, tymczasem minę miała taką, jakby marzyła wyłącznie o powrocie do domu.

A może to tylko złudzenie?

Może sprawiała jedynie wrażenie zblazowanej, a w głębi duszy cieszyła się dobrą zabawą?

*Nie – stwierdziła po krótkim namyśle. – Tak nie wyglądają osoby, które są zadowolone. Czyżby ktoś sprawił jej przykrość?*

Postanowiła zapytać o to Teodozję, gdy zakończy walca.

\$

– Jego ubranie czuć było naftaliną – skwitowała krótko, gdy ciotka zagadnęła ją o powód niezadowolenia.

– Ach! Nic na to nie poradzę. Widać jego służba nie wie o tym, że ubrania przed molami równie dobrze chroni lawenda. Ta

przynajmniej ma ładniejszy zapach.

Panienka zmarszczyła nos. Zapachu lawendy także nie cierpiała.

– Chciałabym już wrócić do domu – oznajmiła.

– Teraz? Przecież bal będzie jeszcze trwał ładnych parę godzin. Nie żal ci tańców? – Spojrzała wymownie na karnecik zawieszony na nadgarstku dziewczyny. Nawet stąd dostrzegła, że jest dość gęsto zapisany. Teodozja z całą pewnością miała jeszcze mnóstwo zamówień. – Kochanie, nie wypada, abyśmy wychodziły wcześniej, jeżeli nie ma ku temu istotnych powodów. Ci wszyscy panowie, którzy są tutaj zanotowani – wskazała maleńki notesik – byliby zawiedzeni, nie mogąc z tobą zatańczyć. Wystawianie ich do wiatru bardzo źle by o tobie świadczyło.

– Kiedy ja już mam dość tych wszystkich kołków w płocie, wciąż deptających mi po stopach lub następujących na suknię. Mam dość ich sapania i ciężkich oddechów. Nie tak to sobie wyobrażałam – stwierdziła.

– Ależ Teosiu – wtrąciła się Matylda. – Myślisz, że w Krynicy, we Lwowie czy choćby nawet w Wiedniu wyglądałoby to inaczej? Wszystkie bale rządzą się tymi samymi prawami.

– Nie przypuszczam. Zapewne na dworze Habsburgów jest elegancko. Tam raczej nie spotkałabym dżentelmena – nadała temu słowu cyniczne brzmienie – w nieświeżym kołnierzyku.

– Nie wątpię, ale zważ na to, że mimo wszystko dla nas to zbyt wysokie progi. Choćbyśmy nawet dostały się na bal na cesarskim dworze, weź poprawkę na jedno: nadal musiałabyś tańczyć z absolutnie każdym mężczyzną, który wpisałby się do twojego karnetu. I wcale nie miałabyś gwarancji, że nie będą ci przydeptywać stóp albo na ciebie chuchać.

– Wiem, że jesteś zmęczona – dodała Aurelia. – Niestety nie wypada, abyśmy stąd wychodziły – powtórzyła. – Musisz

wytrzymać, aż bal dobiegnie końca. Jeśli jednak nie chcesz więcej tańczyć, obiecuję ci, że rychło wrócimy do Krynicy.

W jej głosie słysząc było żal. Sama bowiem bardzo dobrze się bawiła i chętnie zostałaaby w mieście do końca karnawału. Od dłuższego czasu obserwowała u podopiecznej niezadowolenie. Trzymanie Teodozji w Krakowie na siłę byłoby pozbawione sensu. Mimo zainteresowania panią ze strony kilku kawalerów nie zanosilo się na zaręczyny. Teodozja zrażała skutecznie wszystkich potencjalnych starających się o jej względy. Kręciła nosem na zalotników. Być może czekała na księcia z bajki, ponieważ w każdym młodym człowieku, który zwrócił na nią uwagę, dostrzegała wyłącznie wady. Najczęściej wymienianą był niestety stan majątkowy, który oceniała na podstawie prezencji kawalera. Aurelii było nieco przykro z tego powodu. Wolałaby, aby jej wychowawca nie była tak wyrachowana jak jej matka. I żeby dopuszczała do głosu nie tylko rozum, ale również serce.

Do pań stojących pod palmą podszedł młodzieniec, który wpisany był na następny taniec z Teosią. Para oddaliła się na parkiet. Przez chwilę Matylda i Aurelia w milczeniu spoglądały za nimi.

– Kaprysi – skwitowała Matylda.

– Możliwe, ale poniekąd ją rozumiem. Wydaje mi się, że przed karnawałem narobiła sobie jakichś wygórowanych oczekiwań i teraz jest rozczarowana. Zapewne spodziewała się, że podczas debiutu towarzyskiego pozna księcia z bajki, który od razu padnie do jej stóp. Będzie nie tylko młody i przystojny, ale również bajecznie bogaty.

– Przede wszystkim bajecznie bogaty – zauważyła Matylda.

Osobiście uważała, że Teodozja jest zblazowaną pannicą o wybujałych aspiracjach. Podziwiała cierpliwość przyjaciółki.

Sama prawdopodobnie już dawno rozszarpałyby dziewczynę na strzępy, gdyby musiała na każdym kroku znosić jej fochy.

Aurelia miała szczere chęci, by spełnić swą obietnicę i wrócić do Krynicy na długo przed końcem karnawału. Jedyna przyjemność, z jakiej nie zamierzała zrezygnować, to spektakl w Teatrze Miejskim\*\*\*\*\*. Odkąd usłyszała, że Ludwik Solksi\*\*\*\*\*, którego miała przyjemność gościć w domu Pod Lipami, został dyrektorem tej instytucji, pragnęła zobaczyć choć jeden wystawiany tam spektakl. Najlepiej z samym Ludwikiem w roli głównej, bowiem słynął on z ogromnego talentu, któremu już niejednokrotnie dawał wyraz na deskach Teatru Modrzewiowego w Krynicy. Szczególnie wybornie wypadł w roli Starego Wiarusa ze sztuki *Warszawianka* autorstwa Stanisława Wyspiańskiego. Aurelia nigdy więcej nie widziała aktora, który odgrywałby niemą postać z taką maestrią. Filip żartował sobie z Solskiego, że przynajmniej nie musiał wkuwać na pamięć tekstu, ale w rzeczywistości także pozostawał pod ogromnym wrażeniem jego osobowości, dowcipu oraz charyzmy.

Niestety tak się nieszczęśliwie złożyło, że tego dnia, gdy Rapaczowie mieli wykupioną na wieczór lożę w teatrze, Aurelię zmogło przeziębienie.

– A może ty pójdziesz z Witalisem, Matysiu? – zaproponowała przyjaciółce, gdyż żal jej było biletów, które mogłyby przepaść. O tym, by sama tam poszła, w ogóle nie było mowy.

Matyldzie jednak nie w głowie były rozrywki. Akurat przypadała rocznica śmierci jej matki. Ponadto nie wyobrażała sobie, że miałyby oddawać się rozrywkom, w czasie gdy przyjaciółka leży w łóżku i pociąga nosem.

– Nie, kochana! Nie ma mowy, zostanę tutaj z tobą. Do teatru możemy wysłać naszych panów. Twoja podopieczna oraz Filip i

tak mieli pójść na sztukę, a jeśli wezmą ze sobą Witalisa, nie zmarnuje się bilet. Szkoda by go było, sama wiesz, że w karnawale wszyscy chcą się dobrze bawić, więc teatr także przeżywa istne oblężenie.

– Właściwie to nie najgorszy pomysł. Teosia lubi oglądać sztuki. Myślę, że Filip i Witalis będą dla niej odpowiednim towarzystwem, choć oczywiście lepiej byłoby, gdyby poszła z nią także kobieta.

Wieść o tym, że będzie w teatrze tylko z wujkami, Teodozja przyjęła z typowym dla siebie spokojem. Była mistrzynią w nieokazywaniu emocji. W przeciwieństwie do wybuchowego brata, którego trudno było czasami poskromić, ona zwykle zachowywała się powściągliwie. Aczkolwiek nader często zdarzało się, że rzucała uwagi, które nie powinny padać z ust młodej damy.

Aurelia z przykrością zauważała coraz większe podobieństwo swej podopiecznej do Emilii. Martwiła się tym, ponieważ żywiła nadzieję, że pod jej troskliwym okiem dziewczyna wyrośnie na kogoś zupełnie innego. Tymczasem górę brały te cechy charakteru, których tak bardzo nie lubiła u jej matki. Nic jednak nie mogła z tym fantem zrobić. Nie pomagały łagodność, troska i czułość. A krzykami nie chciała niczego egzekwować. Intuicja podpowiadała bowiem Aurelii, że to spowodowałoby jeszcze większy bunt ze strony pannicy.

Znudzona Teodozja snuła się po domu. Ciotki siedziały razem w sypialni zajmowanej przez chorą. Panowie zamknęli się w gabinecie. Ze szczeliny pod drzwiami dolatywał zapach cygar. Był to znak, że nie należy im przeszkadzać. Młodsze dzieci bawiły się pod opieką niani, a Konstancja siedziała w salonie i z zapalem coś haftowała.

Teosia przewróciła oczami. Niezrozumiałe! *Jak można znajdować przyjemność w dźganiu igłą w materiał naciągnięty na tamborek?* To była jedna z nielicznych kwestii, w których zgadzała się z ciotką Aurelią. Robótki ręczne były nudne!

Na szczęście Drzewicka-Rapacz nigdy nie zmuszała jej do tego, by się nimi zajmowała. I to była chyba największa zaleta ciotki.

Do podwieczorku zostało jeszcze sporo czasu, lecz Teosia poczuła nieodpartą chęć zjedzenia czegoś słodkiego. Pomyślała, że zajrzy do kuchni i zażąda kawałka ciasta. Była dorosła, więc już nikt nie miał prawa stawiać jej ograniczeń dotyczących diety. Kątem oka dostrzegła w służbówce pokojówkę zajętą prasowaniem. Akurat w momencie, kiedy przechodziła tamtędy Teosia, Michalina sięgała po najpiękniejszą suknię balową Aurelii. Była to wspaniała wiśniowa toaleta ozdobiona czarnymi koronkami.

*W takiej kreacji na pewno wyglądałabym przepięknie i wzbudziłabym zachwyt niejednego dżentelmena* – pomyślała dziewczyna.

Spoglądała pożądliwie na delikatnie połyskujący jedwab. Ciotka była tego samego wzrostu co ona, choć nie miała aż tak smukłej talii. Ale gdyby Teodozja ścisnęła sznurówkę w gorsecie nieco lżej niż zazwyczaj, to zapewne suknia nie wisiałaby na niej jak na strachu na wróble.

W głowie pannicy momentalnie zrodził się chytry plan. Zamiast do kuchni weszła do służbówki.

– Jak już skończysz prasowanie tej sukni, zanieś ją do mojego pokoju – powiedziała do służącej tonem nieznoszącym sprzeciwu.

– Oczywiście, panienko – odparła skwapliwie Michalina.

Służąca nie miała pojęcia, do kogo należy toaleta. Kazali prać i prasować, to prała i prasowała. Kazali zanieść do pokoju, zanosila. Wypełniała rozkazy bez szemrania.

Teosia zdusiła uśmiech triumfu. A potem poszła do kuchni i poprosiła o porcję bezy z bitą śmietaną.

Żywiła nadzieję, że ciotki będą zbyt zajęte sobą, by zwracać uwagę na to, co Teosia włoży wieczorem do teatru. Wujowie natomiast w ogóle nie znali się na damskich strojach. A przynajmniej mieli o nich zaledwie mgliste pojęcie. Teodozja nie przypuszczała, by się orientowali, że panience w jej wieku nie wypada wkładać sukien w tak żywych barwach. Ona miała za nic ten zwyczaj. Ciekawa była, czy w pięknej, przyciągającej wzrok toalecie zwróci na siebie uwagę jakiegoś atrakcyjnego dżentelmena. Takiego, który podczas balu zaledwie obrzucił ją znudzonym spojrzeniem.

Pomyślała, że w razie czego na czas układania włosów włoży tę suknię, w której teoretycznie powinna pójść do teatru. A później, tuż przed wyjściem, po prostu zmieni ją na kreację ciotki. Najpierw jednak pójdzie do pokoju Aurelii, by słodkim głosem życzyć jej spokojnego wieczoru. Potem musi tylko zadbać o to, by starannie zasłonić suknię płaszczem podbitym futrem, choć wątpiła, by wujowie zwrócili na nią uwagę. Niewielki niepokój wzbudzała myśl, że wuj Filip może rozpoznać suknię swej żony. Miała nadzieję, że nie dojdzie do tego wcześniej niż dopiero w foyer teatru. A wtedy będzie już za późno na powrót do mieszkania.

W westybulu było niezwykle tłoczno, gdy Teosia z towarzyszącymi jej wujkami dotarła na miejsce. Wokół niemalże roiło się od przepysznie ubranych pań oraz eleganckich mężczyzn. Wśród barwnych wieczorowych sukien widać było również jasne kreacje młodych panien. Teodozja z ogromnym zadowoleniem pozwoliła, by wuj Filip zdjął okrycie wierzchnie z jej ramion.



Mężczyzna od razu odwrócił się, żeby odnieść płaszcz do szatni. W pierwszej chwili nie zwrócił więc uwagi na podopieczną. Dopiero kiedy wrócił, zmarszczył brwi. Coś mocno mu się nie zgadzało w wizerunku dziewczyny. Nie był wielkim znawcą mody, lecz skojarzył, że Teodozja ubrana jest w strój, który Aurelia nosiła podczas ostatniego balu. Dobrze zapamiętał ten fatalasek, ponieważ ukochana wyglądała w nim nader uroczo i przyciągała spojrzenia wielu dżentelmenów. Nazajutrz jej kreacja została szeroko opisana w rubryce towarzyskiej bardzo poczytnego dziennika i towarzyszyły temu liczne zachwyty, które ucieszyły małżonkę. Aurelia bowiem sama przyznawała się do tego, że z modą bywa raczej na bakier i przy wyborze ubrań chętnie korzysta z podpowiedzi przyjaciółki. O wiele łatwiej przychodziło jej doradzanie w tych kwestiach Witalisowi, gdy ten jeszcze był kawalerem.

Ponieważ w tłumie amatorów sztuk teatralnych nie wypadało robić sceny, delikatnie ujął pannę za łokieć, nachylił się nad jej uchem i wyszeptał:

– Możesz mi wyjaśnić, dlaczego masz na sobie suknię mojej żony?

– Ciocia pozwoliła mi ją włożyć – skłamała gładko aspirująca dama.

Dziewczyna z ogromnym zadowoleniem stwierdziła, że skutecznie przyciągnęła uwagę zgromadzonych. Ukłoniło jej się kilku mężczyzn, których spotkała na ostatnim balu. Tamtego wieczoru nie okazywali jej zainteresowania, teraz nawet nie kryli się z tym, że lustrują ją wzrokiem. Przyglądały się jej również damy. Kilka z nich musiało ją zapamiętać z tańców w Starym Teatrze. Na pewno mówiono na jej temat. Teodozja zauważała rozkładane pospiesznie wachlarze, za którymi kobiety kryły dolną część twarzy po to, aby dyskretnie

powiedzieć coś do towarzyszących im osób. Litworzanka momentalnie znalazła się pod ostrzałem spojrzeń zgromadzonego w foyer towarzystwa. Już po chwili opuściło ją uczucie triumfu. Nie do końca była pewna, czy o taką uwagę jej chodzi, bo o ile w oczach mężczyzn pojawiło się zainteresowanie, ba! – nawet zachwyt, to panie spoglądały na nią z wyraźną niechęcią. Przez obszerne pomieszczenie przeszedł szmer pełnych ekscytacji szeptów.

Dostrzegli to również jej wujowie.

Witalis był wyraźnie skonfundowany, choć on nie wiedział, co jest przyczyną tego, że Teosia zwraca znaczną uwagę. Nie orientował się jeszcze aż tak bardzo w salonowych niuansach. Córki Matyldy były zdecydowanie zbyt młode na to, by wyprawiać je w wielki świat, więc na razie w domu tego tematu praktycznie nie poruszano.

Filip, którego matka była dobrze urodzoną damą, prócz brata Makarego miał jeszcze dwie siostry. Doskonale pamiętał okres, kiedy panienki były wprowadzane pomiędzy elity. Momentalnie poczuł, jak robi mu się gorąco. Ścisnął mocniej łokieć podopiecznej.

– Nie wierzę, że Aurelia wyraziła na to zgodę. Co ty najlepszego narobiłaś, dziewczyno? Co cię opętało? Nie widzisz, jak wszyscy się na ciebie patrzą? Wywołałaś zgorszenie u dam. Czy to miałaś na celu?

Teosi bodajże pierwszy raz w życiu zabrakło słów. Zdała sobie bowiem sprawę, że jednak narozrabiała. Teraz najchętniej wycofałaby się rakiem. Tylko jak tego dokonać, by nie wzbudzić jeszcze większej sensacji? Jedyne, co mogła zrobić, to nadrabiać miną.

– To oczywiste, wuju, że patrzą. Dla nich jestem nowością.

– Rzekłbym raczej, że pożywką dla plotek. Czyż ciotki i babcia nie kładły ci w głowę, jak powinna wyglądać młoda debiutująca

panna? Nawet ja to wiem, choć jestem mężczyzną.

– Ależ wuju! Przecież to tylko suknia. – Wzruszyła ramionami, bagatelizując problem.

W tym samym momencie zabrzmiał dzwonek wzywający widzów, by zajęli miejsca. Filip zawahał się chwilę, czy nie powinien skorzystać z zamieszania i wrócić do domu. Uznał jednak, że mleko już się rozlało. Skoro Teodozja wystąpiła w kreacji zarezerwowanej dla mężatek i widziało ją w niej mnóstwo osób, nie wypadało chyba zmykać z teatru chyłkiem. Może lepiej się stanie, jeżeli będą udawali, że nic wielkiego się nie wydarzyło?

Zdecydowanym krokiem ruszył w stronę łoży. Przez cały spektakl siedział jednak jak na szpilkach. Zauważył bowiem, że ich łoża przyciąga uwagę i wciąż są lornetowani. Wyjątkowo bardziej od spektaklu widzów zajmowała toaleta Teodozji. Nawet bohaterka wieczoru musiała odczuwać zmęczenie nagłym zainteresowaniem, chociaż przez cały czas robiła dobrą minę do złej gry. Widział, jak drżą jej dłonie ściskające wachlarz. Na pewno było jej nieprzyjemnie pod ostrzałem spojrzeń. Nie potrafił jednak żałować jej ani jej współczuć. Miała to na własne życzenie.

Martwił się tylko, czy postępowanie Teodozji nie wpłynie negatywnie na ich pozycję towarzyską. I czy echo plotek nie dotrze przypadkiem do Krynicy. Byłoby to niewskazane. Aurelia na pewno odczułaby wielką przykrość z tego powodu. Felicjta także byłaby zmartwiona. Bardzo żałował, że nie przyjrzał się uważniej podopiecznej, kiedy wychodzili z mieszkania. Ale wtedy nawet przez myśl mu nie przeszło, że może wpaść na tak niemądry pomysł.

Teodozja miała już szczerze dość połajanek, których musiała wysłuchiwać od kilku dni. Sprawa sukni balowej została

bowiem rozdmuchana do niebotycznych rozmiarów. Wuj Filip nie omieszkał opowiedzieć żonie o skandalu wywołanym przez podopieczną, a ta oczywiście musiała wylać żale przed Matyldą. Ciotki nie szczędziły pannicy gorzkich słów. Aurelia była zła nie tylko dlatego, że wychowanka odważyła się wziąć jej rzecz bez pozwolenia oraz że padła żerem plotkarzy, a jej kreacja trafiła na łamy rubryki plotkarskiej w popularnym dzienniku, ale przede wszystkim z powodu kłamstwa.

Drzewicka-Rapacz, gdy już zmyła pannicy głowę za najcięższą przewinę, wciąż rozpaczała nad popsutą reputacją dziewczyny.

– Jak mogłaś to zrobić? – Załamywała ręce następnego dnia zaraz z rana, gdy przeczytała nieszczęsny artykuł krytykujący zbyt odważną toaletę panienki na wydaniu. – Samą siebie odarłaś z niewinności.

– Chciałam zwrócić na siebie uwagę dżentelmenów. Zauważyłam bowiem na balu, że nie zważają na tak mdłe ósóbki jak ja. Najatrakcyjniejsi panowie tańczyli przede wszystkim z kobietami, które ubrane były ładnie i kolorowo, a nie w nudne jasne sukienki.

– Och... Teosiu! Przecież mnóstwo razy ci tłumaczyłam, że dziewczynie o twojej pozycji nie wypada inaczej. Gdy wyjdiesz za mąż, będziesz mogła nosić takie kreacje, jakie tylko zechcesz, ale dopóki jesteś panną, musisz się dostosować do ogólnie przyjętych zasad.

– Kiedy mnie te zasady wcale się nie podobają. – Zbuntowana pannica prychnęła. – Nie wiem w ogóle, kto to wymyślił?

– Ktokolwiek to zrobił, miał rację. Młoda panna ma wyglądać niewinnie. Wiedz, że to utrwaliło się na dobre w naszym społeczeństwie i raczej nie zanoszą się na rychłe zmiany. Wkładając suknię ciotki, dałaś jawnie do zrozumienia panom, że jesteś wyuzdana i pozbawiona skrupułów – zauważyła Matylda.

– Oby tylko echo tych wydarzeń nie dotarło do Krynicy. Jeśli tak się stanie, będziesz skompromitowana i nie wiem, czy pomoże ci w czymkolwiek moja pozycja towarzyska – stwierdziła Aurelia.

Teodozja słuchała ich ze zwieszonymi ramionami. Nie takiego efektu oczekiwała, wkładając suknię ciotki. Nie przypuszczała, że stanie się bohaterką wielkiego skandalu. Sądziła raczej, że zwróci uwagę panów, a panie po prostu przejdą nad tym do porządku dziennego. Okazało się jednak, że było zupełnie inaczej i cała wizyta w teatrze stała się jedną wielką torturą.

Jakby na potwierdzenie słów Drzewickiej-Rapacz jeszcze tego samego dnia do mieszkania zaczęto dostarczać bilety wizytowe oraz kwiaty dla panny Teodozji. Zaplątało się też kilka upominków, których pannie pod żadnym pozorem nie wypadało przyjmować.

Zdruzgotane kobiety załamywały ręce i konsekwentnie odsyłały wszystkich posłańców. Dary bynajmniej nie oznaczały tego rodzaju zainteresowania, które mogłoby je ucieszyć. I chociaż Aurelia wciąż czuła się nie najlepiej, podjęła decyzję o natychmiastowym powrocie do Krynicy. Zarządziła więc pakowanie kufrów. Oczywiście Matylda poszła w jej ślady, ponieważ uznała, że nie zostanie dłużej w Krakowie, skoro przyjaciółka wraz z rodziną wraca do domu.

# IGRASZKI Z OGNIEM

§

## Krynica

Próżne były nadzieje Teosi na to, że w Krynicy sprawa sukni i skandalu w teatrze przejdzie bez echa. Nie wzięła pod uwagę, że krakowska prasa dociera również w Beskidy. Tak więc ciotka Klara dowiedziała się o wszystkim, zanim zdążyli wrócić z miasta. Kipiąca wściekłością pojawiła się w domu Pod Lipami już następnego dnia.

– Jak mogłaś do tego dopuścić? Aurelio! Moja świętej pamięci siostra przewraca się w grobie, wiedząc, że Teodozja została skompromitowana. Zapomniałaś już, jak wielką estymą cieszyła się za życia? Była stawiana za przykład nienagannyh manier. To ona nadawała ton w naszym towarzystwie. A ty dopuściłaś do tego, by jej córka się ośmieszyła.

– Ależ Klaro! To nie jest moja wina. Byłam chora, dlatego nie poszłam z Teodozją i Filipem do teatru. Kiedy Teosia zajrzała do mnie wieczorem przed spektaklem, aby się pożegnać, miała na sobie śliczną kremową sukienkę. Musiała ją zmienić na toaletę balową po wyjściu z mojej sypialni.

– Tym bardziej więc uważam, że jesteś winna, skoro pannica posunęła się do podstępu. Świadczy to tylko o tym, że wychowałaś ją źle. Nie pojmuję, dlaczego nigdy nie brałaś sobie do serca moich rad. Wielokrotnie powtarzałam, że dzieci należy trzymać krótko i narzucać im znaczną dyscyplinę. A kiedy na to zasługują, nie można żałować im różgi – przypomniawszy.

Bohaterka niechlubnych wydarzeń siedziała w tym czasie w swoim pokoju, nie słyszała więc słów o dyscyplinie i różdze. Bynajmniej nie przebywała tam za karę. Po prostu nie miała ochoty na spędzanie czasu w czyimkolwiek towarzystwie. Oczywiście wiedziała, że z wizytą przyszła jej ukochana ciocia, lecz nie odważyła się zejść do salonu i spojrzeć jej w oczy. Pomyślała natomiast, że wybierze się do niej następnego dnia i spróbuje się jakoś sensownie wytłumaczyć. Może zrzuci winę na ciotkę Aurelię? Obawiała się bowiem, że gdyby w tym momencie znajdowała się w salonie, to otrzymałaby kolejną połajankę. A tej by nie zniosła. I cóż z tego, że była dorosłą panną na wydaniu, skoro traktowano ją jak dziecko? Nadal niewiele zależało od jej woli. Nie mogła nawet decydować o tym, jakie będzie nosiła suknie.

\$

– Teosiu, dziecko, coś ty najlepszego narobiła? Nie powinnaś igrać z ogniem, bo możesz się sparzyć!

Chociaż panna nie uniknęła bury ze strony ukochanej ciotki, to jednak ton Klary był zdecydowanie łagodniejszy niż Aurelii.

– Ależ ciociu! To tylko suknia. Nie rozumiem, o co tyle zamieszania.

– Nie bądź naiwna. Łamanie ogólnie przyjętych zasad nigdy nikomu się nie przysłużyło. Popsułaś sobie reputację. Boję się, że możesz zapomnieć o zrobieniu dobrej partii. Żaden szanujący się dżentelmen nie spojrzy teraz na ciebie łaskawym okiem.

– Kiedy właśnie po tym wystąpieniu w teatrze dostałam mnóstwo biletów wizytowych i kwiatów od mężczyzn.

– O dziewczęca naiwności! – wysapała ciężko Boguszowa. – Bądź pewna, że ich zainteresowanie nacechowane jest nieprzyzwoitością. Z całą pewnością żaden z nich nie zamierza starać się o twoją rękę. Wkładając kolorową suknię, dałaś im

czytelny znak, że wyrażasz zgodę, aby czynili ci niemoralne propozycje. Nie wiem, czy to się da jeszcze jakoś naprawić. Będziesz musiała dołożyć naprawdę dużych starań, by ludzie zapomnieli ci ten postępek. Nie chcesz być chyba skazana na ostracyzm?

Teodozja po raz pierwszy poczuła prawdziwą skruchę i pożałowała swego czynu. Skoro bowiem najukochańsza ciotka nie szczędziła jej wymówek, oznaczało to, że faktycznie stało się coś bardzo złego. Wszak Klara wciąż podkreślała, jak bardzo jej zależy na tym, aby siostrzenica dobrze wyszła za mąż i jak bardzo pragnie jej szczęścia.

– Co ja mam teraz zrobić, ciociu? – załkała.

Boguszowa wyciągnęła ramiona i przygarnęła do siebie zapłakaną pannicę.

– No już, już... Kochanie, nie płacz. Za późno na łzy. Trzeba będzie jakoś ratować sytuację. Myślę, że mimo wszystko powinnaś jednak brać udział w wydarzeniach towarzyskich najbliższego sezonu. Musisz przy tym zachowywać się jak należy. Tak aby twoim strojom, fryzurom ani słowom nie można było niczego zarzucić. To chyba jedyne wyjście. Owszem, mogłabyś przez jakiś czas poniechać bywania wśród elit, ale wątpię, czy to w czymkolwiek pomoże. Pamięć ludzka jest bardzo pojemna. I chyba prędzej darują ci tę... hm... pomyłkę, jeżeli pokażesz im, że masz jak najlepsze maniery. Na wszelki wypadek podczas najbliższych balów oraz wizyt w teatrze musisz trzymać się mnie oraz moich córek. Dziewczynki cieszą się nieposzlakowaną opinią. Ich dobra pozycja towarzyska powinna pomóc w naprawieniu twojej reputacji. Tylko niech ci już nie przyjdzie do głowy, by zaskakiwać ludzi jakimikolwiek szalonymi pomysłami. Omówię jeszcze ten temat z twoją opiekunką. Nie martw się, spróbuję ją jakoś udobruchać, ponieważ wiem, że jest na ciebie wściekła. Kiedy z nią wczoraj



rozmawiałam, twierdziła, że w tym sezonie nie pozwoli ci wystawić choćby czubka nosa za drzwi.

– Ojej! – jęknęła zdruzgotana Teosia.

Gdyby do tego doszło i została zamknięta na cztery spusty w domu, straciłaby na bardzo długo szansę na znalezienie atrakcyjnego kawalera, a tym samym na uwolnienie się spod ciotczynej kurateli. Dlatego właśnie był to prawdziwy dramat. Teodozja nie marzyła bowiem o niczym innym, jak tylko o tym, by wyjść za mąż i zostać panią samej siebie, aby nikt nie narzucał jej, jakie ma wybierać suknie i jak ma żyć.

Klara chyba czytała w jej myślach, bowiem zapytała:

– Powiedz mi, ale szczerze, co tobą powodowało, że włożyłaś akurat tę suknię?

– Już ci mówiłam: chciałam na siebie zwrócić uwagę dżentelmenów. Liczyłam na to, że któryś straci dla mnie głowę. Chcę jak najszybciej wyjść za mąż.

*Pff!* – prychnęła w duchu Klara. – *Tak jakby było do czego się śpieszyć. Wszystkim nam się wydaje, że zamążpójście otwiera drogę do wolności. Nic bardziej mylnego. Spod dozoru rodzicielskiego trafiamy we władzę mężczyzny, ot co!*

Bogiem a prawdą w jej przypadku wcale tak nie było, ponieważ to Szymon dostał się pod jej pantofel.

Występowanie w roli potulnej panienki wychodziło Teodozji dosyć dobrze, chociaż młodej damie trudno było pogodzić się z ograniczeniami narzucanymi przez utarte z dawien dawna zwyczaje. Musiała jednak ratować swą mocno zachwianą pozycję towarzyską. Źle się stało, że echo skandalu, który wywołała w teatrze, dotarło aż do Krynicy.

Prawdopodobnie jej reputacja byłaby nie do uratowania, gdyby nie zabiegi ciotki Klary oraz ciotki Aurelii. Klara i jej córki, jako osoby o nienagannych manierach, cieszyły się

poszanowaniem w lokalnej społeczności. Aurelia natomiast była osobą pożądaną w kręgach towarzyskich, głównie z uwagi na stan posiadania. Tak przynajmniej twierdziła Boguszowa. Nie omieszkiwała przy tym dodawać, że również dzięki temu ludzie nie odwrócili się od Teodozji. Panna pochodząca z tak zamożnego domu zawsze była mile widziana na salonach. Nie mogła sobie jednak pozwalać na popełnianie kolejnych błędów.

Mimo wszystko Teosia z utęsknieniem czekała na rozpoczęcie sezonu uzdrowiskowego. Liczyła na przyjazd mnóstwa gości z różnych stron świata. Nareszcie będzie mogła w pełni uczestniczyć w życiu towarzyskim.

Lato oznaczało jeszcze jedną ważną rzecz: Staś przyjedzie do domu. Tęskniła za bratem. Był jej bliższy nawet niż ciotka Klara, choć oczywiście nie rozumiał się na pewnych dziewczęcych niuansikach. Zauważyła jednak, że w jej życiu jest pewna równowaga. O damskich problemach mogła rozmawiać z ciotką Klarą. Staś natomiast był świetnym towarzyszem zabaw, choć teraz ich zabawy znacząco zmieniły charakter w stosunku do tych sprzed lat.

Ze Stasiem mogła pojechać na wycieczkę konną lub, ku zgorszeniu niektórych starszych matron, rowerową. Grywali razem w tenisa, chodzili na piesze wędrówki. Czasami płatali komuś różne psikusy. Przy nim nie musiała udawać świętej. A czyż było cokolwiek przyjemniejszego od możliwości bycia sobą i niekontrolowania bez ustanku tego, co się robi oraz mówi?

Pod tym względem Teodozja zazdrościła cioci Aurelii swobody.

Zauważyła bowiem już dawno temu, że ciotce uchodzi w towarzystwie znacznie więcej niż niejednej damie. Aurelia mogła ubierać się z większą nonszalancją i jawnie prezentować swój światopogląd.

*Muszę zdobyć bogatego męża – rozmyślała pannica. – Ten, kto ma pieniądze, może sobie pozwolić na łamanie zasad. Nie chodziło jej bynajmniej tylko o stroje i inne przyjemności. Zamożnym ludziom niemalże wszystko uchodziło na sucho. Uboższe panie musiały pilnować się na każdym kroku, by nie zaliczyć wpadki towarzyskiej. Częściej były narażone na obmowę. Ona tak nie chciała.*

Tylko jak sprawić, by owinąć sobie wokół palca prawdziwego dżentelmena z odpowiednią pozycją? W okolicy mieszkało sporo kawalerów, którzy odpowiadali wizjom Teosi. Mieszkańcy Krynicy byli ludźmi raczej zamożnymi. Zarabiali krocie na dogadzaniu letnikom. Teodozja nie miałaby jednak nic przeciwko temu, aby zakochał się w niej ktoś z dalszych stron i zabrał ją do Krakowa, Lwowa czy w jeszcze inne ciekawe miejsce. Było jej wszystko jedno. Byle nie musiała mieszkać w domu Pod Lipami.

August Orzechowski mieszkał w Żegiestowie, gdzie jego rodzice mieli duży pensjonat. Był jedynakiem, co czyniło go bardzo atrakcyjną partią. Teodozja widywała go podczas karnawału w Krakowie. Mieli nawet okazję ze sobą zatańczyć. Nie łudziła się jednak, że wzbudziła w nim wtedy większe zainteresowanie. Z takim samym zaangażowaniem jak z ni, bawił się również z innymi pannami. Podobno bliscy nalegali na to, aby poszukał sobie żony, lecz jemu się nie spieszyło do wkładania małżeńskich kajdan, chociaż na oko mógł być mniej więcej rówieśnikiem Aurelii. Jego kruczoczarne włosy oszraniała na skroniach delikatna warstewka siwizny.

August przebierał w pannach jak w ulęgałkach. Wzdychało do niego wiele dziewcząt. Był przystojny, postawny, majątny. Nie brakowało mu dobrych manier. Dżentelmen w każdym calu, choć zdawał się dość apodyktyczny. Cóż, pieniądze

zdecydowanie dodawały mu pewności siebie. Zdążyła się o tym aż nazbyt dobrze przekonać, gdy ponownie spotkała go podczas tańców w Domu Zdrojowym.

– Nie widzę dzisiaj tej iskry w oczach, którą zauważyłem u panny w teatrze. Czyżby ktoś skutecznie ją zgasił? Jeśli tak, rad bym ją wzniecił, by ponownie rozgorzała. Spotkajmy się sam na sam – wyszeptał, spoglądając na nią wymownie i ściskając jej kibić zdecydowanie zbyt mocno.

Jego wypowiedź dotknęła Teodozję do żywego. Pannica poczuła się do głębi urażona. Przez resztę tańca nie odezwała się nawet słowem i nie zaszczyciła mężczyzny ani jednym spojrzeniem. Prawdę mówiąc, najchętniej porzuciłaby go na parkiecie, lecz wiedziała, że to wywołałoby kolejny skandal i pociągnęłoby za sobą lawinę komentarzy ze strony obydwu ciotek. A ona musiała przecież dbać o reputację. Gdy walc, którego tańczyli razem, dobiegał końca, spojrzała mu odważnie w oczy i powiedziała stanowczym tonem:

– Proszę się więcej nie wpisywać do mojego karnetu. Nie życzę sobie, by mnie pan obrażał.

Mężczyzna parsknął śmiechem. Nie skomentował uwagi, którą wygłosiła gniewnym tonem. A gdy odprowadził ją na miejsce, ukłonił się przed Aurelią.

– *Madame*, oddaję pani wychowanekę. A teraz żywię nadzieję, że to pani zatańczy ze mną następnego mazura. I że pozwoli pani, abym wpisał się jeszcze przynajmniej dwukrotnie w karnecie panny Teodozji.

– Oczywiście, panie Augustynie – zgodziła się skwapliwie ciotka, nie dostrzegając piorunujących spojrzeń Teosi. Gdyby wzrok dziewczyny miał moc sprawczą, niewątpliwie Orzechowski padłby trupem.

Kiedy kwadrans później August poprosił ją ponownie do tańca, z ogromną niechęcią musiała wyrazić zgodę, ponieważ

ciotka stała w pobliżu i nadstawiała czujnie uszu. Gdy nieco się oddalili, zapytała z gniewem:

– Po co pan to robi? Przecież mówiłam, żeby pan nie wpisywał się do mojego karnetu.

– Być może lubię ucierać nosa młodym awanturnicom. To znacznie lepsza zabawa niż płasanie z potulnymi panienkami, które boją się choćby podnieść wzrok. Panna Teodozja, jak mniemam, lubi igrać z ogniem. Nawiasem mówiąc, pięknie pani wyglądała w bordowej sukni. Pasuje do pani urody oraz temperamentu zdecydowanie bardziej niż blady róż. – Ostatnie dwa wyrazy wymówił z pogardą.

– A cóż pan może wiedzieć o moim temperamentcie? – Chcąc nie chcąc, wdała się z nim w tę dziwną rozmowę, która w ogóle nie powinna mieć miejsca. Ten mężczyzna wyraźnie ją obrażał.

– Mniemam, że jest znaczny, skoro jakimś sposobem włożyła pani barwną suknię na wyjście do teatru. Przypuszczam, że zrobiła to panna bez wiedzy swej opiekunki. Wątpię, by w przyzwoitym domu pozwolono pani ot tak na włożenie czegoś, czego młodym dziewczętom nosić nie przystoi. Tamtego wieczoru nie widziałem *madame* Drzewickiej-Rapacz. Wiedziała panna, że źle uczyniła, lecz wybornie nadrabiała miną. Wzbudziła pani większe zainteresowanie niż sztuka, bowiem nawet nie przypominam sobie tytułu przedstawienia, a panny występ mocno zapadł mi w pamięć. Cóż więc, panno Teodozjo, może pozwoli mi pani sprawdzić, czy rzeczywiście ten temperament jest taki, na jaki go oceniam?

– Jest pan bezczelny! Jak pan śmie tak się do mnie zwracać?

– Może będzie miała panna z tego nauczki na całe życie – oznajmił chłodnym tonem. – Wychodząc poza utarte schematy, sama się panna naraziła na takie traktowanie.

– Panu nigdy nie zdarzyło się popełnić żadnego błędu? – Jej ton był oskarżycielski.

Na wargach Augusta zabłąkał się cyniczny uśmieszek.

– Trafnie odgadłem, że jest pani kobietką z pazurem. Teraz będę się zastanawiał, czy szaleniec, który zdecyduje się panią poślubić, będzie miał z tego powodu więcej rozkoszy czy utrapienia.

\$

– Byłaby z nich wyborna para – szepnęła Boguszowa, nachylając się nad uchem Aurelii.

Odkąd Teodozja i August weszli razem na parkiet sali balowej w Domu Zdrojowym, nie spuszczała z nich wzroku.

– Pozwolę sobie nie zgodzić się z tobą. Nie wydaje mi się, aby pan Orzechowski był odpowiednim kandydatem na męża dla Teosi. To apodyktyczny cynik. Miewałam z nim do czynienia, gdy przyjeżdżał w interesach do tartaku.

– Moim zdaniem Teodozja potrzebuje kogoś, kto ją weźmie w karby.

– A ja uważam, że takie małżeństwo by ją zniszczyło. Jest zbyt niezależna, żeby poślubić kogoś, komu musiałaby okazywać całkowitą uległość.

– Według mnie wyszłoby jej to na dobre. Zbytne wyemancypowanie współczesnych dziewcząt z całą pewnością przysporzy im problemów. Wiele z nich może zostać starymi pannami. Nie takiej przyszłości życzyłabym sobie dla mojej siostrzenicy. Co więcej, jestem głęboko przekonana, że Emilia również nie zaakceptowałaby takiego stanu rzeczy.

Aurelia westchnęła nieznacznie. Klara wydawała jej się momentami niezwykle ograniczona. *Lepiej byłoby dla Teodozji, gdyby nie przesiąkła poglądami wtłaczanymi jej do głowy przez ciotkę* – stwierdziła w duchu.

Spojrzała na tańczącą parę. Rozmawiali ze sobą, a i owszem. Ale gniewne błyski w oczach podopiecznej wskazywały na to, że słowa mężczyzny raczej ją irytują. *Nie będę wydawała Teosi*

*na siłę za mąż. Sama powinna zdecydować o tym, z kim się zwiąże. Mnie tego nikt nie narzucał. Dwukrotnie ślubowałam i robiłam to, idąc za głosem serca, choć w przypadku Filipa nie do końca byłam pewna swych uczuć. A Orzechowski nie wygląda na kogoś, kto byłby zainteresowany staraniem się o jej rękę.*

Aurelia zdecydowanie wolałaby, żeby podopieczna zwróciła uwagę na Józefa Trelewicza, sympatycznego młodego człowieka, który wciąż wodził za nią wzrokiem. Nawet teraz, gdy tańczyła z Augustem, nie odrywał od niej oczu. Może nie był tak atrakcyjnym mężczyzną jak Orzechowski – nie był ani równie przystojny, ani równie bogaty, lecz w jego wejrzeniu widać było dobro, a ust na poczciwej twarzy nie wykrzywił cyniczny uśmieszek.

Józio pochodził z niezbyt zamożnej rodziny, ale był niezwykle uzdolnionym młodym człowiekiem o wysokich ambicjach. Dzięki pilności w nauce dostał się na Uniwersytet Jagielloński, gdzie w Collegium Medicum ukończył niedawno edukację, zyskując tytuł doktora. Dopiero zaczynał praktykę lekarską, a już rysowały się przed nim niezłe perspektywy. Pod swoje skrzydła wziął go doktor Maksymilian Cercha, widząc wielki potencjał i zapał do pracy. Drzewicka-Rapacz była przekonana, że Trelewicz zajdzie naprawdę daleko. Może w przyszłości, wzorem Skórczewskiego, Ebersa czy Skowrońskiego, otworzy w Krynicy kolejny zakład uzdrowiskowy?

*Gdyby Teosia zechciała się z nim związać, pomogłabym mu w otwarciu i rozwinięciu praktyki – pomyślała.*

Teodozja i jej bliscy wrócili do domu nad ranem, gdy świat już rozjaśniał się bladym światłem pierwszych słonecznych promieni. Dziewczyna udała się wprost do swej sypialni, choć w ogóle nie była senna. Wydarzenia z balu mocno ją wzburzyły. Z Augustem zatańczyła jeszcze jeden taniec. I znowu nie obyło się

bez ostrej wymiany zdań. W nieskończoność rozpamiętywała potyczki słowne z mężczyzną. Po czasie przychodziły jej do głowy riposty, których powinna była użyć, choć wiedziała, że i tak zabrakłoby jej odwagi na ich wygłoszenie.

Zdołała samodzielnie zdjąć suknię, gorset oraz pozostałe elementy garderoby. Umyła się w chłodnej wodzie, która na dobre ją rozbudziła. Nie miała ochoty kłaść się do łóżka. Podeszła więc do okna i spojrzała na budzącą się Krynice. Uliczkami miejscowości wędrowały służące. Większość z nich szła do pensjonatów, by rozpocząć mozolne donoszenie wody. Inne spieszyły po jakieś sprawunki. Do stojącego niemalże naprzeciwko domu Pod Turkiem wracali ostatni amatorzy nocnych zabaw.

Uchyliła okno, by wpuścić do pokoju rześkie poranne powietrze. Od strony deptaku delikatne powiewy wiatru niosły pogłos *Modlitwy*. To orkiestra powołana do życia przez Adama Wrońskiego \*\*\*\*\* okrzykniętego „polskim Straussem” wygrywała utwór na dobry początek dnia.

Dziewczyna wróciła wspomnieniami do balu.

*August Orzechowski to najbardziej podły człowiek na świecie* – stwierdziła. Sęk w tym, że ów człowiek, chciała tego czy nie, wywoływał pospieszne uderzenia serca. Myśl o nim ani na moment nie wietrzała z jej głowy.

Kilka dni później w domu Pod Lipami pojawił się Stanisław. Teodozja z miejsca wyciągnęła brata na wycieczkę konną. Dzięki temu mogła z nim swobodnie porozmawiać, bez obawy, że ktoś niepowołany ich usłyszy.

– Wiesz, Stasiu, chciałabym mieszkać sama. Mam dość ciotczyngo dozoru.

– Obawiam się, że na to musisz jeszcze trochę poczekać – stwierdził szesnastolatek. – Wyprowadzisz się stamtąd dopiero,



jak wyjdiesz za mąż. Chyba że podejmiesz pracę jako guwernantka.

– Oszalałeś? – obruszyła się pannica. – Miałabym niańczyć cudze dzieciaki?

Nawiasem mówiąc, nie miała do tego odpowiednich kompetencji. Chociaż ciotka proponowała, że ją wyśle na pensję, by pogłębiła wiedzę zdobytą w trakcie nauczania domowego, Teosia nie przejawiała ochoty. Nie widziała powodu, by zaśmiecać sobie głowę zbędnymi bzdurami. Wystarczyło jej to, czego nauczyła ją panna Apolonia. Nie myślała o nauce w uniwersytecie. Aż tak wyemancypowana się nie czuła, choć irytowała ją myśl o tym, że w przyszłości jej pozycja towarzyska i społeczna będzie zależna od pozycji małżonka. A ponieważ nie miała wpływu na odwieczne prawa rządzące światem, musiała płynąć z prądem.

Cieszyła się, że w przeciwieństwie do chodzącej idealistki Aurelii ciotka Klara twardo stąpa po ziemi i od ładnych paru lat kładzie jej w głowę różne mądrości. To dzięki niej dorastała w przekonaniu, że jedynym słusznym krokiem jest znalezienie jak najlepszej partii. Aurelia bowiem usiłowała ją przekonać, że na pozycję towarzyską można sobie zapracować inaczej. Oraz że można zdobyć szacunek, nie posiadając wielkiego majątku. Łatwo jej było mówić, skoro sama miała dość pieniędzy, by nie martwić się o nic!

– No tak, na nauczycielkę zdecydowanie się nie nadajesz – stwierdził brat. – Aby wykonywać taką pracę, trzeba chyba choć trochę lubić dzieci, a ty nie lubisz ich w ogóle. Zawsze patrzysz wilkiem na Beatę i Lucka. Adamczykówny też działają ci na nerwy. Po co więc właściwie chcesz wychodzić za mąż? O ile wiem, ludzie pobierają się po to, żeby mieć dzieci.

– Aleś ty głupi, Staszku! Chcę wyjść za mąż, żeby nie być zależną od ciotki, a nie widzę innej możliwości.

– Rzeczywiście kiepsko to wygląda – przyznał brat. – Niby mamy własny dom po rodzicach, a nie możemy w nim mieszkać. Ty nie możesz, bo panna musi mieć opiekunów. A ja nie mogę, bo jestem za młody i nie posiadam własnych pieniędzy.

– No właśnie! Gdybyś był dorosły, moglibyśmy zamieszkać we dwoje w naszym domu. Byłabym przecież pod twoją opieką. – W jej słowa wdarł się cynizm. To oczywiste, że nie potrzebowała opiekuna. Jedyne, czego pragnęła, to niezależność. – Właściwie trochę żałuję, że nie zdecydowałam się na naukę na pensji. Przynajmniej nie musiałabym siedzieć pod jednym dachem z Drzewickimi i Rapaczami.

– Aha, już widzę, jak poddajesz się nakazom i zakazom nauczycielek. Tam na pewno musiałabyś wciąż stać na baczność i chodziłabyś niezawodnie niczym szwajcarski zegarek. Lepiej nie kręć nosem i korzystaj z ciotczynej dobroci, póki możesz.

– Bredzisz! Z jakiej dobroci? – Pannica prychnęła gniewnie.

Poczuła się zdradzona przez najbliższą sercu osobę, bo do tej pory trzymali ze Staszkiem wspólny front, uważając Aurelię za największego wroga. Jednak od jakiegoś czasu dostrzegała wyłom w murze, który wokół siebie wzniesli. Staś zaczynał zmieniać nastawienie do ciotki! Nie był do niej usposobiony aż tak negatywnie jak dawniej i już nie pierwszy raz przebąkiwał, że ich opiekunka wcale nie jest taka zła. Kiedyś nawet posunął się dalej, bo zasugerował, że być może ciocia Klara nie ma racji i niepotrzebnie zawzięła się na Aurelię.

Chłopak zreflektował się, że jego słowa były mocno nie w smak siostrze. Nie chciał jej ranić, niezmiennie była dla niego najważniejsza.

– No wiesz, jeszcze nie jest za późno na naukę – podsunął.

– E tam. Dziewczęta w moim wieku zazwyczaj kończą edukację na pensji i wracają do domu. Albo szykują się do wstąpienia na uniwersytet. Zresztą sam mówiłeś, że mieszkanie na stacji wcale nie jest lepsze od mieszkania przy rodzinie.

– A żebyś wiedziała! Ciotce i wujowi łatwiej było umknąć sprzed oczu. Więcej uchodziło mi na sucho. Na stacji jest taka dyscyplina, że szkoda gadać. Wszystko trzeba robić na gwizdek. W gruncie rzeczy ciotka wcale nie jest taka zła – dodał ostrożnie, ponieważ ostatnie dwa lata skłoniły go do wielu porównań i przemyśleń.

– Ach... To się wuj postarał, żeby ci uprzyjemnić życie! – zakpiła siostra.

– No... – bąknął, niezupełnie przekonany, czy siostra ma rację. Bo niby pobyt w Tarnowie odczuwał jako rodzaj kary oraz znaczne ograniczenie swobody, ale musiał przyznać, że na karę zasłużył. Na stacji, wśród obcych ludzi, którzy narzucili mu wiele ograniczeń i karali za byle bzdury, tęsknił za sielankowym życiem w Krynicy. Gwoli uczciwości, zaczął przyznawać sam przed sobą, że w rzeczy samej tęskno mu za czułą łagodnością ciotki i jej anielską wręcz cierpliwością. Brakowało mu także wielu wygód oraz służby, która dbała o to, o co w Tarnowie sam musiał się troszczyć: porządek w pokoju, pościelone łóżko, wypastowane szuwaksem buty. Na stacji karmiono go zdrowo i do syta, lecz nie tak smacznie jak w domu Pod Lipami. Nic nie mogło równać się z cudami wychodzącymi spod pulchnych rąk Petroneli.

– Wiesz co, Teośka? Nic się nie martw. Jak już skończę naukę w szkole i wrócę do Krynicy, zamieszkamy w naszym domu. Będę wtedy dorosły, zacznę sam na siebie zarabiać. O ile oczywiście nie wyjdiesz wcześniej za mąż.

– Na to się w ogóle nie zanosi. Z powodu głupiej czerwonej sukni, którą włożyłam do teatru, mam zszarganą reputację

również tutaj. Wyobraź sobie, że na wczorajszym balu jeden kawaler podczas tańca syknął mi na ucho, że chętnie umówiłby się ze mną na spotkanie sam na sam. Bo uznał, że jestem skandalistką.

– A co złego w tym, że chciałby się z tobą spotkać? – zdziwił się młody.

– Ech... Jak ty jeszcze nie znasz życia, Stasiu! – Westchnęła. – Naprawdę nie masz pojęcia, co to oznacza? Jedno ci powiem: składanie takiej propozycji panience jest niemoralne. Wszystkie ciotki byłyby zgorszone.

Nie zamierzała dodawać, że słowa padły z ust mężczyzny, którego wcześniej upatrzyła sobie jako atrakcyjnego kandydata na męża.

Następne dni miały wyjątkowo prędko, ponieważ Aurelia i Filip starali się jak najczęściej zabierać Teodozję na bale wyprawiane w Domu Zdrojowym.

Zwykle po całonocnych tańcach Aurelia budziła się w porze obiadowej. Tego dnia jednak wystarczyło jej zaledwie parę godzin snu. Nie lubiła wylegiwać się beczynn timer w pościeli, więc ostrożnie, by nie obudzić męża, wstała i dokonała porannej toalety. Samodzielnie uporowała się z zasznurowaniem gorsetu i włożeniem sukni. Włosy zawinęła w węzeł.

W jadalni zastała Felicytę, Stasia oraz dzieci. Domownicy spożywali śniadanie.

– Wyspałaś się już? – zapytała zaskoczona Drzewicka.

– Tak. Pomyślałam, że skoro nie śpię, to zabiorę dzieciaki na jakiś dłuższy spacer. Ostatnio okropnie się rozleniwiłam i wszędzie jeżdżę konno lub bryczką. A przecież do niedawna tak lubiłam piesze wędrówki!

– A dokąd chcielibyście się wybrać?

– Przez chwilę myślałam o tym, żeby pokazać dzieciom Diabelski Kamień, choć to trochę za daleko jak na wyprawę dla takich maluchów. Lucjan może by i dał radę, ale gorzej z Beatką. – Oceniała siły swych pociech.

– Obawiam się, że nawet dla Lucjana to jednak za daleka wycieczka. Ale moglibyście przecież podjechać bryczką gdzieś w okolice Jaworzynki i stamtąd pójść pieszo.

– Właściwie to dobry pomysł.

– Mamusiu, a co to jest Diabelski Kamień? – zapytał chłopiec.

Staś łypnął na niego znad talerza. Był w wyjątkowo dobrym humorze, a legenda związana z Diabelskim Kamieniem wyjątkowo mu się podobała, więc to on opowiedział małemu w kilku zdaniach tę historię.

– To taki wielki kawał piaskowca, który leży na zboczu Jaworzyny. Z wyglądu przypomina wielkiego grzyba.

– Czy piaskowiec jest z piasku?

– Nie, tak się nazywa ten rodzaj skały. Jak jeszcze trochę podrośniesz i zaczniesz pobierać nauki od guwenera, to na pewno o tym usłyszysz.

– Aha. A ten diabelski piaskowiec skąd się wziął?

– Stąd, że nasze źródła były solą w oku Boruty. Boruta jest wstrętnym diabliskiem, które dźga czasami człowieka widelkami i namawia do grzechu – wyjaśnił od razu, po czym puścił oko do zaskoczonej ciotki. – Ja niestety często miewam z tym draniem do czynienia, przez co wciąż narażam się twojej mamie, a potem za karę tracę najlepsze desery.

– Mamusiu, nie powinnaś zabierać deserów Stasiowi. Bo to nie jego wina, że czasami psoci. – Maluch z nader poważną miną zwrócił się do rodzicielki. – Sama słyszałaś, że to przez Borutę. Mnie też czasami diabeł kusi – przyznał.

Felicyta, Aurelia i niania parsknęły śmiechem.

– A to dopiero! Rośnie nam mały adwokat! Powinien chyba pójść w ślady świętej pamięci Seweryna. Pewnie po nim chłopiec odziedziczył tę przemądrzałość. No dobrze, Stasiu, wyjaśnij do końca Lucjanowi, skąd wziął się gład.

Młodzieniec odchrząknął i kontynuował ku uciesze małego:

– Wstrętne diablisko chciało zniszczyć krynickie źródła, bo nasze wody czynią wiele dobrego pijącym je ludziom. Pewnego dnia przyniósł tutaj ogromny kamień. Niósł go szmat drogi, bo aż z tatrzańskiej turni. Strasznie się przy tym umęczył, bo taki gład jest niewypowiedzianie ciężki, a Boruta nie jadł poprzedniego dnia szpinaku i nie popijał go tranem, więc szybko opadł z sił. Każde diable dzieło musi się odbywać pod osłoną nocy, aby odniosło skutek. Boruta jednak nie zdążył dokończyć swego niecnego zamierzenia przed świtem. Gdy zapiał kur, przerażony bies czmychnął do piekieł, porzucając kamień na stoku. I stoi sobie ten gład po dzień dzisiejszy, niczym wielki grzyb pomiędzy drzewami.

– No ślicznie – stwierdziła Aurelia, zadowolona, że chłopcy dogadują się jak mało kiedy. – Ja bym jeszcze tylko dodała, że najstraszniejszy czart nie uczyni szkody naszym wodom, ponieważ nad Krynicą czuwa Matka Boska Zdrojowa.

– Bozia! – wykrzyknęła z uciechą Beatka, która nadzwyczaj grzecznie przysłuchiwała się bajaniu przy stole.

Aurelia westchnęła z błogością.

*Daj, o dobry Boże, by każdy poranek w tym domu był równie przyjemny.*

Pobyt na stacji zdecydowanie przysłużył się Stasiowi. Kiedy młodzieniec przyjeżdżał do domu podczas przerw w nauce, był znacznie spokojniejszy niż przed wyjazdem do Tarnowa. Nie psocił, nie kłamał i nie odpowiadał bezczelnie dorosłym. Owszem, zdarzały mu się jakieś wpadki, lecz to było chyba normalne u chłopaka w tym wieku.

A może po prostu zaczął dojrzewać?

Gdyby jeszcze Teodozja nabrała trochę łagodności, to życie w domu na powrót stałoby się usłane różami.

Na podwieczorku w willi Drzewickich pojawili się niespodziewani goście.

– Helenka?! – wykrzyknęła Aurelia, gdy weszli do bawialni. – Jak miło cię widzieć! Dzień dobry, panie Józefie. Cieszę się, że dotarł pan w nasze skromne progi.

– Dla mnie to zaszczyt, *madame*, że pani Helenka zechciała mnie tutaj przyprowadzić – odparł, bowiem w domu Pod Lipami zawitał po raz pierwszy.

Świeżo upieczony doktor ucałował dłonie Felicyty oraz Aurelii. Potem uklonił się szarmancko przed Teodozją.

– Szkoda, że słota zatrzymuje nas w domu. – Drzewicka-Rapacz westchnęła. – Uwielbiam spędzać letnie popołudnia w ogrodzie.

– A ja mogłabym pojechać na przejażdżkę konną lub rowerową – dodała Teosia, zezując na intruza, jakim w jej odczuciu był Józef.

– Jeździ panna na rowerze? – zapytał zaintrygowany mężczyzna.

– Oczywiście. Uprosiłam ciotkę, by sprawiła mi taki wehikuł. To nawet lepsze niż jazda konna – odparła, spoglądając mu dość zuchwale w oczy.

Liczyła, że zrazi tym potencjalnego amanta. O ile bowiem wśród mężczyzn nowy sport cieszył się znaczącą popularnością i był mile postrzegany, to dziewczęta jeżdżące na rowerach wciąż wzbudzały zgorszenie, zwłaszcza u starszych matron. Twierdzono bowiem, że wygląda to nieobyczajnie, gdy panna przemieszcza się po gościńcu z zadartą kiecką. Wszak w miejscu publicznym nie wypadało pokazywać nawet skrawka

nogi. Oczywiście pod suknię wkładało się specjalne spodnie oraz odpowiedni gorset, ale dla plotkar i tak stanowiło to niezły żer.

Teodozja z upodobaniem jeździła pod oknami willi należącej do pani Wojnarowej. Czasami goniły ją utyskiwania starszej kobiety. *O tempora! O mores!* – wykrzykiwała gospodyni, chociaż jej goście z lubością korzystali z tego środka transportu. A może po prostu chodziło o to, że pani Wojnarowa nie lubiła Teodozji? Nie kryła się z tym, że uważa ją za zbyt wyemancypowaną pannicę. I nie omieszkała twierdzić, że niedaleko pada jabłko od jabłoni, bowiem wychowanka poszła po prostu w ślady swej opiekunki.

Teosia wprawdzie zżymała się na porównywanie jej z Aurelią, jednak w tym przypadku niewiele sobie robiła z jej słów. Odzywało się w niej jakieś przewrotne lichy. Lubiała grać na nosie plotkarzom, zwłaszcza Wojnarowej, choćby z tego powodu, że gdy ze Stasiem byli nieco młodszy, matrona wykorzystywała każdą okazję, by donieść na nich Aurelii, ilekroć przyłapała ich na jakichś psotach. Głównie chodziło o upodobanie Stanisława do podglądania pań korzystających z dobrodziejstw Zakładu Kinetoterapii.

Ku rozczarowaniu Teosi informacja, że potrafi jeździć na rowerze, wzbudziła tylko entuzjazm młodego mężczyzny.

– Doprawdy? Podziwiam pannę, to niełatwa sztuka. Przypuszczam, że w długiej sukni jazda rowerem musi nastroić sporo trudności. Z męskiej perspektywy mogę powiedzieć, że taka umiejętność wymaga dobrze rozwiniętego zmysłu równowagi. A jako doktor dodam tylko, że jak każda forma sportu, przynosi na pewno wiele korzyści organizmowi. Współczesna nauka potwierdza, że dla zdrowia bezczynność jest najgorszą rzeczą, którą można sobie zafundować.



– Maksymilian mawia dokładnie to samo – wtrąciła Helena. – Józiu, wiem, że ty doskonale radzisz sobie na rowerze, może więc zaprosisz pannę Teodozję na przejażdżkę? Co ty na to, Aurelio? Nie będziesz chyba miała nic przeciwko temu, by twoja podopieczna jeździła pod okiem Józia?

– Ależ nie, Helenko, skądże znowu? Będę nawet spokojniejsza, wiedząc, że Teosi ktoś towarzyszy. Sama bardzo się boję jazdy na rowerze. Rzeczywiście wymaga umiejętności niemalże akrobatycznych, choć właściwie gdy porównać jazdę na rowerze z jazdą konną w męskim siodle, jest to chyba coś podobnego.

– Czyżbyś odważyła się spróbować?

– Ależ nie! Przyznaję, że nie wystarczyło mi odwagi. Za to Filip z lubością korzysta z bicykla.

– Żałuję, że można poruszać się nim tylko po dość równych drogach. Na wybojach stanowi to znaczną uciążliwość – stwierdził pan domu. – Dlatego kiedy Teodozja wyjeżdża gdzieś sama, trochę się o nią niepokoiimy – dodał, spoglądając z wielką życzliwością na Józefa.

Słuchająca ich wywodów Teosia zżymała się w duchu.

*Ach! Do diabła, niech oni w końcu przestaną mnie swatać temu gamoniowi!* – pomyślała.

Józio może nie byłby najgorszą partią. Zapewne niejedna panna byłaby ucieszona z takiego kawalera. Jednak jej wydawał się nieodpowiedni. Był zbyt prostoduszny i łagodny. No i oczywiście brakowało mu majątku. Gdyby tego zapragnęła, bez trudu owinęłaby go sobie wokół małego paluszka. Mogłaby się nim pobawić, a potem go rzuć i rozdeptać niczym robaka. Zrobić tak tylko po to, by wzbudzić zazdrość w Augustie.

Bo August, w przeciwieństwie do Józefa, bardzo ją pociągał.

Orzechowski pod każdym względem byłby idealnym kandydatem na męża: przystojny, majątny, elokwentny, pewny

siebie. Właściwie jedyną skazą na jego wizerunku było to, jak ją potraktował podczas balu. Zakładała więc, że byłby apodyktycznym mężem, z którym nieraz musiałaby toczyć zaciekle boje. Ale przynajmniej nie zmierzyłby jej szybko. Bo Józio ze swoimi maślanymi oczami znudziłby ją pewnie po tygodniu małżeństwa. Poza tym Augusta zazdrościłyby jej wszystkie kobiety. A ona bardzo lubiła znajdować się w centrum uwagi. I już wiedziała, że gdy zostanie mężatką, będzie lśniła w towarzystwie niczym brylant. Nie będzie oszczędzała na strojach oraz biżuterii, choć tą ostatnią powinien ją obsypywać zakochany po uszy mąż.

– Och... To miłe, że tak wszyscy się o mnie troszczycie – powiedziała Teodozja. – Ja jednak uwielbiam samotne przejażdżki. Świetnie sobie radzę i nie potrzebuję niczyjej opieki.

W salonie zapadła niezręczna cisza. Aurelia przygryzła wargę. Pomyślała, że podopieczna popełniła nietakt. Nawet jeśli chciała odmówić, powinna była zrobić to w grzeczniejszym tonie.

*To moja wina – pomyślała zafrasowana. – Teosia po prostu bierze ze mnie przykład. Być może nie chce wychodzić za mąż. Mnie nie paliło się do drugiego zamążpójścia. Zapewne ona wychodzi z założenia, że bez męża da się żyć. Może słyszała, jak mówiłam do matki, że dobrze mi samej.*

Nie wiedziała, jak wybrnąć z sytuacji i załagodzić nieprzyjemny wydźwięk słów podopiecznej. Na szczęście z pomocą przyszła pani Cerchowa, która po prostu zagadała temat.

## Jaworzyna

Teodozja galopowała konno w stronę Jaworzyny. Pędziła tak szybko, jak tylko pozwalały na to siły Herkulesa, trzyletniego ogiera, którego otrzymała w prezencie na osiemnaste urodziny. Nie baczyła na to, że wiatr targa jej włosy, twarz smagają gałązki, a suknia nieskromnie odsłania znacznie więcej niż tylko trzewiki. W tym szaleńczym pędzie wśród błota i kałuż znajdowała ukojenie skołatanych nerwów.

Od trzech dni przepełniała ją wściekłość. Była zła na swoich opiekunów, Helenę Cerchową oraz Józefa. Cała ta zgraja uknuła przeciwko niej spisek! Chcieli wydać ją za mąż za tego mdłego osobnika. Widać to było jak na dłoni. Ciotka była uprzedzająco grzeczna dla niego, podobnie jak wuj. A ona nie chciała takiego absztyfikanta! Jeśli już musiała wyjść za mąż, to za człowieka, którego sama dla siebie wybierze.

Ulżyło jej, gdy po kilku dniach deszczu zza chmur wyrzało słońce. Skorzystała z pierwszej sposobności, by kazać osiodłać dla siebie konia. Jazda na rowerze zapewne zmęczyłaby ją bardziej, ale nie pozwalała na odpowiednio szybkie tempo. Ponadto takim pojazdem nie dało się jeździć po bezdrożach, a ona nie zamierzała trzymać się utartych gościńców. Gnając na Herkulesie, ulegała iluzji, jakby niosły ją skrzydła.

Żałowała, że nie jest wolna jak ptak. Nie podobały jej się zasady rządzące światem, w którym przyszło jej żyć. Choć szczerze nie znosiła ciotki Aurelii, w jednym musiała przyznać jej rację: kobietom należały się identyczne prawa jak mężczyznom.

*Powinnyśmy same o sobie stanowić – pomyślała. – Nasza przyszłość musi być wyłącznie w naszych rękach.*

Prawa wyborcze czy sposobność studiowania nie zaprzętały jej uwagi. Dla Teodozji ważniejsza była możliwość decydowania o tym, gdzie chce mieszkać, będąc panią na wydaniu. Gdyby to od niej zależało, wyprowadziłaby się do domu rodzinnego.

Ostatnio coraz częściej o tym myślała. Problemem był brak środków do życia i, co za tym idzie, brak służby. By się utrzymać, musiałyby podjąć jakąś pracę. Ale co mogłaby robić panna z dobrego domu, która nie skończyła pensji, nie wspominając o uniwersytecie?

*Przecież nie będę niańczyć cudzych dzieciaków! Nie pójdę też do pijalni, by nalewać wodę kuracjom. To było dobre dla ciotki.* Wiedziała, że Aurelia zajmowała się tym w latach panieńskich, sama jednak nie zamierzała iść w jej ślady. Właściwie była w kropce. Czy naprawdę zamążpójście było jedynym sposobem na ucieczkę z domu Pod Lipami?

Zmęczony koń zaczął zwalniać. Przestała go popędzać. Nie było jej intencją zajeżdżenie ogiera na śmierć. Herkules przeszedł do spokojnego truchtu. Momentalnie w jej uszach przestał szumieć wiatr. Dzięki temu mogła usłyszeć, co się dzieje wokół. Tuż za nią trzasnęła gałązka nadepnięta innym końskim kopytem. Nie była sama w lesie, ktoś galopował w pobliżu.

Obejrzała się przez ramię i zamarła. Zaledwie o kilka sążni od siebie dostrzegła Augusta.

– Pędzisz panna tak szybko, że nie sposób cię dogonić – powiedział.

Bez skrępowania zmierzył ją wzrokiem, zatrzymując dłużej spojrzenie na odsłoniętej łydce. Teodozja odruchowo poprawiła suknię.

– Co pan tutaj robi? – zapytała cierpko.

– Mógłbym o to samo zapytać pannę. I dodać jeszcze, że nie wypada, by młoda dama jeździła bez przyzwoitki po lesie. To nie jest tłumnie uczęszczany deptak, na którym można pojawić się samotnie czy z jakimś zauroczonym kawalerem, ale za to bez ogona w postaci znudzonej ciotki, kuzynki czy innej pani. Ja

jednak wiem już dobrze, że panna Teodozja za nic ma konwenanse i lubi łamać zasady.

– A ja wiem, że pan August jest niegrzeczny. I że nie życzę sobie przebywać z nim sam na sam – odparła przekornie.

Chociaż ten mężczyzna pociągał ją niesamowicie, nie zamierzała dać tego po sobie poznać. Intuicja podpowiadała Teosi, że powinna zachować jak największy dystans. Żałowała, że wcześniej tak mocno ujeżdżała Herkulesa. Teraz chętnie zawróciłaby i pogalopowała w stronę Krynicy, byle uwolnić się od towarzystwa tego człowieka. Zdecydowanie nie była w nastroju do żadnych pogawędek. Nie miała sił na utarczki słowne. A przede wszystkim wiedziała, że prezentuje się żałośnie z rozwianymi puklami, które niesfornie opadały na plecy i ramiona. Wstęga podtrzymująca cylinderek pod brodą częściowo się rozwiązała. Nakrycie głowy trzymało się chyba tylko na woli bożej. Zdecydowanie wolałaby, aby ten mężczyzna widział ją wyłącznie w najpiękniejszym wydaniu, kiedy ma na sobie balową suknię, a jej włosy są starannie uczesane i ozdobione kwieciami, choć zapewne amazonka w ciemnozielonym kolorze była bardziej twarzowa niż mdłe toalety do tańca.

– Och! Panno Teodozjo – powiedział mężczyzna – obawiam się, że mam takie samo prawo do przebywania w tym miejscu jak pani czy każdy inny człowiek. A skoro panna samotnie wyprawia się konno do lasu, powinna liczyć się z tym, że może być narażoną na przebywanie sam na sam z jakimś mężczyzną. I że niekoniecznie musi on mieć wobec niej uczciwe zamiary. – Mówiąc to, zmrużył powieki.

Spoglądał na nią tak łakomym wzrokiem, że poczuła lęk. Smagnęła Herkulesa pejcem, zmuszając go do szybszego kroku. Zwierzę było jednak zmęczone.

– Miałabym się pana obawiać? – Prychnęła z pogardą.

Zdołała sprawić, że głos jej nie zadrżał strachem. Za nic w świecie nie chciała, aby Orzechowski odkrył, że jego słowa mimo wszystko mocno nią wstrząsnęły. Żałowała swej bezmyślności. Wierzchowiec Augusta był w zdecydowanie lepszej formie, bowiem mężczyzna od razu się z nią zrównał.

– Niby się pani nie boi, a jednak ucieka – zakpił, wyciągając rękę i łapiąc jej ogiera za wodze. Zmusił tym samym jej konia, by się zatrzymał.

– Co pan robi? Jak pan śmie? – zaprotestowała oburzona dziewczyna.

On, nie puszczając wodzy, zeskoczył ze swego siodła.

– Zawsze robię to, na co mam ochotę, panno Teodozjo – oznajmił, a następnie wyciągnął ręce. Ujął ją w tali i ściągnął z grzbietu zmęczonego rumaka.

– Proszę natychmiast przestać! – zaprotestowała. – Zachowuje się pan skandalicznie!

– O ile wiem, to panna Teodozja jest specjalistką od skandali. Czyż nie pannę widziałem w czerwonej sukni w teatrze? A może wzrok mnie omylił?

– Jest pan podły!

– Owszem, ale kokietki takie jak panna Teodozja bardzo to lubią – powiedział, nachylając się nad nią niebezpiecznie.

Wciąż trzymał ją w ramionach. Jej serce łomotało tak, jakby za chwilę miało wyskoczyć z piersi.

– Jest pan w błędzie.

– Przekonamy się o tym – wymruczał zmysłowym głosem, a następnie, nim zdążyła zaprotestować, przykrył jej usta swoimi.

Kiedy Teodozja poczuła ciepło zachłannych męskich warg, kolana się pod nią ugięły. Ogarnęła ją obezwładniająca niemoc. Wściekła na samą siebie, że w ułamku sekundy straciła całą stanowczość i nie potrafi odepchnąć tego człowieka, zacisnęła z wszystkich sił palce w jego włosach. Szarpnęła je mocno, by

zadać mu ból, lecz on nic sobie z tego nie robił. Nigdy wcześniej nie całowała się z żadnym mężczyzną. Intuicja jednak podpowiadała jej, jak odpowiadać na pocałunki. Nie przeraziła się nawet wówczas, gdy August wsunął w jej usta język. Przeszył ją dreszcz rozkoszy.

*A więc tak wygląda prawdziwa namiętność – pomyślała.*

Po trwającej w nieskończoność pieszczocie mężczyzna się odsunął. Dziewczyna poczuła żal. By nie zdradzać swych uczuć, wzięła zamach i wymierzyła Orzechowskiemu siarczysty policzek. To tylko rozbawiło Augusta.

– Chciałabym, ale się boję – skomentował cynicznie, spoglądając na dziewczynę. – Nie obawiaj się, panno Teodozjo, nie nastaję na twoją cześć, choć nie ukrywam, że rad bym pokosztował twych wdzięków. Uważam jednak, że zaleganie w mokrej trawie jest dobre dla wieśniaków. Ciebie wziąłbym w wygodnym łóżu. Ale nie, nie myśl sobie zbyt wiele! Wbrew obiegowym opiniom nie szukam żony. – Od razu pozbawił ją wszelkich złudzeń.

– Jest pan bydlakiem! – warknęła.

Wsadziła stopę w strzemię i zwinnie wskoczyła na konia. Bez słowa odjechała w stronę Krynicy, odprowadzana śmiechem Augusta. Z trudem panowała nad łzami napływającymi do oczu. Nie mogła sobie pozwolić na to, by spłynęły po jej twarzy. Gdyby bowiem mężczyzna ją dogonił i zobaczył oznakę słabości, poczułaby się podwójnie upokorzona.

# ECHO PRZESZŁOŚCI

§

## Krynica

Po spotkaniu z Augustem Teodozja wpadła do domu niczym burza. Właściwie sama nie pamiętała, w jaki sposób dotarła do Krynicy. Gnana emocjami, popędzała konia tak bardzo, że ledwo dyszał, gdy dotarli na miejsce. Porzuciła zwierzę na podwórze. Na szczęście przechodził wówczas służący, który odprowadził Herkulesa do stajni, gdzie zadbano, by ogier nie stał głodny i spragniony oraz wymagający porządnego szczotkowania.

Dziewczyna w paru susach przebiegła przez hall i dopadła schodów. Tupot jej nóg wywabił z jadalni ciotkę.

– No nareszcie! Teosiu, martwiłam się o ciebie. Właśnie zasiadamy do obiadu. Przebierz się jak najszybciej i dołącz do nas.

– Nie jestem głodna, nie będę jadła – rzuciła dziewczyna i zaczęła wbiegać na górę.

Zaniepokojona Aurelia podążyła w ślad za nią.

Teodozja nie zwróciła uwagi na ciotkę. Weszła do skromnie urządzonego panińskiego pokoju i z całej siły zatrzasnęła drzwi. Rzuciła szpicrutę na blat sekretarzyka. Nerwowym gestem zaczęła tarmosić wstążki zasupłane pod brodą. Chciała zdjąć cylinderek, lecz wstążka, którą dwie godziny wcześniej fantazyjnie zawiązała, teraz była zbyt mocno zadziergnięta.



– A niech to wszyscy diabli! Cholera jasna! – krzyknęła pannica.

Zignorowała stukanie do drzwi.

– Co się dzieje? – zapytała Aurelia, wchodząc bezceremonialnie do jej pokoju.

– Nic! – fuknęła Teosia.

– Przecież widzę, że jesteś wzburzona. Czy ktoś sprawił ci jakąś przykrość? – zapytała zmartwiona opiekunka.

– A choćby nawet, to co z tego? – Wzruszyła ramionami.

– Jeśli ktoś ci czymś uchybił, powiedz. Jeżeli to jakiś łobuz, Filip na pewno interweniuje. A jeżeli kobieta, trzeba będzie wyjaśnić tę sprawę. A może zaczepiał cię jakiś mężczyzna? – Nie czekając na odpowiedź, dodała: – Nie powinnaś samotnie wyprawiać się do lasu. Bo jak miemam, galopowałaś po leśnych bezdrożach. – Zlustrowała ją czujnym wzrokiem.

Uwadze Aurelii nie uszła schlapana błotem amazonka, potargane włosy i jakieś paprochy pomiędzy nimi. Wśród loków zaplątały się także sosnowe igły. Teodozja z całą pewnością nie wyglądałaby tak nędznie, gdyby jechała konno gościńcem.

– Nie potrzebuję twojej troski! – wykrzyknęła Litworzanka.

Właściwie było jej wszystko jedno, czy wyładuje swój gniew na ciotce. Drzewicka-Rapacz sama się o to prosiła, ponieważ niepotrzebnie mieszała się w jej sprawy. Mogła zostać w jadalni, zjeść obiad, zajmować się układnymi pogawędkami z babką Felicytą oraz boną swych dzieci. Teosia nie chciała jej powierzchownej uwagi.

Być może gdyby ciocia Klara zapytała ją o to, co się stało, wyznałaby prawdę. A może nie? Nie! Z całą pewnością niczego by nie powiedziała! Bo ciotka byłaby na nią zagniewana, że jeździ na wycieczki bez przyzwoitki. I na pewno sugerowałaby jej, aby wybierała się na konną jazdę wraz z którąś z kuzynek.

– Teodozjo, radzę ci się uspokoić – powiedziała surowym tonem Aurelia.

Cierpliwość kobiety została wystawiona na poważną próbę. Miała już dość humorzastej panny. Nie pojmowała, skąd w Teodozji tyle jadu. Dlaczego traktuje ją jak swego wroga? Przecież kiedyś były sobie znacznie bliższe! Po śmierci rodziców Teosia wręcz się do niej garnęła. Korzystała z każdej okazji, by usiąść jej na kolanach i się w nią wtulić. Teraz w oczach pannicy widać było głównie niechęć.

– W porządku. Nie chcesz mówić, co się stało? Nie będę naciskać. Choć pewnie powinnam, bo obawiam się, że twoja reputacja znowu na tym ucierpi. Masz wyjątkowy dar pakowania się w różne tarapaty. Boję się, że ostatecznie na dobre przylgnie do ciebie etykiетка awanturnicy. Nie podoba mi się twoje postępowanie. Mieszkasz pod moim dachem, więc oczekuję, że będziesz zachowywała się przyzwoicie. Nie jesteś małą dziewczynką, abym cię łajała i stawiała w kącie, choć zasługujesz na to jak nikt inny.

– Nie prosiłam się o to, aby tutaj zamieszkać. Jak myślisz? Gdzie wolałabym teraz być? – zapytała zgryźliwie pannica, a potem sama odpowiedziała na własne pytanie: – To oczywiste, że chciałabym mieszkać z mamą i tatą w moim domu.

– Dobrze wiesz, że to jest niemożliwe. Twoi rodzice nie żyją – przypomniała Aurelia. – Dopóki nie wyjdiesz za mąż, to ja jestem twoją opiekunką. Odpowiadam za ciebie. Twoja matka przewróciłaby się w grobie, gdyby widziała, w jakim stanie wracasz z przejażdżki. Emilia była uosobieniem elegancji i dobrego wychowania. Stawiano ją za wzór młodym pannom.

– A więc przestań sobie w końcu wycierać nią usta. To przez ciebie ona nie żyje!

– Co ty wygadujesz, dziecko?! – wykrzyknęła zbulwersowana Aurelia. Słowa wychowanki zapiekły ją do żywego. Już raz

usłyszała coś podobnego z ust Stanisława i nie mogła do tej pory tego przeboleć.

A może Filip miał rację, mówiąc, że powinna szczerze wyznać podopiecznym, co zaszło w tartaku? Może niepotrzebnie oszczędzała im nieprzyjemnej prawdy?

– Za co tak bardzo mnie nienawidzisz?

– Za żywota! To ty powinnaś leżeć w grobie, a nie moja mama. Ona była święta, podobnie jak tatko!

– Jak śmiesz? Nie wiesz, jacy naprawdę byli twoi rodzice! I nie masz pojęcia o tym, co wydarzyło się w tartaku!

– Cokolwiek powiesz i tak ci nie uwierzę. Daruj sobie dalsze wywody. Nie próbuj się więcej rozgrzeszać w moich lub Stanisława oczach. Wszyscy dobrze wiemy, że jesteś winna śmierci naszych rodziców. Przygarnęłaś nas tutaj, bo gryzły cię wyrzuty sumienia. Czego oczekiwałaś? Naszej wdzięczności? Nie kupisz jej sobie niczym! – Obrzuciła ciotkę spojrzeniem pełnym pogardy.

Aurelia poczuła, że jej płucom zaczyna brakować tchu. Zachwiała się. By nie stracić równowagi, położyła dłoń na blacie sekretarzyka.

– Nie zmuszaj mnie, żeby padły słowa, których będziemy później żałowały obydwie.

– No powiedz to! Powiedz, że mnie stąd wyrzucasz! Z przyjemnością odejdę do mojego domu! – wrzasnęła dziewczyna, a następnie wybiegła z sypialni.

Drzewicka-Rapacz przez chwilę stała niczym wmurowana. Nie była w stanie zmusić opornego ciała do postawienia choćby jednego kroku, chociaż wiedziała, że powinna pójść za podopieczną i jeszcze raz spróbować do niej przemówić.

Tymczasem Teodozja niczym burza wpadła do buduaru Aurelii. Wiedziała, w którym miejscu ciotka trzyma klucze do jej rodzinnego domu. Wyjęła je z szuflady.

– Co ty robisz? Jak śmiesz grzebać wśród moich rzeczy? Natychmiast odłóż te klucze! – zażądała Aurelia, stając w drzwiach. Była upiornie blada, jej usta zmieniły się w sinawą kreskę. Ledwo łapała oddech.

– Nie! Nie oddam ci ich! Są moje! Nie masz prawa rozporządzać moją własnością! Nie będziesz mi też mówić, co mi wolno, a czego nie! I nie próbuj mnie więcej swatać z Trelewiczem! Ten nędzarz nie zasługuje na moją rękę!

– Nikt ci nie każe wychodzić za niego za męża. Natychmiast odłóż klucze, Teodozjo. Powtarzam ci, opamiętaj się. Nie mam pojęcia, co ci się przytrafiło podczas wycieczki, że jesteś aż tak wzburzona, lecz wiem, że powinnaś ochłonąć. A wtedy porozmawiamy spokojnie.

– O czym? – zapytała Litworzanka.

– O różnych sprawach oraz o śmierci twoich rodziców.

– Nie ma o czym rozmawiać, znasz moje zdanie na ten temat. To ty powinnaś być na cmentarzu, nie oni!

– Co ty wygadujesz, dziecko? Co ty wygadujesz? – zapytała Aurelia słabym, ledwo słyszalnym głosem.

Drzewicka-Rapacz poczuła, że znowu robi jej się duszno. Przed oczami zaczęły wirować czarne plamy. Płucom brakowało tchu. Znienawidzony gorset boleśnie wbijał się w żebra, a wysoki kołnierzyk sukni dławził. Sięgnęła dłonią, by choć trochę go odchylić.

Teodozja, widząc, że ciotka jest na skraju omdlenia, skorzystała z okazji i wybiegła z pokoju, potracając ją w drzwiach z takim impetem, że Aurelia upadła na podłogę.

Wzburzona dziewczyna wybiegła na ulicę. W dłoni wciąż trzymała klucze do domu rodzinnego. Ścisnęła je kurczowo, niemal wpijały się jej w ciało, lecz nie odczuwała bólu. Serce uderzało jej tak mocno, jakby zaraz miało wyskoczyć z klatki

piersiowej. Przez chwilę pędziła przed siebie, nie bacząc na to, że potrąca mijanych po drodze ludzi. Spoglądano na nią jak na wariatkę, ponieważ wciąż miała na sobie ubłoconą amazonkę, a jej włosy były w nieładzie.

Zatrzymała się przy skrzyżowaniu bocznej drogi z główną ulicą Krynicy, tuż przy furtce domu, w którym spędziła pierwsze lata swego życia. Chciała zerknąć na podwórko, lecz widok przysłaniały bujnie rozrosłe krzewy. Kiedyś szpaler ligustrowych krzaków nie był tak wysoki. Z gościńca widać było okna, teraz ponad nimi wznosił się wyłącznie dach.

Bez chwili zawahania skręciła w stronę furtki. Nacisnęła klamkę, lecz bramka była zamknięta – rzecz niespotykana w Krynicy. Dziewczyna rozchyliła zaciśniętą garść i spojrzała na klucze. Intuicyjnie wybrała ten, który powinien pasować. Służąca, której zadaniem była dbałość o podupadający budynek, dobrze spisywała się w swojej roli. Mechanizm zamka puścił bez żadnego oporu, a zawiasy nawet nie pisnęły, gdy Teosia torowała sobie drogę na posesję.

Zatrzymała się za żywopłotem odgradzającym ogród od ulicy.

Nagle znalazła się w zupełnie innym świecie. Z miejsca wyrzuciła z pamięci kłótnię z ciotką i wcześniejsze spotkanie z Augustem.

Tak dawno tutaj nie była! Z zadowoleniem stwierdziła, że trawnik regularnie koszone – nie stanowił dzikiego kłębowiska chwastów. Zniknęły jednak rabatki z kwiatami, które tak bardzo lubiła matka. Teraz nie miał ich kto pielęgnować.

Teodozja pamiętała, że w odległej przeszłości mnóstwo czasu spędzała z mamą i maleńkim Stasiem przed oknami bawialni. Bawili się często w kółko graniaste albo w ciuciubabkę. Fala wspomnień, która ją opadła, była tak silna, że dziewczyna odnosiła wrażenie, iż słyszy radosne śmiechy. Może gdyby zamknęła oczy i wyciągnęła przed siebie ręce, wpadłaby wprost

w matczyne ramiona? Owładnęła nią bolesna tęsknota za rodzicielką.

Czym prędzej podeszła do ganku. Z pęku kluczy wysupłała ten, który na oko pasował do zamka w drzwiach wejściowych. Chwilę później wprost z rozgrzanego słońcem podwórka weszła do chłodnej sionki. Uderzył ją zapach stęchlizny. W powietrzu wibrowały drobinki kurzu, które szczególnie uwidaczniały się w strunach promieni słonecznych zagładających przez okna.

Litworzanka momentalnie zapomniała zarówno o Augustcie, jak i o sprzeczce z ciotką.

Dom wydał jej się znacznie mniejszy, niż zapamiętała z dzieciństwa. Sufity niższe, jakby przytłaczające, ściany ciemniejsze. Podłoga zdradziecko trzeszczała. Zniknęły z niej dywany, zapewne ciotka nakazała służącej, by się ich pozbyła. Teosia pamiętała, że były okropnie powycierane.

Z przygnębieniem zaglądała do poszczególnych pomieszczeń. Dom był podupadły, choć w środku panowała względna czystość. Niedawno służąca musiała umyć okna, gdyż wpadające przez nie promienie słońca mocno raziły w oczy, jako że nie były przefiltrowane przez warstwę kurzu, lecz jedynie przez poźółkłe szydełkowe firany.

Bawialnia była żałośnie mała, niewiele większa od buduaru ciotki Aurelii. Na ścianach wciąż wisiały portrety babki oraz dziadka. Podobne zawiesiła w swym domu Boguszowa. Na gzymsie kominka ustawiono fotografie.

Teosia podeszła bliżej. Wzięła do ręki jedną z ramek i poczuła się tak, jakby spojrzała w lustro, które w zaczarowany sposób przenosi w przeszłość. Od matki różniła się tylko strojem oraz fryzurą. Twarz była prawie identyczna. Przeniosła wzrok na kolejne zdjęcie, przedstawiało ojca. Przyjrzała mu się uważnie i z zaskoczeniem stwierdziła, że niemalże go zapomniała. Chyba mało z nim miewała do czynienia, gdy jeszcze żył. Znała go

jedynie ze zdjęć w albumie babki Felicyty. Nie pamiętała, jaki był w rzeczywistości, ponieważ wszędzie uwieczniony został w napuszonej postawie, a jego oczy zdawały się spoglądać na świat z tą samą wzdargą, którą widywała u Augusta. Czy podświadomie zapragnęła na swego męża człowieka, który sposobem bycia przypomina Dionizego?

W następnej kolejności skierowała kroki do matczynej sypialni. Gdyby miała zamieszkać w tym domu, zajęłaby właśnie to pomieszczenie. Dzięki temu duchowo znajdowałyby się bliżej Emilii. Ten pokój miał zdecydowanie więcej uroku niż salon. Mimo że łóżko ogołocoło z pościeli, sprawiał wrażenie przytulniejszego. Nie było tutaj tak mrocznie, być może dlatego, że ścian nie szpeciły zniszczone obicia.

Teosia skrzywiła się, widząc stary, wyschnięty zaciek na suficie. Zapewne powstał bardzo dawno temu, zanim ciotka poleciła wymianę gontów na dachu.

*Trzeba byłoby odświeżyć ściany w całym domu – westchnęła. – Wszędzie jest ponuro, choć tutaj przynajmniej jasno.*

Nie miała pojęcia, jak to się odbywa, ponieważ w domu Pod Lipami tego rodzaju prace przeprowadzane były pod nieobecność państwa. Dodatkowym kłopotem stał się brak jakichkolwiek funduszy. Gdyby uciekła spod ciotczynej kurateli, musiałyby znaleźć sposób na zarabianie pieniędzy nie tylko na życie, ale również na niezbędne naprawy w domu. No i nie miałyby służby, więc sama musiałyby wszystko robić.

*Mogłabym zostać utrzymanką jakiegoś bogacza – przyszło jej do głowy, choć nie do końca rozumiała, na czym to polega. Wiedziała, że kokoty są pogardzane w wytwornym towarzystwie, mimo że noszą piękne stroje i wyglądają na zamożne osobki.*

Rozejrzała się wokół.

Na sekretarzyku wciąż leżały jakieś notatki sporządzone starannym, kaligraficznym charakterem pisma. Ciemne smugi świadczyły o tym, że służąca niejedną raz przejechała po nich ścierką, by wytrzeć kurz. Zapewne dostała polecenie, by niczego nie ruszać i nie przekładać, kiedy bowiem dziewczyna przesunęła plik kartek, zobaczyła, że blat pod nimi jest nieco ciemniejszy, jakby oparł się promieniom słońca.

Teosia uznała, że ten mebel został niefortunnie ustawiony. Sama umieściłaby go tuż przy oknie, by podczas pisania mieć więcej światła słonecznego. Mogłaby też zerkać do ogrodu i podziwiać wybujały różany krzew, który wabił liczne motyle. Postanowiła, że od razu spróbuje przestawić sprzęt, by sprawdzić, czy będzie pasował w nowym miejscu. Zapała się z jednej strony o mebel i ze wszystkich sił go pchnęła. Nie był aż tak ciężki, na jaki wyglądał, przesunęła go niemalże o łokieć. Ale by go precyzyjnie ustawić, musiałaby mieć pomocnika. Trudno, może Staś jej w tym później pomoże.

Zamierzała pójść do następnego pokoju, lecz jej uwagę przykuła kulka zmiętego papieru, która została częściowo odsłonięta po przestawieniu mebla. Dziewczyna schyliła się, by ją podnieść. Ostrożnie rozprostowała drobniutko zapisaną kartkę i stwierdziła, że ma przed oczami list, a raczej jego brudnopis lub jakąś nienadaną do adresata wersję. Sporządzony był tym samym charakterem pisma co inne notatki. Szpeciło go kilka kleksów, więc być może z tego powodu nie trafił tam, dokąd powinien. Wzrok przyciągnął nagłówek i umieszczona nad nim data.

Matka musiała napisać to trzy dni przed swoją śmiercią. Czy to była owa słynna ostatnia wola, w której powierzyła Teosię i Staszka pod opiekę Aurelii? Zapewne tak!

Teodozja miała niepowtarzalną okazję, by się przekonać, co powodowało matką, że postąpiła w tak zadziwiający sposób. I



dlaczego właściwie upoważniła kuzynkę do sprawowania opieki nad dziećmi, skoro wówczas żył jeszcze ojciec?

Z wy piekami na twarzy zagłębiła się w lekturę. Z każdym słowem odczuwała coraz większą konsternację.

Nie tego się spodziewała!

To niemożliwe! Niemożliwe! Niemożliwe!

*Aurelio*

*Jeśli trzymasz w ręce ten list, to znaczy, że nie ma mnie już wśród żywych. Nie wiem, czy będziesz płakać po mojej śmierci. Zawsze byłaś szlachetną osobą, więc przypuszczam, że może choć trochę wzruszyła Cię myśl o tym, że zginęłam. Jeśli tak jest, otrzyj oczy, nie jestem warta łez. A już na pewno nie Twoich, ja na nie zdecydowanie nie zasłużyłam. Moje przewiny względem Ciebie są ogromne, większe, niż możesz to sobie wyobrazić. Daleko wykraczają poza drobne złośliwości, których Ci nie szczędziłam.*

*Wiedząc o nadchodzącej śmierci, chcę Ci wszystko szczerze wyznać i błagać Cię o dwie rzeczy.*

*Po pierwsze, o wybaczenie, choć mogę się jedynie domyślić, jak trudno będzie Ci je obudzić w swoim sercu po tym, co przeczytasz za chwilę.*

*Drugą, ważniejszą dla mnie sprawą jest troska o przyszłość moich dzieci. Pragnę powierzyć je Twojej opiece. Jesteś szlachetną, wspaniałą osobą. Masz dobre serce. Wiem, że zatroszczysz się o nie najlepiej, jak tylko potrafisz, wszak zawsze pragnęłaś mieć własne pociechy, ale poskąpił Ci ich okrutny los. Na pewno będziesz dla nich lepszą opiekunką niż moja siostra, która podobnie jak ja skażona jest jadem. Obie żeśmy wyszły z tego samego nasienia: i ja, i Klara. Obie nosimy w sobie ten sam pierwiastek zła.*

*Pragnę więc, by Teodozja i Staś dorastali w domu pełnym ciepła i miłości. Gdzie nikt do nikogo nie żywi uprzedzeń. Gdzie moralność nie jest pustym słowem. Gdzie dobre wychowanie nie jest li tylko na pokaz. Gdzie nie zostanie w nich zaszczepiona nienawiść i chciwość.*

*Błagam! Nie odpychaj Teosi i Stasia mimo moich ciężkich przewin!*

*Wiem, że to, co zrobiliśmy z Dionizym, jest niewybaczalne. Ale nie przenoś niechęci do nas na moje dzieci. One nie są temu winne! A Ty jesteś jedyną osobą, która może sprawić, że wyrosną na ludzi szlachetnych. Nienawiść jest bowiem zaraźliwa. Przechodzi z matki na córkę, z ojca na syna i niełatwo ją wyplenić. Dokonać tego może tylko osoba o tak wspaniałym charakterze jak Twój. Jesteś odporna na wszelkie przeciwności losu, szlachetna i wyrozumiała. Błagam Cię na wszystkie świętości, bądź im jeśli nie matką, to przynajmniej opiekunką czułą i troskliwą. Nie pozwól, by ich dusze poszły na zatracenie, tak jak moja i Dionizego.*

*Nigdy o tym nikomu nie mówiłam, lecz jestem śmiertelnie chora. Doktor Ebers nie widzi dla mnie ratunku. Powiada, że jedyną szansą na to, by mnie ocalić, byłoby wyjęcie mojej wątroby i zastąpienie jej inną. Ale medycyna nie potrafi czynić takich cudów. Może za sto czy dwieście lat dokona się wystarczająco duży postęp w nauce, by zastępować zużyte organy ciała innymi, ale teraz można o czymś podobnym jedynie marzyć.*

*Tak czy owak, moje dni są policzone, ale nie płacz teraz nade mną, bo ja sama nad sobą się nie użalam. Dopuściłam się tylu przewin, że widmo rychłej śmierci, choć przeraża, zdaje mi się i tak zbyt małą karą. Z tegoż względu chcę ją przyspieszyć. W najbliższych kilku dniach wybiorę się z wizytą do tartaku. Jeśli dojdzie tam do śmiertelnego wypadku z udziałem moim oraz Dionizego, to wiedz, że ani Ty, ani nikt inny nie ponosi za niego*

winy. Po prostu nie wyobrażam sobie innej scenerii dla zakończenia życia. Wśród niebezpiecznych maszyn oraz ciężkich drewnianych kłód łatwo będzie zrealizować mój zamysł.

Nie przerażaj się, czytając te słowa! Ja to dokładnie przemyślałam. Pisząc list do Ciebie, pragnę śmierci. Gdy Ty to odczytasz, będę już po tamtej stronie.

A teraz napiszę Ci o powodach, dla których chcę to zrobić. Dla mnie to jedyny sposób na ukrócenie szaleństwa, które dopadło mnie i Dionizego, chociaż ja opamiętałam się na ostatnim etapie życia. Nie jestem jednak w stanie w inny sposób pohamować zapędów mojego męża. Oczywiście mogłabym zaprowadzić go przed oblicze sądu, lecz to rzuciłoby hańbę na nasze nazwisko, okrywając również dzieci złą sławą.

Od lat nastawaliśmy na życie Jana. Jego liczne wypadki były zasługą Dionizego lub moją. Również ten upadek z konia, w wyniku którego Jan potłukł się mocno w głowę. Jestem głęboko przekonana, że to wskutek odniesionych urazów Twój mąż zmarł. Chcieliśmy jego śmierci, ponieważ pragnęliśmy położyć ręce na majątku Drzewickich. Nie wzięliśmy jednak pod uwagę tego, że oni, zamiast odprawić Cię tam, skąd przyszłaś, zechcą Cię uznać za córkę. Teraz wiem, że to była najlepsza decyzja, jaką podjęli w całym swoim życiu, i dała im szczęście. Ale w czasie, kiedy działy się te wszystkie złe rzeczy, owładnięta byłam myślą, że to mnie należy się scheda po Felicycie i Ksawerym. I dlatego również Ty miałaś paść ofiarą naszych knowań.

Próbowaliśmy spłoszyć Twojego konia, lecz on nie zrzucił Cię z grzbietu. Wymyśliliśmy więc inny sposób, by się Ciebie pozbyć. To za naszą sprawą zostałaś zamknięta na odludziu w szopie podczas mrozu. Chcieliśmy, abys zamarzła. Po fakcie dotarło do mnie, jak potwornej rzeczy próbowaliśmy się dopuścić.

Wiem, że żadne „przepraszam” tutaj nie pomoże. Nastawaliśmy na Twoje życie, zniszczyliśmy Ci szczęście małżeńskie. Tego nie

*da się wybaczyć. Mimo to jednak błagam! Znajdź w sercu choćby odrobinę miłosierdzia. Owładnięci żądzą pieniędzy, nie wiedzieliśmy, co czynimy.*

*To, co wydarzy się w tartaku, będzie karą dla mnie i dla Dionizego. Niech na tym strasznym wydarzeniu, które musi niechybnie nastąpić, skończy się parada nienawiści.*

*Gdybym mogła paść przed Tobą na klęczki, w tej chwili zrobiłabym to bez wahania. Błagałabym Cię o wybaczenie i o miłosierdzie dla moich dzieci. Żebrzę o Twą litość! Nie pozwól, by Teodozja i Stanisław stoczyli się tak jak ja i Dionizy. Jesteś jedyną osobą, która może sprawić, by wyrosli na praworzędnych ludzi. Możesz mnie przeklinać przez resztę swojego życia, możesz deptać mój grób, spluwać na niego za każdym razem, gdy będziesz na cmentarzu. Ale błagam! Błagam na wszystkie świętości! Zaopiekuj się Teodozją i Stanisławem.*

*Niech Bóg wybaczy mi moje grzechy.*

*Emilia*

\$

Teodozja z osłupieniem spoglądała na list, który wciąż trzymała w dłoni. Z wrażenia usiadła na fotelu przykrytym pokrowcem, wzniesając tuman kurzu.

– O, mój Boże! To nie może być prawda! To nie może być prawda. To nie może być prawda... – powtarzała w kółko. Przypomniała sobie ciotkę łapiącą się za serce i upadającą na podłogę, w chwili gdy sama wybiegała z domu Pod Lipami. – Co myśmy narobili?

Koniec części 2 Niepołomice, wczesne popołudnie 8 lutego

2023 r.

...

## BIBLIOGRAFIA

- Tadeusz Chrzanowski, *Krynica*, Sport i Turystyka, Warszawa 1980.
- Marceli Ciechanowicz, *Krynica i zdrojowiska karpackie*, Wydawnictwo Artystyczno-Graficzne, Kraków 1958.
- Piotr Czerwiński, *Vademecum. Historia*, Greg, Kraków 1999.
- Eleonora z Cerchów Gajzlerowa, *Tamten Kraków... Tamta Krynica*, Wydawnictwo SPES, Kraków 2021.
- Historia Polski. Atlas ilustrowany*, Demart, Warszawa 2014.
- Historia. Studia z dziejów prowincji galicyjskiej*, Wydawnictwo Uniwersytetu Wrocławskiego, Wrocław 1993.
- Władysław Krygowski, *Krynica, Muszyna, Żegiestów, Piwniczna i okolice*, Sport i Turystyka, Warszawa 1974.
- Krynica*, red. Feliks Kirk, Secesja, Kraków 1994.
- Tomasz Ławecki, Kazimierz Kunicki, *Sekrety Krakowa*, Księży Młyn Dom Wydawniczy Michał Koliński, Łódź 2017.
- Małgorzata Moźdzynska-Nawotka, *O modach i strojach*, Wydawnictwo Dolnośląskie, Wrocław 2004.
- Ignacy Potocki, *Krynica i uzdrowiska Doliny Popradu*, Wydawnictwo Wydziału Turystyki Ministerstwa Komunikacji, Kraków 1948.
- Bartłomiej G. Sala, *Sekrety Krynicy i okolic*, Księży Młyn Dom Wydawniczy Michał Koliński, Łódź 2019.
- Anna Sieradzka, *Tysiąc lat ubiorów w Polsce*, Arkady, Warszawa 2003.
- Włodzimierz Sołowjow, *Krótką opowieść o Antychryście*, Wydawnictwo AA, Kraków 2018.

Maria Strzelecka, *Nikifor*, Libra PL, Rzeszów 2022.

Bożena Urbanek, *Towarzystwa dobroczynności na ziemiach polskich w XIX stuleciu*, „Medycyna Nowożytna” 2003, 10 (1–2).

### **Strony internetowe**

\$

<https://www.krynica.pl/>

<https://bazhum.muzhp.pl/>

<https://czasemancypantek.pl/>

<https://emisilo.pl/>

<https://historiaposzukaj.pl/>

<https://polska-org.pl/>

<https://strakija.pl/blog/>

<http://new.krynica.pl/>

<https://www.stroj ludowy.com>

<https://historiapolski.eu/>

# PRZYPISY

\* Roger Forst de Battaglia (1873–1950) – polski baron, prawnik włoskiego pochodzenia, ekonomista, działacz przemysłowy.

\*\* Postać autentyczna.

\*\*\* Tomasz Pryliński (1847–1895) – polski architekt i konserwator zabytków.

\*\*\*\* Słowo „filip” w gwarze białoruskiej znaczy „zając”, stąd taka, a nie inna pisownia.

\*\*\*\*\* Fabbrica Italiana Automobili Torino (FIAT) – Włoska Fabryka Samochodów w Turynie.

\*\*\*\*\* Cal wiedeński równy był 2,64 cm.

\*\*\*\*\* Szkoły trywialne (pospolite) – funkcjonujące na terenach Galicji czteroklasowe szkoły ludowe, w których kształciły się głównie dzieci chłopów.

\*\*\*\*\* Wanda Bieniaszewska (1875–1945) – postać autentyczna, właścicielka dóbr ziemskich.

\*\*\*\*\* Fragment *Krótkiej opowieści o Antychryście* Włodzimierza Sołowjowa. Urywek pochodzi ze strony 52. Szczegóły dotyczące wydania znajdują się w bibliografii.

\*\*\*\*\* Postać autentyczna.

\*\*\*\*\* Obecnie jest to Teatr im. Juliusza Słowackiego.

\*\*\*\*\* Ludwik Solski (1855–1954) – właściwie Ludwik Napoleon Sosnowski, polski aktor, reżyser, dyrektor teatru. Szerzej o tej postaci można przeczytać na kartach innej sagi mego autorstwa zatytułowanej *Niepołomice*.

\*\*\*\*\* Adam Wroński (1850 lub 1851–1915) – polski skrzypek, kompozytor, dyrygent.

# SPIS ROZDZIAŁÓW

W poprzedniej części

1. Proza życia
2. Wspomnienia
3. Niesnaski
4. Siła przyjaźni
5. Nie ma jak w domu
6. Dziecięce radości i smutki
7. Niełatwe decyzje
8. Syneczek
9. Pogardzani
10. Czas miłości
11. Różne racje
12. Kiedy serce pęka
13. Konfrontacje
14. Krok w dorosłość
15. Igraszki z ogniem
16. Echo przeszłości

Bibliografia

Przypisy



© Wydawnictwo WAM, 2023

© Edyta Świątek, 2023

Opieka redakcyjna: Agnieszka Ćwieląg-Pieculewicz

Redakcja: Monika Orłowska

Korekta: Maria Armatowa

Projekt okładki: Mariusz Banachowicz

Skład: Lucyna Sterczewska

ePub e-ISBN: 978-83-277-3492-1

Mobi e-ISBN: 978-83-277-3493-8

MANDO

ul. Kopernika 26 ••• 31-501 Kraków

tel. 12 62 93 200

[www.wydawnictwomando.pl](http://www.wydawnictwomando.pl)

DZIAŁ HANDLOWY

tel. 12 62 93 254-255 ••• faks 12 62 93 496

e-mail: [handel@wydawnictwomando.pl](mailto:handel@wydawnictwomando.pl)